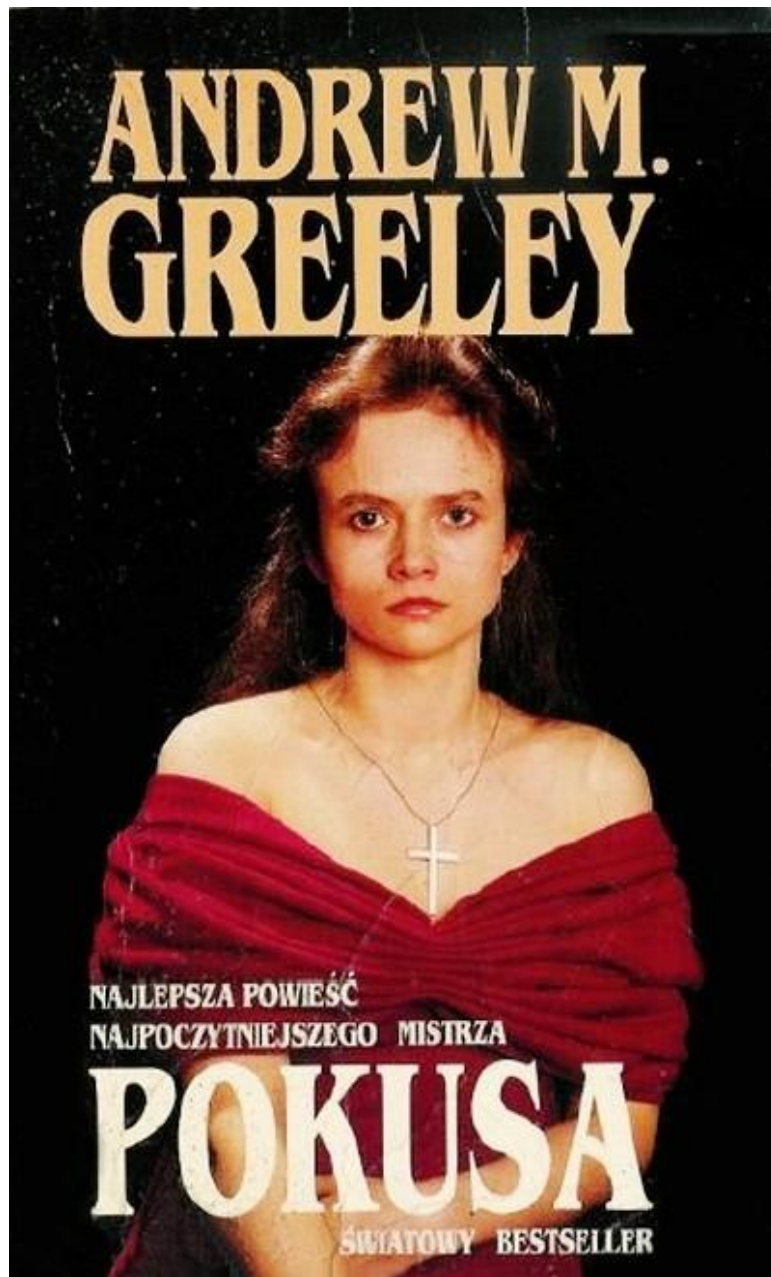




ANDREW M. GREELEY
POKUSA

(An Occasions of Sin)

Przełożyli Jan S. Zaus, Irena Ciechanowska-Sudymont



REBIS POZNAŃ 1994

Copyright © 1991 by Andrew Greeley Enterprises, Ltd.

Copyright © 1994 for the Polish translation by REBIS PublishingHouse Ltd., Poznań

Projekt graficzny okładki Krzysztof Kwiatkowski

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Wydanie I

ISBN 83-7120-042-0

Dystrybucja: Wydawnictwo REBIS s. c.

TLR

TLR

Kiedy czytałem książkę Kena Woodwarda Tworzenie świętych, przyszła mi do głowy historia o biskupie męczenniku, który mógł — albo i nie — być świętym. Książka Kena Woodwarda była mi wielce pomocna w moich rozmyślaniach o świętych. Dlatego z wdzięczności za Tworzenie świętych i za trzy dekady naszej przyjaźni dedykuję tę książkę Kenowi i jego rodzinie.

TLR

Od autora i wydawcy

Wszelkie osoby występujące w tej powieści są wytworem wyobraźni autora. Opis struktury archidiecezji chicagowskiej jest autentyczny.

PROLOG

W sercu dżungli, na niewielkiej, błotnistej polance, stanęły naprzeciw siebie dwie grupy zdenerwowanych młodych ludzi. Gdyby nie byli uzbrojeni w broń automatyczną, można by było wziąć ich za dwa rywalizujące ze sobą zespoły sportowe! Trzymali jednak palce na spustach, niepewni, czy ryzykując straty, mają strzelać pierwsi.

Wysoki, przystojny mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach ruszył pierwszy. Stojący obok niego wyciągnęli ręce, aby go powstrzymać. Łagodnie ich odsunął i trzymając przed sobą zdobiony klejnotami krzyż, powoli zaczął iść przez polanę.

Nagle zagrzmiała salwa. Wysoki mężczyzna obrócił się trochę w prawo, jakby zamierzał delikatnie zastępować, i upadł w błoto bezwładnie jak szmaciana lalka. Teraz obie strony otworzyły ogień, wyładowując nagromadzone napięcie.

Mężczyzna i kobieta, którzy przedtem stali po obu stronach wysokiego mężczyzny, ruszyli ku niemu. Mężczyzna wyjął ampułkę z olejami namaszczałymi i uczynił znak krzyża na czole postrzelonego.

— Przez to święte namaszczenie i swoje najłaskawsze miłosierdzie, niechaj ci Bóg odpuści, cokolwiek przewiniłeś...

Kobieta objęła głowę leżącego.

— John! — krzyknęła, jakby chciała przywrócić go do życia.

Konający otworzył oczy.

— Boże, jak ja cię kocham — wyszeptał. Potem umarł.

1

— Mówiąc szczerze — powiedział kardynał — cuda to coś naprawdę kłopotliwego.

Kardynał od co najmniej dwunastu lat nie rzekł nic *szczerze*, więc i tym razem oczekiwałem wygłoszenia kilku zręcznych, nic nie znaczących formułek. W ten wspaniały letni dzień przedmiotem naszej rozmowy w biurze kardynała był jego zmarły męczeńską śmiercią poprzednik.

— Widziałeś wczoraj wieczór na drugim kanale *Perspektywę* Waltera Jacobsona? — wyciągnął ramiona w geście bezradności, którym potrafił ogłupiać większość księży. — Jeżeli zmarły kardynał jest istotnie święty, to dlaczego archidiecezja boi się to potwierdzić?

Biuro kardynała stanowi zręczną mieszaninę eklezjastycznego tradycjonalizmu i szwedzkiej nowoczesności: zamiast ciemnego, jasny dąb, meble bardziej funkcjonalne niż ozdobne, szerokie, pozbawione ciężkich, czerwonych zasłon okna, za którymi widać mężczyzn i kobiety w strojach kąpielowych, biegających tam i z powrotem do jeziora. Wszędzie jednak dominuje kardynalska purpura: na biurku, w tapicerce i w ramach portretów papieży na ścianie.

Mimo że kardynał pochodzi z Europy Wschodniej, przypomina głodnego, średniowiecznego francuskiego wieśniaka. Jest wysoki, szczupły, ma gęste włosy, krzaczaste, stalowosiwe brwi oraz długą, wąską twarz, która sprawiała wrażenie umęczonej, zanim jeszcze przydzielono mu drugą co do trudności posadę w hierarchii Kościoła. A może nawet najtrudniejszą.

— Widziałeś przed trzema dniami specjalny wieczorny program w telewizji?

Niechętnie się przyznaję do częstego oglądania telewizji, jednak teraz musiałem to zrobić.

— I co o tym sądzisz?

To charakterystyczne u mojego kardynała, pierwszy nie chciał wyrazić opinii.

— Robił wrażenie — odparłem po namyśle. — Przynajmniej jeśli chodzi o cudowne uleczenie — dodałem.

Program szedł w godzinach największej oglądalności i miał dużą siłę oddziaływania. Razem z Carol Marin z Kanału 5 siedziała Mary Elizabeth Quinlan, jej córka Nancy Quinlan Epstein, mąż Nancy, doktor medycyny, Noah Epstein, ich mały synek, Brendan, i monsignore Leonard Carey, sekretarz zmarłego kardynała. Młody Brendan chorował na retinoblastomę — bardzo agresywną odmianę raka siatkówki oka. Nie znano żadnego wypadku cofnięcia się tej rzadkiej odmiany raka. Żadnego—do czasu choroby młodego Brendana. Jego wyleczenie przypisywano działaniu krzyżyka zmarłego kardynała, który trzymał w ręku tuż przed swoją śmiercią. Był to pomysł Nancy. Nie mogła pogodzić się z myślą, że jej syn jest śmiertelnie chory i gdy medycyna zawiodła, postanowiła zrobić wszystko, aby tylko zwalczyć chorobę. Mary Elizabeth niechętnie uczestniczyła w tym programie. Zachowywała się z rezerwą. Z czwórki dorosłych, zebranych przed kamerami, ona była najmniej przekonana, że naprawdę wydarzył się cud. Jednak jej córka głęboko w to wierzyła. Uwierzył nawet Noah Epstein, zdeklarowany ateista.

Dwie kobiety położyły krzyżyk zmarłego kardynała na oku małego Brenda. Kiedy po mniej więcej tygodniu zauważono zmianę na lepsze, obie nadal upierały się, aby kłaść krzyżyk. Po upływie dziesięciu dni było widać wyraźną poprawę; rak całkowicie ustąpił. Zniknął bez śladu. Specjaliści, razem z Epsteinem, byli oszołomieni, choć Noah odczuwał raczej wdzięczność niż zdumienie. W kilka tygodni po stwierdzeniu uleczenia Brendan ciągle tryskał zdrowiem. Przez cały program kręcił się niespokojnie.

— Najgorsze jest to, że obiektem tego rzekomego cudu jest wnuk kobiety, która przez większość życia była bliską przyjaciółką zmarłego— kontynuowałem, mając nadzieję, że ostatecznie skończą się uniki i kardynał wreszcie wyjaśni mi, czego ode mnie chce.

— Co masz na myśli, mówiąc „bliską”, Laurence? — Jego brązowe i, jeśli to można tak określić, rozmarzone oczy, stały się smutne, co zawsze wykorzystywał jako swój atut.

— Nie wierzę, że Skaczący Johnny kiedykolwiek spał z Mary Elizabeth Reilly Quinlan, jeżeli to miałeś na myśli. Ale tym gorzej dla niego.

Skrzywił się na moją szczerość.

— Umarł w jej ramionach.

— To lepsze niż w ramionach męskiego kochanka czy chłopca.

— Tak, istotnie.

— Zgodnie z tym, co mówili świadkowie, wyszeptał: „Boże, jak ja cię kocham”. Cały problem polega na tym, że nie wiemy, czy myślał o niej, czy o Bogu.

— Przypuszczalnie i o niej, i o Bogu. — Kardynał odwrócił się ode mnie.

Miał zwyczaj przerywać tok myśli tego rodzaju komentarzami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy pod maską karierowicza, przemądrzałego kościelnego polityka, nie kryje się jednak serce, zdolne przyznać, że ludzkie namiętności są objawieniem namiętności boskich.

— To przekonujące — przyznałem.

— Ta kobieta ma pięcioro lub sześcioro dzieci? — Kardynał spojrzał na mnie badawczo.

— Tak.—Zacząłem liczyć na palcach. — Beth urodziła się w 1956. Potem, zgodnie z dobrym, katolickim obyczajem, miała dwóch synów: Petera, który teraz kieruje spółką, i Anthony'ego Juniora, prawnika, potem w 1965 przyszła na świat Nancy. A dopiero w 1980 urodziła się Karolina.

— Czy to Nancy była z nim, gdy umarł?

— Tak.

— I to jej syn został rzekomo uleczony dotknięciem pektorału?

— Tak.

— Niektórzy mówią, że to wnuk mego poprzednika.

— Bzdura.

— Żeby mogło tak być... — mówił ostrożnie kardynał — ówczesny monsignore John McGlynn musiałby wrócić z placówki w Afryce do Chicago mniej więcej dziewięć miesięcy przed narodzeniem dziecka.

— Zwykle tak to bywa... a wrócił?

— O ile wiem, nie.

— Wobec tego wszystko jasne, prawda?

— Laurence... — znowu wyciągnął ramiona — ...jeśli chodzi o tę sprawę, znajduję się pod wielką presją.

Moje prawdziwe imię, od dnia w którym matka przyniosła mnie do domu ze szpitala Małych Towarzyszy Maryi, brzmi „Lar”. Kardynał wiedział, że nie lubię, jak się do mnie mówi „Larry”, a uważał, że „Lar” brzmi zbyt poufale.

— Rozumiem, Wasza Eminencjo. Po jednej stronie masz dewotów swojego poprzednika i chicagowskie media, a po drugiej Watykan.

— Niemniej... — potrząsnął głową — ...on umarł śmiercią męczeńską.

— Stał na drodze kuli. Nie wiadomo, czy to była kula sandinistów czy kontrastów—tego nikt nie wie—znalazł się w miejscu, w którym w ogóle nie powinien się znajdować, i uczestniczył w walce, która absolutnie go nie obchodziła.

—Nie lubiłeś go zbyt, Laurence?

— Skaczący Johnny był jednym z największych dupków w zachodnim świecie. Bogaty, zepsuty bachor z River Forest¹, a w dodatku kibicował drużynie baseballowej „Cub”².

Trochę przesadziłem, chociaż wierzę, że kibicom drużyny Cubów niełatwo będzie się zbawić — co prawda, jeśli chodzi o Pana Boga, wszystko jest możliwe.

— Jego pisma religijne głęboko poruszają.—Kardynał wyliczał argumenty na korzyść teorii że John McGlynn był święty.

— Konwencjonalna pobożność, a poza tym radosna freudowska paplanina.

— Prezentował ortodoksyjną teorię, a jednocześnie skłaniał się ku ludzkim potrzebom.

— Dopóki nie odkrył teologii wyzwolenia. Szkoda, że nie dożył, aby zobaczyć, jak pada mur berliński. Ale prawdopodobnie i tak znalazłby sobie jakąś inną pasję. Może odkryłby Jamesa Madisona.

—Ludzie go szanowali.

—Dbał o środki masowego przekazu.

— Nigdy nie kwestionowano jego lojalności wobec Stolicy Apostolskiej...

—Jednak ciągle jeszcze jest Mary Elizabeth.

—Istotnie... Znasz ją, Laurence?

¹ * Dzielnica bogaczy w Chicago (przyp. tłum.).

² * Znana drużyna „Szczeniaków” (przyp. tłum.).

— Marbeth? Oczywiście, że ją znam. Jest oszałamiająca, prawda? Jeśli się nie mylę, to nie istnieje prawo zabraniające kobiecie pięćdziesięcioletniej posiadania seksapilu?

— Nie jestem pewien... — uśmiechnął się słabo —...czy Stolica Apostolska całkowicie zgadzałaby się z tobą. Ale chyba dostrzegasz w tym problem?

— We wszystkich gazetach jej zdjęcia znajdują się zawsze obok jego. Również w telewizji. Łącznie z wcześniejszymi migawkami, kiedy biegali w strojach kąpielowych. Stolica Apostolska nie lubi, jak kardynałowie, a szczególnie kardynałowie męczennicy, biegają w kąpielówkach z rozneglizowanymi kobietami.

—Godne ubolewania—westchnął.

—Marbeth nie należy do kobiet powściągliwych.

— Opowiedz mi o tym. — Uśmiechnął się, niemal zadowolony.

Marbeth miała magiczny wpływ, nawet na kardynałów, których sympatie do kobiet wydawały się być co najmniej ograniczone.

— Istnieje jeszcze problem przetrzymania pieniędzy z Banku Watykańskiego do Polski, celem finansowania Solidarności, w każdym razie pisał o tym jakiś Brytyjczyk.

— Nie sądzę, aby to robił. — Kardynał zmarszczył brwi. — Rzym temu zaprzecza.

— Takie zaprzeczenie nie warte jest funta kłaków. Krążą też plotki, że użył pieniędzy Zarządu Cmentarzy Katolickich, aby spłacić dług brata.

— Jeżeli to zrobił, to i tak pieniądze zwrócono. Nie ma śladu deficytu... Tego rodzaju plotki krążą bardzo często, ale prawie nigdy nie są prawdziwe.

—Mogłyby być kłopotliwe podczas procesu kanonizacyjnego.

—Zdecydowanie.

— Watykan pragnie powstrzymać szerzenie się kultu twego zmarłego poprzednika i nie uwierzy, gdy powiesz, że nie możesz w tej sprawie nic więcej zrobić, podobnie jak nie możesz powstrzymać chicagowskich katolików, aby nie stosowali środków antykoncepcyjnych.

—Wierzysz w cuda, Laurence?

—Nie bardzo.

—A w świętych?

— Oczywiście, przecież jestem katolikiem. My wierzymy w świętych — w opowieści o boskim miłosierdziu w odpowiedź wiernych*³. Ale nie wierzę w kanonizacje.

— Jak sądzisz, czy John kardynał McGlynn był święty?

— Do licha, nie.

— Znałem go, oczywiście. — Kardynał zamknął oczy. — Jednak niezbyt dobrze. Nikt nie znał go dobrze. Przypuszczam, że nawet pani Quinlan. Współpracowałem z nim w różnych komitetach. On był... no, kimś, kto robi wrażenie. De mortuis nihil nisi bonum*⁴, ale często był... no, mógłbym powiedzieć, że był...

— ...twardym sukinsynem? Machnął słabo ręką.

— ...że był trudny. Tego słowa chciałem użyć.

Nadal zastanawiałem się, co to wszystko ma wspólnego ze mną. Znałem Johnny'ego McGlynn'a z seminarium, chociaż był starszy ode mnie o sześć lat. Nie przyjaźniliśmy się. Przeciwnie, kiedy został biskupem, nasze kontakty, mówiąc oględnie, stały się luźne. Może byłem zbyt podobny do niego, chociaż on kibicował Cubom i był synem milionera, a ja synem gliniarza i kibicowałem Soxom *⁵. Nie było tajemnicą, że nie przepadaliśmy za sobą.

Muszę mu oddać, że nigdy nie wtrącał się do moich spraw, tak jak robiliby to inni biskupi, gdyby jednym z ich podwładnych był tak uparty i wygadany ksiądz jak ja.

— Nie poprosiłeś mnie tu tylko po to, aby spytać, czy uważam, że Johnny McGlynn powinien zostać kanonizowany— stwierdziłem.

— Kanonizowano tylko jedenastu kardynałów. — Nalał mi herbaty.

— Ryzyko zawodowe. Kardynał roześmiał się *szczerze*.

— Stolica Apostolska... — podniósł do ust szklanę wody z lodem i ryknął, jakby smakował drogie wino — ...pragnie kanonizować nowych świętych.

³ * Nawiązanie do „responsorium”—wyrażenie brewiarzowe składające się z dwóch zdań, z których pierwsze odmawia lub śpiewa kapłan, a drugie — reszta kleru, w tym przypadku chodzi o reakcje ludzi świeckich (przyp. tłum.).

⁴ * O umarłych nie mówi się źle (łac.).

⁵ * Również znany klub baseballowy „Skarpety” (przyp. tłum.).

— W ciągu minionego dziesięciolecia było ich więcej niż kiedykolwiek — zauważyłem.

— Szczególnie z Trzeciego Świata i spośród osób świeckich, nawet ludzi pozostających w związkach małżeńskich.

— O ile nie uprawiali zbyt często seksu albo zbytnio się nim nie cieszyli.

— Stolica Apostolska nie chce kanonizować kardynałów— oświadczył.

— Szczególnie wtedy, gdy za życia mieli przyjaciółki, które są piękne i ciągle jeszcze żyją.

— Szczególnie wtedy — wyszeptał miękko — gdy w Rzymie krążą plotki, że ten chory chłopiec mógł być wnukiem kardynała McGlynnna.

Słyszałem o tym, ale byłem zaskoczony, że tego rodzaju opowieści zawędrowały aż do Rzymu.

— Jak wiesz, zgodnie z reformą procesu kanonizacyjnego, która miała miejsce w roku 1983, miejscowy biskup sprawuje *de facto* kontrolę nad rekomendacją do rozpoczęcia takiego procesu — kontynuował.

Nie wiedziałem. Ale było mi to obojętne. Moja teoria świętości polega na tym, że patrzę na rzymskie procesy kanonizacyjne jak na coś, co nie ma znaczenia, a często jak na coś, co jest po prostu śmieszne.

— Ale to właśnie oni udaremniili wysiłki twojego przyjaciela z Nowego Jorku, który chciał kanonizować swego poprzednika — zauważyłem.

— W tamtym przypadku nie stwierdzono cudów... Stolica Apostolska chce, abym zarządził śledztwo, które ma prowadzić bardzo roztropny i odpowiedzialny ksiądz, który nie będzie wierzył, że mój przyjaciel był święty.

To było powiedziane pod moim adresem.

— Nie! — Jednym łykiem opróżniłem kubek.

— Laurence, proszę! — Znowu nalał mi herbaty jednym z tych swoich najuprzejmiejszych gestów. — Znajduję się obecnie pod ogromną presją.

— Do diabła, Steve! Przecież wiesz, że nie jestem ani roztropny, ani odpowiedzialny! I nigdy w życiu za takiego mnie nie uważano!

Kardynał wyszczerzył radośnie zęby, zadowolony, że chociaż raz ma nade mną przewagę.

— Ale Stolica Apostolska o tym nie wie.

— Nie mam czasu.

— Ksiądz Keenan, twój wikariusz, świetnie poradzi sobie z parafią, gdy ty będziesz zajmował się tą sprawą, która jako nieoficjalna oczywiście musi pozostać tajemnicą. Jestem pewien, że to rozumiesz.

Tak, naturalnie... mam wszędzie łązić, grzebiąc się w gruzach życia Johna kardynała McGlynn, a w dodatku trzymać wszystko w tajemnicy. Miał jednak rację, jeśli chodzi o mego noeprezbitera. On mógłby jednym palcem zarządzać nawet całą archidiecezją — i jeszcze znaleźć czas, by każdego popołudnia rozegrać mecz tenisa.

— Ja go nie lubiłem.

— Wiem. Dlatego chcę, abyś to ty przeprowadził śledztwo. Przyznaj... — był teraz na wierzchu i wiedział o tym — ...Laurence, że jednak pobudziłem twoją ciekawość.

— Nie zaliczam się do tych pieprzonych podglądaczy!

— Pewnego dnia wrócisz tu do mnie — uśmiechnął się dobrotliwie — i powiesz, że znalazłeś przyczyny, które uniemożliwiają zgłoszenie Johna McGlynn jako sługi Bożego, co jak wiesz, jest pierwszym koniecznym stopniem procesu kanonizacyjnego.

— A ty będziesz trzymał w garści środki masowego przekazu i Watykan w szachu, mówiąc, że śledztwo jest w toku i archidiecezja na razie niczego nie może skomentować.

— Zgadza się, potwierdził.

— Ale dlaczego właśnie ja? Rozpostarł ręce.

— Czy to nie oczywiste? Tylko kilku księży w tej archidiecezji nie lubiło go bardziej niż ty... A poza tym mówi się, że obaj byliście tak bardzo do siebie podobni... hm... z temperamentu.

— Bzdura!

— W dodatku nie ma nikogo, poza tobą, kto nie lubiąc go, jednocześnie byłby na tyle uczciwy, by powiedzieć mi, że mój skomplikowany i nieprzenikniony poprzednik będzie jednak mógł zostać świętym.

— Niemożliwe!

— Właśnie chcę, żebyś to ustalił. W każdej chwili mogę dać ci do pomocy tylu ludzi, ilu tylko zechcesz.

— Nie mam zamiaru być adwokatem diabła w procesie Johnny'ego McGlynnna.

— Jak wiesz, reforma z roku 1983 zniosła tę funkcję.

— Ale ty chcesz, abym nim był.

— Lar. — Mówił teraz bardzo spokojnie. — Może to cię zaskoczy... w istocie wielu by to zaskoczyło... ale w sprawie mojego poprzednika naprawdę chciałbym poznać prawdę, bez względu na to, jaka by ona nie była, i nawet wtedy, jeśli miałoby to coś wspólnego z polityką.

Tak, to mnie do pewnego stopnia zaskoczyło. Kardynała interesowała prawda? Wstał, wyciągnął do mnie rękę, wiedział, że mnie złapał. Ciekawość, co? Czy to nie ona przypadkiem jest pierwszym krokiem do piekła?

— Prawda, cała prawda, albo przynajmniej tyle prawdy, ile będziesz mi w stanie podać.

— Po co ci to?—dopytywałem się, ciągle jeszcze próbując jakoś się z tego wywinąć, chociaż bez poprzedniego zapału.

— Do diabła, Lar. On siedział przy tym biurku. Mieszkał w moim domu. Spał w moim łóżku...

— Razem lub bez Marbeth...

— Odprawiał msze w mojej kaplicy, kierował moimi księżmi, a także tym, co w swej głupocie nazywam „moją archidiecezją”. Chcę wiedzieć, czy on czyni cuda.

— Dlaczego? — upierałem się.

— Jesteśmy jedynym kościołem, który ma cuda i świętych. Jeżeli w tym biurze przebywał prawdziwy święty, to może jednak mamy przed sobą jakąś przyszłość.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli Skaczący Johnny czyni z nieba cuda, wówczas udział świeckiego Kościoła może stać się mniej istotny?

— Coś w tym sensie. — Znowu potrząsnął moją ręką. — Proszę jednak, żebyś mnie nie cytował.

Zatrzymał mnie, gdy już wychodziłem.

— Czy rzeczywiście myślisz, że on naprawdę... hm... uprawiał miłość w kardynalskiej sypialni?

— Wątpię, aby kiedykolwiek się z nią kochał. A jeśli już do tego doszło, to mam nadzieję, że tylko jeden raz.

Nie wydawało się, żeby to go zmartwiło.

— Ona jest bardzo pobożną kobietą — powiedział stanowczo, ważąc cnoty i błędy Marbeth.

— Strzeżcie się pobożnych kobiet, Wasza Eminencjo; prawdziwa namiętność może objawiać się pod różnymi postaciami.

— Słyszałem o tym. Gdy była młodsza, może wtedy... hm... bardziej ją to bawiło.

Wzruszyłem tylko ramionami.

— A teraz pozwól, że upewnię się, czy dobrze zrozumiałem wszystkie polecenia. Mam stwierdzić, czy istnieją jakiegokolwiek podstawy uniemożliwiające potencjalną kanonizację Johnny'ego McGlynn'a. A szczególnie... — zacząłem na palcach wyliczać zarzuty — w pierwszym rzędzie mam sprawdzić plotki, czy wykorzystał kościelne pieniądze, aby pomóc bratu w kłopotach finansowych na giełdzie, czy przemycał skradzione pieniądze do Polski, aby pomóc Solidarności, oraz jakie łączyły go stosunki z panią Quinlan.

— I jeszcze — dodał kardynał możliwość użycia pieniędzy jego matki do otrzymania awansów w hierarchii kościelnej. Jak wiesz, obecnie nie wolno kupować stanowisk kościelnych...

— Jednak można przekazywać datki na cele dobroczynne?

Wzruszył bezradnie ramionami.

— Wiemy, że tak się dzieje.

— I w tych wszystkich sprawach mam zachować najdalej idącą dyskrecję? A szczególnie w przypadku pani Quinlan?

Wzdrygnął się.

— Czytałeś, jak wyraziła się o papieżu, gdy nie przyjechał na pogrzeb mojego poprzednika?

— Że jest kołtunem?

— To był eufemizm, jakiego użyły środki przekazu. — I znowu wzdrygnął się.

— A co będzie, jeśli w czasie śledztwa zakocham się w Marbeth? — zapytałem, gdy otwierał mi drzwi.

— A jest to możliwe?

— To cudowna i fascynująca kobieta.

— W twoim wieku?

— Byłeś kiedy zakochany, Steve? Zawahał się.

— Poważnie, nie.

— To może się przydarzyć w każdym wieku.

— Ale... — uśmiechnął się wesoło—jest mało prawdopodobne, abyś kiedykolwiek kandydował na świętego, prawda?

2

Po wyjściu z biura kardynała przypomniałem sobie, jak poznałem Mary Elizabeth Annę Reilly w parku miasteczka Watersmeet, w stanie Michigan. Watersmeet to mała, letniskowa miejscowość o charakterze miejsko-wiejskim, położona w pobliżu jeziora Clearwater, dokąd w sierpniu zabierano seminarzystów z Mundelein na dwa tygodnie wakacji, wywożąc ich z ceglanego, georgiańskiego budynku leżącego na północ od Chicago, gdzie uczono ich przez siedem lat, jak służyć świeckim katolikom.

W tamtych, prawie już zapomnianych dniach, Kościół obawiał się o bezpieczeństwo tych, którzy mieli zostać księżmi, i zanim otrzymali święcenia, chronił ich przed światem zewnętrznym. Po krótkim pobycie w domu jechaliśmy na urlop do Clearwater, gdzie, jak sądzono, byliśmy odpowiednio odseparowani od

ludzi świeckich, a szczególnie od kobiet. Wziąwszy pod uwagę, że właśnie tam spotkałem Marbeth, widać, iż zabezpieczenie i tak nie było skuteczne.

Oboje przyglądaliśmy się Johnny'emu, jak rzucał silne i szybkie piłki odbijającymemu graczowi z Watersmeet.

Po raz pierwszy spotkałem Johnny'ego McGlynn'a osiemnaście miesięcy wcześniej, gdy byłem jeszcze w seminarium Quigley. W okresie świąt Bożego Narodzenia w naszej sali gimnastycznej spotykaliśmy się ze studentami Mundelein na dorocznym meczu koszykówki. Zanim nas skonfrontowano, Johnny i ja słyszeliśmy już o sobie. Zapewne opisano mnie jako dużego chłopaka z 79. Ulicy, który ma świetny rzut z haka. Jego natomiast opisano jako prymusa chicagowskiego seminarium, pierwszego seminarzystę, którego wyślą na studia do Rzymu i który z pewnością zostanie biskupem. Miał najwyższą średnią w trzydziestosiedmioletnich dziejach Quigley, był dzieckiem bogaczy z River Forest, a na boisku koszykówki najlepszym środkowym napastnikiem.

Trenując przed meczem, zauważyłem, że jestem wyższy od niego, on miał jednak masywną budowę i ważył chyba z dwadzieścia funtów więcej. Poza tym ruszał się z wdziękiem, a ja ciągle jeszcze byłem niezgrabny.

Stojąc pośród dwudziestu kilku ćwiczących, Johnny wyraźnie się wyróżniał, nie tylko dlatego, że był wysoki, miał gęste, falujące, czarne włosy, jasną cerę Irlandczyka i dołek w brodzie, ale także dlatego, że doprawdy prezentował się wspaniale. Wspominając teraz przeszłość, uświadomiłem sobie, że rzucał się w oczy jak człowiek, który wie, kim jest, co potrafi i nie krępuje się promieniować dookoła swą osobowością i zaletami. Był pewien siebie i miał podobną charyzmę, jak młody Jack Kennedy. Obezwładniał uśmiechem, chociaż ja zęby zjadłem, uodporniając się na tego rodzaju rzeczy.

Tego dnia przyrzekłem sobie, że bez względu na wszystko, nie pozwolę mu zdobyć punktu.

Przed rozpoczęciem meczu podaliśmy sobie kordialnie ręce.

— Życzę szczęścia, chłopcze—uśmiechnął się do mnie.

— Odpierdol się — odpowiedziałem.

W ciągu pierwszych pięciu minut gry zdałem sobie sprawę, że to ja prawdopodobnie nie zdobędę punktu. Johnny był za szybki, za wysoko skakał, abym miał jakąkolwiek szansę. Przy moich pierwszych dwóch próbach zgarnął mi pił-

kę i przerzucił wzdłuż boiska do jednego ze swoich napastników, który wbił dwa szybkie kosze.

W porządku, mruknałem do siebie, jeżeli ja nie zdobędą punktu, to i ty go nie zdobędziesz. Ale jego szybkość spowodowała, że to zakłęcie pozostało tylko na papierze. Nie mógł strzelać ponad moją głowę, ale mógł mnie okrążyć. Dwa razy minął mnie tak, jakbym stał przykuty do podłogi. Moją odpowiedzią było bliskie krycie—tak jak Charles Barkley kryje Michaela Jordana — chociaż w latach pięćdziesiątych nie graliśmy jeszcze metodą „siłowej” obrony NBA.

Jednak ja tak grałem.

— McAuliffe popycha. — Ksiądz pełniący funkcje sędziego zagwizdał, potem odwrócił się na palcach i pociągnął łańcuch, otwierając górne okna w sali — co było standardowo praktykowane, gdy zaczynała go niepokoić zbyt brutalna gra.

Na widowni rozległy się śmiechy.

—Kto? Ja?—zaprotestowałem. Znowu śmiechy.

Nawet Skaczący Johnny, którego właśnie sprowadziłem do parteru, też się zaśmiał.

Byłem głęboko przekonany, że teraz zerwie się i da mi popalić. Przynajmniej ja bym tak zrobił. Zrobiłaby to większość z nas. Tylko że Johnny był na to zbyt bezczelny i zbyt opanowany. Pozwalał, żebym go pchał, ale sam tego nie robił. Co jest z tym facetem? Zastanawiałem się.

Niemniej nie zdobył kosza aż do chwili, gdy popełniłem błąd. Sędzia wyłapywał może jedno na osiem moich przewinień, w końcu jednak zszedłem z boiska. Schodząc, usłyszałem słabe brawa. Johnny podał mi rękę. Wtedy usłyszałem głośniejsze brawa.

Kiedy siedziałem na ławce, zdobył już tylko dwa kosze. Sądzę, że chyba go zmęczyłem. Tak więc Quigley wygrało pięcioma punktami. I ja też wygrałem. Spowolniłem — o ile nie zastopowałem—tego najlepszego środkowego w historii Quigley.

Jednak prawdziwym zwycięzcą był Skaczący Johnny. Schodząc w ostatnich dwudziestu sekundach z boiska, otrzymał owację na stojąco. Jego wdzięk, czar i uśmiech zatriumfowały nad łobuzerstwem chłopca z św. Sabiny.

Pod prysznicem podszedł do mnie, przystojny i pewien siebie w swej nagości.

— Wspaniała gra, chłopcze—wyciągnął do mnie rękę. — Cieszę się, że w przyszłym roku nie będę twoim przeciwnikiem. (Zgodnie z tradycją tylko dwa pierwsze roczniki seminarium Mundelein brały udział w meczach.)

Odwróciłem się, niezupełnie pewien mego ciała.

—Odpieprz się.

Roześmiał się i poszedł do szatni. Ale zanim odszedł, uchwyciłem w jego oczach coś, co mnie zdumiało. Ukazał się w nich jakiś krótki błysk bólu.

A więc Johnny McGlynn był jednak wrażliwym sukinsynem... niemniej był sukinsynem.

Rok później miałem o nim taką samą opinię: był pusty, powierzchowny, pokrywał brak powagi i dyscypliny osobistym urokiem, dowcipem i bogactwem.

Siedząc na ławce, obserwowałem jego szybkie piłki — były bardziej siłowe niż techniczne. Wiedziałem, że był i zawsze będzie sztuczny.

— Dupek —zamruczałem przez zaciśnięte zęby.

— To pan jest tym facetem, który przygadał mu wczoraj?— odezwał się obok mnie kobiecy głos.

Należał do najpiękniejszej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widziałem. Była wysoka, smukła, brązowooka, z długimi, brązowymi włosami, o idealnej cerze — piękność, która mogła prześladować mężczyznę w snach do końca życia. Miała na sobie białą bluzkę, beżowe spodnie oraz odpowiednio stonowany sweter, luźno zarzucony na ramiona, i wstążkę spinającą włosy. Nie miałem pojęcia, jakich używała perfum poza tym, że odpowiednio korespondowały z unoszącym się w powietrzu zapachem sosnowych igieł.

Później dowiedziałem się, że rodziny Marbeth i Johnny'ego mieszkały w pobliżu siebie i że Marbeth dorastała jako najlepsza przyjaciółka młodszej siostry Johnn'ego, Kate. Chyba rzeczywiście była to wola boska, że znaleźliśmy się razem tego lata, ponieważ Johnny nie był już oficjalnie seminarzystą. Jako obiecujący młody człowiek został wysłany do Północnoamerykańskiego Kolegium w Rzymie, do kampusu (w owych dniach) przeznaczonego dla przyszłych bisku-

pów. Na lato przyjechał z Europy do domu — zgodnie z życzeniem matki, ale wbrew życzeniom rektora Północnoamerykańskiego Kolegium, aby „mieć kontakt” ze swymi kolegami z Mundelein. Ja byłem doradcą na obozie św. Jerzego, po drugiej stronie jeziora — kiedyś był to obóz dla dzieci ludzi bogatych, teraz gromadził dzieci z ośrodka dla dzieci z rozbitych rodzin.

To była moja wolna niedziela; złapałem okazję i dotarłem tam jedną z odkrytych ciężarówek, którymi seminarzyści jeździli na mecze.

Johnny'ego zmuszono, aby rzucał piłki na meczu w Watersmeet — najważniejszego w sezonie — ponieważ w ciągu minionych dziesięciu lat cieszył się opinią najlepszego gracza w tej specjalności. Chciałem na niego popatrzeć, bowiem wyobrażałem sobie, że jestem od niego lepszy i będę najlepiej rzucał jeszcze przez następne dziesięć lat.

Naturalnie Johnny nie jechał razem z nami ciężarówką, ale przyjechał rodzinnym cadillakiem, z matką i siostrą, i jak się okazało, z „najlepszą przyjaciółką” siostry. Cordelia McGlynn, apodyktyczna matka Johnny'ego, wyraziła zgodę na spotkanie z ludźmi niższej klasy — z seminarzystami nie przeznaczonymi do hierarchii — pod warunkiem, że ona i reszta rodziny zajmą jeden z najkosztowniejszych domów w Eagle River, położony na okazałym terenie rekreacyjnym, zarezerwowanym dla nowobogackich Irlandczyków. Doktor, jak zawsze nazywano ojca Johnny'ego, nie mógł oczywiście dołączyć do rodziny w North Woods. Niewątpliwie, w czasie jego nieobecności, na obszarze miasta Chicago praktyka medyczna kompletnie by zamarła, a przynajmniej można to było wywnioskować z zachowania McGlynnów.

W pytaniu Marbeth nie było cienia wrogości, jedynie szczere zaciekawienie.

— Chciał, żeby pan łapał dla niego piłki podczas rozgrzewki?

— No, tak.

— A pan odmówił?

Nie chciało mi się śmiać. Jak ona, zastanawiałem się, wygląda w kostiumie kąpielowym? W owych czasach jedynie tak daleko odważyłem się puszczać wodze fantazji seminarzysty.

— Tak.

— Co mu pan powiedział?

Byłem tak oszołomiony tą zdumiewającą młodą kobietą, że nie mogłem powiedzieć nic innego, tylko prawdę.

— Powiedziałem mu, że nie jestem jego giermkim i że powinien się ode mnie odpieprzyć.

Uśmiechnęła się słabo.

— Kiedy tu jechaliśmy, cytował pana, używając uprzejmiejszych słów. Czy pan wie, że on pana lubi? Powiedział, że gdyby pan tak bardzo nie zwalczał jezuitów, z łatwością dostałby się pan do Północnoamerykańskiego Kolegium.

— Nie chcę zostać biskupem.

— Nazywam się Mary Elizabeth Anne Reilly.

— Pogratulować.

— O co chodzi?

— Każda irlandzka katoliczka ma przynajmniej jedno z tych imion. Pani ma wszystkie trzy.

Znowu uśmiechnęła się, ale nadal bardzo słabo.

— A pan ma na imię Laurence, z „u”⁶, O'Toole McAuliffe. Imponujące.

— Męczennik, arcybiskup Dublina.

— Wiem.

— A jak na panią wołają?

Zawahała się.

— Marbeth. Tak nazywali mnie bracia, gdy byłam dzieckiem.

— Wolę Mary Elizabeth.

— Ja też.

I w ten sposób, kiedy spotykaliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą, pozostała na zawsze już Mary Elizabeth —jednak nie spotykaliśmy się wystarczająco często w ciągu czterech dekad... Tak, nie wystarczająco często.

Wymieniliśmy podstawowe informacje. Jej ojciec był prawnikiem; rodzina mieszkała przy Lathrop w River Forest, dwa domy od posiadłości klanu McGlynnów. Maturę zdała w Trinity i jesienią pójdzie do Manhattanville.

River Forest, Trinity, Manhattanville — w 1952 roku oznaczało to dla mnie arystokrację. Podczas naszej rozmowy czułem, że twarz zaczyna mi płonąć. Nig-

⁶ * Zwykle imię to pisze się z „w” — Lawrence (przyp. tłum.).

dy przedtem nie siedziałem tak blisko arystokratki. Zdawała się być dla mnie stworzeniem jakiegoś innego rodzaju, całkowicie odmiennym od tych młodych kobiet, z którymi chodziłem do św. Sabiny i które teraz zamierzały zostać pielęgniarkami albo nauczycielkami w szkołach podstawowych. Ona nie należała do mojego świata, należała do świata Johnny'ego McGlynnna.

Wspominając ten dzień, widzę teraz, że wtedy nie miałem pojęcia, jaka właściwie jest prawdziwa arystokratka. My, irlandzcy katolicy z Chicago, stworzyliśmy bogaczy, a w roku 1952 przybyło ich jeszcze więcej, ale nie wykreowaliśmy wielu arystokratów, takich jak rodzina Kennedych. Prawie dodałem: „Dzięki Bogu!” Arystokracja nas nie interesuje. W roku 1952, gdy skończyła się wreszcie wojna koreańska i Dwight Eisenhower przygotowywał się do pogrzebania Adlai Stevensona, ten fakt nie był dla mnie tak oczywisty.

Mary Elizabeth miała ze mną dużo więcej wspólnego aniżeli z większością bogatych Irlandczyków ze Wschodniego Wybrzeża, których wkrótce spotkała w Manhattanville. Podejrzewam, że podczas gdy ja o tym nie wiedziałem, ona już wówczas doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Tak więc, mimo zimnego powietrza okolic North Woods, miałem rozpaloną twarz i spocone ręce, rozmawiając z tą oszalamiającą, młodą kobietą ze świata — jak wtedy sądziłem — całkowicie odmiennego od mojego.

— Nie myli się pan co do niego. — Przerwała rozmowę o swoich planach nauki i uniosła wyżej stanowczy podbródek.

— Tak?

— Tak, on jest dupkiem.

To nie był język, do jakiego wówczas byłem przyzwyczajony u młodych kobiet, a szczególnie u domniemanych arystokratek. Poczulem, że twarz zaczyna mnie jeszcze bardziej palić.

— Słucham?

— On nie ma powołania — kiwnęła głową w kierunku Johnny'ego, który wrócił na boisko.

— Doprawdy?

— Ma je jego matka. — Jej pełne wargi zacisnęły się gniewnie. — Nie znoś jej. Myśli, że jest Panem Bogiem. Najstarszy syn musi być lekarzem, jak

Doktor — i nic mnie nie obchodzi, ile on ma forsy, to też skończony dupek. Drugi syn musi zostać księdzem, koniecznie biskupem, już ona mu to kupi! Zaś trzeci syn — politykiem. Wydaje jej się, że zrobi go gubernatorem stanu Illinois!

Ten wybuch był pierwszą oznaką tego, co z całą wyrazistością ujawniło się u niej w następnych latach. To spowodowało, że jeszcze bardziej ją polubiłem.

— Nie miałem okazji jej poznać — odpowiedziałem ostrożnie.

— Nic pan nie stracił. Kocham biedną Kate, ale podejrzewam, że i jej matka zrujnuje życie.

Cordelia McGlynn siedziała z córką kilka rzędów przed nami, obok biskupa pomocniczego. Córka była ładną, jakby rozmarzoną, młodą kobietą, natomiast matka pulchną, siwowłosą, hałaśliwą matroną. Okręciła biskupa wokół małego palca, tak jak to zrobiła z wszystkimi księżmi administrującymi Willą. Pani McGlynn najwyraźniej lubiła rządzić. Czego nie dostawała dzięki sile woli i nachalnemu urokowi, uzyskiwała, robiąc aluzje dotyczące datków finansowych. Jak potem się dowiedziałem, jeżeli tylko mogła, swoich obietnic nie wprowadzała w czyn.

Dziś określiłbym ją jako osobę wulgarną. Wtedy myślałem, że zachowuje się tak, jak przystoi bogatej i wpływowej matronie.

— Sądzi pani, że Johnny ma zrujnowane życie? — zapytałem zaskoczony.
— Przecież jest bogaty, przystojny, zdolny, popularny, jest najlepszym studentem w Północnoamerykańskim Kolegium, tak jak był nim w Mundelein. Z pewnością zostanie biskupem i prawdopodobnie kardynałem. Czego jeszcze mógłby chcieć?

— Ależ, Laurence O'Toole McAuliffe, pan powinien wiedzieć lepiej. Czy to wszystko uczyniłoby pana szczęśliwym?

— Nie — odparłem pospiesznie. Jej oczy błysnęły niebezpiecznie.

— Czy byłby pan szczęśliwy, gdyby wbrew pańskiej woli chciano z pana zrobić księdza, nawet wtedy jeśli nie wierzyłby pan w Boga?

Byłem zdumiony.

— Johnny nie wierzy w Boga?

— Stanowczo nie. — Zdjęła sweter z ramion i wciągnęła go przez głowę.

— Skąd pani wie?

— Po prostu wiem! — Odwróciła się tak, jakby nasza rozmowa była skończona.

Przypomniałem sobie, że jestem na meczu baseballa. Byliśmy właśnie w grze, jeden gracz na pierwszej, Johnny na głównej bazie⁷. Odbił szybką prawą piłkę w prostej jak strzała linii do lewego środka na polu Watersmeet. StMary — Watersmeet, pięć do trzech. Nasi kibice oszaleli, wszyscy, z wyjątkiem Mary Elizabeth Reilly, siedzącej przy mnie sztywno z kamienną twarzą, jak u żałobnicy czuwającej przy zwłokach.

— Pan chce zostać księdzem, Lar?—zapytała, widocznie przedtem dowiedziała się, jak mnie nazywano.

—Ma to pani jak w banku.

—Ale nie z woli pańskich rodziców?

—W żadnym wypadku... Coś podobnego może chyba zdarzać się gdzieś w Starym Świecie.

—Byłby pan zaskoczony — odparła gorzko.

Później, kiedy wielu z moich kolegów porzuciło kapłaństwo, najszybciej jak tylko mogli, zdałem sobie sprawę, że to ona miała rację, a ja się myliłem.

Zastanawiałem się, dlaczego zwróciła się z tym właśnie do mnie? Dlaczego mówiła mi to wszystko?

—Jeżeli Johnny nie chce zostać księdzem, powinien opuścić seminarium. Nigdy nie będzie szczęśliwy.

—To nie ma nic wspólnego ze szczęściem.

Jako ktoś, kto chciał zostać księdzem (i nadal chce nim być), nie zrozumiałem, o co jej chodzi. W jaki sposób ktoś może zostać księdzem, jeżeli tego nie chce?

—Przecież on nawet nie wierzy w Boga — powtórzyła.

—To wszystko jest tylko jakąś okropną grą.

—Mam nadzieję, że się pani myli.

⁷ * Główna baza—miejsce, gdzie zaczyna się grę i skąd odbija się pitki (przyp. tłum.).

—Mówi pan tak dlatego, że jest pan miłym chłopcem. Dotknęła mojej ręki. Myślałam, że padnę trupem pod wpływem dreszczu, jaki poraził mnie niczym prąd elektryczny.

— Dziękuję — mruknąłem, mając nadzieję, że rumieniec na mojej twarzy nie jest zbyt wyraźnie widoczny.

— Przykro mi, że zawracam panu głowę. Musiałam z kimś porozmawiać. Proszę mi obiecać, że nikomu pan tego nie powtórzy, dobrze?

— Oczywiście — odparł rycerz bez skazy.

— Dziękuję. — Uśmiechnęła się. Watersmeet, Upper Peninsula w stanie Michigan i większa część stanu Wisconsin zniknęły z powierzchni ziemi.

W ostatniej, siódmej partii gry, Watersmeet udało się cztery razy złapać Johnny'ego i pobili nas siedem do pięciu. Mimo przegranej z entuzjazmem oklaskiwaliśmy Johnny'ego, gdy potrząsał ręce przeciwników z Watersmeet. Zastanawiałem się, dlaczego, u diabła, tak wrzeszczymy? Dlaczego tak cieszymy się z przegranej?

— Szczęście, że przegraliśmy tak małą różnicą punktów — wyjaśnił mi ksiądz. — W tym roku nie mamy dobrych rzucających. Johnny był naprawdę świetny.

Marbeth wymknęła się i przyłączyła do McGlynnów.

— Jednak przegrał.

Ksiądz spojrzał na mnie, jakbym zwariował.

— Wygrać, to nie wszystko, Lar.

— Widocznie.

W ciągu trzech lat mojego rzucania piłkami w Willi, raz wygraliśmy z Watersmeet sześć zero. Nikt wtedy tak nie wrzeszczał na moją cześć, jak dzisiaj wrzeszczano na cześć Johnny'ego. Nauczyłem się więc, że lepiej z wdziękiem przegrać, niż wygrać z bezlitosną determinacją.

Jeśli jest się naprawdę sprytnym, można z wdziękiem wygrywać — tak właśnie robił przez całe życie Johnny.

Tego wieczoru po filmie (*Statek komediantów* w wersji z Howardem Kelem, Kathryn Grayson, Williamem Warfieldem i Avą Gardner) rodzina McGlynnów zafundowała mały poczęstunek — coś w rodzaju zaproszenia na lody — na werandzie służącej za centrum rekreacyjne. Było na tyle chłodno, że trzeba

było założyć sweter lub marynarkę. Księżyc odbijający się w gładkiej powierzchni jeziora Clearwater stwarzał coś w rodzaju romantycznego nastroju — przynajmniej dla takiego seminarzysty, który zdecydował, że Mary Elizabeth podobna jest do Avy Gardner. Aby to sprawdzić, nie spuszczałem z niej oczu przez cały wieczór.

Dobosz, jak nazywaliśmy jezuitę, który był dyrektorem Willi, podziękował rodzinie McGlynnów za lody i zaszczyt, jaki sprawili swoją obecnością, a Johnny'emu za to, że tak nisko przegraliśmy z Watersmeet. I znów wśród zebranych ozwały się wiwaty. Gdy Dobosz kazał wznosić okrzyki, krzyczeliśmy. A poza tym, lody są lodami.

Biskup pomocniczy powtórzył prawie dokładnie poprzednie słowa, dodając, że jest dumny, iż rzymianie z archidiecezji pozostaną zawsze częścią seminariów chicagowskich.

Znowu okrzyki aplauzu — do licha, może jutro wieczorem znowu będą lody?

Jak możecie się domyślać, mimo całej mojej antypatii do bogaczy, z przyjemnością jadłem ich lody. Chyba nie należy być zbyt pryncypialnym, prawda?

McGlynnowie i Mary Elizabeth stali na środku werandy, rozmawiając z biskupem i Doboszem, a także z niektórymi księżmi i kilkoma bliskimi przyjaciółmi Johnny'ego. Zdawało się, że wokół tej grupy rozchodzi się jakiś blask pewności siebie i odbijające się w łagodnym świetle księżyca promieniowanie, mające swe źródło w pieniądzu i władzy. Słuchaliśmy beztroskiego śmiechu ludzi, którzy wiedzą, że są utytułowanymi wybrańcami i mają pełne prawo być admirowani przez innych.

Czy oni naprawdę tak to czuli? A może — patrząc teraz wstecz — ja tak to odczuwałem, nie darząc ich sympatią?

Sądzę, że prawda leżała pośrodku — wszyscy mieliśmy rację. Oni czuli to w ten sposób, chociaż być może podświadomie. Ja natomiast nie lubiłem ich i nie wiedziałem, że tragedia jest tak samo możliwa w życiu tych jasnych i pięknych istot, jak i w życiu ludzi z 79. Ulicy.

—Rzuć tylko okiem na tę lalunię — za moimi plecami pojawił się jeden z moich przyjaciół-doradców. — Zobacz, jak go pożera wzrokiem.

—Jaką lalunię? — zapytałem, dokładnie wiedząc, o kim mówi.

— Tę w jasnobrązowym swetrze... Z tymi dużymi, wspaniałymi cyckami.

—Mary Elizabeth?

—Tak. To wstyd, że wpuścili kogoś takiego tutaj.

—To przyjaciółka Kate McGlynn.

—Grzeje się na Johnny'ego.

—Nie zauważyłem.

Ale to nieprawda, wszystko zauważyłem. Może powinienem opisać to mniej grubiańsko i nazwać zachwytem nastolatki, albo powiedzieć, że na jej twarzy widać było pragnienie, takie jak u dziecka, gdy chce lemoniady w upalny dzień.

—Tak. Ale to im uchodzi, bo są bogaci.

—Nie sądzę, Terry. To mili ludzie. Wszyscy ich lubią.

—Taaa... i ten aplauz po przegranym meczu. Wszystko to gra i udawanie. Robota Dobosza i biskupa, którzy chcą się przypochlebić McGlynnom.

— Ostatnio nie trenował... — broniłem Skaczącego Johnny'ego... i gdyby nie zgodził się rzucać dla nas piłek, to oni by nas roznieśli. W tym roku nie mamy dobrych graczy rzucających piłki.

—Może wyobrażasz sobie, że ciebie będziemy do tego potrzebować?

—Może — i odszedłem.

Terry nie zauważył tego, co ja — Johnny również gapił się na nią z cielecym zachwytem, robił to jednak tak szybko i ostrożnie, że tylko ktoś obserwujący ich tak bacznie jak ja mógł zauważyć wyraz malujący się na jego twarzy.

Oni są zakochani, pomyślałem, chociaż wtedy jeszcze nie bardzo rozumiałem, co to właściwie znaczy, niemniej wiedziałem, że panujące między Johnnym McGlynnem a Mary Elizabeth Reilly napięcie nie było jakimś tanim pożądaniem, jak to chciał widzieć Terry.

Okrażając jezioro, wróciłem tego wieczoru do obozu św. Jerzego. Po drodze krążyły mi po głowie jakieś beładne fantazje. Patrząc teraz wstecz, wydaje mi się, że chciałem również wychowywać się w River Forest — albo w Beverley, południowej części River Forest. Może i ja też chciałem mieć kogoś takiego jak Mary Elizabeth Annę Reilly, która byłaby moją przyjaciółką na całe życie.

Dziwnym trafem to ostatnie życzenie w nieoczekiwany sposób się zrealizowało.

Następnego dnia ślizgali się po jeziorze na nartach wodnych. Ten sport dopiero co dotarł do Stanów Zjednoczonych i tylko kilka osób z mego pokolenia próbowało go uprawiać. Na jeziorze Clearwater nie było dość silnych motorówek i żadnego ekwipunku. Johnny McGlynn wynajął motorówkę z silnikiem o mocy siedemdziesięciu koni i gdzieś zdobył narty z liną. Przez cały dzień, w asyście Kate i Mary Elizabeth, popisywał się przed kolegami i przyjaciółmi.

W Willi nie istniały specjalne przepisy, które by zabraniały osobom w dość skromnych, jak na tamte czasy, kostiumach kąpielowych—bez ramiączek — ślizgać się na nartach wodnych po jeziorze, a ponadto nie było też żadnych przepisów dotyczących samych nart wodnych. Tym sposobem Skaczący Johnny nie naruszył przepisów zabraniających przebywania kobietom na plaży, co mogłoby stworzyć okazję do grzechu.

Następnego lata nowe wydanie książki z przepisami dotyczącymi Willi obejmowało już zakaz obecności osób płci odmiennej w motorówkach holujących narty wodne.

Późnym popołudniem motorówka podплыnęła do plaży tuż przy obozie św. Jerzego, gdzie w tym momencie niczym specjalnie się nie zajmowałem, obserwując gromadkę bawiących się dzieci.

— Chcesz spróbować, Lar? — zawołał Johnny.

Czy chciałem?! Byłem jednak zbyt uparty, aby się do tego przyznać, i zbyt oszołomiony widokiem Mary Elizabeth w białym kostiumie kąpielowym.

Jednak jej obecność spowodowała, że opanowałem się i odpowiedziałem uprzejmie:

— Bardzo bym chciał, ale, niestety, muszę mieć na oku tych dzikusów. W każdym razie, dziękuję.

Johnny promieniał. Wreszcie udało mu się wydusić ze mnie uprzejmą odpowiedź. Prawdopodobnie nawet nie miał pojęcia dlaczego.

— Złapiemy cię później — krzyknął. — To duża przyjemność. — Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „Miałaś rację, Lar czasami potrafi zachowywać się przyjaźnie”. Ten jego wzrok, gdy patrzył na jej nagie ramiona i plecy, zmienił się przejściowo w wyraz jakiegoś żarłocznego głodu.

Kiedy odpływali, pokiwałem im ręką. Nie mogę go winić, powiedziałem sobie.

Tego wieczoru poszedłem na film, na jakiś western, którego tytułu już nie pamiętam. Była gorąca, wilgotna noc, jedna z tych rzadkich w North Woods.

Podczas małego poczęstunku, znowu fundowanego przez McGlynnów, podszła do mnie Mary Elizabeth. Była poważna, taka, jaką zawsze mi się wydawała. Pamiętam bardzo wyraźnie, tak jakby to było wczoraj, że miała na sobie bładoniebieską sukienkę bez rękawów.

— Jutro odjeżdżamy do domu, Laurence O'Toole McAuliffe. — Wyciągnęła rękę. — Miło mi było rozmawiać z panem.

— Mnie również, Mary Elizabeth Anne Reilly.

— Z czasem spokojniejsz... — kontynuowała, trzymając moją rękę —... i zostaniesz wspaniałym księdzem.

— O to nie założyłbym się — wykrztusiłem.

— Jestem tego całkowicie pewna, Lar. I pomodlisz się za mnie od czasu do czasu, dobrze?

— Oczywiście... a zatem pani wierzy w Boga?

To było głupie pytanie. Jej oczy przez moment błysnęły niebezpiecznie, a potem gniew zmienił się w rozbawienie i rzuciła mi krótki wybaczący uśmiech.

— O, tak... Ja w każdym razie wierzę w Boga.

„On nawet nie wierzy w Boga”, te słowa jakby wypaliły się w moim umyśle. Było mało prawdopodobne, żebym je kiedykolwiek zapomniał.

Piąte pytanie, jakie należy dodać do tych czterech pytań postawionych przez kardynała Steve'a, brzmiało: Czy Johnny McGlynn wierzył w Boga?

MARY ELIZABETH

TLR

3

— Mary Elizabeth? Tu Lar McAukffe.

— Spodziewałam się twojego telefonu — próbowałam mówić chłodno i niezobowiązująco.

— Czy wiesz, jakie mi powierzono zadanie?

Hilda, moja pokojówka, wyciągnęła mnie spod prysznica. Wieczorem wybierałam się na dobroczynne przyjęcie do Lyric Opera. Nie miałam czasu rozmawiać z Larem McAuliffem, mimo że z przyjemnością usłyszałam znowu jego głos.

— Słyszałam. — Krótki śmiech. — Mogę powiedzieć, że nawet mi się to podoba.

— Nie masz obowiązku ze mną współpracować. W istocie możesz odesłać mnie do diabła. Ale tak sobie pomyślałam, że mógłbym się z tobą zobaczyć i porozmawiać.

— Zawsze będzie miło mi, Lar.

— Nie mam zamiaru przeszkadzać ci i pchać się w twoje prywatne życie.

— Z przyjemnością ci pomogę, jeśli tylko będę mogła... Dzisiaj po południu wracam nad jezioro Geneva i zostanę tam do początku września. Może tam wpadniesz?

— Z chęcią.

— Powspominamy czasy spędzone w Willi, dobrze?

Ta beztroska, łobuzerska uwaga miała go rozdrażnić i odebrać pewność siebie — a to niezbyt łatwe zadanie. Pewnie zastanawiał się, ile mu powiem prawdy o zmarłym kardynale i o sobie. Prawdopodobnie liczył na to, że się wiele ode mnie dowie. Powiem mu więcej, niż się tego spodziewa — ale nie powiem mu wszystkiego.

To będzie bolesna rozmowa. Wróć powodzią wspomnienia o kardynale Johnie McGlynnie. Przez najbliższe tygodnie, gdy będę próbowała odnaleźć stra-

cony czas, tak dla siebie jak i dla Lara, i przenieść to wszystko na papier, minione czasy będą mnie prześladować w snach i na jawie.

Czy moje kontakty z Johnem McGlynnem miały jakiś sens? To tak, jakby zapytać, czy całe moje życie miało sens. Nigdy nie uwolnię się od wspomnień o nim. Nigdy.

4

W Johnie Arthurze McGlynnie zakochałam się w pochmurny jesienny dzień, na tydzień przed świętami Halloween w 1940 roku. Miałam wtedy pięć lat, a on dziesięć. Nigdy nie przestałam go kochać. Nigdy.

Tego popołudnia, przed świętem Halloween, bawiłam się razem z Kate dużym domkiem dla lalek, pod witrażowym oknem na podeście schodów w domu McGlynnów. Pamiętam, że wszędzie wokół nas były dynie*⁸, a blade, zamglone jesienne światło sprawiało, że ogromna klatka schodowa przypominała wnętrze katedry.

Miała się nami zajmować Delia, ale gdzieś się ulotniła, bawiłyśmy się wspólnie. O ile dobrze pamiętam, gramofon gdzieś grał *Białe urwiska Dover* i *Kiedy ostatni raz widziałem Paryż*.

— Co wy tu robicie? — na schody wbiegł John z książkami szkolnymi pod pachą.

— Bawimy się — odpowiedziałam szybko.

— Czym się bawicie? — Roześmiał się szeroko.

— Naszymi lalkami — odparła Kate.

— I domem lalek Kate — dodałam.

— A co te lalki robią? — zapytał tak, jakby naprawdę wierzył, że lalki mogą coś robić i że powinno go interesować, co one robią.

— Rozmawiają o swoich mężach — odparłam śmiało.

⁸ * W święto Halloween draży się dynie i zapala w nich świecezki (przyp.).

— Gdzie są ich mężowie?

— Wyszli. Są w pracy.

— Gdzie pracują?

Zamurowało nas. Nie pomyślałyśmy o tym, co mogą robić mężowie lalek, aby zarobić na życie, ani gdzie to robią.

— Nie powiem ci — odparłam myśląc szybko.

— Dlaczego?

— Bo jesteś chłopcem.

— Tak jak oni.

Była to niewątpliwa prawda i słaby punkt naszej zabawy, teraz określiłabym to jako brak wiarygodności. Musiałyśmy szybko coś wymyśleć.

— Mąż tej jest w wojsku — powiedziałam.

— A tej — zapiszczała Kate — jest lekarzem. Oczywiście.

John usiadł na podłodze przy domu lalek.

— Gdzie w wojsku?

I tak to dalej szło, zdawało mi się, że całymi godzinami. Przypuszczam jednak, że był tam najwyżej pięć minut. Ale był pierwszym starszym bratem, który zainteresował się światem małych siostrzyczek. Potraktował nas bardzo poważnie, zdawało się nawet, że nas lubi.

I miał takie ładne oczy... I taki kochany uśmiech.

— Poślubię twojego brata, Kate — oświadczyłam, gdy John odszedł.

— Nie możesz.

— Dlaczego?

— On zostanie księdzem. A księża się nie żenią.

— Dlaczego ma zostać księdzem?

Już wtedy poczułam się tak, jakby świat usuwał mi się spod nóg.

— Bo tak chce mama.

Obie, Kate i ja, byłyśmy w naszych rodzinach najmłodszymi, a w dodatku jedynymi córkami. Ja miałam trzech braci: Ignacego Loyolę, Franciszka Borgię i Alojzego Gonzagę (czy muszę dodawać, że moi rodzice z parafii Świętej Rodziny w Near West Side byli zwolennikami jezuitów?). Kate również miała trzech starszych braci: Michaela i Jima, no i właśnie Johna. Jej bracia byli w tym sa-

mym wieku co moi, i bardzo się ze sobą przyjaźnili, chociaż ich drogi rozeszły się, kiedy moi bracia zdali maturę u św. Jerzego, a jej w Fenwick.

Delia (albo rzadziej Cordelia), matka Kate, była w owym czasie piękną kobietą po trzydziestce; porywczą, czułą i zaskakującą. Doktor McGlynn, rzadko widywany ojciec, był dużo starszy od żony.

Moi rodzice pobrali się późno — Irlandczycy w tamtych czasach wierzyli w późne małżeństwa. Urodziłam się, gdy moja matka miała czterdzieści lat. Pewnie byłam niespodzianką, chcianą, nie zanedbywaną, ale często nawet nie zauważaną. Mój ojciec był prawnikiem i filarem Partii Demokratycznej. W domu był wielkoduszny, wesoły, gadatliwy i kochający. Ale rzadko go widywaliśmy, chociaż i tak częściej niż McGlynnowie Doktora.

Doktora widywałam sporadycznie. Chodził z palcami wetkniętymi w kieszonki kamizelki i pachniał szpitalem i salą operacyjną. Zmieszany mrugał oczami i bezmyślnie uśmiechał się do krążących po domu dzieci, jakby nie był pewien, które z nich są jego. Długie nieobecności Doktora oraz chwilowe mojego ojca powodowały, że nasze fantazje o domu lalek nie dotyczyły mężczyzn. Jedynymi mężczyznami w naszym życiu były jakieś nieokrzesane, brudne i hałaśliwe istoty w osobach starszych braci i głupkowatych rówieśników z naszej ulicy. A takich mężczyzn to my wcale nie chciałyśmy.

W każdym razie tak się czułam do chwili, gdy w moim życiu pojawił się mężczyzna moich marzeń, chłopiec, który doskonale pasował do moich fantazji, jak to zdawało mi się wówczas i jak wydaje mi się dzisiaj.

Dziewczynka, która przychodzi po gromadce braci, jest podziwiana i rozpieszczana, ale równocześnie musi poświęcić dużo czasu, aby ich dogonić. Przyjrzyjcie się czasem takim rodzicom — spacerującym w parku, idącym wzdłuż plaży, wychodzącym z teatru. Najpierw zobaczycie chłopców, wybiegających do przodu, bez względu na nawoływania matki czy ojca. Potem, za nimi, jak zapomniana myśl, pojawia się młodsza siostra i biegnie, próbując ich dogonić.

I w taki oto sposób przebiega jej dzieciństwo: podąża za braćmi, próbując bez przerwy dotrzymać im kroku. To nie to, że ktoś ją lekceważy czy specjalnie zostawia za sobą. Przeciwnie, wszyscy ją chwala i mówią, jaka jest „śliczniutka”.

Niemniej przeważnie jest jedynie „kimś dodatkowym”, biegającym za braćmi i próbującym im dorównać.

Od czasu do czasu ktoś z rodziny zauważy, że jej nie ma, odwraca się i ponagla, żeby się pospieszyła, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że ta mała istotka jest już kompletnie wyczerpana tym ciągłym doganianiem.

I potem nagle młodsza siostra staje się kobietą. Bracia, którzy do tej pory ją lekceważyli, teraz uważają się za jej opiekunów i zastępczych rodziców. Doradzają, jak się ma ubierać, zachowywać, jakich ma sobie dobierać przyjaciół, z kim może chodzić na randki i co ma na nich robić.

Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju „mądrości” nie spotykają się z pozytywnym odbiorem. Sama najlepiej wiem, jak tego nie znosiłam i wręcz zaciekle zwalczałam.

Jeżeli będziemy mierzyć osiągnięcia władzą i bogactwem, to osiągnęłam więcej niż inni moi rówieśnicy. Prasa przypisuje to mojemu wrodzonemu instynktowi i bystrości w prowadzeniu interesów, które rozwijały się we mnie od wczesnych, cieplarnianych dni, kiedy zaczynałam stawać się kobietą. Ale w istocie ta kobieta, jaką jestem dzisiaj, więcej zawdzięcza tamtej dziewczynce i jej konsekwentnemu buntowi, aby nie spaść do roli młodszej siostry, w jakiej moi bracia chętnie ciągle by mnie widzieli, gdyby im tylko na to pozwolić.

Jeden jedyny raz w życiu moi bracia mogli mnie byli przestrzec z dobrym skutkiem; mam na myśli moje zamążpójście. Mogli mi powiedzieć, że Bud Quinlan jest próżnym, nieszkodliwym i zadufanym w sobie krzykaczem z szatni dla sportowców, że nie jest w stanie sprostać takiej kobiecie, jaką się stałam, i że będę musiała częściej pełnić wobec niego rolę matki aniżeli namiętnej żony.

Ale nie winie ich za to, a przynajmniej nie wtedy, gdy myślę poważnie. W owym czasie próżność Buda nie była łatwa do rozszyfrowania. Jednak nadal zastanawiam się, jak to możliwe, że wszyscy tak bardzo się myliliśmy.

Wczesne lata mojego życia należały do szczęśliwych. Rodzina nie była rozdarta konfliktem. Chociaż zachowywaliśmy się mniej ostentacyjnie od naszych sąsiadów McGlynnów, niemniej jednak byliśmy sobie bliscy. Nawet geograficznie byliśmy blisko siebie. Mój dom jest oddalony jedynie o trzy przecznice od domów pozostałej trójki rodzeństwa. Moje szwagierki nauczyły się wzajemnej tolerancji, a nawet zdążyły się polubić. Mnie traktują jak przywódczynię w po-

skramianiu głupoty męskiej części rodu Reillych — działalność, w której jesteśmy umiarkowanie dobre. Lubimy przebywać we własnym towarzystwie. Większość naszych przyjaciół podziwia trwałość naszych rodzinnych więzów.

W każdym razie, tego niezapomnianego, mglistego dnia John nie potraktował mnie jak dziecko. Po raz pierwszy w życiu ktoś dostrzegł we mnie coś więcej niż tylko „młodszą siostrę”. Przy Johnie byłam zawsze kimś. Zawsze. Dziś rozumiem, że jego urok nie był doskonały, że często stosował go do manipulowania ludźmi (łącznie ze mną) i że był częścią tego samego repertuaru sztuczek, jakiego używała Delia, aby zapewnić mu kościelną karierę.

Jednak u Johna bezpośrednie podejście do innych było czymś naturalnym, chociaż nie zawsze dawało się to wyraźnie dostrzec. Tamtego dnia on naprawdę zainteresował się moją osobą, nie udawał. A ja wiedziałam, że go zainteresowałam. Tego właśnie trzeba było mojej wyobraźni. Od tej chwili John na zawsze został miłością mego życia.

Niestety, los sprawił, że tego człowieka, jedyne, którego *szczerze* kochałam, nigdy nie mogłam naprawdę zdobyć. W pierwszym rzędzie chciała nim władać jego matka. W końcu wydaje się, że również zapragnął go i Pan Bóg — chociaż tego nie jestem taka pewna. Niemniej, nigdy nie żałowałam, że go kocham. Gdybym miała jeszcze raz wybierać, też bym go pokochała, bez względu na to jak daremna i pełna rozczarowań miałyby być ta miłość.

5

— Cześć, Marbeth... Wchodzisz czy wychodzisz?

Poznałam ten głos, nawet nie potrzebowałam się odwracać, aby spojrzeć na twarz. Czułam, że zasycha mi w ustach, żołądek podchodzi do gardła, a kolana drżą. John McGlynn zawsze tak na mnie działał i nawet teraz, długo po jego śmierci, gdy o nim myślę, czuję to samo.

Wciągnęłam głęboko powietrze, a potem odwróciłam się, aby na niego spojrzeć. Nie mogłam pozwolić, żeby się zorientował, jaki ma na mnie wpływ.

— Wracam do domu — powiedziałam spokojnie — z lekcji muzyki.

Miałam wtedy szesnaście lat, a on dwadzieścia jeden. Byłam rok przed maturą, on natomiast uczęszczał do Mundelein. Było to na dwa lata przed jego wyjazdem do Północnoamerykańskiego Kolegium w Rzymie, chociaż już wtedy wszyscy mówili, że jest przeznaczony do „szkoły dla przyszłych biskupów”. W chłodny wiosenny wieczór, w połowie czerwca, staliśmy na peronie kolejki nadziemnej przy Desplaines Street. Patrzyłam na niego i po cichu przeklinałam, że nie ubrałam się bardziej wystrzałowo i nie zrobiłam lepszego makijażu. Matka zawsze mówiła mi, że nigdy nie wiadomo, kogo się spotka.

Wracając z lekcji muzyki, miałam na sobie mundurek— spódniczka w kratkę, bluzeczka, sweter, białe skarpetki, białe sznurowane buciki i włosy ściągnięte wstążką. Byłam bardzo zakłopotana, spotykając moje bożyszcze w tak nieromantycznym stroju.

— Jesteś ładna jak wiosna — rzekł, urzekając mnie swoim uśmiechem.

— A ty jesteś uosobieniem bajek irlandzkich — odparłam tak gładko, jak tylko mogłam, chociaż poczułam, że zaraz chyba umrę.

— Już to kiedyś słyszałem — zaśmiał się. — Mogę cię zawieźć do domu?

— To tylko kilka przecznic — powiedziałam, a mój głos teraz wyraźnie drżał.

— Będzie dalej, jeżeli wstąpimy na lody do Petersena. — Uniósł brew. — Jakie lubisz najbardziej?

— Czekoladowe — wyjąkałam.

— Ja też. — Wziął mnie pod rękę i sprowadził z peronu na Lake Street, gdzie stał zaparkowany jego nowy ford. Płynęłam obok niego w atmosferze zakłopotania i szczęścia.

Nie dość, że była to moja pierwsza randka z Johnem McGlynnem — co i tak samo w sobie było wystarczająco podniecające — ale, gdy się odwróciłam do niego, zauważyłam, jak na mnie patrzy. Szybkim spojrzeniem ocenił mnie jako kobietę i stwierdził, że mu odpowiadam. Moja miłość, moja jedyna prawdziwa miłość uważa mnie za atrakcyjną dziewczynę!

Nigdy nie zwróciłam uwagi na to, czy moja uroda robi na kimś wrażenie. Chciałam, żeby myślano, że jestem piękna, ale bałam się, że tak nie jest. Jedynie czasami podejrzewałam, że może mimo wszystko jestem ładna i zastanawiałam się, jak zareagowałby mężczyzna na moje ciało.

Byłam więc zachwycona tym, że olśniłam Johna.

— Co teraz czytasz? — zapytał, otwierając przede mną drzwi samochodu.

Pytanie zostało zadane równie szczerze, jak wtedy gdy bawiliśmy się domkiem lalek. To nie było tylko zwykłe rozpoczęcie rozmowy, on rzeczywiście chciał wiedzieć, co czytam i co myślę o książkach.

Wyrzuciłam z siebie całą górę autorów, od Francoisa Mauriaca do Georges'a Bernanosa, przez cały czas mając nadzieję, że gruby, odpowiednio uformowany biustonosz zamaskuje twardniejące brodawki pod cienką bluzeczką i obcisłym sweterkiem.

Modliłam się, żeby jazda do Petersena na Chicago Avenue i Harlem trwała wieczność.

— Chciałbym przeczytać tyle, co ty — powiedział — i móc myśleć tak głęboko, jak ty.

Poczułam się tak, jakbym znalazła się w raju. Mój umysł spodobał mu się, podobnie jak ciało.

Moja miłość do Johna rozwinęła się nie tylko pod wpływem jednego spotkania pod witrażowym oknem, przy domku dla lalek. Jego zainteresowanie nami trwało całe lata — gdy Kate i ja byłyśmy w podstawówce. Nawet wtedy, gdy został studentem — i bardzo ważną osobą — czasami podczas świąt Bożego Narodzenia wpadał do nas na zabawy, mecze siatkówki czy przyjęcia urodzinowe. Lubił nas — chciał z nami przebywać. Nie stanowiłyśmy całego jego świata (co było moim pragnieniem), ale byłyśmy dla niego kimś ważnym.

Będąc poważnym studentem ostatniego roku w Quigley, czuł się prawie tak samo szczęśliwy jak my, kiedy św. Łukasz wygrał z Organizacją Młodzieży Katolickiej turniej w siatkówkę. Ja byłam wtedy kapitanem drużyny, a Kate moją zastępczynią.

Potem wstąpiłyśmy do Trinity, a on do Mundelein. Tęskniłam za nim rozpaczliwie. Był nadal moją jedyną miłością.

Kate tęskniła mniej, dla niej był tylko bratem, choć jak później przyznała, najukochańszym. Nasze drogi rzadko krzyżowały się w czasie wakacji, gdyż jeździliśmy w różne miejsca. Kiedy go widziałam, zawsze na moment zamierało mi serce. Dla mnie był najwspanialszym, najatrakcyjniejszym mężczyzną.

Myślałam, że jestem już gotowa, by przeżyć wielki romans, chociaż tak mało wiedziałam, co to słowo oznacza. W istocie nie byłam gotowa, by przeżyć coś głębszego.

John jak zwykle był przyjacielski, bardzo interesował się moją nauką, planami na przyszłość i śmiertelnie poważnymi ideałami. Nie wyśmiewał się z mojego rodzącego się i rozkwitającego intelektualizmu, tak jak robili to inni chłopcy. Zauważył też, że nie jestem już małą dziewczynką, ciągle towarzyszącą jego siostrze. Stałam się atrakcyjną i, być może, niepokojącą młodą kobietą. W każdym razie miałam nadzieję, że jestem niepokojąca.

Mogę stwierdzić, że Johnowi podobało się moje ciało, ale w jakiś czuły, pełen szacunku sposób. Jednak tego wiosennego popołudnia na peronie przy De-splaines Street poczułam, że nie tylko mnie lubi, ale i pragnie. Pomyślałam, że chyba umrę ze szczęścia i niejasnego, ciągle jeszcze niesprecyzowanego pożądania.

Dotychczas pozwalałam, by mnie tylko całowano i dotykano jak każdą szanującą się młodą katoliczkę, i przekonałam się, że jest to średnia przyjemność, a przy tym dość męcząca. Ale wmówiłam sobie, że z Johnem będzie inaczej. Miałam nadzieję, że tego popołudnia wkrótce się o tym przekonam.

— Mówisz jak radykał — stwierdził, gdy skończyłam wygłaszać komentarze na temat politycznych implikacji francuskiej powieści katolickiej. To nie była krytyka, a pełna zainteresowania uwaga.

— Kapitalizm to system społeczny — zauważyłam nabożnie — który szanuje tylko bogaczy.

Siedziałam na przednim siedzeniu tak blisko niego, jak tylko młoda, szanująca się kobieta mogła odważyć się w owym czasie. Może trochę bliżej.

— My jesteśmy bogaczami, Marbeth — powiedział łagodnie. — I to my korzystamy z dobrodziejstw kapitalizmu.

— Nie jesteśmy — upierałam się, niezupełnie pewna, czy ton mego głosu brzmi dość stanowczo.

— To my zrobiliśmy pieniądze w czasie powojennej prosperity. — Spojrzał na mnie i uśmiechnął się słabo, widocznie spodobało mu się moje gorące — i, och, jakże naiwne — zainteresowanie systemem społecznym.

— Kryzys powróci — powiedziałam bez związku i jak się okazało — nieściśle. Ale wtedy nie obchodziły mnie problemy ekonomiczne. Nic mnie nie obchodziło. Poza nim.

— Co zamierzasz robić w życiu, śliczna panno? — zapytał, otwierając mi drzwi. — Może będziesz starała się wejść w skład Kongresu i naprawić wszystko zło na tym świecie?

Poczułam, że się czerwienię.

— Drwisz ze mnie! — warknęłam. Ujął delikatnie moją rękę.

— Oczywiście, że nie. Ale jeśli tak to zabrzmiało, to bardzo przepraszam. Twoja inteligencja i entuzjazm robi na mnie wrażenie. Mam nadzieję, że tego nigdy nie stracisz.

— Nie stracę — powiedziałam ponuro, myśląc, że powinnam zabrać swoją rękę, ale wiedziałam, że tego nie zrobię.

— Jednak nie wiem, co będę robić, gdy dorosnę.

Znowu oblałam się rumieńcem z powodu ostatnich głupich słów.

— Z przykrością cię rozczaruję, ale ty już dorosłaś — powiedział, chwytając moją drugą rękę.

Znowu pomyślałam, że za chwilę upadnę.

— Czasem wydaje mi się, że chcę zostać pisarką — powiedziałam ochryple.

— Byłabyś jedną z najlepszych... Mówiłaś, że lubisz lody czekoladowe?

— Tak — wykrztusiłam.

— Mają tu najlepsze na świecie — zauważył.

— No pewnie — zgodziłam się, chociaż nigdy nie jadłam lodów gdzie indziej.

Wprowadził mnie do Petersena. W mojej wyobraźni wyglądało to tak, jakby wprowadzał mnie do jakiejś luksusowej sypialni.

Kiedy moje dzieci były nastolatkami, chodziły do Petersena. Dzisiaj chodzą tam moje wnuki. Karolina zaciąga mnie tam trzy razy w tygodniu. Przypuszczam, że w ciągu tych czterdziestu lat chyba z tysiąc razy lizałam te wspaniałe lody. Jednak ilekroć tam wchodzę, zawsze przypominam sobie atmosferę tamtej

rozmowy. Nawet i dzisiaj. Przez kilka cennych sekund opanowuje mnie poczucie, jakby za chwilę miała mnie przeniknąć jakaś wielka tajemnica.

Jestem pewna, że tego popołudnia plotłam trzy po trzy, próbując wywrzeć wrażenie na ukochanym, zaimponować mu inteligencją, dowcipem i wyrafinowaniem. Prawdopodobnie zrobiłam z siebie idiotkę, chwając się bezwstydnie swoim ciałem i rozumem. Jeżeli w sklepie z lodami byli jeszcze inni ludzie — nie byłam w nastroju, aby to zauważyć — to pewnie pomyśleli, że jestem bezwstydną zgrywuską. Ale mój ukochany — jedyny człowiek na świecie, który mnie w tej chwili obchodził — był zachwycony i zafascynowany. Jak mi się zdawało, słuchał mnie z otwartymi ustami, podczas gdy cały czas wzrokiem pozerął moje piersi.

Oboje zamówiliśmy drugą porcję i gadaliśmy. Dawno już minęła pora kolacji i zapadł zmierzch. Byłam tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy w życiu. Pomyślałam, że już chyba nigdy nie będę taka szczęśliwa.

— Jesteś czarująca, Marbeth — powiedział, gdy kończyliśmy drugą porcję — po prostu olśniewająca.

— Dziękuję, John — wydusiłam z siebie.

To nie była odpowiedź na tego rodzaju komplement, ale byłam zbyt wyczerpana emocjonalnie, żeby zdobyć się na coś innego. On mnie uwielbia, pomyślałam.

Kiedy dziś spoglądam na to, sędzę, że wtedy przesadziłam. Mało prawdopodobne, żeby Johnny czuł do mnie to, co ja do niego. Nie przypuszczam, aby w ogóle cokolwiek czuł. On był miłością mego życia, a ja ładną, zabawną dziewczyną — dzieckiem. Zastanawiam się teraz, ilu innym kobietom powiedział, że są olśniewające. Jestem pewna, że za każdym razem mówił to z przekonaniem.

Potem wolno ruszyliśmy do domu, istotnie, bardzo okreźną drogą, która wymagała zatrzymania się na parkingu w Thatcher Wood, tradycyjnym w naszych czasach miejscu spotkań kochanków. Oboje — bez przyznawania się przed sobą — wiedzieliśmy, dokąd wiezie nas jego ford. Wtedy, przy obopólnej, milczącej zgodzie, objęliśmy się.

Jestem pewna, że pocałowałam go pierwsza. Gdy otoczyły nas cienie nocy, mógł ze mną zrobić, co chciał. Zrobił więcej, niż pozwalałam dotąd innym

chłopcom. Całując się i pieszcząc, zastanawiałam się, czy będziemy się kochać — czy to zrobimy. Co — tego dokładnie nie wiedziałam.

Patrząc na to retrospektywnie, nie zaszliśmy wtedy zbyt daleko. Miałam rozpiętą bluzeczkę, ale jej nie zdjęłam. Tak jak całej reszty. Po powrocie do domu byłam jednak przekonana, że John opuści seminarium przed latem i ożeni się ze mną po drugim roku mojego college'u. A to byłoby już tylko za trzy lata.

Wymyśliłam całe mnóstwo kłamstw dla rodziców i braci, aby wytłumaczyć nieobecność przy kolacji. Ale oni wszyscy byli zajęci oglądaniem meczu baseballa w naszym nowym telewizorze — o ekranie czterech cali kwadratowych — i nic nie powiedzieli na temat nieobecności młodszej siostrzyczki.

Tej nocy usnęłam, marząc o uciechach, jakie razem z moim ukochanym będę przeżywała w lipcu i sierpniu nad jeziorem Geneva.

6

— Mogłabyś doprowadzić człowieka do szaleństwa — wyszeptał John, tułąc mnie do siebie. — Mogłabyś chwycić go w kleszcze twojego błyskotliwego umysłu i cudownego ciała.

Mruczałam uszczęśliwiona. Próbowałam odciągnąć Johna od Delii, od seminarium i zdawało mi się, że odniosłam sukces. A od Boga? O tym nie myślałam.

Wtedy nie nazywałam tego uwodzeniem, nawet jeśli siedziałam z nagimi piersiami błyszczącymi w świetle księżyca. Uważałam, że w ten sposób tylko okazuję memu ukochanemu, jak bardzo go kocham. Byłam zbyt niewinna, żeby zdawać sobie sprawę, jaka jestem lekkomyślna.

—Cieszę się, że mnie lubisz.

—Czy jest ktoś, kto mógłby cię nie lubić?

Pierwszy raz znalazłam się półnaga poza domem. Byłam bardziej przejęta niż skrepowana, dumna ze swojego ciała, co do którego piękna nareszcie nie miałam wątpliwości. Gdyby John zechciał, ściągnęłabym też dolną część dwuczęściowego kostiumu. Jednak on tego nie pragnął.

Tego lata padałam mu w ramiona przy każdej nadarzającej się okazji. Wydawało się, że nasze rodziny niczego nie zauważają. Delia poświęciła Johna Boga i była przekonana, że Bóg się nim zaopiekuje — później, kiedy już nie trzeba było się o nic martwić, zaczęła się martwić o mnie.

Jedynie Kate zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Była moją powiernicą, przyjaciółką, a czasami posłańcem. Ostrzegała mnie przed niebezpieczeństwem — nie dlatego że tak się zachowywałam, ale dlatego że próbowałam pokrzyżować plany Delii.

— Ona już dawno to sobie zaplanowała—mówiła Kate, gdy aranżowałyśmy piątkową, wieczorną randkę. — Jeśli o nią chodzi, to wszystko jest jasne.

— Ale nie, jeśli o mnie chodzi — upierałam się. Kończyłam dopiero szesnaste lat i byłam zakochana. Nie mogłam przegrać, prawda?

Tego wieczoru, gdy leżałam w jego ramionach półnaga, w starej drewnianej łodzi Higginsa, którą Doktor kupił dla rodziny w latach trzydziestych, byłam przekonana, że wygram. Pojechaliśmy do pobliskiej Genevy na film *Wszyscy ludzie króla* razem z Kate i jej chłopcem — nie pamiętam już nawet, kto to był. W czasie filmu namiętnie tuliliśmy się do siebie. Potem odwieźliśmy Kate i jej chłopca, a ja zaproponowałam, żebyśmy wzięli łódź Higginsa i popłynęli przy księżycu. Takiej propozycji John nie mógł się oprzeć.

Włożyłam swój nowy dwuczęściowy kostium kąpielowy, a na to bluzkę, i czekałam na niego na molo.

Chociaż tego lata noszono już w Ameryce bikini, to jednak nad jeziorem Geneva pojawiło się ono dużo później, a szczególnie wśród irlandzkich katolików.

— Cudowna noc, Marbeth — powiedział, pomagając mi wejść do łodzi. — Doskonała na pływanie o północy.

— Już się nie mogę doczekać — zgodziłam się. Zakotwiczył łódź sto metrów od brzegu i zapalił światła pozycyjne. Zdjęliśmy koszulki i wskoczyliśmy do wody. Pływając, baraszkowaliśmy w wodzie. Cały świat zamknął się w nas. Nikt poza nami nie istniał na tej skąpanej światłem księżycy planecie. Wpadłam w ekstazę, stan, który stale towarzyszył mi tego lata.

— Zmęczyłem się — powiedział John wreszcie i chwycił burtę łodzi.

— A ja nie — stwierdziłam prawie zgodnie z prawdą.

— Bo ty jesteś jeszcze bardzo młoda — powiedział wesoło i klepnął mnie w pupę.

— Zawsze będę od ciebie młodsza — odparłam.

— Włazę do łodzi — stwierdził. — Ty lepiej też wejdź. Nie chcę, żebyś zgubiła się w ciemnościach.

— Przecież nie jest ciemno — zaprotestowałam.

— Marbeth — rzucił stanowczo.

— Dobra, dobra, właz i pomóż mi.

— Jesteś ode mnie silniejsza — zauważył z uśmiechem, ale wszedł do łodzi.

Zawsze martwił się i bał, że stanie mi się jakaś krzywda. Dla niego byłam kimś w rodzaju młodszej siostry, o którą musi dbać i którą musi się opiekować. Tylko, że ja tę jego troskę kochałam. Tego lata wszystko kochałam.

Kiedy wśliznął się do łodzi, zdjęłam górną część kostiumu i wrzuciłam przez burtę do środka. John tego nie zauważył i był całkowicie oszołomiony, wyciągając mnie z wody.

— Lubisz mnie, Johnie McGlynn?

— Naturalnie.— Otoczył mnie silnymi ramionami, a ja ze szczęścia myślałam, że świat się kończy. W tym momencie należałam do niego. Miałam nadzieję, że ściągnie ze mnie pozostałą część kostiumu. Miałam nadzieję, że będzie się ze mną kochał, cokolwiek to miało znaczyć (byłam przekonana, że skoro ja dokładnie nie wiem, to on przynajmniej będzie wiedział). Miałam nadzieję, że nasza ekstaza w świetle księżyca będzie trwała wiecznie. Kiedy śmiał się, a potem całował moje piersi, myślałam, że serce wyskoczy mi ze szczęścia.

— Lepiej wróćmy już na brzeg — powiedział bardzo nieromantycznie. — *Zaczna*, się o nas niepokoić, a jutro czeka nas bardzo pracowity dzień.

On miał jutro pracowity dzień: golf z kolegami z seminarium. Ja nie miałam. Tylko lunch z Kate, Delią i moją matką.

— Dobrze — zgodziłam się obojętnie.

— Jesteś cudownie piękna — westchnął. — Ale powinnaś się ubrać, zanim dobijemy do molo.

— Dobrze — zgodziłam się. Sięgnęłam po bluzkę.

— Wszystko — zaśmiał się, podając górę od kostiumu.

— Dobrze! — też się zaśmiałam. Przez całą drogę do moło oboje chichotaliśmy. Noc wielkich namiętności skończyła się śmiechem.

Ten śmiech był czymś najodpowiedniejszym, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam głupim, nie przygotowanym do miłości dzieckiem, które piekielnie dużo ryzykowało. Niewielu mężczyzn zachowałoby się tak elegancko jak John.

Kiedy teraz patrzę wstecz na tę bezczelną dziewczynę w łodzi Higginsa, to widzę ją jako smarkatą idiotkę, która myślała, że jest bohaterką. Niemniej nie mogę pozbyć się wspomnienia towarzyszącej temu doświadczeniu radości, czując jej ślad za każdym razem, gdy wchodzę do jeziora, a szczególnie po zmroku.

Na moło pożegnał mnie pocałunkiem.

— Jesteś wspaniała, Marbeth—wyszeptał.

— Kocham cię, John.—Przytuliłam się do niego, a potem pobiegłam do domu z rozpaloną twarzą i dziko bijącym sercem. Byłam zarazem zawstydzona i pełna uniesienia.

Nie zauważyłam jednak, że nie odpowiedział na moje wyznanie miłości. Nigdy na nie nie odpowiedział.

Doroczny lunch kobiet w rodzinach McGlynnów i Reillych nie tylko był nudny, ale co roku stawał się jeszcze nudniejszy. Nasze matki nie miały nic do roboty nad jeziorem Geneva. Dzieci podrosły i nie potrzeba się było nimi opiekować. Nie uprawiały sportów i nie interesowały się literaturą. W tygodniu mężowie byli nieobecni (a Doktor często nawet nie przyjeżdżał na weekend). Czas dłużył się wściekle. Jediną rozrywką były lunche i plotki — a jeśli chodzi o Delię, również whisky.

Ponieważ byliśmy tacy, jacy byliśmy, lunch musiał być niezwykle celebrowany, nawet jeśli go przygotowano na trawniku przed domem — lniany obrus, chińska porcelana, srebra, kryształ, dwie służące w fartuszkach, jedna czarna, druga biała.

Wymagano ode mnie i Kate, żebyśmy były odpowiednio ubrane — jak na niedzielną mszę — nylony, paski, buty na wysokich obcasach, bez względu na to jak było gorąco. Tego lata dzień lunchu był wyjątkowo gorący. Kate i ja byłyśmy w złym nastroju. Chciałyśmy założyć przewiewne bluzeczki i luźne spodnie i pobic na pole golfowe. Ja, żeby zobaczyć Johna, a ona, aby popatrzeć z bezpiecz-

nej odległości na innego seminarzystę, którego miała na oku. Zwróćcie uwagę: Kate miała jakiegoś seminarzystę na oku, a ja byłam zakochana!

Nasze matki, popijając drogie, słodkie wino, niewinnie plotkowały o sąsiadach. Potem zaczęły chwalić się swoimi dziećmi. Moja mama czekała na wesela. Delia nie spieszyła się, żeby ujrzeć swoich chłopców na ślubnych kobiercach — biedna Kate wydawała się nie zajmować miejsca w jej rachubach. — Ach, ten twój Johnny — powiedziała mama — to naprawdę ładny chłopak. Będzie z niego przystojny ksiądz.

— Johnny to radość mego życia. — Delia wypła wino do dna. — Tego dnia, gdy się urodził, a potem, gdy był chrzczony, przeznaczyłam go Bogu, Jezusowi i Maryi, powtarzałam to co roku, na jego urodziny i rocznice chrztu. On z pewnością zostanie księdzem.

Nadal jeszcze oszołomiona po naszym wypadzie, wtrącałam:

— Czy Pan Bóg nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia? Może trzeba by Mu również pozwolić się wypowiedzieć?

Kate wzniosła oczy w górę. Mama spojrzała na mnie wzrokiem mówiącym „znowu zaczynasz”. Jednak Delia pozostała niewzruszona.

— Jestem przekonana, że Pan Bóg chce mojego Johnny'ego. W przeciwnym razie nie dałby mi drugiego syna, prawda?

I tyle. Kate skrzywiła się, jakby próbując stłumić uśmiech.

— On jest światłem mego życia—kontynuowała Delia. — Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Będzie kimś więcej aniżeli księdzem. Czy nie wysyłają go do Rzymu, aby przygotować na biskupa? Mam nadzieję żyć na tyle długo, aby móc zobaczyć mojego Johnny'ego w kardynalskiej purpurze.

Wtedy usłyszałam to po raz pierwszy.

Musiałam bardziej uważać na Delię. To silna kobieta. W moich oczach była oczywiście stara, choć jak sobie wyobrażałam, ciągle jeszcze atrakcyjna dla starszych mężczyzn. Czy John naprawdę był Wszystkim, co miała w życiu?

— Czy te promocje nie są często przypadkowe? — zapytała mama.

— Ach, istnieją na to sposoby, wierz mi, aby nie były przypadkowe. Myślisz, że ja o tym nie wiem?

— W tym roku kręci się koło jeziora Geneva tyle ładnych dziewcząt — mówiła mama niejasno. — Jestem pewna, że niektóre z nich zainteresowały się Johnem.

W skrytości to mama interesowała się nim jako potencjalnym kandydatem na mojego męża. — „Kiedy już będziesz, moja kochana, w odpowiednim wieku”. Pragnęła wyprawić wesele, ale nie chciała, aby jej ukochana córeczka wydorosła zbyt szybko. Tak więc, w jej zamglonym świecie, praktycznie ciągle miałam dopiero dwanaście lat. Nie chciała widzieć we mnie kogoś, kto interesowałby się Johnem. Często mówiła: „Za rok lub za dwa, moja kochana, wszystko będziesz widziała inaczej”.

Mówiła tak przez cztery lata.

Kate, której zdałam odpowiednio spreparowaną relację z wydarzeń minionej nocy, w tym momencie dostała gwałtownego napadu kaszlu.

— Na nic ich wysiłki — powiedziała Delia, rozglądając się za winem. — Najświętsza Panienka i Święci Aniołowie wezmą mojego Johna pod swoją opiekę i ustrzegą go od tych lafirynd.

— A co im zrobią? — spytałam, wystarczająco bezczelnie, aby speszyć mamę.

— Utopią się w jeziorze... oto, co im się stanie. Ach, kochanie... (to do jednej ze służących), czy nie zechciałabyś nalać mi trochę whisky z wodą sodową?

Zaczęłam też kaszleć.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, Kate i ja wreszcie zostałyśmy zwolnione, aby pobiegać z „waszymi małymi przyjaciółmi, kochanie”. Popędziłyśmy więc do mojego pokoju przebrać się w wygodniejsze stroje. j

— My takie nigdy nie będziemy — przyrzekłam.

— Nigdy — zgodziła się solennie Kate.

Nie przyszło nam wtedy do głowy, że nasze matki też kiedyś były młodymi dziewczynami, tak samo żywotnymi i pełnymi nadziei jak my. *i*

Przypuszczalnie obie moje starsze córki też składały podobne przyrzeczenia.

— Niemniej... — Kate obciągnęła na sobie białe spodnie, dokładnie takie same jak moje — ...postanowiła zrobić z Johna księdza.

—Ja też coś postanowiłam.

— Nie wiem, co on sam o tym myśli—zauważyła w zamyśleniu Kate. — W czasie wakacji w ogóle nie chodzi na codzienne msze. Chyba nawet nie ma różańca.

—Czy wierzy w Boga? — zapytałam, zapinając guziki bluzki i podziwiając swoje odbicie w lustrze.

— Jeżeli wierzy, to nigdy o tym nie mówi. Przetrawiłam tę informację. Jeżeli istotnie nie wierzy w Boga, to nie może zostać księdzem. Zanotowałam to sobie głęboko w pamięci.

Ruszyliśmy do Country Club i zjawiłyśmy się tam właśnie w chwili, gdy John wraz z przyjaciółmi był przy osiemnastym dołku. Nie był zadowolony, widząc mnie na werandzie wychodzącej na pole golfowe.

— Chłopcy z seminarium — zmarszczył się lekko — mogą sobie pomyśleć coś niewłaściwego.

Myślałam, że po naszym wypadzie ostatniej nocy powiedział im, że nie wraca do seminarium.

— Przykro mi — powiedziałam bliska łez.

— Nie martw się — zaśmiał się.—Przynajmniej pomyślą, że mam dobry gust.

Tego wieczoru nie jedliśmy kolacji w klubie, który według Johna był zbyt pretensjonalny (nauczył się, jak my wszyscy, nie okazywać swego bogactwa), ale poza Genewą. Dobrze pamiętam, jaka wtedy byłam szczęśliwa. Potem wszyscy przysiedliśmy wokół ogniska na łące McGlynnów, piekliśmy *marshmallows* i śpiewaliśmy piosenki z *Południowego Pacyfiku*. Czterech seminarzystów wydało się bardzo uszczęśliwionych towarzystwem dwóch ładnych dziewcząt i zdawali się ochoczo zgadzać, że „nie ma nic lepszego, jak dziewczyny”⁹. No tak, ale przed nimi był cały rok w Mundelein bez kobiet.

Nigdy nie zapomnę tej nocy, myślałam wtedy. Byłam razem z jedynymi liczącymi się dla mnie ludźmi na świecie — z Johnem i Kate.

⁹ * Słowa jednej z piosenek z *Południowego Pacyfiku* (przyp. tłum.).

I nigdy nie zapomniałam tej nocy, chociaż dziś ma ona dla mnie zupełnie inne znaczenie.

Kiedy skończyło się lato, myślałam, że pęknie mi serce. Pod koniec sierpnia, wieczorem, John pocałował mnie na pożegnanie, życzył mi powodzenia w nadchodzącym roku szkolnym i powiedział, że zapewne jeszcze się spotkamy, może gdy przyjedzie do domu na zimowe wakacje.

Byłam tak zaskoczona, że nie miałam czasu poskarżyć mu się — jak później zrobiłam to w listach, których nigdy nie wysłałam — iż stanowiłam dla niego tylko wakacyjną przygodę.

Dziś sądzę, że było to jednak coś więcej niż przygoda, ale na pewno nic poważnego.

John bardzo mnie lubił. Byłam dla niego niczym mądra młodsza siostra, która okazała się podniecająca seksualnie. Mógł mnie wykorzystać, mógł wykorzystać moje naiwne, nieudolne zaloty. Większość mężczyzn w jego wieku zrobiłaby to. Jednak nawet wtedy, gdy pieścił mnie i całował, okazywał mi uczucie i szacunek. I dziś, kiedy piszę te słowa, na nowo zachwycam się jego godnym podziwu opanowaniem.

Zatem nie byłam tamtego lata jedynie wakacyjną przygodą, ale nie byłam też poważną miłością, a już z pewnością nie tak poważną, aby zaryzykował dla niej opuszczenie seminarium i wściekłość Delii.

Jednak, mimo wszystko, nie przestałam walczyć.

7

— Chcę o nas porozmawiać — poinformowałam Johna McGlynną z ponurą determinacją, do której byłam wtedy zdolna.

Było to jesienią, po moim letnim „wyskoku” z Johnem. Nie gasząc silnika, zatrzymałam mój mały odkryty samochód na skraju szosy, biegnącej brzegiem jeziora do seminarium. Ponad nami na wzgórzu wznosił się budynek sali gimna-

stycznej, tak jakby przyglądał się naszej niezwyklej schadzce przy zaśmieconej i wilgotnej kapliczce Matki Boskiej z Lourdes.

— O nas? — Był zaskoczony i niespokojny. Denerwował się, czy ktoś z seminarium nie zauważy, że rozmawia na szosie z młodą kobietą w białym kabriolecie.

To, że go spotkałam, było czystym przypadkiem. Miałam tylko bardzo mgliste pojęcie, gdzie znajduje się seminarium i absolutnie nie wiedziałam, w jaki sposób na tym terenie znaleźć jakiegoś seminarzystę. Miałam szczęście, że spotkałam go samego, ponieważ, jak mi później powiedział, seminarzyści nie mogą spacerować samotnie. Wysłano go do izby chorych po lekarstwo i niósł je do kolegium, w którym mieszkał.

Objechałam tereny seminarium, przyglądając się każdej mijanej gromadce seminarzystów, wzbudzając przy tym sensację. Budynki z czerwonej cegły, według mnie, przypominały szpital dla wariatów — chociaż nigdy żadnego nie widziałam. Zamglone jesienne światło oraz błyszczące, czerwone i złote liście nie łagodziły wrażenia, że jest to miejsce w przemyślny sposób okrutnie wyizolowane.

To straszny sposób przygotowywania mężczyzn do kapłaństwa. Przypuszczam, że Kościół dzisiaj doszedł do podobnego wniosku, chociaż nie dostrzegam żadnego dowodu, aby wyświęceni obecnie księża byli w jakiś sposób lepsi od tych, których wyświęcano w latach pięćdziesiątych.

Wtedy właśnie doszło między mną i Johnem Arthurem McGlynnem do konfrontacji. Czy jego własna siostra nie przyznała, że nie był pewien istnienia Boga i że ten problem w taki czy inny sposób martwił go? Czy nie nadszedł już czas, aby skończył z tym nierealnym powołaniem i wybrał mnie, kogoś z krwi i kości, zamiast Boga, w którego istnienie wątpił.

Wiedziałam, że Bóg istnieje i pochlebiałam sobie z tego powodu, i chociaż On mógł nie pochwalać tego, co nazywałam podniecającymi pieszczotami, był po mojej stronie.

Moje ciało spalało się z tęsknoty — tak w każdym razie myślałam — za pieszczotami Johna, moje usta domagały się jego natarczywych pocałunków. Pojadę do Mundelein i raz na zawsze zdecyduję o naszej przyszłości.

— Wierzysz w Boga? — zapytałam go, odpalając pierwszy pocisk.

— To dość bezpośrednio pytanie, Marbeth — uciekł wzrokiem w bok.

— Ja w ogóle jestem dość bezpośrednio.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się czarująco.

— Zauważyłem.

— Odpowiedz na moje pytanie — naciskałam.

— Rzecz jest skomplikowana.

— Nie, nie jest.

— Jest, Marbeth; przynajmniej odpowiedź jest skomplikowana. Nie dlatego, że w Niego nie wierzę. Nie jestem agnastykiem lub ateistą, czy kimś w tym rodzaju.

— Albo wierzysz w Boga, albo nie. Jeżeli nie, to nie masz czego szukać w seminarium.

— Chciałbym, żeby życie było takie proste. — Spuścił oczy, jakby się modlił. — Niestety, tak nie jest.

— Jest.

— Czy ty zawsze zachowujesz się tak, jakbyś wierzyła w Boga, Marbeth? — w jego głosie brzmiał jakiś smutny, błagalny ton.

— Nie... oczywiście, że nie.

— Wobec tego niewiele różnisz się ode mnie. Wierzę w Boga, ale czasem zdarza się, że zachowuję się tak, jakbym w Niego nie wierzył.

— Nie bądź sofistą, Johnie Arthurze McGlynn. Nawet wtedy, gdy zachowuję się nie tak, jak powinnam, wiem, że Bóg istnieje i patrzy na mnie.

— Sofista to zbyt mądre słowo u smarkuli ze szkoły średniej.

— Nie pouczaj mnie! — wykrzyknęłam.

— Przepraszam.

— No? — mówiłam wtedy chyba jak sam Wielki Inkwizytor, Marbeth-Torquemada.

— Nie zawsze mam pewność, Marbeth.

— To mętna odpowiedź... A co z nami? — powtórzyłam.

— Z nami?

— Kocham cię, John. Wiesz o tym. Jak możesz tego nie wiedzieć po tym, co wydarzyło się latem?

— Bardzo cię lubię, Marbeth. Zawsze cię lubiłem — powiedział z trudem.
— Ale zostanę księdzem. Zawsze możemy być przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Jednak nie kochankami.

— Do diabła, jak możesz być księdzem, jeżeli nie wierzysz w Boga?

— Wierzę w Boga na tyle, aby zostać księdzem.

— Ty musisz zostać księdzem... — ogarnęła mnie wściekłość —... ponieważ twoja matka tego żąda.

Przełknął to, sprawiając wrażenie bardzo zgnębianego. John nigdy nie mógł dać sobie rady z wściekłymi kobietami.

— To niezupełnie tak, Marbeth. Wiem, że ona chce, abym został księdzem, ale Bóg też tego pragnie.

— Bredzisz! — krzyknęłam. Wrzuciłam bieg i ostro ruszyłam.

Później dowiedziałam się, że widziało nas dwóch księży. Donieśli na niego, ale John jak zawsze wszystko załagodził. Może jestem więźniem własnej wyobraźni. Może w realnym świecie — a jeśli chodzi o Johna McGlynną trudno mi oddzielić świat realny od świata wyobraźni — mogłabym odwrócić się od jego nierealnej propozycji, którą tu ze wstrętem opisałam.

Przypuśćmy, na przykład, że tej nocy w Rzymie, gdy dobijałam już czterdziestki, wyszeptalby, że mnie pragnie. Czy wtedy zostawiłabym męża w barze Hilton Cavalieri, popędziła za Johnem, zdzierając z siebie (dosłownie i w przenośni) ubranie w biegu? A może powiedziałabym jak osoba rozsądna, którą powinienam być w tym wieku: „Ależ, John, zachowujmy się jak dorośli”? Kto wie?

Męka mojej miłości do Johna polega na tym, że nie wiedziałam i nadal nie wiem, czy moje uczucie było kiedykolwiek odwzajemnione. Może nawet *i* mnie kochał, ale na pewno nie tak, jak ja jego. Zawsze uważał mnie za atrakcyjną; lubił przebywać w moim towarzystwie; myślę, że chciał się ze mną spotykać; może fantazjował — jak to często robią mężczyźni — że mnie rozbiera; w późniejszych latach często zasięgał mojej rady — nie mając żadnej ambicji, aby chronić swoje męskie ego. Ale czy mnie kochał, a szczególnie tak, jak ja kochałam jego? Tego nigdy nie będę wiedziała.

Kiedy po tej mojej strasznej wycieczce do seminarium wróciłam do River Forest, zaparkowałam samochód, popędziłam do domu Kate i z płaczem rzuciłam się jej w ramiona.

Płakała razem ze mną.

— Och, Marbeth—powiedziała—tak bardzo chciałabym, żebyś kiedyś została moją szwagierką! Czy to nie byłoby wspaniałe, gdyby nasze dzieci były kuzynami? Ale Delia nigdy na to nie pozwoli. Oddała go Bogu w dniu narodzin i on musi zostać księdzem.

— Zobaczmy — szlochałam rozpaczliwie. Walczyliśmy, a ja przegrałam.

Kate i John to dwoje najważniejszych ludzi w moim życiu. I straciłam oboje.

8

O ile istniało pewne usprawiedliwienie mojego wcześniejszego szaleństwa, to moje zachowanie dwa lata później było absolutnie głupie, niesmaczne, a nawet samoniszczące. Było też, Boże, zlituj się, śmieszne — chociaż wtedy nie bardzo mnie bawiło.

Wślizgnęłam się do pokoju Johna w zajmowanym przez niego domku i zaczęłam się rozbierać — jak mi się wtedy zdawało, prowokacyjnie i dramatycznie. Byłam już prawie naga, gdy chwycił mnie za rękę i przeszkodził w kontynuowaniu striptizu.

Wielki Boże, jak ja się za każdym razem czerwienię, gdy przypomnę sobie ten absurdalny taniec. Ale nawet teraz, niech mi Bóg wybaczy, czuję pewną satysfakcję — i podniecenie.

Nie byłam już tak niewinna, jak wtedy na jeziorze Geneva. Teraz wiedziałam dokładnie, że to, co robię, jest uwodzeniem. Ale nic mnie to nie obchodziło. Chciałam go uwieść. Miałam przecież osiemnaście lat. I czyż nie jest to sposób na złapanie mężczyzny?

Johnowi zostały tylko dwa lata do święceń i na lato wrócił do domu z Rzymu. Razem z rodziną przyjechał do Willi. Teraz już zapomniałam, jaka była przyczyna tej wycieczki. Kate działała jako współkonspiratorka i gładko załatwi-

ła moje zaproszenie przyłączenia się do całej rodziny. Pierwszego popołudnia zostałam sama z Johnem w zajmowanym przez niego domku. Nadeszła okazja, aby atakować.

— Marbeth? — wykrzyknął zaniepokojony, trzymając moje ręce. — Co robisz?

— Chcę się z tobą kochać! — krzyknęłam, wściekła, że nie zareagował tak, jak tego chciałam.

—Nie — odparł, ale jak sądziłam, bez wielkiego przekonania.

Wyrwałam ręce, objęłam go i zaczęłam całować. W czasie, gdy deszcz zaczął w szyby okienne, grzmoty wstrząsały drewnianym domkiem, a błyskawice przecinały niebo, nasze ręce zaczęły gorączkowo bładzić, pieszcząc ciała. Zaczęłam zrywać z niego ubranie. Teraz wydawało się, że pragnie mnie tak samo, jak ja pragnęłam jego. Uległam mu całkowicie.

Cieszyły go pieszczoty, ale nie odbył ze mną stosunku. Byłam wściekła.

— Co się z tobą, u diabła, dzieje?! — krzyknęłam. — Nie pragniesz mnie?

— Oczywiście, że pragnę, Marbeth — jęknął. — Ale nie mogę ci tego zrobić. Za bardzo cię kocham i szanuję, aby cię posiąść, a potem zostawić. — I tak zaczęła się nasza druga konfrontacja.

— Powinieneś rzucić seminarium i ożenić się ze mną, Johnie Arthurze McGlynn.

— Muszę zostać księdzem!

— Dlaczego?

Musiałam z pewnością przedstawiać sobą dziwny widok: ręce na biodrach, piersi wysunięte ku niemu, w przezroczystrych, czarnych, koronkowych majteczkach (specjalnie, oczywiście, włożonych na tę okazję).

— Spodziewają się tego po mnie.

— Kto?

— Matka, Doktor i Bóg.

— Ty nie wierzysz w Boga! — krzyknęłam, zrzucając majtki.

— Jesteś taka piękna, Marbeth — wykrztusił. — Tak bardzo piękna. Ale jeśli Bóg istnieje, to On pragnie, abym należał do Niego.

— Jak możesz zostać księdzem, kiedy jednocześnie potrafisz tak się cieszyć ciałem kobiety, jak w tej chwili?

W tym momencie, pierwszy raz w życiu, doświadczyłam prawdziwego, przenikającego mnie podniecenia. Byłam zdumiona i trochę przestraszona tym, co moje ciało może ze mną zrobić. Czułam, że jestem jeszcze bardziej lekko-myślna. Podeszłam do Johna i przycisnęłam pierś do jego ust.

Wykręcił głowę.

— Wyrzeknę się kobiet w służbie Bogu.

— A kiedy to nastąpi?

— W przyszłym roku, kiedy zostanę subdiakonem i złożę przyrzeczenie celibatu. Jesteś wspaniała, Marbeth — doskonale kobieca. Ale ja po prostu nie mogę.

Przegrałam. Byłam przegrana od początku. Dopiero teraz to zrozumiałam. Odwróciłam się od niego i ubrałam. Podniecenie rozwiało się, zastąpił je palący wstyd.

Zrobiłam z siebie doskonałą małą idiotkę.

Po raz kolejny byłam zdumiona opanowaniem Johna. I wdzięczna. Jak się później okazało — w pierwszych tygodniach mego małżeństwa — naga czy ubrana, byłam wtedy zupełnie nie przygotowana do uprawiania seksu.

Osunął się na krzesło przy łóżku, załamany i rozbity.

— Czy ty mnie rozumiesz? — zapytał z rozpaczą.

— Nie! — krzyknęłam, ciągle nie zaspokojona.—Wcale mi nie zależy na tym, aby cię stracić dla Boga, ale ty wcale w Boga nie wierzysz. Więc dla kogo cię tracę? Dla powołania twojej matki? Przykro mi, ale uważam, że ja jestem więcej warta niż to wszystko.

— Nie mów tak, Marbeth — błagał. — To nie jej powołanie, a moje.

— Jak może to być twoje powołanie, jeżeli nie chcesz być księdzem?

— To bardziej skomplikowane, niż myślisz.

Już przedtem o tym mówiliśmy, ale ja nadal upierałam się przy swoim.

— No, to słucham i przypuszczam, że jestem na tyle inteligentna, że zdołam prawie wszystko zrozumieć.

— Ja sam tego nie rozumiem. Po prostu wiem, że muszę zostać księdzem — czy tego chcę, czy nie.

— Ponieważ twoja matka powiedziała, że zostaniesz księdzem i że pewnego dnia zostaniesz arcybiskupem Chicago.

— Nic z tych rzeczy.

— Nie wierzę ci i nigdy nie uwierzę.

— Bardzo mi na tobie zależy, Marbeth. Wierz mi. Ale ja nie mogę.

— Dobrze. Wygrałeś. Nie możesz. Jednak jesteś głupi. Wybiegłam z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Wtedy po raz ostatni zbliżyłam się do Johny'ego

w sposób, który można by określić jako erotyczny. Wiedziałam, że go straciłam, choć nie wiedziałam dokładnie dla kogo. Domyślałam się tylko, że chodzi głównie o matkę. Miałam jednak dosyć rozsądku i siły woli, aby pogodzić się z klęską, chociaż wydawało mi się, że mam złamane serce.

I tak naprawdę było, miałam złamane serce, choć wyleczyłam się, zanim minęło lato.

Nikomui nie powiedziałam, co się stało, chociaż Kate szybko się domyśliła.

— Znowu cię odepchnął? — zapytała ze współczuciem.

— Tak. — Walczyłam, aby powstrzymać łzy.

— Przeklęta Delia — powiedziała.

Myślałam, że John będzie na mnie wściekły. Wprawiłam go w zakłopotanie tym moim występem. Obraziłam go. Jednak tego wieczoru na przyjęciu w Willi był przyjazny i czarujący jak zawsze. Wybaczył mi moją okrutną i niezręczną napaść.

Doskonale zdaję sobie sprawę z jego wad. Mimo całej inteligencji jego intelekt pozostał nierozwinięty, ponieważ obawiał się skomplikowanych pytań i problemów; był płytki w swoich sądach i decyzjach, niechętnie sam podejmował decyzje i rzadko je zmieniał.

Płynął przez życie z prądem, a w każdym razie aż do ostatnich lat nie miał jasno wytyczonych celów lub zamierzeń.

Dawał się wodzić za nos ładnym kobietom, także i mnie; kiedy pomagałam mu radzić sobie z chicagowską archidiecezją — czasami wydawało mi się, że to ja ją prowadzę — miałam wrażenie, że gdyby moje nogi, biodra i piersi nie były na swoim miejscu, nie słuchałby tak chętnie moich rad, choćby były nie wiadomo jak mądre.

Był synem Delii, jej faworytem, ponieważ pod wieloma względami stanowił dla niej wspaniałe tło; Był typem mężczyzny, jakiego Delia mogłaby polubić, gdyby nie spotkała Doktora, człowiekiem, z którym byłaby absolutnie szczęśliwa.

Jeżeli powiecie, że był płytki, że był kimś, po kim nie wiadomo czego się spodziewać, że nie można było na nim polegać, że łatwo było nim manipulować, nie zaprzeczę temu, chociaż muszę dodać, że te charakterystyki były — i często są — przesadzone. Jak pokazał w ostatnich dniach życia, był zdolny do mistycznej głębi, okazał stalową siłę woli, chociaż wymagało to wysiłku i dyscypliny i nie przychodziło mu łatwo.

Był zdumiewająco lekkomyślny. Zdawał się kochać niebezpieczeństwo, jak inni mężczyźni kochają kobiety, lub może powinnam powiedzieć, że gonił za nim, jak niektórzy za stosunkami pozamałżeńskimi. Trochę go hamowałam, ale nie na tyle, aby to wystarczyło. Niestety, nie mogę się pochwalić, że potrafiłam troszczyć się o mężczyzn mego życia, aby ustrzec ich przed samozniszczeniem.

Tak więc, znałam jego wady. Muszę jednak dodać, że bez względu na nie, ciągle go kochałam, a on nieustannie się mną opiekował i traktował poważnie. Był i nadal jest dla mnie kimś szczególnym, gdyż i ja byłam dla niego kimś szczególnym i ważnym.

Nad Eagle River, po tym jak mnie odepchnął, płakałam całe popołudnie i całą noc, były to łzy wściekłości, upokorzenia i smutku.

Następnego dnia przetałam oczy i oddaliłam od siebie uczucie upokorzenia (choć jeszcze przez pewien czas ciągle mnie nawiedzało). Jednak nadal czułam głęboki smutek.

Jaki jest sens, zadałam sobie pytanie, by nadal żyć?

Po tym wszystkim potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać albo na kim mogłabym wyładować gniew.

Później doskonale dawałam sobie radę sama z największymi problemami w życiu. Sama, bez niczyjej pomocy, rozwiązałam problem mojego męża. Sama podejmowałam decyzje w sprawach kontroli porodów. Nigdy, w żadnym wypadku, nie potrzebowałam o czymkolwiek rozmawiać z księdzem — poza konfesjonałem. Jednak tego lata, gdy miałam osiemnaście lat, potrzebowałam księdza.

Zupełnie nie ufałam księżom z Willi, zdecydowałam się więc porozmawiać z seminarzystą — z tym, który, jak poinformował mnie John w czasie jazdy na mecz do Watersmeet, przygadał mu.

Pomyślałam, że ten młody człowiek — był w moim wieku — musi być kimś szczególnym, jeśli potrafi oprzeć się urokowi Johna. Już na pierwszy rzut oka dostrzegano się, że jest to ktoś niezwykle — wysoki, szczupły, masywnie zbudowany, z najłagodniejszymi zielonymi oczami i najśłodszym uśmiechem, jaki można sobie wyobrazić. Był tym bardziej pociągający, że delikatność i słodycz ukrywał pod niewidzialną powłoką dziecka ze slumsów 79. Ulicy. W przeciwieństwie do Johna, z całej jego postaci emanowało „kapłaństwo”, nie istniało więc żadne niebezpieczeństwo, że się w nim zakocham, chociaż bardzo trudno było go nie lubić.

John również go lubił, mimo że tamten przy każdej okazji mu docinał.

— To wspaniały, wesoły chłopak, Marbeth. Będzie świetnym księdzem. — Znajdowaliśmy się ciągle w cadillacu, jadąc na mecz do Watersmeet. Z zachowania Johna nie można się było domyśleć naszej kłótni z poprzedniego dnia.

— A czy on wierzy w Boga? — warknęłam. John zachichotał.

— Jestem pewien, że tak. Prawdopodobnie dużo z Nim walczy, albo udaje, że walczy. A w przypadku Lara oznacza to uczucie.

Podejrzywałam, że Lar, różniąc się znacznie od Johna, jednocześnie dzieli z nim tę najbardziej pociągającą u niego cechę charakteru — prawdopodobnie obaj tak samo lubili ludzi.

W Watersmeet usiadłam na ławce obok niego i wyrzuciłam z siebie cały gniew, pomijając oczywiście pewne szczegóły z mojego erotycznego uniesienia i następującego po nim upokorzenia.

Chociaż zdumiała go moja furia, w istocie był pełen współczucia i słodczy. Dobrze odgadłam—on miał coś z tej samej sympatii do ludzi i troski o ich problemy, jaką nosił w sobie John—choć ukrywał to pod południowoirlandzkim grubiaństwem, co w pewien sposób było nawet interesujące.

— Mary Elizabeth — powiedział, gdy tłum zaczął wiwatować na cześć wdzięcznej porażki Johna.

— Słucham?

— Jesteś niezwykłą osobą. Jesteś bystra, ładna i masz wielkie marzenia.

— Więc?

— Więc nie powinnaś pozwolić, aby John przeszkodził ci je zrealizować.

— Powinnam przestać go kochać?

— Czy tak powiedziałem?

— Nie.

— W porządku. Może będzie potrzebował od ciebie pomocy. Nie sądzę, abyś była tą, która mu jej udzieli.

Mylił się na dłuższą metę, ale w tym momencie miał rację.

Westchnęłam.

— Przypuszczam, że to prawda.

— Przypuszczasz?

— Już dobrze. Wiem, że masz, do cholery, rację. Milczał.

— Więc?

— Więc? — powtórzył.

— Więc powinnam wszystko spisać na straty i żyć dalej?

— Powiedziałbym wtedy, że jesteś rozsądna. Sprowokował, żebym sama udzieliła sobie rady. Spryciarz — nawet wtedy.

— Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy, Laurence O'Toole McAuliffe.

— Ja też mam taką nadzieję, Mary Elizabeth Annę Reilly. Przez następne lata często myślałam, że byłoby miło mieć księdza, z którym mogłabym czasem porozmawiać. I powinien to być ktoś taki jak on.

W każdym razie wyjechałam do Manhattanville i romansowałam tam z kilkoma chłopcami ze Wschodniego Wybrzeża, którzy, jak stwierdziłam, wcale nie różnili się od chłopców z naszego gimnazjum w Fenwick. A następnego lata— jak wtedy sądziłam—zakochałam się w Budzie i udało mi się dostać mój brylant zaręczynowy przed ukończeniem dziewiętnastu lat. Był dużym, przystojnym, towarzyskim i wesołym chłopakiem. Czego dziewczyna mogła chcieć więcej?

Ale ja chciałam mieć Johna. I nadarzyła się jeszcze jedna okazja, aby go złąpać.

TLR

LAURENCE

TLR

Mój wikariusz, ksiądz James Stephen Michael Finbar (Jamie) Keenan, jest przekonany, że wie wszystko. Na nieszczęście dla tej odrobiny powagi, jaka mi jeszcze pozostała jako proboszczowi, on istotnie wie wszystko.

—Opowiedz mi o kanonizacji świętych—poprosiłem go.

Siedzieliśmy w salonie mojego mieszkania w nieprzyjemnym, starym, gotyckim budynku plebanii. Wieczór spędziłem w biurze, pracując nad sprawami dotyczącymi ślubów—przygotowania do małżeństw, porady, unieważnienia.

Z odtwarzacza płynęły dźwięki muzyki Mozarta przez otwarte okna płynęło świeże, nocne powietrze; Jamie popijał piwo słodowe Bushmill's Single, ja — herbatę z lodem; tradycyjnie towarzyszyła nam Nora, parafialny kundel (taki wiecznie kręcący się irlandzki wolfhound), zapewne uważając, że powinna być obecna przy wszystkich spotkaniach proboszcza z wikariuszem.

—Musi sobie ksiądz uświadomić — zaczął Jamie swój wykład — że w tradycji katolickiej na ponad dziesięć tysięcy świętych, tylko pięciuset zostało kanonizowanych przez Rzym. Watykan rozpoczął te procesy za czasów Urbana VIII na początku XVI wieku, w czasie gdy Kuria Rzymska centralizowała Kościół lub przejmowała wpływy od lokalnych biskupów, jeśli ksiądz woli. Częściowo w odpowiedzi na reformację, Watykan przesunął swoją uwagę z cudów na rzecz życia pełnego cnót. Prawnik kanoniczny, Prospero Lambertini — jakież to wspaniałe nazwisko! — napisał na ten temat pięciotomowe dzieło i kiedy w 1740 roku został papieżem Benedyktem XIV, jego reforma stała się czymś oficjalnym. Trwało to do nowego dekretu wydanego w roku 1983.

Jamie jest wysokim, przystojnym blondynem, o niespożytej energii i wielu talentach. Coś jak Johnny McGlynn, ale bez jego ambicji i neurotycznych potrzeb, by być przez wszystkich kochanym. Nic więc dziwnego, że jest emocjonalnie uodporniony. Urodził się jako ostatnie dziecko sędziego federalnego, który został pisarzem i kiedyś przewodniczył Stowarzyszeniu Psychologów Amerykańskich, i zawsze wrażliwej (niektórzy twierdzili, że jasnowidzącej) Maggie Ward Keenan. Jamie został dobrze przygotowany do życia.

— Ten dekret wyeliminował *Advocatus Diaboli**¹⁰, prawda?

Oczy Jamiego zabłyśły. To było coś, czego nie powinien wiedzieć.

— Tak jest, szefie. W ten sposób wspaniała powieść Morrisa Westa nie mogłaby być dzisiaj napisana. — Uśmiechnął się, jak zwykle uważając mnie raczej za zabawnego niż groźnego. — Do 1983 roku sam proces był w zasadzie czymś, co przypominało zwykły cywilny proces sądowy. Promotor wiary, adwokat diabła, był oskarżycielem próbującym dowieść, że dana osoba nie jest święta, a adwokat sprawy był jej obrońcą. Sędziami byli kardynałowie kongregacji, a papież najwyższym sędzią. Procesy ciągnęły się latami i wszyscy świetnie się bawili.

— Nic dziwnego, że trwało to tak długo.

— Rzym, jak powiadają, działa wolno—uniósł sceptycznie brwi—i dopiero teraz Jan Paweł II trochę ich popędza. Powiadają też, że za każdym razem, kiedy wyjeżdża do jakiegoś kraju, chce kogoś beatyfikować — a to tylko krok do kanonizacji, o czym nie muszę księdzu przypominać.

— Nigdy niczego nie zakładaj z góry, jeśli chodzi o starego proboszcza, Jamie.

— Szefie, ksiądz nigdy nie będzie stary. Nastolatki nadal księdza uwielbiają... W każdym razie, wszyscy inni papieże tego stulecia razem wzięci beatyfikowali siedemdziesiąt dziewięć osób. A on już ma na swoim koncie osiemdziesiąt pięć.

— Osiemdziesiąt pięć i ciąg dalszy nastąpi.

— Dokładnie tak. Ktoś powiedział, że kanonizujemy coraz częściej mniej ważnych ludzi. Reforma z roku 1983 miała na celu modernizację, ale nie sądzę, żeby była udana. Zamiast procesu przeciwników mamy teraz proces historiograficzny. Ktoś, pod nadzorem jednego ze sprawozdawców kongregacji, spisuje coś, co niby ma być naukową biografią sług Bożego — jak ich nazywają — gdy miejscowy biskup przedstawi wyniki diecezjalnego procesu informacyjnego. Sprawozdawca dodaje wstęp, który nazywają *informatio*, komitet medyczny sprawdza

¹⁰ * *Advocatus Diaboli* (łac.) — Adwokat diabła, określenie „kardynała, Promotora wiary”, tj. rzecznika publicznego w procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych, który z urzędu podnosi zarzuty przeciwko wnioskowi o przyznanie danej osobie czci błogosławionego lub świętego — stąd potocznie obrońca złej sprawy" (przyp. tłum.).

cuda, chociaż nie są one wymagane w wypadku męczeństwa. Potem otwierają grób, żeby zobaczyć, czy ciało jest nietknięte. Lepiej jeżeli nie jest. Ale nawet jeśli jest, nie oznacza to, że proces zostaje zatrzymany. W tym punkcie niektórzy teologiczni „konsultanci” sprawdzają cały zapis i wydają własne orzeczenia, kardynałowie kongregacji biorą pod uwagę stanowisko konsultantów-sędziów, raporty medyczne i głosują. A potem wszystko zostaje przekazane Wielkiemu Ojcu.

— Otwierają grób?

— Jasne. We wczesnych latach Kościoła nabożeństwa do świętych powstały z kultu męczeństwa. Co prawdopodobnie połączone było z odprawianiem mszy na grobach męczenników. Tak więc ważne jest ciało i relikwie.

— Relikwie!

— To, co się znajduje w relikwiarzach całej Europy. Są używane do czynienia cudów. Do uzdrowień, których nie można wyjaśnić. Uleczenie małego Brenny'ego Epsteina łatwe zostałoby uznane przez Consulta Medica. Zdjęcia przed i potem. Badanie tkanek. Świadcstwo lekarzy, łącznie z tym, co sam opisał ten agnostyczny Żyd. Nieznany jest przypadek samocofnięcia się tego rodzaju raka. To uderzenie pałką w łeb, szefie.

— Na razie medycyna nie może tego wytłumaczyć... — upierałem się. — To wszystko, co możemy powiedzieć. W każdym razie wydaje się, że Johnny sprawił tylko ten jeden cud — uleczenie Brendana Epsteina. A do beatyfikacji potrzebny jest jeszcze drugi.

— Źle, szefie. Teraz do beatyfikacji potrzebny jest tylko jeden, a drugi do kanonizacji. Zmarły kardynał jest już jedną nogą święty. Mogą przecież zdecydować, że był męczennikiem, a wtedy nie będą mu potrzebne żadne cuda.

— Nikt go nie zmuszał, aby kadził innym bogom lub zaparł się wiary. — Łyknąłem herbaty jabłkowej z cynamonem i lodem. Po jakimś czasie można się do niej przyzwyczaić.

— Teraz wymaga się tylko śmierci w imię wartości chrześcijańskich. Maria Goretti została męczennicą, ponieważ umarła, broniąc swej niewinności.

— Byłaby niewinna, nawet gdyby ten facet ją zgwałcił. Mój neoprezbiter wzruszył ramionami, tak jakby nie był

odpowiedzialny za to dziwne rozumowanie Watykanu.

— Teraz ksiądz widzi, jak to się rozgrywa—rzekł, popijając swego Bushmilla. — Idąc dalej, ustanawiają pewne zasady — nie wszystkie, ale niektóre z nich. Można to zrobić w Watykanie, a szczególnie gdy się jest papieżem.

To było jedynie stwierdzenie faktu; Jamie rzadko krytykował autorytety kościelne, może dlatego, że nie traktował ich zbyt poważnie.

Potrząsnąłem głową.

— Jamie, to wszystko jest dziwaczne. Jak można wcisnąć łaskę w pojemnik z podziałką.

— Przecież jakoś muszą to robić, szefie. Nie mogą pozwolić zwykłym ludziom, ani nawet miejscowym biskupom, aby sami decydowali, kto jest albo kto nie jest święty, prawda? Tak, jak to robiono przez półtora tysiąca lat.

— Rozumiem z tego, że w ten sposób wyklucza się zwykłych ludzi?

— A kimże oni są?

— Przecież kanonizowali dziesięć tysięcy świętych, a Watykan tylko pięćset.

— Prawda! — Mój wikariusz roześmiał się. — Ale niech ksiądz weźmie pod uwagę, że kanonizowali wielu dość dziwnych świętych. Dwoje najpopularniejszych, niebiblijnych świętych: święta Katarzyna z Aleksandrii i święty Mikołaj — prawdopodobnie nigdy nie istnieli. Ale, w przeciwieństwie do Watykanu, ludzie uważają, że lepiej mieć historię niż teksty, które powstały na podstawie historii.

— Zgrabne zdanie.

— Nie moje. Kena Woodwarda, redaktora działu religijnego „Newsweeka”. Chwileczkę... przyniosę jego książkę.

Neoprezbiter wybiegł z pokoju. Nora podniosła się. Jej sojusznik nie powinien tak szybko wychodzić.

— Spokój, kundelku — pogłaskałem jej masywną głowę. — Zaraz wróci.

— To dobra książka, szefie. — Michael wręczył mi książkę *Tworzenie świętych*. — Obecne procesy to coś ciekawego i fascynującego. I prawdopodobnie stanowią tylko pewną fazę. Za sto lat będziemy mieli skrajnie różniące się metody tworzenia świętych.

—Ale wtedy już nas wszystkich nie będzie.

— Tak... ale niech ksiądz uważa—to ludzie mają ostatnie słowo. Rzym może tylko zaproponować kult świętych. Ale to ludzie zdecydują, czy będą ich czcili, czy nie. Kanonizacje Jana Pawła II mogą uszczęśliwić niektóre zakony, bo ich założyciel zostanie obwołany świętym, a także może pewnych katolików w niektórych krajach, ponieważ będą mieli własnych męczenników. Ale ci jego święci nigdy nie będą mogli konkurować z Mikołajem lub Katarzyną.

—Racja.

Milczeliśmy przez chwilę. Wpatrywałem się w okładkę książki Woodwarta. Nora spojrzała na mnie niespokojnie. Nie powinienem tak długo milczeć.

— Watykan nie zgodzi się na kanonizację Oscara Romero, biskupa Salwadoru, którego zabito w czasie odprawiania mszy. Politycznie to nie na czasie.

— Skaczący Johnny był sukinsynem.

—Zawsze ksiądz tak twierdził.

—No i jak taki sukinsyn może zostać świętym?

— Szefie, wie ksiądz tak samo dobrze jak ja, że to Pan Bóg powołuje świętych. On tylko wymaga ludzkiej wrażliwości. Nawet gdyby Archidiecezja Chicagowska i Watykan zdecydowali, że zmarły kardynał nie jest świętym, ludzie mogą uważać, że jest — i nic na to nie poradzi autorytet Kościoła, bez względu na to jak zażarcie będzie zabraniał publicznego kultu.

Znowu zamilkliśmy.

—Ja osobiście nigdy tego faceta nie lubiłem.

—Ksiądz zawsze był niezdecydowany, jeśli o niego chodzi — zauważył neoprezbiter, poprawiając mnie.

—Trochę.

— Jeżeli to może być jakąś pociechą dla księdza, to Piotrowi nigdy by się to nie udało.

—Jakiemu Piotrowi?

— Wielkiemu Rybakowi. — Potrząsnął głową z rozpaczą. — No, wie ksiądz — pierwszemu papieżowi. Niech

ksiądz się zastanowi, jakby jego sprawa wyglądała w Kongregacji Rzymskiej po tym, jak sprawozdawca określiłby swoje stanowisko: był ambitny, hałaśliwy,

tchórzliwy, przechwalał się, uciekł od Jezusa i próbował kompromisu, aby przyjąć chrześcijan do Kościoła. Jestem pewien, że wówczas Paweł mówił o nim tak samo, jak teraz ksiądz mówi o kardynale McGlynnie, nawet jeśli nie miał w swym słowniku tak dosadnych określeń. Ponadto był żonaty i nie mamy żadnego dowodu, że nie sypiał z żoną po tym, jak Jezus uczynił go przywódcą swojej trzódki. Niech ksiądz pomyśli: pierwszy papież pieści się z kobietą i sypia z nią. Obecnie nikt by za nim nie głosował.

— Tak, to podobne do Skaczącego Johnny'ego—przyznałem. — Za wyjątkiem tego fragmentu o małżeństwie.

— Ale ciągle mamy tę baśniową panią Quinlan—wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem. Ona pochodzi z River Forest, jest twoją sąsiadką, prawda?

Skinał głową z uznaniem.

— Dobra sztuka.

— Jesteś za młody, aby podziwiać kobiety w jej wieku. To spowodowało, że mój neoprezbiter szczerze się roześmiał.

— Ma piękne piersi — zauważył.

— Tego nie powinieneś dostrzegać — próbowałem być surowy.

— Nie, ksiądz chciał powiedzieć, że księża pańskiego pokolenia byli przekonani, iż nie powinni przyznawać się do tego, co dostrzegają.

Tak, często szafowaliśmy tym argumentem. Jak zawsze miał rację.

— Jednak jesteś przekonany, że ta znajomość z Marbeth — zwróciłem uwagę — może uniemożliwić jego kanonizację.

— Wielu świętych miało przyjaciółki lub przyjaciół, z którymi byli blisko. Św. Franciszek i św. Klara, św. Franciszek Salezy i św. Janina de Chantal, św. Benedykt i św. Scholastyka.

— Masz na myśli przyjaźń erotyczną?

— Przecież to kobiety i mężczyźni, prawda? Jak mogło nie być w tych znajomościach jakiegoś czynnika erotycznego?

— Oni ze sobą nie sypiali — upierałem się.

— Prawdopodobnie nie—przyznał. — Ale przecież nie wiemy, czy także kardynał i pani Quinlan robili to z sobą, prawda?

— Nie, nie wiemy — zgodziłem się.

— Jednak przypuszczam... — ważył ostrożnie słowa, nie tak jak ja zakłopotany tego rodzaju możliwością — ...że to, czy z sobą spali, mogłoby być znaczącym czynnikiem przy podejmowaniu decyzji o rozpoczęciu (lub nie) procesu kanonizacyjnego — gdyby nie umarł w ten sposób.

— I cuda, Jamie Keenanie. Nie zapomnij o tych pieprzonych cudach.

Jamie skrzywił się na moje słownictwo. Mógł mówić na temat kobiecych piersi, ale nigdy nie użyłby słowa „pieprzone”. Jakim on był właściwie księdzem?

— Kłopotliwe cuda.

— Dokładnie tak powiedział kardynał. Mój neoprezbiter zastanawiał się nad tym.

— Moja matka powiedziała mi kiedyś, że już bardzo dawno przekonała się, iż Bóg ma poczucie humoru.

— Uważasz, że Bóg mógłby zrobić Skaczącego Johnny'ego świętym tylko dla rozrywki? Myślisz, że to wszystko jest komedią?

Uśmiechnął się.

— Musi ksiądz przyznać, że to śmieszne, iż spośród tylu ludzi właśnie księdza wybrano, aby prześledził jego dzieje i zbadał jego cuda.

— Posłuchaj tych pytań — powiedziałem, przerzucając kartki książki *Tworzenie świętych*. — „Po pierwsze, czy kandydat umarł śmiercią męczeńską lub czy praktykował cnoty chrześcijańskie aż do stopnia bohatera? Po drugie, jakie szczególne przesłanie, lub przykład, wniosłaby Kościołowi kanonizacja kandydata? Po trzecie, czy opinia o kandydacie, jako męczenniku lub bohaterze broniącym wartości chrześcijańskich, polega na faktach? Po czwarte, czy istnieje coś w życiu lub w pismach kandydata, co mogłoby stanowić przeszkodę w jego kanonizacji? Po piąte, czy istnieją jakiegokolwiek duszpasterskie lub polityczne przyczyny, dla których kandydat obecnie nie powinien być kanonizowany?”

— No właśnie — Jamie uśmiechnął się łaskawie, widząc moje podniecenie.

— Po pierwsze, Skaczący Johnny został zastrzelony przez pomyłkę — był to, jak oświadczyła kobieta, która go kochała, wypadek; ponadto jego życie było ledwo naznaczone cnotą bohaterstwa, prawdopodobnie nie był lepszy od jakiegokolwiek ambitniejszego biskupa. Po drugie, z jego życia można wyciągnąć następujący morał, iż ambicja i karierowiczostwo są akceptowane pod warunkiem, że na końcu dasz się zabić. Po trzecie, co prawda obecnie niektórzy myślą, że jest on męczennikiem i świętym, ale nie ma na to żadnych dowodów. Po czwarte, poza tym, że był karierowiczem i miał ambicję, wielu z nas uważało go za sukinsyna, który na dodatek całe życie utrzymywał intymny kontakt z kobietą. Po piąte, Skaczący Johnny pod koniec życia zwrócił się w stronę lewicy. Z tego powodu i z powodu Marbeth mamy wspaniałe duszpasterskie i polityczne powody, dla których nie powinno się go kanonizować.

— Ciągle jeszcze istnieje precedens Piusa XII.

— Co?

— Proszę wziąć pod uwagę fakty, szefie. — Zaczął wyliczać na palcach. — Pius XII, obojętnie z jakich powodów, siedział cicho w czasie holocaustu. Był aroganckim arystokratą, często niemile lub nawet okrutnie obchodzącym się ze swoim zespołem. Utrzymywał intymne stosunki z zakonnica, matką Pasquiliną, od czasu gdy jako młoda, ładna gosposia zaczęła służyć u niego, gdy został nuncjuszem papieskim w Berlinie. W ostatnich latach jego papiestwa miała taki wpływ na decyzje Watykanu, że nazywano ją „Papessą” i była drugą co do ważności osobą w Kościele. Żyją jeszcze tysiące ludzi, którzy to dobrze pamiętają. A jednak planuje się jego kanonizację — a nie papieża Jana, którego obecnie obwinia się za całe zło, jakie stało się w Kościele.

— Czy to wszystko prawda?

— Oczywiście, nikt temu nie zaprzeczył.

— I byli kochankami?

Mój neoprezbiter uniósł brwi i spojrzał bardzo mądrze, tak jakby miał jakieś dziewięćdziesiąt lat.

— Czy się kochali? Naturalnie, że tak. Czy ona go ucłowieczyła? Niewątpliwie. Czy ze sobą spali? Bardzo w to wątpię. Ale w tego rodzaju sprawach nigdy nie ma dowodu.

— W porównaniu z nim Skaczący Johnny wypada całkiem nieźle.

— Normy są elastyczne. Fakt, że byłeś wielkim papieżem, przesłania wiele innych. Istnieje głębokie przekonanie, że Pio Nono miał kochankę, zanim został księdzem — większość kleryków miewało kochanki podczas służby cywilnej w Papieskim Departamencie Stanu.

Gdzie ten chłopak zebrał tyle skandalicznych informacji i dlaczego traktuje je tak lekko? Pewnie doszedł do wniosku, że gdyby Pan Jezus chciał Kościoła wolnego od ludzkich słabości, to powierzyłby go raczej aniołom.

—Jakiego rodzaju ludźmi są ci sprawozdawcy i konsultanci?

— W większości uczą w rzymskich seminariach. Może nie są najinteligentniejszymi ludźmi na świecie, ale nie są to też głupcy. Są gotowi zaakceptować decyzje papieża, nawet jeśli — tak czy inaczej — przeczyłyby ich śledztwu. Jednak są kompetentni i uczciwi. Skłamałoby tylko dla dobra Kościoła.

—A lekarze?

— O nich wiadomo tylko tyle, że w ogóle nie są skorumpowani, nawet dla dobra Kościoła.

— Wracamy więc do cudów — westchnąłem. — Do cudów, które są tak bardzo kłopotliwe, jak powiada obecny kardynał.

—Ksiądz nie wierzy w cuda?

— Nawet Marbeth powiedziała, że nie wie, jak to wyjaśnić. Położenie krzyżyka, który Johnny nosił na piersiach, na oku dziecka było pomysłem Nancy, a nie jej.

— Ona, tak jak ksiądz, jest agnostyczką, jeśli chodzi o cuda. Ale trzeba przyznać, szefie, że istnieje bardzo dużo uleczeń, których medycyna nie umie wytłumaczyć.

— Cud... — wbiłem pięty w podłogę — ...jest czymś, co Bóg czyni, gdy tego chce.

Jamie potrząsnął głową.

— Wolę definicję teologiczną — cud to znak, którego nie może wyjaśnić medycyna i wydaje się objawiać przy pomocy wstawiennictwa czcigodnego Sługi Bożego.

—Skaczącego Johnny'ego McGlynnna.

— Nie można zaprzeczyć, że nosił na piersiach ten krzyżyk i że miał go, gdy został męczennikiem.

— Kiedy go zastrzelono.

— Wszystko jedno.

— Cały kłopot polega na tym, Jamie Keenan... — trąciłem stolik, wywracając szklanę z mrożoną herbatą — ...że cuda to jest to, co po drugiej stronie ten sukinsyn bardzo lubiłby robić. Taka sztuczka dokładnie do niego pasuje.

Dobiegła końca wieczorna rozmowa proboszcza z jego wikariuszem. Jamie udał się do swego pokoju. Wyłączyłem Mozarta, pomodliłem się o wskazówkę, do czego — jak sądziłem — miałem pewne prawo, i położyłem się spać.

Nora zwinęła się przy łóżku i natychmiast zasnęła. Ja nieco dłużej szukałem zapomnienia.

Nie było to jednak zapomnienie całkowite. Śniłem o Marbeth.

Moja rozmowa z Jamiem Keenanem była interesująca i — jak zwykle — pouczająca. Ale jak dotąd nikt nie polecił mi otwierać łomem trumny Johnny'ego McGlynn. Moje zadanie polegało na sprawdzeniu jego przeszłości — sporządzeniu czegoś wstępnego, zanim nowy kardynał poleci coś tak drastycznego i dramatycznego jak ekshumacja.

Usiłowałem tylko poskładać w jedną całość życie Johnny'ego i mając własne doświadczenie z naszym nowym kardynałem, zwracałem szczególną uwagę na pięć wątpliwych problemów. Rozmawiałem z Mary Elizabeth Quinlan. Niewątpliwie będę musiał znowu z nią porozmawiać. Ale w tej chwili zdecydowałem, że powinienem sprawdzić inne źródło, które może potwierdzić wiele z tego, co dowiedziałem się od Mary Elizabeth. Lub temu zaprzeczyć. Tak więc z mieszaniną ciekawości i wątpliwości — ciągle nienawidząc tego, co robię — postanowiłem spotkać się z młodszą siostrą Skaczącego Johnny'ego, najlepszą przyjaciółką Mary Elizabeth z lat dzieciństwa, z Kate McGlynn Crowley.

Dwa dni później pojechałem do eleganckiego mieszkania Kate na North Shore. Wprowadziła mnie do obszernego, pięknie urządzonego salonu, którego niebieskie zasłony wspaniale konweniowały z rozpościerającym się za oknami błękitem jeziora Michigan. W trzech ścianach pokoju były okna od podłogi do sufitu.

— Czy będzie księdzu przeszkadzać, jeśli zapalę?—Kate McGlynn Crowley sięgnęła niecierpliwie po stojący przed nią na stole srebrny pojemnik z papierosami. — Wiem, że nie powinnam palić, ale mamy tak dużo problemów.

Nie lubię tego, pomyślałem, wprost nie znoszę, ale powiedziałem tylko:

— Absolutnie nie.

Zapaliła papierosa pozłacaną zapalniczką. Ruch ten zainicjował długi łańcuch nieustannego zapalania papierosów podczas rozmowy.

— Wybaczyłam memu bratu, Johnowi, wiele rzeczy. Próbuję kochać go tak mocno jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Jednak czuję, że muszę księdzu wyjawić dowody, które uczynią jego kanonizację niemożliwą.

— Właśnie tego rodzaju informacje mnie interesują, Kate.

Była szczupłą, zadbaną kobietą. Nic jednak nie zostało z jej zdrowego, naturalnego, młodego piękna, jakie pamiętałem z czasów Willi.

Jej blond włosy były rezultatem zbyt intensywnych płukanek, a jej sztuczny, wymuszony głos i oczy pełne napięcia przeczyły wizerunkowi matrony podmiejskiej elity, co prawdopodobnie miał podkreślać bladoniebieski kostium.

— Czy ma ksiądz czas, żeby wszystkiego wysłuchać? — spytała prawie z matczyną łagodnością. — Nie chciałabym księdza zbyt angażować.

— Oczywiście, Kate. Od tego są księża.

Zanim przyjechałem na North Shore, wygrzebałem pamiątkową księgę, opublikowaną przez archidiecezję w dniu, gdy wyniesiono Johnny'ego na purpurata. Znajdowały się w niej zdjęcia Cordelii Meehan McGlynn. Jak taka ładna dziewczyna mogła się przeistoczyć w tak nieprzyjemną, despotyczną kobietę? Co się stało z tą miłą osobą?

Jedno ze zdjęć pochodziło z końca lat dwudziestych, sądząc po jej fryzurze i sukni. Trzymała na rękach ochrzczonego Johna Arthura McGlynn. Zza jej ple-

ców wyglądał Jimmy, miał wtedy prawie dwa lata i już wtedy na jego twarzy malowała się niechęć.

Młoda matka była piękniejsza niż przed laty jako panna młoda; dumna z synów, z rodziny, ze swojej płodności. Czy już wtedy objawił się w niej demon? Demon władzy i chęci pozyskania szacunku społeczeństwa? Z kim rywalizowała? Pieniądzy miała więcej, niż potrzebowała. Według zamieszczonego w księdze krótkiego życiorysu, już wtedy należała do Cór Izabelli (kobieca odmiana Rycerzy Kolumba) i wchodziła w skład rady Katolickich Organizacji Charytatywnych — niemałe osiągnięcie, jak na dwudziestopięcioletnią dziewczynę.

Zgodnie z biografią spotkała się z Doktorem w klubie Rycerzy Kolumba w Twin Lakes, Wisconsin, gdzie w latach dwudziestych związało się wiele małżeństw z West Side. Jej ojciec, John Arthur „Jack” Meehan, zajmował się finansowaniem inwestycji na La Salle Street.

Trzecie zdjęcie, którego nigdy przedtem nie zauważyłem (ponieważ nigdy nie zaglądałem do tej książki), pochodziło z Willi i zrobiono je w 1952 roku na werandzie w czasie przyjęcia — John, Mick, Delia, Kate i jakaś młoda kobieta, której imię nie zostało wymienione. Wziąłem szkło powiększające. Oczywiście, to była Mary Elizabeth. i To zdjęcie z pewnością zrobiono w dniu meczu Watersneet. Marbeth ubrana była tak samo jak wtedy, gdy siedziała obok mnie na ławce. Przypomniałem sobie wpływający przez okna do mojego pokoju zapach sosu. Czuję, że pocą mi się dłonie.

Przesunąłem szkło na Delię. Była ciągle przystojna, ale śmiało mogła pozbyć się dziesięciu funtów. To spostrzeżenie, jak uświadomiłem sobie z przygnębieniem, było refleksją człowieka, który teraz miał dziesięć lat więcej niż ona wtedy, a nie chłopca, który nie dostrzegał piękna u kobiet powyżej f trzydziestki.

Rok później owdowiała, a w dwa lata potem jej wielkie I marzenia legły chwilowo w gruzach, gdy kardynał nie przyjął jej syna do Kancelarii ani nie wysłał na dalsze studia do Rzymu.

Łatwo mogła powtórnie wyjść za mąż i może byłaby szczęśliwsza, jednak zamiast tego resztę życia poświęciła na windowanie syna w kościelnej karierze, aby w końcu zapaść na chorobę Alzheimera i nigdy nie móc się cieszyć jego ostatecznym triumfem.

Kiedy tak wspominałem tę uśmiechniętą pannę młodą, moje myśli przerwała Kate:

— Czy pozwoli mi ksiądz opowiedzieć wszystko po swojemu, bez pytań i przerywania? — Przerzucała jakieś papiery i listy leżące przed nią na stole.

— Oczywiście.

— Bardzo mi ich brak, proszę księdza.

— Rodziców?

— Och, nie... Johna i Marbeth.

TLR

KATE

TLR

12

— Dzieciństwo wspominam jako szczęśliwy okres mego życia. Jednak już wtedy gdzieś na horyzoncie wisiała chmura, choć nie zaciemniała szczęścia.

Najważniejszymi dla mnie ludźmi byli—mój brat i przyjaciółka Marbeth Reilly. Straciłam oboje i teraz potwornie mi ich brak.

— Na zawsze pozostaniemy przyjaciółkami — powiedziałam tego dnia, gdy kończyłyśmy szkołę św. Łukasza.

— Oczywiście, że będziemy na zawsze przyjaciółkami— odparła zasadniczym tonem, którego zawsze używała, kiedy byłam przestraszona lub płaczliwa. Różnica między mną a Marbeth polegała na tym, że ona była beztroska w swych dziecięcych radościach, podczas gdy ja słyszałam już pierwsze pomruki burzy.

Odkąd tylko sięgam pamięcią, zawsze razem się bawiliśmy. Zawsze też była w naszym domu, ponieważ kochała moją mamę, śpiew, taniec i opowieści —jej matka była kobietą cichą, chociaż tylko samo niebo wie, ile hałasu czynili jej bracia.

— Czy muszę już iść do domu, ciociu Deal? —pytała.

— Idź już, mały diabełku... Przecież twoja mama może pomyśleć, że porwali cię kidnaperzy.

Szła więc do domu, a ja zostawałam pogrążona w smutku i tęsknocie.

— Nie martw się, dziecko—mówiła mama. — Przecie wiesz, że nie jedzie do Timbaktu, tylko idzie dwa domy dale I jeśli się nie mylę, jutro już od rana będzie u nas na frontowej werandzie.

Marbeth lubiła przygody. Łaziła po drzewach i nam; wiała, żebym robiła to samo. Dawała mi kradzione papieros Rzuciała kulami ze śniegu w chłopców. Flirtowała z chłopcami, a potem opowiadała mi, jakie to cudowne. Pewnego dnia ubrała się w dwuczęściowy kostium kąpielowy i namawiała, żebym włożyła taki sam.

— Masz wspaniałą figurę, Kate — mówiła, gdy przymierzałam w sypialni jej kostium. Nosiliśmy dokładnie te same rozmiary. — Pocięknij im na twój widok ślinka.

— Jeśli o mnie chodzi, to nie chcę, żeby im ciekła ślinka — powiedziałam z powątpiewaniem, ale oczywiście robiłam to, co ona chciała, chłopcy gapili się na mnie, a ja byłam z siebie dumna.

Ja również kochałam Johnny'ego. On nie był taki jak Jimmy lub Mick, którzy myśleli, że ich młodsza siostra to nudziara albo ktoś, kto ich stale drażni. Johnny był miły i rozmawiał ze mną, jakbym była dorosła albo co najmniej w jego wieku. Później, kiedy wstąpił do seminarium, oddalił się ode mnie, ale nadal go kochałam, chociaż nigdy mu tego nie powiedziałam.

Kiedy zjawiłam się na molo jeziora Geneva w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, nikt z mojej rodziny nawet nie zauważył mego istnienia.

Stałam tam, czując się tak, jakbym paradowała w biustonoszu i pasku od pończoch, chcąc i zarazem nie chcąc być dostrzeżona. Gorszy od wyśmiania był fakt, że mnie zlekceważono. Jednak gdy Johnny zagwizdał w sposób wyrażający podziw i uznanie, byłam skłonna zniknąć z powierzchni ziemi.

— Pewnie Marbeth namówiła cię na to? — zapytał.

— Tak — byłam potwornie skrepowana, ale równocześnie zadowolona.

— Bardzo dobry pomysł uśmiechnął się.—Wy dwie jesteście najpiękniejszymi dziewczynami nad jeziorem Geneva.

Doktor był zbyt zapracowany, aby odwiedzać nas latem, ale ilekroć znajdował się w pobliżu, zawsze był dla mnie miły. Przynosił mi cukierki, lody i nazywał małą księżniczką. Adorowałam go, bo on zdawał się adorować mnie. Miał taki cudowny uśmiech i taki łagodny, miły głos.

Tak więc miałam wszystko: wesołą matkę, ojca, który był dla mnie miły, brata traktującego mnie jak rówieśniczkę — i nierozłączną przyjaciółkę. Miałam też dużo pieniędzy, dbające o mnie służące, wymarzone sukienki, kupowane u Fielda w Oak Park, wspaniały letni dom i odkrytego chevroleta, którego dostałam na szesnaste urodziny.

Ale pod powłoką tego wszystkiego nic nie układało się tak dobrze, jak się wydawało. Kiedyś, gdy byłam jeszcze bardzo mała, znalazłam na piętrze mamę głośno płaczącą.

Objęłam ją i błagałam, żeby mi powiedziała, co się stało.

— Bez względu na to, jak będziemy się starać, kochanie, i tak nigdy nie będziemy dość dobrzy — szlochała. — Staramy się, staramy, a to i tak na nic się nie przydaje.

Podsumowując, byliśmy bogatsi od sąsiadów, włączając w to Reillych, ale równocześnie nie byliśmy wystarczająco dobrzy. Przynajmniej mama tak uważała.

Doktor był jedynakiem. Jego rodzice pobrali się późno. Dziadek miał powyżej czterdziestki, a babka grubo po trzydziestce. Oboje byli starsi od Doktora, gdy żenił się z moją mamą. Wtedy taki był zwyczaj w Irlandii.

Oboje byli, jak określiłby mój mąż — kochany, wspaniały człowiek — Irlandczykami w koronkach, bardzo spokojni, szanowani i subtelni. Dziadek także był lekarzem. Brał udział w wojnie secesyjnej. Pradziadek również — był chirurgiem wojskowym, zginął na wojnie. Tak więc ze strony ojca rodzina miała długą, szacowną historię.

Kiedyś mama poważnie rozgniewała się na Doktora i krzyknęła:

— Myślisz, że jesteś kimś lepszym ode mnie, ponieważ twoja rodzina zawsze miała pieniądze!

— Naprawdę nie jestem kimś lepszym, kochanie — powiedział Doktor, jak zwykle charakterystycznie zmieszany. — Ja po prostu odebrałem tylko lepsze wychowanie.

Doktor cuchnął szpitalem, zapach antyseptyków i lizolu tłumił przyjemniejszą woń dobrej whisky.

— I dlatego możesz robić, co chcesz? — krzyczała mama. — Bo jesteś w stanie zapłacić za wszystkie kłopoty i awantury?

— Czy był chociaż jeden, za który nie zapłaciłem? Był?

— Jesteś aroganckim snobem.

— Sądzę, że raczej nie, kochanie. To nie moja wina, że nie wychowywałem się na zapleczu podrzędnej knajpy.

Innej awantury między nimi nie pamiętam. Byli dla siebie bardzo uprzejmi. Mama szanowała jego zdolności i pozycję, a on traktował ją jak hrabinę, i sądzą, że robił to bardzo szczerze.

Rodzina Doktora już wcześniej miała pieniądze. On także zarabiał dużo i mądrze inwestował — jak mi mówił mój mąż — ale tak jak stary Joe Kennedy, wycofał się, zanim załamał się rynek w roku 1929. Mama nigdy nie mogła zapomnieć swojej przeszłości, rozluźnić się i cieszyć życiem. Obsesyjnie bała się tego, co pomyślą ludzie. Wyrzucała z pracy służbę, zauważywszy najmniejszy ślad kurzu, krzyczała na nieodpowiednio ubrane dzieci, albo niepoczyszona płakała, gdy wieczorne przyjęcie nie wyszło tak, jak je sobie wyobrażała.

Zawsze utrzymywała, że jej ojciec był brokerem z La Salle Street. Ale to była bzdura. Był posłańcem. Załatwili mu to przyjaciele, gdy prohibicja zrujnowała jego bar. Mam przed sobą starą fotografię, którą mama zapomniała spalić; na szyldzie widnieje napis: JACK MEEHAN'S SALOON — dużymi, tłustymi literami. Na 31. i Wentworth, dokładnie w środku Bridgeport. Albo raczej — jak brzmi prawdziwa nazwa — w Armour Square Park.

Był imigrantem i ciężko pracował, aby kupić ten bar. A potem jeszcze ciężiej, stojąc z żoną za kontuarem. Prohibicja zniszczyła dorobek jego życia.

Umarł przed moim narodzeniem. Był z niego przystojny mężczyzna, ze wspaniałymi, białymi zębami, bujnymi, czarnymi wąsami i o uroczym uśmiechu. Czasami myślę, że cała żywotność mojej rodziny pochodzi od mego.

Mama, zanim zachorowała, często powtarzała, że ani jej matka, ani ojciec nigdy nie bywali u niej w River Forest. Wstydziała się ich. A teściowa nie pozwoliła jej pozbyć się tego wstydu.

Ostatecznie problem mamy nie polegał na jej pochodzeniu, tylko na tym, że nie potrafiła o tym zapomnieć, a także na fackie, że Doktor musiał się z nią ożenić, ponieważ była w ciąży.

Innym rodzinnym problemem były flirty Doktora. Kiedy przebywaliśmy w Willi latem 1952, mama, Johnny, Marbeth i ja, zdarzyło się, że Doktor oznajmił, iż ma zbyt wielu pacjentów, aby zostać nad jeziorem dłużej aniżeli kilka dni, a ponadto jedzie jeszcze na zjazd Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego.

Przed jego wyjazdem zostałam sama w domu. Zadzwoił telefon i ja go odebrałam.

— Poproszę doktora Jamesa McGlynn — odezwał się daleki, wytworny głos kobiety.

— W tej chwili doktora nie ma.

— O Boże... to przykre. Czy można prosić o przekazanie, aby zatelefonował do San Francisco?

— Dobrze, proszę pani.

— Pani jest jego pielęgniarką?

— Nie, córką.

— O, to interesujące.

Nie miała głosu ladaczniczy, ale wtedy i tak nie wiedziałam, jak brzmi głos ladaczniczy.

Tego wieczoru przy kolacji przekazałam mu tę prośbę w obecności mamy i innych osób zgromadzonych przy stole. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

— Niewątpliwie chodzi o moją rezerwację na zjazd ASM w San Francisco — powiedział.

Mama nawet nie mrugnęła okiem.

Rano zatelefonowałam do ASM. Tego roku zjazd odbywał się w Waszyngtonie. Widocznie umówił się w Kalifornii z jedną z tych swoich kobiet.

Wiedziałam, że zabawiał się z innymi kobietami. Może nawet zaczynałam już sobie zdawać sprawę, na czym to polega.

W jaki sposób miałam sobie wytłumaczyć okresy jego nieobecności w domu w czasie, gdy dorastaliśmy? Kiedy byliśmy dziećmi, w sąsiedztwie mieszkali również inni lekarze, ale żaden z nich nie bywał tak często i tak daleko od domu, jak Doktor. Nigdy nie mówiło się na ten temat. Jednak po jakimś czasie wiedziało się, że z tym małżeństwem jest coś bardzo nie w porządku.

Mama udawała, że nic się nie dzieje, ale zaczęła pić wino w czasie lunchu i kłaść się po południu na długie drzemki. Najgorsze, że ambicje, jakie miała, jeśli chodzi o synów, zmieniły się z łagodnej nadziei w prawdziwą obsesję.

Z początku było to nawet zabawne, że mama bawi się w faworytów. „No— mówiła — Jimmy jest faworytem Doktora, ponieważ też będzie lekarzem. A Johnny jest moim faworytem, ponieważ zostanie księdzem.”

Nawet wtedy, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, w kółko słyszałam to okropne stwierdzenie. Mick był z tego; wyłączony, on miał zostać politykiem. No i oczywiście ja, ponieważ byłam tylko dziewczynką. *I*

Dan Crowley, mój mąż, mówi, że niektórzy starzy Irlandczycy często zabawiali się w takich faworytów, ponieważ nie starczało pieniędzy dla wszystkich. Faworyzowane dziecko mogło zostać w Irlandii. Reszta musiała emigrować do Ameryki. Ale myśmy mieli mnóstwo pieniędzy i nie było powodu, aby w ten sposób limitować miłość.

—Dlaczego więc mama bawiła się w to? — zapytałam męża.

— Zwyczaj. — Wzruszył ramionami. — Również jej matka tak robiła. Założyła się, że to ona była faworytką swej matki.

— Dla mnie to i tak nie ma żadnego znaczenia.

— No, ale ty jesteś moją faworytką. — Objął mnie. — I zawsze nią będziesz.

Mam wrażenie, że mój mąż miał rację. Mama obawiała się, że skoro tylko spuści z tonu, przestaniemy próbować dowodzić, że jesteśmy lepsi od innych. Pędziliśmy przez życie, walcząc o miłość mamy, pokazywaliśmy, że jesteśmy lepsi od innych, ale sukces odniósł tylko Johnny. Ja też próbowałam, ale kiedy straciłam Buda Quinlana, poddałam się. Jimmy i Mick przestali walczyć, gdy byli nastolatkami. Jimmy nigdy nie był dobry w szkole.

— Nie jesteś głupi, Jimmy — mówiła krzywiąc się. — Wcale nie. Ale po prostu nic nie robisz. Myślałam, że pomoże ci nazwisko i wpływy Doktora. Pozwól, że ci coś powiem: jeżeli nie będziesz się starał, nic ci się nie uda.

— Będę mógł spędzać więcej czasu z moimi dziećmi — odpowiedział jej kiedyś.

Uderzyła go z całej siły w twarz i wybiegła z pokoju, płacząc.

Nie był też za dobrze zbudowany, jednak próbował bez powodzenia uprawiać sport. W Fenwick próbował wszystkiego — footballu, koszykówki, lekkoatletyki, pływania — ale nigdy nie był pierwszy.

Potem nie widywałam zbyt często Jimmy'ego. Kiedy już spotykaliśmy się, zawsze walczyliśmy o schedę po mamie. Dużo pije i nie wie mu się na giełdzie. Ale, tak jak przyrzekł, jest dobrym mężem i ojcem. Nie wiem, jak Loretta z nim wytrzymuje, jednak w pewnym sensie wydają się być szczęśliwi. Czy to nie dziwne?

Biedny Mick byłby dobrym sportowcem, gdyby naśladował Johnny'ego, a nie Jimmy'ego. Będąc jeszcze w ósmej klasie, co wieczór pił, ale nie był na tyle sprytny, aby się z tym kryć, tak jak Jimmy. Na pierwszym roku za bijatykę po pijanemu w szatni wyrzucono go z drużyny footballowej w Fenwick. Trener powiedział, że gdyby choć trochę popracował nad sobą, byłby jednym z lepszych w miejscowych drużynach, a nawet w całym stanie.

— Dlaczego bardziej się nie starasz? — dopytywała się mama po rozmowie z trenerem. — Gdybyś zabrał się do roboty jak należy, byłbyś dobrym sportowcem i dobrym uczniem.

— Myślę, że chyba miała rację. Mick był bardzo zdolny. Chciał jedynie być tym, kim jest — złapać się polityki i bez wysiłku zarabiać na dostatnie życie.

Wie ksiądz, co powiedział tego dnia mamie? Powiedział: „Mamy już jednego bohatera w rodzinie i nie potrzebujemy drugiego”.

Chłopcy też żywili urazę do Johnny'ego. Jednak on potrafił ich oczarować. Nie mogli go nie lubić, chociaż bardzo się o to starali. Co o tym wszystkim myślał Johnny, nigdy się nie dowiemy. Kiedy matczyne ambicje przeszły już wszelkie granice, był zajęty konfrontacją własnych obaw o powołanie z namiętnością do Marbeth. Czy rzeczywiście był powołany przez Boga, czy może bał się rozczarować Delię?

— Nie obchodzi mnie, co twoja mama mówi—upierała się Marbeth od chwili, gdy ukończyła pięć lat. — I tak wyjdę za niego.

— Ale on będzie księdzem.

— Tylko dlatego, że ona tego chce.

Gdyby Johnny nie poświęcał jej tyle uwagi, byłaby to jedynie zwykła fascynacja uczennicy. Darzył ją niemal uwielbieniem, była taka ładna i mądra. Tego lata, gdy byliśmy już w młodszej klasie gimnazjalnej, rzuciła się Johnny'emu w ramiona, pieścili się w Thatcher Woods, nad jeziorem Geneva i coraz śmielej uprawiali petting.

— Odciągnę go od niej, zaczekaj... a zobaczysz — powiedziała do mnie i zacisnęła usta.

— Od Boga też?

Te słowa osłabiły jej entuzjazm.

— Jeżeli Bóg go chce, nie będę z Nim walczyła — odparła. — Ale nie jestem co do tego przekonana.

Co sądziłam o tym szalonym flircie? Byłam zafaną przyjaciółką i nie zniechęcałam jej. W istocie nasze życie byłoby lepsze, gdyby Marbeth wyszła za Johnny'ego. Byłam przekonana, że do siebie pasują. A poza tym oboje byli ciągle moimi przyjaciółmi.

Tego lata powiedziałam do niego:

— Johnny, jesteś pewien, że nie chcesz ożenić się z Marbeth?

Jedliśmy lunch na moło — coca-cola, sandwicze i lody. Był pochmurny, duszny dzień, rodzaj pogody, która zawsze wpływa na mnie deprymująco.

Wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

— Ożenić się z nią, Kate?

— Tak. Nie sądzisz, że byłaby dobrą żoną? Zastanawiał się nad tym, jakby mu to pierwszy raz wpadło do głowy.

— Przypuszczam, że tak.

— Przypuszczasz?

— Jest bystra, atrakcyjna, wesoła — powiedział z powątpiewaniem.

— Ale?...

— Ale trzeba jej mężczyzny, który potrafiłby się jej przeciwstawić!

— Myślisz, że nie mógłbyś tego zrobić? Zagłębił łyżeczkę w lodach.

— To mogłoby być zabawne — uśmiechnął się do mnie. — Nie byłoby nudno, tego jestem pewien... Prosiła cię, żebyś mnie o to spytała?

— Naturalnie, że nie! — zaprzeczyłam wyniośle.

— To interesująca możliwość — przyznał. — Ale nie dla mnie. Jak dobrze wiesz, mam zostać księdzem.

— Jesteś pewien?

— Jestem pewien.

Ale nie zabrzmiało to zbyt pewnie. Przez resztę dnia był bardzo zamyślony, tak jakby jego myśli krążyły wokół Marbeth i wyobrażał ją sobie w roli swojej żony.

Ale Marbeth przegrała, wygrała mama, Johnny został księdzem i tak to się skończyło. Czy Bóg też wygrał? Wątpię. Nie sądzę, żeby Johnny miał kiedykolwiek powołanie. Od początku do końca było to powołanie mamy.

Czy jestem pewna, że Johnny i Marbeth byli kochankami?

Nie byli do czasu jego wyjazdu do Rzymu. Może tego lata, gdy miałyśmy po osiemnaście lat i pojechałyśmy do Eagle River po maturze w Trinity. Wtedy naprawdę latała za nim i robiła wszystko, do czego tylko zdolna jest kobieta, aby wciągnąć mężczyznę do łóżka. Powiedziała, że ją odepchnął.

Może tak, może nie, tego nie jestem pewna.

Wiem, że byli kochankami po jego powrocie do Chicago. Jak kobieta i mężczyzna mogą ze sobą żyć tak blisko i nie zostać kochankami?

Niemniej znowu wyprzedzam fakty. Tego lata 1951 roku — kiedy obie miałyśmy po szesnaście lat i śpiewałyśmy piosenki z Południowego Pacyfiku, a ona rzucała się w objęcia Johnny'ego — tego właśnie lata napastował mnie Doktor.

13

Kochałam Doktora. Był dla mnie miły i hojny. Tuliłam go i całowałam, gdy pojawiał się w domu, a on śmiał się i głaskał mnie delikatnie. Nie uważałam, że jest w tym coś złego. I A potem... potem to się stało. Próbowałam to wyprzeć, odgrodzić się od tego wielkim murem, ale kiedy o tym myślałam, mówiłam sobie, że... no, że sama jestem winna, ponieważ go sprowokowałam.

Zdarzyło się to w dniu, gdy nad jezioro przyjechała grupa przyjaciół Johnny'ego z seminarium, aby zagrać w golfa, Marbeth i ja musiałyśmy przeżyć jeden z tych okropnych lunchów, które zwykle organizowała mama z panią Reilly. Wreszcie jakoś się wydostałyśmy. Na polu golfowym spotkałyśmy Johnny'ego z przyjaciółmi i świetnie bawiłyśmy się z nimi przy kolacji. Przebywanie z dwójgim moich najlepszych przyjaciół, jak zwykle w tych dniach, napawało mnie szczęściem.

W ten weekend niespodzianie przyjechał Doktor. Telefonicznie wezwał szofera na stację. Było to dla nas pewnego rodzaju zaskoczenie, ale wszyscy cieszyliśmy się, że będzie z nami... albo udawaliśmy, że się cieszymy.

Było późne popołudnie. Mama ucięła sobie drzemkę, jak zwykle po lunchu. Chłopcy gdzieś znikli. Chyba poszli grać w football, a Marbeth przyglądała się grze w golfa — tego lata była zawsze wszędzie tam, gdzie Johnny. Siedziałam w pagodzie w pobliżu jeziora, w obcisłej bluzce włożonej na dwuczęściowy kostium kąpielowy i czytałam Faulknera Requiem dla zakonnic. To Marbeth po przeczytaniu dała mi tę powieść, ale nie mogłam jakoś zorientować się, jaki tkwi w niej podtekst. Był to jeden z tych ostatnich pięknych dni sierpnia, nie było gorąco, niebo było bezchmurne, lekki wietrzyk marszczył powierzchnię jeziora. Zdaje się, że przysnęłam.

Nagle zjawił się Doktor. Był czerwony na twarzy i zanim pochylił się, aby mnie pocałować, poczułam zapach whisky, kiedy otworzyłam oczy, zorientowałam się, że jest pijany, miał zaczerwienione oczy i bełkotał. Kiedy lepiej się przyjrzałam, zauważyłam, że jego oczy są przekrwione, ale bardziej, niż byłyby od picia. Czyżby płakał?

Usiadł obok mnie, wziął z mojej ręki książkę, tak jakby rzeczywiście interesowało go, co czytam. Potem upuścił książkę na podłogę i ukrył twarz w dłoniach.

— Myślałem, że to będzie łatwy przypadek — wyszeptał. — Zwykły wyrostek. Ale potem nagle wszędzie pojawiła się krew, której nie mogłem zatamować. Widocznie niechcący przeciąłem aortę. Był tylko dzieckiem. Młodszy od naszego Johnny'ego. Umarł i musiałem o tym powiedzieć rodzicom. Objęłam go i mocno przytuliłam, próbując ulżyć jego cierpieniu. Nigdy nie widziałam ojca w takim stanie. Nawet wtedy, gdy pił, zawsze panował nad sobą. — Jeden z praktykantów powiedział, że byłem pijany, ale to nieprawda. Na Chrystusa, to było przed lunchem.

— Oczywiście, że to nieprawda — powiedziałam, przyciskając go mocniej. Ale nawet mając szesnaście lat, zdawałam sobie sprawę, że nocne picie było przyczyną drżenia rąk. Tuliłam go jednak do siebie, próbując pocieszyć w ten sam sposób, w jaki mama pocieszała nas, gdy byliśmy mali.

Uniósł gwałtownie ręce. Pocałowałam go delikatnie w policzek. Spojrzał na mnie, jego oczy wydawały się puste, bez wyrazu, tak jakby myślał o przeszłości, która już nie istnieje. Westchnął i objął mnie. Przez chwilę siedzieliśmy spokojnie, a potem wzmocnił uścisk i jakiś inny wyraz przemknął przez jego twarz.

— Delia, Delia — płakał. — Czy wszystko ma być zniszczone?

Nagle zaczął mnie całować, rozdzielając wargi językiem. Walczyłam desperacko, próbując się wyrwać, ale to działało się jak we śnie, jak w jakimś koszmarze. Nie mogłam oderwać się od niego, nie mogłam go odepchnąć. Zachowywał się tak, jakby pomylił mnie z jedną ze swoich dziwek, albo jeszcze gorzej, jakby pomylił mnie z tą młodą żoną, którą kiedyś kochał — z moją matką.

Rozpiął górę kostiumu kąpielowego; błądził palcami po piersiach. Czułam, jak w plecy wbija mi się twardy płot pagody. Próbowałam krzyczeć, ale wilgotne usta zakryły moje wargi i zsunął mi do kolan majteczki kostiumu. Ogarnął mnie dławiący strach. Czułam go twardego przy sobie. Potem wszedł we mnie. Przeszył mnie straszny ból. Wreszcie krzyknęłam. Krzyczałam i krzyczałam, po trzech krótkich wbiciach wszystko się skończyło.

Spojrzałam na jego twarz i zobaczyłam, że mój ojciec nagle zdał sobie sprawę, że to byłam ja, jego Kate. Przez twarz przemknął mu wyraz bezbrzeżnej męki. Nigdy nie widziałam człowieka tak cierpiącego.

— Nie chciałem... nie zdawałem sobie sprawy... — Próbował zapiąć spodnie.

Potem odszedł.

Z pewnością poszedł prosto do auta i wyjechał do Chicago, ponieważ tego weekendu już go nie widzieliśmy.

Potem, jak mi się zdawało, leżałam przez wiele godzin na podłodze pawilonu. Wreszcie przestraszyłam się, że ktoś przyjdzie zawołać mnie na kolację. Z trudem włożyłam kostium i bluzkę. Ale minęło jeszcze dużo czasu, zanim zdecydowałam się wrócić do domu i pójść do mego pokoju.

Ponad godzinę stałam pod prysznicem. Jak mogło do tego dojść? Co ja takiego zrobiłam, że tak się stało? Przerazona, że wszyscy, patrząc na mnie, domyślały się, co się stało, wezwałam pokojówkę i powiedziałam, że boli mnie żołądek i nie będę mogła zejść na kolację.

Później mama przyniosła mi herbatę i tosty. Zapytała, czy widziałam Doktora, i wtedy zaczęłam drżeć. Powiedziała, że byłoby to dziwne, gdyby Doktor wrócił pociągiem, skoro szofer jechał autem do Chicago.

Zaczęłam spazmatycznie szlochać, coraz bardziej histerycznie. Nie mogłam wydobyć głosu. Do dziś nie jestem pewna, ile jej powiedziałam, ale pamiętam, że nagle wstała i uderzyła mnie w twarz.

— Musiało ci się to śnić — rzekła. — Ohydny, brudny sen, ponieważ sama jesteś ohydną, brudną dziewczyną.

Mówiąc to, wstała z mojego łóżka i wyszła z pokoju. Nikt już więcej nie mówił o tym incydencie. Następnego dnia nie poszłam do komunii. Johnny zauważył to i spytał, co się stało. Próbowałam mu powiedzieć, ale nie mogłam dobrać właściwych słów. Johnny wydawał się zakłopotany, a później przejęty. Udawał, że nie rozumie, co próbuję mu powiedzieć. Po kilku minutach oznajmił, że musi już iść, tłumacząc się spotkaniem z Marbeth. I nie pocieszył mnie. Zastanawiałam się gorzko nad tym, czy gdyby nie był tak nią zajęty, zająłby się moimi problemami?

Nikomui więcej o tym nie mówiłam. Dopiero przed dwoma laty, kiedy na temat podobnych wypadków tyle pisano w prasie, pewnej nocy impulsywnie opowiedziałam o tym Danowi. Znalazł mi wspaniałego terapeutę. W ciągu tych dwóch lat bardziej dojrzałam, niż przez całe dotychczasowe życie.

Potem próbowałam o tym powiedzieć księdzu w konfesjonale, ale był na mnie wściekły, z uporem twierdził, że to na pewno była moja wina. Dał mi jednak rozgrzeszenie. To tyle, jeśli chodzi o oświecony pogląd Kościoła na nieprzyzwoite wykorzystanie dziecka.

Jednak to Johnny powinien był mi pomóc, a nie spędzać reszty lata, zabawiając się z Marbeth. Właśnie wtedy zaczęłam do nich żywić niechęć. I to straszne popołudnie w pagodzie. Odtąd już zawsze bałam się przebywać w pobliżu Doktora. I chociaż od tamtego czasu nigdy więcej mnie nie dotknął, strach pozostał.

Pod koniec lata próbowałam porozmawiać z Johnnym o sprawach rodzinnych. Nie o tym, co zrobił mi Doktor, ale o jego kobietach, o rosnącym obłędzie mamy i o tym, że zawsze był jej faworytem.

— Szczerze mówiąc, Kate — powiedział — nigdy tego nie zauważyłem. Oczywiście, że to nie jest w porządku. Zrobię wszystko, żeby ci to jakoś wynagrodzić.

—No, teraz już trochę za późno! Jesteś jej faworytem. Zawsze byłeś i zawsze będziesz. A my zawsze będziemy z tego powodu cierpieć.

— Jeśli już jesteś przekonana, że nim jestem, to wiedz, iż... to nie jest wcale łatwe — powiedział wzdychając. — W ślad za tym idzie za dużo oczekiwań.

— Chcesz pogodzić dwie rzeczy naraz! — krzyknęłam. — Chcesz być jej faworytem i zostać księdzem, a jednocześnie, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota, pieprzysz Marbeth.

— To nieprawda, Kate — zaprzeczył, czerwieniąc się ze złości.—Nigdy tego nie robiłem i nie mam na to najmniejszej ochoty.

— A masz ochotę, masz! — ciągle krzyczałam. — Dobrze wiem, że masz!

Nie mogłam się opanować. Opowiedziałam mu ten okropny epizod z Doktorem.

— Nigdy ci nie wybaczę! Jaki z ciebie potwór, że tego nie zauważyłeś?

Wydawał się całkowicie oszołomiony, ale wówczas Johnny zawsze potrafił udawać oszołomienie, gdy tylko nie chciał się w coś mieszać.

— Kate, przykro mi... — zamruczał.—Nie miałem pojęcia, że przeżyłaś to tak silnie...

— Nigdy ci tego nie wybaczę! Nigdy. Zdawało się, że jest kompletnie przybity.

Od tej pory zastanawiałam się, czy naprawdę chciałam mu powiedzieć o tym, co się wtedy po południu wydarzyło z Doktorem. W głębi serca byłam pewna, że już o tym wiedział.

14

Po powrocie do szkoły udawałam, że nic się nie stało. Upokorzenie, gniew i nienawiść gotowały się we mnie, ale zachowywałam się tak, jakby wszystko było

w porządku. Nawet rozwinęło się we mnie uczucie do Buda Quinlana. Popisywałam się przed nim, ale tak ostrożnie, żeby Marbeth tego nie zauważyła. Z pewnością Bud nie miał pojęcia, że się w nim podkochiwałam.

— Halo, Kate — powiedział do mnie pewnej jesiennej niedzieli po mszy u św. Łukasza. — Ty naprawdę wyglądasz wspaniale.

Wtedy po raz pierwszy dał mi do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z mego istnienia. Serce skoczyło mi do gardła.

— Jak tam w Notre Dame, Bud?

— Och, w porządku — odparł. — Jeśli chodzi o drużynę footballową, to sami aroganci. Dlatego zrezygnowałem.

— Słyszałam, że pokłóciłeś się z trenerem pierwszaków.

— Wyśmiewał się ze mnie.

— To nieładnie.

— Pójdziemy dziś wieczorem do kina? Może do Lamar? Byłam pewna, że będzie chciał mnie macać. To mnie

podniecało. Tak jak film *Tramwaj zwany pożądaniem*. Jednak odpowiedziałam:

— Mam zadanie do odrobienia.

I tak było przez cały rok. Chciałam rzucić się w ramiona Buda, ale nic z tego nie wyszło. Chodził ze mną i podobało mi się to, ale go lekceważyłam.'

Ten taniec, jak nazywała to Marbeth, trwał do końca roku szkolnego.

— Ty go lubisz, Kate — mówiła. — Przyznaj się. Bardzo go lubisz.

— Nie znoszę.

Wydawała się być zdziwiona i potrząsnęła głową, jakby nie wiedziała, czy ma mi wierzyć.

— Jest w pewnym sensie zepsuty — mówiła. — On tylko chce, żeby kobiety skakały wokół niego, ale jest fajny i ma wspaniałą osobowość.

— Nigdy nie obskakiwałam żadnego mężczyzny — oświadczyłam stanowczo.

— Ja również — zgodziła się.

Jak słyszała, krążyły plotki, że Bud chciał, abym go zaprosiła na uroczystości zakończenia roku szkolnego w Trinity. Bardzo mnie to ucieszyło, ale poprosiłam Marbeth, żeby mu powiedziała, że absolutnie z nim nie pójdę.

Jakaż ja byłam potwornie głupia.

— To miły chłopak — przekonywała mnie Marbeth. — Przystojny, lubiany i naprawdę zabawny.

— Nie zaprosił mnie na zakończenie ostatniego roku do siebie, do Fenwick. Siedziałyśmy przed jej domem w odkrytej impali.

— To było dawno.

— Co z tego?

— Byłaś wtedy dopiero na drugim roku.

— To bez różnicy. Wielu studentów ostatniego roku zapraszało tych z drugiego.

— Przecież potrzebujesz kogoś na uroczystość zakończenia roku.

— I tak nie pójdę. To nudne.

— To z kim ja pójdę?

— Nic mnie to nie obchodzi!

I tak ciągnęło się to przez dwa dni. W końcu poddałam się.

Czy Marbeth wiedziała, że bardzo chciałam go zaprosić na moje zakończenie roku? Z pewnością! Nie powiedziałam jej o tym, ponieważ wiedziałam, że ona i tak wie. Potem kłamała, zaprzeczając, iż nie wiedziała, że byłam zakochana w Budzie.

— Cudownie wyglądasz, Kate — powiedział, gdy przyszedł po mnie.

Podziękowałam i stwierdziłam, że on też wygląda wspaniale. Potem poszliśmy po Marbeth.

Uroczystości zakończenia roku odbywały się w hotelu Oak Park Arms i od początku świetnie się bawiłam. Później popsuła mi wszystko Marbeth, w tej swojej głęboko wyciętej, odsłaniającej ramiona, szyfonowej sukni, którą dziewczęta uznały za zbyt wyzywającą.

— Czy mogę zatańczyć z Marbeth? — zapytał mnie uprzejmie Bud. — Nie masz nic przeciwko temu?

Byłam pewna, że mu odmówi, ale zamiast tego tańczyła z Budem tyle, co ja, i flirtowała z nim. A on uśmiechał się lubieżnie za każdym razem, gdy trzymał ją w ramionach. A było do czego się uśmiechać.

— To taki miły chłopiec, Kate — powiedziała do mnie. — Dlaczego się z nim dobrze nie bawisz?

— Nie lubię go na tyle, żeby się z nim dobrze bawić — odparłam. Po raz pierwszy w życiu byłam o nią zazdrosna. Była taka prowokująca. Dlaczego nie potrafiłam tak się śmiać i flirtować? W każdym razie myślałam, że kochała się w Johnnym, dlatego więc wysilała się, aby teraz kokietować innych chłopców. Ale naprawdę zaczęłam ją nienawidzić dopiero wtedy, gdy podeszła do Doktora.

On i mama byli wtedy po raz pierwszy i ostatni w roli przyzwoitek. Marbeth poprosiła Doktora do tańca.

— Chciałby pan za mną zatańczyć, doktorze McGlynn?

— Tak, oczywiście, moja droga — powiedział tym swoim odurzonym, uprzejmym głosem.

Tańczył blisko niej i wydawał się bardziej niż Bud interesować odsłoniętymi piersiami, zapuszczając żurawia głęboko w dekolt.

Tymczasem Bud próbował zaciągnąć mnie do tańca.

— Nie, nie — wykrztusiłam, prawie nie mogąc zaczerpnąć tchu. — Muszę przez chwilę odpocząć.

Dana Crowleya spotkałam w barze przy Rush Street, gdzie wpadłam z moimi przyjaciółmi z college'u Rosary na drinka po obejrzeniu filmu *Stąd do wieczności*.

Był wtedy studentem trzeciego roku prawa i przynajmniej trzy centymetry niższy ode mnie. Miał płonące brązowe oczy i niebezpieczny uśmiech.

Tego wieczoru zabrał mnie do domu... moim samochodem.

— Pragnę cię, młoda kobieto — powiedział, całując mnie na pożegnanie bardziej namiętnie, aniżeli w tamtych dniach dopuszczała pierwsza randka.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałam nerwowo.

— Tysiąc lat temu po prostu zawiózłbym cię do mego zamku na szczycie góry i kochałbym się z tobą przez cały dzień... przez wiele dni. Sądzę, że będę musiał się z tobą ożenić.

— Zwariowałaś — odparłam, niezupełnie niezadowolona z jego porywczosci.

Cieszyłam się, że mogę się z nim spotykać, ponieważ tłumilo to we mnie uczucie żalu. Następnego lata, gdy sześć miesięcy przed wyświęceniem Johnny'ego Marbeth i Bud Quinlan zaręczyli się, byłam całkowicie zaskoczona. Marbeth nigdy nie powiedziała mi, że spotyka się z Budem.

— Dużo pisywaliście do siebie, kiedy byłam w szkole— wyjaśniła mi.

— On jest w twoim typie? — zapytałam z powątpiewaniem.

— Chce się ze mną ożenić.—Wzruszyła ramionami. — Tak samo dobrze może być on, jak każdy inny.

— Nie jest podobny do Johnny'ego.

— Nie chcę kogoś takiego jak Johnny.

Nie byłam już na nią zła. Mogłam ją ostrzec, że Bud jest pusty. Zamiast tego skupiłam się na mojej znajomości z Danem. Kilka miesięcy później poprosił mnie o rękę. Pomyślałam, że skoro Marbeth nosi pierścionek, to i ja też mogę — wszyscy w naszej grupie tego lata zaręczali się. Powiedziałam więc „tak” i to było najszcześniejsze słowo, jakie wypowiedziałam w moim życiu.

Mama wpadła w furję.

— Zapamiętaj moje słowa, Kate, on nigdy nie wyniesie się ponad przeciętność. Jest stanowczo zbyt niski, aby być dobrym prawnikiem.

Potem, ku mojemu zaskoczeniu, poprosiła Marbeth, aby pojechała do Rzymu na wyświęcenie i pierwszą mszę Johnny'ego. Z trudem mogłam wydusić z Marbeth choćby jedno słowo. W powrotnej drodze oznajmiłam jej, że nie będę na ich ślubie.

—Ależ dlaczego, Kate? — Zaczęła płakać. — Przecież od dziecka jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

—Wiesz dobrze dlaczego.

—Nie. Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Ale wiedziałam, że postępuję nierozsądnie. Nawet gdyby nie latała za Johnnym, on i tak nie mógłby mi pomóc tego dnia w pagodzie, a prosząc Doktora do tańca, była po prostu tylko grzeczna. Tak więc, nie mogąc powiedzieć jej prawdy, wyrzuciłam z siebie pierwszą lepszą wymówkę:

—Zabrałaś mi Buda.

—Nigdy nie powiedziałaś mi, że on aż tak cię obchodzi.

—Niemniej wiedziałaś.

—Bóg mi świadkiem, Kate, że nie wiedziałam. Nigdy mi nie powiedziałaś.

—Nie chcę o tym mówić.

Nie miałam zamiaru iść na jej ślub, ale w ostatniej chwili wśliznęłam się do kościoła św. Łukasza, aby popatrzeć. Była promienną panną młodą. To muszę jej przyznać. Zastanawiałam się, czy karnacja jej ciała, jej uśmiech i elegancja, z jaką szła, przeznaczone były dla pana młodego, czy też dla Johnny'ego, który był celebrantem. Przy ołtarzu byli dla siebie bardzo czuli. Zastanawiałam się, czy ktoś zauważył, że kocha Johnny'ego bardziej aniżeli Buda Quinlana.

Musiała zobaczyć, jak idę wzdłuż nawy głównej. Zanim się spostrzegłam, pochyliła się ku mnie i objęła.

— Kocham cię, Kate. Zawsze będę cię kochać. Dziękuję, że przyszłaś. Wpadnij proszę na wesele, choćby na chwilę.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Zaczęłam gwałtownie płakać.

Była taka piękna, że prawie znowu ją pokochałam. Jednak nie poprosiłam jej na drużnę i nie chciałam też, aby Johnny celebrował mszę na moim ślubie. Mama była wściekła. Przypinając mi welon, powiedziała:

—Nie wyglądasz tak źle, Kate, ale ten twój pan młody jest od ciebie niższy. Zapamiętaj, co ci mówiłam — on nigdy nie wyniesie się ponad przeciętność.

Byłam przerażona. Wróciły wszystkie wspomnienia tego, co mi zrobił Doktor. Bałam się śmiertelnie nocy poślubnej. Próbowałam kombinować, jak uniknąć tego małżeństwa. Ale znalazłam się w pułapce.

Jak się okazało, nasza noc poślubna była cudowna. Dan był czuły, ale stanowczy.

Mama pomyliła się co do niego. Dan, niech go Bóg błogosławi, odniósł wielki sukces — chociaż mama nigdy nie chciała tego uznać, nawet wtedy, gdy kupiliśmy dom w Kenilworth.

— W zimie będą po nim hulały przeciągi — skwitowała. Niemniej to ja śmiałam się ostatnia. Bud Quinlan okazał

się nędzną kreaturą. Potem popełnił samobójstwo, przez co został na wieki potępiony i trafił do piekła. Mama teraz jest słabą staruszką, a Johnny... nie żyje. Mick i Jim to nieudaczniki. A ja mam wspaniałego męża i cudowną rodzinę, posiadamy teraz więcej, aniżeli mieli kiedykolwiek moi rodzice.

I jestem lepszą katoliczką niż którekolwiek z nich.

Ale ciągle jeszcze z czułością wspominam dawne czasy, gdy Marbeth, Johnny i ja byliśmy przyjaciółmi.

15

Te listy ukazują, kim naprawdę był Johnny — człowiekiem słabym, nigdy nie sprzeciwiającym się woli mamy.

Mama trzymała je w pudełku na stoliku przy łóżku. Zrobiła kopie wszystkich wysłanych do niego listów i przypinała do nich jego odpowiedzi. Mogłam zabrać tylko kilka, żeby nie zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Wsunę je na miejsce, kiedy odwiedzę ją jutro.

Tu jest jeden, ten, który napisała po śmierci Doktora w 1953 roku. Byłam wtedy w Rosary; Jimmy zawałił szkołę medyczną, Micka wyrzucili z Notre Dame za pijaństwo. Johnny był na drugim, przedostatnim roku w Północnoamerykańskim Kolegium i spodziewał się, że natychmiast po confirmacji poślą go do Rzymu na wyższe studia. Ten list świetnie charakteryzuje naszą rodzinę.

No, mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy. Zostałam teraz sama z Kate, ale ona, jak wszyscy wiemy, nic nie jest warta. Jimmy i Micky nie chcą ze mną mieszkać. Ty pojedziesz do Rzymu, a Doktor nie żyje. Stale powtarzałam tym dwóm młodym łajdakom, że wpędzą Doktora do grobu, jeśli nie będą uczyć się w szkole.

No, i czy nie miałam racji?

A jeśli chodzi o Ciebie, młodzieńcze, nie wydaje mi się, żebyś do końca wykorzystywał dawane Ci przez Boga możliwości. Nawet jeżeli kardynał nie znalazł czasu, aby przybyć na pogrzeb Doktora (jakby nie pamiętał o tych wszystkich pieniądzach, jakie mu dawałam, aby pomógł Ci się wybić), powinienes był go odwiedzić, kiedy przyjechałeś na pogrzeb. Tylko Ty mi zostałeś, Johnny, proszę cię, nie rozczarowuj mnie.

Johnny nie odpisał, że stanowiska w Kościele nie są na sprzedaż. Nigdy jej tego nie powiedział. Ani razu. Jego odpowiedzi zawsze były pobożne i lukrowane, jakby się z nią całkowicie zgadzał. Przystawał na wszystko, żeby tylko ją uszczęśliwić. Jego wyświęcenie i pierwsza msza stały się dla mamy nową okazją, by kupić mu następne przywileje. Ten list napisała w styczniu 1955 roku, już po jego wyświęceniu. Ciągle jeszcze przebywał w Rzymie i kończył studia teologiczne.

Cieszyłam się, że mogę wykorzystać te tysiąc dolarów w gotówce, tak jak ksiądz Ed zasugerował mi w kaplicy. Rozdałam je Twoim przyjaciółom na msze za duszę Doktora. Jestem przekonana, że te drobne datki bardzo pomogą, kiedy będzie podejmowana decyzja, kto ma studiować prawo kanoniczne.

Nigdy nie przestaję myśleć o Tobie i planować Ci przyszłości, mój kochany chłopcze. Jak zawsze, powtarzam Ci, musisz wyciągnąć rybę albo odciąć przynętę.

Kardynał wściekał się na to jej wtrącanie się, posłał więc Johnny'ego do bardzo trudnej parafii na South Side. Mama jednak jakoś go w końcu stamtąd wyciągnęła. A teraz list, który napisała w 1961 roku, po jego powrocie do Rzymu i zdobyciu tytułu naukowego z prawa kanonicznego.

W końcu nam się udało i jesteś w Kolegium Dostojników Kościelnych, gdzie dawno już powinienes być. Muszę ci powiedzieć, że kosztowało mnie to sporo grosza, aby Cię tam ulokować.

Ksiądz Ed mówi, że większość studentów nie ma dobrego pochodzenia, są mądrymi, wybijającymi się dziećmi bogatych wieśniaków. No, a Ty, kochanie, je-

steś mądry i nie jesteś biedny. Używaj dobrze pieniędzy, które Ci przesyłam, i zmień w swoich przyjaciół tyłu kolegów i nauczycieli, ilu tylko możesz. Pamiętaj, wszystko to robimy, aby uczcić pamięć Doktora.

A tu mamy napisaną tego samego roku typową odpowiedź Johnny'ego. Ukazuje ona, że zgadzał się z jej intrygami i planami.

Pieniądze, jak często mówiłaś, są sposobem na kupienie sobie zaufania. Jednak można to zrobić tylko wtedy, gdy ma się pewność co do danej osoby. Tutaj nie z każdym się to udaje. Będę jednak próbował.

Potem, w 1962 roku, posłali Johnny'ego do Afryki i mama zaczęła pociągać wszystkie możliwe sznurki, aby otrzymał lepsze stanowisko.

No, wreszcie. Wyciągnęłam Cię z tej śmierdzącej dziury w Afryce do przyzwoitego miasta. Nie chciałabym, abyś został tam na stałe. Stacją na drodze do Rzymu i Chicago jest Wiedeń. Pamiętaj, chcę dożyć chwili, gdy wrócisz do domu na stanowisko szefa. Dopiero pokażemy tym ludziom, którzy śmiali się ze mnie, kiedy wychodziłam za Doktora, i którzy cieszyli się, gdy zawiedli mnie moi pozostali synowie.

Nie marnuj też czasu na pracę z tymi Polaczkami. Z nimi nigdy nic dobrego nie wyszło.

Nadal usiłowała imponować Doktorowi i jego matce, a Johnny był jej jedyną nadzieją. Wówczas właśnie zaczęłam podejrzewać, że dostawała już na tym punkcie lekkiego bzika. Ona naprawdę była przekonana, że może kupić Johnny'emu archidiecezję.

Zabrałam jeszcze jeden list z odpowiedzią Johnny'ego. Nie jest datowany, ale musiał być napisany na początku lat siedemdziesiątych, kiedy Johnny pracował w Rzymie dla arcybiskupa Benellego. Oczywiście, była przekonana, że wydobranie go z Wiednia było jej zasługą, jak i to, że otrzymał zajęcie w Sekretariacie Stanu w Rzymie.

Posłuchaj teraz, co masz zrobić. Pilnuj, jak to zawsze podkreślam, kariery. Złów rybę lub odetnij przynętę. Staraj się dobrze pracować dla Benellego, ale nie

wiąż się z nim na stałe. Nigdy nie ufałam Włochom, a szczególnie tym małym z lubieżnymi uśmieszkami. Ten Twój Benelli przypomina mi fryzjera, który mieszkał przy naszej ulicy, gdzie dorastałam. Mój ojciec przekonany był, że to zabójca na usługach mafii, a ojciec nigdy się w tych sprawach nie mylił.

Mówisz, że ten mały makaroniarz z chytrym uśmieszkiem może zostać następnym papieżem. Dobrze, ale odpowiedz mi na jedno pytanie: co będzie, jeśli nim nie zostanie? Gdzie wtedy Ty się znajdziesz? Wdepniesz w gówno — i tyle. Na razie musisz czekać, aż otworzą się miasta amerykańskie — nie te zbyt duże ani te zbyt małe — a wtedy dowiedz się, ile to kosztuje. O to się nie martw. Możemy zapłacić, ile zechcą.

Czy Johnny odpisał? Naturalnie, że odpisał. Te same stare slogany.

Przykro mi, że tak długo nie odpisywałam i że teraz piszę tak krótko. Nie martw się o arcybiskupa Benellego. On nie należy do mafii.

Czy Kościół może kanonizować takiego człowieka? Szczególnie po takich listach?

LAURENCE

TLR

16

Po wysłuchaniu biednej Kate z ciężkim sercem pojechałem do seminarium na grób Johnny'ego.

Poczułem do niego odrobinę sympatii. Mógł przeżyć tylko dzięki temu, że pewnych rzeczy nie zauważał. Ja jednak posiadałem dość notatek, aby zniszczyć pamięć o nim na zawsze. Rzecz w tym, czy te listy należy traktować poważnie. Czy może trzeba wziąć pod uwagę, że usiłował trzymać z dala od siebie kochaną, ale niezbyt normalną matkę?

Zanim rozszerzę śledztwo, będę musiał porozmawiać z bardziej obiektywnym obserwatorem życia Johnny'ego. Oskarżenia Kate, dotyczące jego nieustannych afer, mogły być tylko iluzją, powstałą w wyniku jej własnej, wielce trudnej przeszłości. Nie można ich uznać za wartościowe.

Wdychając głęboko świeże, wolne od nikotyny, powietrze północnego Cook County, skręciłem na tereny seminarium. Wyobraziłem sobie, jak Marbeth wychyla się z odkrytego studebeckera i odczytuje Johnny'emu *riot act* *¹¹. Piękna scena. Potem udałem się do Domu Wyświęceń, gdzie spodziewałem się spotkać starego księdza, z którym pragnąłem porozmawiać. Miałem nadzieję, że będzie obiektywnym świadkiem i że będzie mi towarzyszyć na grób Johnny'ego

McGlynną.

— On nie był intelektualistą — mówił stary ksiądz, kuląc się pod moim parasolem. — Był mądry i bystry, miał też świetną pamięć. Szybko nauczył się, w jaki sposób rozgrywać studia akademickie i w istocie rozegrał je błyskotliwie. Mogę jednak stwierdzić, że brakowało mu dociekliwości, skłonności do sondowania, co kryje się w wypowiedziach jego nauczycieli.

—Hm...mmm...

¹¹ * W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów. *Riot act* oznacza: zagrozić uczestnikom zamieszek zastosowaniem środków przewidzianych ustawą o buncie, ale zwrot użyty przez autora „reading the riot act” oznacza też polecenie dzieciom, aby się uspokoiły (przyp. tłum.).

— W przeciwieństwie do ciebie, Lar — zachichotał stary ksiądz — on nigdy nie zadawał kłopotliwych pytań; tak naprawdę, to nigdy nie interesował się niczym poza dobrymi stopniami, a otrzymywał je z łatwością i odbierał z wdziękiem.

Staliśmy na cmentarzu St. Mary of the Lake, oddalonym o trzy kręgi trawnika od seminaryjnego Domu Wyświęceń. Przed nami leżało dwanaście grobów: sześciu seminarzystów, czterech członków grona profesorskiego i dwóch kardynałów. Nad tą spokojną scenerią górował trzymający w ręku trąbkę renesansowy Archanioł Gabriel, obecnie tonący w podobnej do irlandzkiej mżawce późnego lata,

—A zatem był płytki, co?

— Nie ująłbym tego w ten sposób, Lar. — Staruszek potrząsnął głową. — Dla niego było to normalne, był zwykłym seminarzystą. Konwencjonalnie pobożny, konwencjonalnie się zachowujący.

Stary, niski ksiądz, z rzadkimi, białymi włosami, o twarzy dziecka, w okularach bez oprawek, był jedną z wielkich indywidualności w historii seminarium. Wspaniały nauczyciel i lojalny przyjaciel wielu pokoleń seminarzystów.

— Wszyscy go lubili, Lar, wszyscy, poza kilkoma nauczycielami od jezuitów. Był tak gorliwy w nauce, że nawet oni nie mogli go powstrzymać, chociaż Bóg najlepiej wie, że próbowali. Na trzecim roku filozofii zdarzyło się, że dziewczyna, którą znał, zatrzymała samochód na jednej z dróg położonych na terenie seminarium i rozmawiała z nim przez pół godziny. Dobrze zrobił, że zaraz poinformował o tym prefekta dyscyplinarnego wydziału filozofii, ponieważ widziało go wtedy dwóch jezuitów, którzy szybko pobiegli powiedzieć o tym rektorowi.

—A zatem postępował zgodnie z regułą?

—Zawsze. Chociaż jezuita twierdzili, że poinformował o tym tylko dlatego, żeby ich uprzedzić. — Znowu zachichotał. — Toczyli z Johnnym walkę, którą przegrali.

— Gzy był ktoś, kto go naprawdę znał? — Przybliżyłem parasol do głowy starego księdza, mżawka zmieniła się w rześisty deszcz.

—Może to śmieszne — powiedział powoli i ostrożnie — ale sam się też nad tym zastanawiałem. Mimo że miał tyle uroku i energii, nie sędzę, żeby był z kimś blisko. Dusza Johnny'ego McGlynn'a kryła wiele tajemnic. Jak i całe jego życie.

Z wyjątkiem, być może, samego końca, ale na ten temat też trudno coś powiedzieć.

Grób kardynała pokryty był świeżymi kwiatami; staruszek ksiądz poinformował mnie, że codziennie są kładzione nowe bukiety. Mimo deszczu około tuzina ludzi stało lub klęczało pogrążonych w żarliwej modlitwie. Ksiądz powiedział, że codziennie przychodzi na jego grób co najmniej pięćdziesięciu wiernych. Nikt z nich nie przypominał zwariowanych łowców cudów, którzy chodzili za księdzem Ralphem. Kult Johnny'ego McGlynnna miał szeroki zasięg i był szczery.

— Szkoda, że nie wyzwolił w sobie talentu intelektualnego.

— Całkowicie się z tobą zgadzam, Lar. — Staruszek ze smutkiem potrząsnął głową. — Ale wtedy, jak z pewnością pamiętasz, nie byliśmy zainteresowani intelektualnymi wyzwaniem. Podejrzliwie traktowaliśmy tych, którzy interesowali się czymś głębszym lub bardziej problemowym. Nie sądzę też, aby na prawie kanonicznym dawano mu do rozwikłania jakieś intelektualne problemy, albo później w Kolegium Dostojników Kościelnych w Rzymie, gdzie uczono go, jak być dyplomatą — chociaż wątpię, aby Johnny musiał się tego od kogokolwiek uczyć.

— A jednak szkoda — upierałem się — że taki mądry kardynał jak on, nie rozwinął się intelektualnie. Jego listy duszpasterskie stanowiły piękny łańcuszek oklepanych frazesów, prawda?

— Czasami. — Stary ksiądz westchnął. — Johnny był trochę pusty... z wyjątkiem końca.

— Z wyjątkiem końca? Już drugi raz ksiądz to powiedział.

— Przejrzyj jeszcze raz jego listy duszpasterskie, Lar. Wydaje się, że kilka ostatnich napisał jakby ktoś inny. Niektórzy mówili, że przeszedł wielką zmianę — obecnie modnym słowem jest „nawrócenie” — w ostatnich latach życia. Nie wiadomo, co było tego przyczyną, albo co się dokładnie wydarzyło, wydaje się, że następowało to tak stopniowo, iż nikt nie zauważył; tylko ci, którzy byli blisko niego, twierdzili, że stał się innym człowiekiem.

— W jakim sensie?

— Był bardziej „spięty”, takiego słowa powszechnie używano. Dużo więcej się modlił, o wiele więcej mówił o Bogu. Wydawał się bardziej przejęty, szczerze

przejęty ludźmi i jeśli można wierzyć w to, co mówią oddał wszystkie swoje pieniądze.

— Osobiście bardzo w to wątpię... A ty, Tomaszu, zauważyłeś zmianę?

— Ostatnio, kiedy kilka razy wpadł do nas, naprawdę wydawał się inny. Podniecony, bardzo podniecony, tak jakby chciał w kilku dyskusjach dogonić ostatnie dwadzieścia lat teologicznej historii.

Jedna grupa modlących się nad grobem odeszła i zastąpiła ją następna. Nie zwracali uwagi na dwóch księży obserwujących ich z brzegu trawnika.

— Słyszałem o tej tak zwanej przemianie — przyznałem — ale, prawdę mówiąc, sam nigdy jej nie zauważyłem.

— I ty mógłbyś tego nie zauważyć, Lar? — zapytał łagodnie stary ksiądz. — Właśnie ty?

— Obawiam się, że nie.

Podeszliśmy do grobu. Było tam teraz więcej ludzi niż wtedy, gdy przyszliśmy na cmentarz, może około trzydziestu osób. Straciłem z oczu obraz Skaczącego Johnny'ego. Stał się nieuchwytny jak błędny ognik przelatujący przed wyciągniętymi palcami.

Przeżegnałem się i zacząłem się modlić.

Słuchaj, ty sukinsynie, nie wierzę, że jesteś święty. Myślę, że oszukuje się tych biednych ludzi. Ale może Pan Bóg zrobi z ciebie świętego. A jeśli zrobi, to nie będę Mu w tym przeszkadzał. Jeżeli jednak potrafisz czynić cuda, to będziesz musiał zrobić coś bardzo niezwykłego, aby mnie przekonać. Zrozumiałeś?

Jeśli Johnny rzeczywiście słuchał modlitw tych, którzy zebrali się wokół jego grobu, z pewnością zauważył, że to moje wywnętrzanie się było dość śmieszne.

Wróciłem więc z powrotem do św. Finiana, w moim umyśle walczyła nienawiść Kate z umiarkowaniem księdza Tomasza.

Zaraz po przybyciu na plebanię przeczytałem dwa listy duszpasterskie od niego. Staruszek miał rację. Prezentowały dramatyczną zmianę w porównaniu z wcześniejszymi listami, w których — w co drugim akapicie — wychwalał „Naszego Ojca Świętego”, a w innych rzucał cytatami z dokumentów watykańskich.

W liście duszpasterskim na dzień św. Walentego napisał: „Dla nas, ludzi, miłość jest czymś cyklicznym. Ma swoje wzloty i upadki, szczyty i doliny. Dlatego w naszym kalendarzu jest dzień tego dobrego świętego, aby dać zakochanym okazję do przełamania rutyny i monotonii zimy i pozwolić im oczekiwać wspaniałości wiosny.”

Co to, u diabła, ma znaczyć, pomyślałem. To wcale nie jest podobne do tego faceta, który zgadzał się z szalonymi pomysłami Delii. Pisze jak liberał lub nawet radykał. Dlaczego nikt z nas nie zauważył tej zmiany w stosunku do jego wcześniejszych listów duszpasterskich?

No, może niektórzy zauważyli, ale ja na pewno nie. List z okazji Dnia Pracy był jeszcze bardziej zdumiewający. „Wielu mężczyzn i wiele kobiet w innych krajach, a nawet niektórzy w naszym, pracując w pocie czoła, nie są w stanie zarobić na życie, które my, Amerykanie, nazywamy normalnym. Nie mówię tego po to, abyście poczuli się winni, ponieważ nie uważam, aby wasze życie osobiste wyrastało na gruncie czyjegoś nieszczęścia.

Nie sądzę też, że istnieją jakieś inne łatwe rozwiązania zapobiegające światowej biedzie. Uważam natomiast za stosowne poprosić was, abyście zdali sobie sprawę z tej biedy i zrobili, co tylko w ludzkiej mocy, aby ją zmniejszyć. Tej jesieni udaję się do Ameryki Środkowej w celu zebrania faktów. Po powrocie zdam sprawozdanie. Mam nadzieję, że pomodlicie się za mnie i moich towarzyszy, aby nasza podróż była bezpieczna i owocna.”

Tak... z pewnością się zmienił. Nie był to już ten Johnny McGlynn z listów, które pokazała mi Kate lub z wczesnych listów duszpasterskich. Coś stało się ze Skaczącym Johnnym, coś, co go rozluźniło. Pękły w nim lodowe kry.

Najważniejszą częścią mego zadania mogło być określenie charakteru tej zmiany i znalezienie jej przyczyny. Może w tym właśnie tkwi rozwiązanie wszystkich pięciu punktów mojego oskarżenia — jego romansu z Marbeth, zagarnięcia funduszy diecezjalnych, transferu skradzionych pieniędzy do Polski, kupowania urzędów kościelnych i tego, co mnie szczególnie interesuje, braku wiary w Boga. Tymczasem nie zrobiłem zbyt dużych postępów. Z samego rana muszę zadzwonić do Kancelarii i zażądać ściślejszej współpracy kardynała.

— Kardynał bardzo żałuje — powiedział gładko Don Price — ale teraz nie może pozwolić ci na dostęp do akt McGlynnia.

— W jaki więc sposób mam wypełnić powierzone mi zadanie — rzuciłem — jeżeli nie mogę przeczytać jego listów?

— Ach... kardynał uważa, że w tych aktach nie ma nic, co obecnie pomogłoby ci w badaniach.

— Połącz mnie z kardynałem, Don, albo będziecie sobie musieli znaleźć nowego adwokata diabła.

Zapanowała krótka cisza.

— Witam, Laurence — głos szefa był nerwowy, jak zawsze, gdy miał stawić czoło jakiemuś konfliktowi.

— Nie wykonam zadania, jeśli nie będę mógł zebrać wszystkich faktów.

— Rozumiem. Ale przecież masz dostęp do wszystkich jego listów duszpasterskich, prawda? Zostały opublikowane. Jestem przekonany, że Don przygotował dla ciebie odpowiednie materiały.

— Brednie.

— Nie sądzę, żebyś znalazł coś ciekawego w jego osobistej korespondencji. I z pewnością nie w listach do Stolicy Świętej. Był w nich bardzo ostrożny, pisał je w odpowiednim duchu kościelnym.

— Proszę posłuchać, księżę kardynale, mam napisać sprawozdanie, w którym będzie *A* o Johnnym McGlynnie. Potem, za kilka lat, ktoś znajdzie dojście do jego prywatnej korespondencji i wykryje, że *A* nie jest prawdą, natomiast jest prawdą *B*. I wtedy jak ja będę wyglądał? To zresztą nie ma znaczenia, ale Kościół wypadnie źle, ponieważ wyjdzie na to, że coś ukrywa. I to już ma znaczenie.

— Rozumiem.

— Doprawdy?

Długa przerwa.

— Możemy zorganizować, abyś miał wgląd w kartoteki z jego oficjalną korespondencją — powiedział wolno kardynał. — Może znajdziesz więcej ode mnie.

— Pięknie, podejrzewam jednak, że niczego więcej nie I znajdę. To jego prywatna korespondencja jest najistotniejsza, I w niej właśnie znajdę esencję jego cnót i świętości.

— Rozumiem.

— A więc?...

Znowu długa przerwa.

— To dość kłopotliwe... — powiedział kardynał drżącym głosem —... .ale.. .hm... nie mamy tych akt.

— Nie macie? A dlaczego, u diabła, nie macie?

— Wydaje się, że zniknęły natychmiast po jego śmierci. I Monsignore Carey nie był... hm... zbyt chętny do współpracy, aby wyjaśnić, co się z nimi stało.

— Czy on je ma? — naciskałem, wściekły na ten brak kościelnej kompetencji.

— Nie sądzimy, aby je miał.

— Więc kto je ma?

Cisza.

— Masz pojęcie, kto może mieć jego prywatną korespondencję? — powtórzyłem pytanie.

— Mamy powody przypuszczać... — zawahał się — I .. że dużo ma pani Quinlan, jeśli nie wszystkie.

— Marbeth! Zwróciliście się do niej?

— Znasz ją, Lar, prawda? Pozostawiam więc twojej wyobraźni, jak odpowiadała na nasze dyskretne pytania dotyczące zaginięcia dokumentów z archiwum kardynała McGlynn.

— Rozumiem.

— Może tobie pozwoli je przejrzeć.

— Tak... Dobrze, zobaczę, co się da zrobić.

— Będę ci bardzo wdzięczny, Laurence.

— Dobrze. I jeszcze jedno, kardynale, potrzebuję pomocy jeszcze dwóch osób. Lena Careya, prawej ręki Johnny'ego, i „Killera” Kane, biskupa Altony, je-

go kolegi z klasy, który zakwestionował czystość motywów Johnny'ego. Czy można spowodować, aby przysłali mi memorandum o Johnnym? Oni absolutnie odmawiają współpracy.

— Nie chciałbym wywierać na nich nacisku.

— Chcesz, żebym wykonał zadanie? W jaki sposób zbiorę materiał, jeżeli ci, którzy go dobrze znali, nie zechcą ze mną współpracować?

— Masz rację.

— Dobrze. Wobec tego naciśnij ich. Potrzebne mi są ich memoranda jak najszybciej.

— A czy pani Quinlan zechce z tobą współpracować?

— Kto wie? Może. Chyba jest na tyle mądra, aby zechcieć wetknąć coś swojego do tej historii.

— To interesujące.

Prawda? Nie miałem powodu myśleć, że Marbeth będzie chciała współpracować ze mną, podobnie jak nie współpracowała z tymi, którzy chcieli pożyczyć krzyżyk Skaczącego Johnny'ego, aby przy jego pomocy czynić cuda.

Cała Marbeth!

Odpowiedzi na moje ciągle niepewne pytania prawdopodobnie znajdowały się w tych archiwaliach. Czy pozwoli mi je przejrzeć? Prawdopodobnie nie. A może spaliła je tak, jak gospodyni arcybiskupa Feehana spaliła wszystkie akta w dniu śmierci drugiego arcybiskupa Chicago? Ale tak jakoś pomyślałem sobie, że jednak tego nie zrobiła. Marbeth zawsze go kochała. Nie zniszczyłaby czegoś tak intymnego, co zostało po człowieku, którego kochała. Ale czy zdołam je od niej wydostać? Łatwiej chyba wydobyć te resztki złota, które zostały w Forcie Knox.

18

W oczekiwaniu na skutek nacisku kardynała na Lena i „Killera” Kane'a, zdecydowałem się jeszcze raz doprowadzić do spotkania z braćmi Johnny'ego. Po-

winni przecież mieć jakiś wgląd w stosunki Johnny'ego z Marbeth, a Jimmy był wyraźnie wtajemniczony w proceder wyciągnięcia go z finansowego skandalu.

Nie udało mi się pozyskać do współpracy Michaela lub Jamesa McGlynnów. Michael zawsze był „nieosiągalny”, gdy telefonowałem do jego biura. Użyłem wtedy swojego wpływu politycznego. Mój przyjaciel, który rozmawiał z jego przyjacielem, wrócił z wiadomością, że Mick nie będzie „nawet w charakterze przysługi osobistej” rozmawiał o bracie, zmarłym kardynale, ze mną czy kimkolwiek innym.

Jeżeli nie jesteś w stanie wyciągnąć czegoś od chicagowskiego polityka „w postaci osobistej przysługi”, to możesz już o tym zapomnieć.

Wróciłem więc z powrotem do Jimmy'ego. Zanim spróbowałem go osaczyć, spotkałem się z pewnym giełdźnikiem ze św. Finiana, który zawsze znał wszystkie plotki giełdowe. Chciałem wiedzieć, co mówiono o tym, kiedy kardynał ratował Jimmy'ego kościelnymi pieniędzmi. Spotkaliśmy się na moście Michigan Avenue.

Jerry był jednym z tych typowych gnomów z La Salle Street: niski, łysy, z twarzą chochlika, niespokojnymi, niebieskimi oczami i z szorstkim tenorowym głosem.

— Czy kardynał pokrył straty Jimmy'ego wtedy, gdy ten znalazł się na skraju bankructwa? — zapytałem wprost.

Jerry Crawford spojrział nerwowo na most, a potem w dół na Chicago River.

— Niech ksiądz nie zadaje takich pytań. Nawet tu, na moście. Nigdy nie wiadomo, kto może usłyszeć.

Powtórzyłem pytanie szeptem.

Most Michigan Avenue, mający teraz prawie siedemdziesiąt lat, bardzo potrzebował remontu. Miasto wahało się, czy go zamknąć ze względu na gigantyczne problemy ruchu, jakie pojawiłyby się, gdyby Magnificent Mile została odcięta od Chicago. Za każdym razem, gdy autobus przejeżdżał, most trząsał się i dudnił jak podczas małego kalifornijskiego trzęsienia ziemi. Mimo gwarancji władz miejskich, że most jest bezpieczny, za każdym razem wyobrażałem sobie, że rozleci się pode mną i wyląduje w Chicago River.

— Dobrze, Jerry — odparłem memu parafianinowi — opowiedz mi własnymi słowami, co się stało.

Był to duszny dzień, o temperaturze zbliżającej się do trzydziestu stopni, Jerry był w koszuli bez rękawów. Zdjąłem koloratkę i włożyłem ją do kieszeni, a prochowiec przerzuciłem przez ramię.

— Dobrze. — Jerry znowu rozejrzał się i wbił wzrok w horyzont w górze rzeki. — Powiedzmy, że nasz przyjaciel tkwi po uszy w kłopotach. Gra na giełdzie i próbuje sprzedać, aby zyskać, zanim ceny spadną. Nic w tym złego. Ksiądz wie, że mówią: „Silni i szczęśliwcy wygrywają, pechowcy przegrywają”. Nasz wspólny przyjaciel był pechowcem. Zawsze decydował się za późno, chociaż od czasu do czasu coś zarobił. Czasem nie zarobił nic, a czasem tracił koszulę na grzbiecie. Żył z dochodów, jakie przynosił mu fundusz powierniczy, tak że mógł sobie pozwolić na pewne ryzyko. Jednak za dużo ryzykował.

— Jak to zwykle pechowiec.

— Zgadza się, jak pechowiec. Jednak tym razem miał większego pecha. Sprzedał, gdy spadł kurs, a potem rynek jenów, którymi wówczas zagrywał, skoczył i zaczął iść w górę. A on się go uwiesił. Dlaczego, nie wiem. Sięgnęli po jego fundusz, ale skończył mu się kapitał. W pożyczki, których nie mógł spłacić, zamieszane było pewne „Towarzystwo”. I nasz przyjaciel znalazł się w kłopotcie. Bez łodzi i bez wiosła. Może nawet ksiądz słyszał, że szeptano mu do ucha, co zrobią jego żonie i córkom, jeżeli nie zapłaci.

Statek wycieczkowy Wendella, pełen wrzeszczących dzieciaków, odpłynął z przystani przy moście i skierował się w stronę jeziora. Chciałbym znajdować się teraz na tym statku, zamiast wysłuchiwać tej jego smutnej, brudnej historii.

— Wzywamy go przed oblicze komitetu etycznego. Dajemy ultimatum i wychodzi, trzęsąc się z pokoju. Żadnych widoków, proszę księdza, znalazł się w pa-skudnym położeniu. Każdy giełdciarz na jego miejscu byłby przerażony.

— Inkwizycja.

— Trafił ksiądz w dziesiątkę. W każdym razie Jim... nasz przyjaciel, musi zjawić się następnego dnia wieczorem z kilkuset tysiącami dolarów, albo kończymy z nim... I on się zjawia. Może ksiądz uwierzyć? Ten facet wygrzebuje w jeden dzień taką forszę.

— A ludzie myślą, że zapłacił za niego Zarząd Cmentarzy Katolickich.

— A któżby inny? Doktor McGlynn zostawił dzieciom fundusz powierniczy, a resztę pieniędzy żonie. Nie mogą ruszyć tych pieniędzy, póki ona żyje — a ona jeszcze żyje, jak sędzę. Pieniądze, które kardynał otrzymuje od swojego kapitału, to dość dobre złote jaja, ale nie wystarczą, aby pokryć zobowiązania naszego przyjaciela.

— I nie ma na ten temat żadnego zapisu?

— Właśnie, proszę księdza. Kto by robił tego rodzaju notatki?

— Tak, istotnie.

A więc nie było żadnych zapisanych śladów tego, w co wplątał się Johnny. Muszę porozmawiać z dyrektorem Zarządu Cmentarzy Katolickich. On jednak siedzi na miejscu człowieka, od którego Johnny mógł wziąć pieniądze. Mógł, ale nie musiał wiedzieć o tej „pożyczce”. Jeżeli wiedział, to dlaczego miałby mi o tym opowiadać? Dlaczego miałby zdradzić komuś, kto pracuje dla kardynała, że siedział cicho w czasie tego całego nielegalnego transferu funduszy?

Poszedłem wzdłuż La Salle Street i dalej w dół w kierunku giełdy, gmachu, który wyzywał każdego, aby się z nim zmierzył.

Jimmy'ego McGlynną złapałem w Traders'Inn, barze położonym w pobliżu giełdy, gdzie przesiadywał przez większą część dnia. Usłyszałem od niego tylko same obelgi.

— To był zepsuty dzieciak, proszę księdza.

Jimmy McGlynn — miał teraz około sześćdziesiątki, a wyglądał przynajmniej na dziesięć lat więcej — mrucał do swego Martini z wódką.

— To egoista, nędznik i zgniłek.

Była to interesująca reakcja człowieka, którego, jak mówiono, Johnny uratował od niebezpieczeństwa zagrażającego mu ze strony „Towarzystwa”.

— O?...

— Słyszałem, że ksiądz rozmawiał z Kate. Strata czasu. Zawsze była wariatką. Ten głupi Dan Crowley zgadza się z wszystkimi jej idiotycznymi pomysłami. Nie mogę sobie wyobrazić, jak taki kretyn może robić forszę, gryzmołąc testamenty.

— Nie powinienem wierzyć Kate?

— Ona ma teraz bzika na punkcie kazirodu, prawda? Jak tylko coś ukaże się w gazetach lub pismach kobiecych, natychmiast właśnie jej się to zdarza. Oczywiście z Doktora był jurny kogut, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Może ją parę razy pomacał, ale z pewnością nic więcej.

— Cieszę się, że to słyszę.

— Ona naprawdę jest na Johnny'ego zła. Zawsze była. Tak jak ja i Mick. Tylko, że nie umie się do tego przyznać... no, wie ksiądz, co mam na myśli?

— Chyba tak.

— Johnny stanowił dla naszej rodziny problem. Zawsze tak było. Tylko on coś znaczył. —Twarz Jima McGlynn, już i tak zaczerwieniona od trunku, stała się teraz prawie purpurowa. — Skupiał na sobie uwagę wszystkich, dysponował całymi pieniędzmi. Co wy, księża, widzieliście w tym jego przekętym uroku? Matka troszczyła się tylko o jego dupę.

— On wcale nie był taki popularny wśród księży, Jim.

— Tak? — strząsnął długi popiół z śmierzącego cygara. — No, ale wy nie musieliście z nim mieszkać. Powiem coś księdzu, w dniu, w którym umarł, ukląkłem i pomodliłem się z wdzięczności. I nie chcę o nim więcej mówić.

Niemniej Jim McGlynn mówił o nim przez następną godzinę, coraz bardziej bełkocząc i przerywając próbami zapalenia cygara. Nie wyszedł dużo dalej poza początkowe stwierdzenia, że Johnny był „zepsutym dzieciakiem”.

W końcu udało mi się uciec i byłem przekonany, że nigdy nie zdobędę pożytecznych informacji od Jimmy'ego McGlynn.

Myliłem się jednak. Następnego dnia rano odwiedził mnie na plebanii.

— Loretta... moja żona... powiedziała, że powinienem powiedzieć księdzu wszystko, co wiem. — Był trzeźwy. — Ksiądz chce wiedzieć o tych pieniądzach, które mi pożyczył, prawda?

— To bardzo ważna sprawa, Jimmy.

— Dobrze. Powiem księdzu wszystko. I niech sobie ksiądz wykombinuje sam, co z tym zrobić. Tak czy inaczej nie mam nic do stracenia ani do zyskania. Chyba ksiądz wie, co mam na myśli?

JAMES

TLR

19

—Niekoniecznie wszyscy muszą być lekarzami. — Doktor wydawał się zakłopotany, jak zawsze gdy mówił do kogoś z nas. — Może, młodzieńcze, nie masz do tego powołania. Nie trzeba się tego wstydzić.

Każdego ze swoich chłopców nazywał „młodzieńcem”, ponieważ zawsze zapominał, jak mamy na imię.

—Tak, Doktorze.

—Każdy musi poddać się przeznaczeniu. Wyglądał staro, jak zmęczony irlandzki karzełek, i chociaż zgnębiony, jak zawsze był miły i pełen galanterii.

Oczywiście, to mama zorganizowała tę rozmowę od serca, aby Doktor mógł wyrazić swój gniew i rozczarowanie z powodu wylania mnie ze szkoły medycznej Loyoli. Ten gniew i rozczarowanie czuła tylko ona.

—Może będziesz szczęśliwszy w innej pracy — kontynuował tytułem próby — na przykład zajmiesz się jakimś handlem.

—Myślę, że tak, Doktorze — odparłem z szacunkiem.

Nie chciałem być bardziej lekarzem, aniżeli Johnny księdzem. On to robił tylko dlatego, żeby zadowolić starą. Ja tego nigdy nie zrobiłem, więc nigdy nie była ze mnie zadowolona.

Po kłapie z medycyną matka wpadła na pomysł, abym zaczął działać na giełdzie.

— Po tym wszystkim, Doktorze, nic już nam innego nie zostało. Może tam mu się powiedzie, choć prawdę mówiąc, bardzo w to wątpię. Nigdy nie wybije się ponad przeciętność.

— No, możemy mu załatwić tam jakieś stanowisko, to dość proste.

— Spłaci nam to co do grosza.

— No, tak czy inaczej...

Doktor był dżentelmenem. Starał się nikogo nie skrzywdzić. Tak, chodził trochę na boki. Może miał nawet wiele kobiet, ale z pewnością doprowadziła go do tego mama. Kazała, abyśmy go ubóstwiali, a potem manipulowała nami, tłu-

macząc, że musimy mu sprawiać radość. Mama była prawdziwą modliszką, tak jak ta suka Marbeth Reilly. Nie dziwota, że lubiła ją bardziej niż któreś z nas.

Doskonałym przykładem była szkoła medyczna. Rozczarowałem Doktora, więc teraz Doktor odpowiadał za mnie. Obu nas miała w ręku.

Nie miałem zdolności do medycyny. Miałem szczęście, że skończyłem college, ale iść do Loyoli?... Mama nie dopuszczała do siebie myśli, że odziedziczyłem zdolności po niej, a nie po Doktorze. Myślę, że całą rodzinną inteligencję wyssał Johnny.

Nienawidziłem college'u, nienawidziłem szkoły medycznej i byłem naprawdę szczęśliwy, kiedy wreszcie stamtąd mnie wylali. Dość studiowania, czytania! udawania. Od tego czasu nie przeczytałem żadnej książki. Pozwoliłem, aby robiła to za mnie moja żona, Loretta. Nie ma nic innego do roboty.

— Złamiesz Doktorowi serce — powiedziała mama, gdy ten skurczybyk, dziekan ze szkoły Loyoli, zatelefonował do niej i powiedział, co się ze mną stało.

— Nie na tyle, żebyś to zauważyła. Potem powiedziała do Doktora:

— Ja, jeśli chodzi o niego, umyvam ręce. Teraz to już twój problem.

I jak się to księdzu podoba? Obcięła nam obu jaja jednym cięciem noża.

Pogodziliśmy się z tym. Z mamą nie miało się szans,

Giełda to był jej pomysł i to dobry pomysł, chociaż myślę, że nie zdawała sobie z tego sprawy. Byłem cholernie dobrym graczem w pokera. Może odziedziczyłem po niej przebiegłość.

Przypuszczałem, że dobrze dam sobie radę na giełdzie, no i, do diabła, całkiem dobrze mi szło. Raz dopisywało mi szczęście, kiedy indziej miałem pecha, jak inni, ale w sumie więcej zyskiwałem, niż traciłem. Kilka razy zarobiłem kupę forsy, a kilka razy straciłem. W sumie jednak wychodziłem na swoje. Mogę księdzu powiedzieć, że parę razy pokazałem starej, co potrafię. Nigdy nie wyraziła mi uznania, ale kiedy tylko się potknąłem, zawsze słyszałem: „A nie mówiłam!”

W każdym razie tego popołudnia, gdy mieliśmy szczerą rozmowę, powiedziałem do Doktora:

— Sądzę, że mógłbym sobie poradzić w tym interesie. A on uśmiechnął się, takim swoim krzywym uśmiechem, jakbyśmy obaj dobrze się rozumieli.

— Jestem pewien, młodzieńcze, że bardzo dobrze sobie poradzisz.

Pięć tygodni później nie żył. Matka dosłownie załamała się, tak jakby naprawdę go kochała. Zaczęła wtedy wariować i nigdy nie doszła do siebie. Nie pomogły żadne Johnnie Walkery. Tak, od kiedy tylko pamiętam, mama była alkoholiczką, ale dopiero po śmierci Doktora stało się to widoczne.

Johnny'ego nie było, gdy Doktor umarł. Ta wielka biała nadzieja w koloratce ciągle tkwiła w Rzymie, przyjażniąc się ze wszystkimi pedałami w czarnych koszulach. Kto więc miał się wszystkim zająć? Oczywiście — ja. I co za to dostałem? Nawet nie potrzebuję na to odpowiadać.

Cholera! Przed śmiercią Doktora było naprawdę wspaniale! Mieliśmy forszę, a więc i dziewczyny, i mogliśmy ją wydawać, na co chcieliśmy. Jezioro Geneva było super. Dużo graliśmy w football — nie było tam wtedy skurczybyka Johnny'ego, aby nami rządził, bo niestety był od nas lepszy. To trzeba mu oddać, był cholernie dobrym sportowcem.

Tak, zaznaliście dużo radości, dużo więcej niż moje dzieci w tym wieku. Nawet Kate.

Potem wszystko się skończyło. Śmieszne. Sądzę, iż wszyscy wiedzieliśmy, że to koniec—może z wyjątkiem Johnny'ego. Ale odbywało się to stopniowo i zaledwie zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co się dzieje. Tak, to naprawdę śmieszne.

Pewnego lata wszystko minęło. Stara ciągle krążyła wokół księdza Eda z kaplicy Matki Bolesciwej, czy jak tam. Zawsze byłem przekonany, że to on był jej złym duchem. A śmierć Doktora dopełniła miary.

Rozgrywki mamy dotyczące naszej przyszłości stały się naprawdę poważne. No, Johnny był już w seminarium, aleja nigdy nie myślałem — aż do tego czasu—e to jakaś zasrana różnica, czy będę lekarzem, czy nim nie będę. Potem nagle to wszystko zważyło się nam na łeb.

Pieniądze jakby wyparowały, nie było nowych samochodów ani łodzi, nie było nawet dość na wodę. Mniej też było dziewczyn.

Reilly'owie byli naszymi kumplami zarówno w Forest River, jak i nad jeziorem Geneva. Świetnie się z nimi bawiliśmy. Nie byli tak bogaci jak my, ale i tak mieli dość. Nie interesowali się tak dziewczynami jak my, ale pili jak smoki. Było z nimi niezwykle zabawnie, bez względu na to, czy byli pijani, trzeźwi. Iggy, Ally i Franny. Fajni faceci.

Nigdy nie lubiłem tej ich małej, wrednej siostry. Powiedziałem: skończy się tym, że będzie wami wszystkimi rządziła... i rzeczywiście wyszło na moje. Jednak nie myślałem, że to będzie dotyczyło i mnie. Gdyby nie ona, zarabiałbym dziś na giełdzie miliony na nafcie. Mierzyli wysoko. I pięknie się to skończyło.

Powodzi im się nieźle, Iggy jest co najmniej sędzią federalnym, i pewnie są przekonani, że są lepsi od nas. Mógłbym coś powiedzieć o ich pijaństwach, a to obniżyłoby ich prestiż.

Nie widuję się często z rodziną. Kate wyszła za tego sztywnego republikańskiego prawnika. Micky jest stale zajęty, udając, że codziennie prosi go o radę Rich Dale*¹², i trudno z nim wytrzymać. A pieniądze starej ciągle są zablokowane, więc przed jej śmiercią nie mogę wrócić na giełdę.

Muszę jeszcze coś dodać, jeśli chodzi o śmierć Doktora, bo to ukazuje, jakim naprawdę wrednym skurwysynem był Johnny. Wracam z biura około trzeciej po południu, zatrzymując się po drodze tylko na kilka szybkich drinków w Traders Inn, gdzie zwykle spotykam się z paroma facetami udzielającymi mi rad na giełdzie. Dzwoni telefon. W domu żywej duszy. Wołam na służącą, aby odebrała, ale nikogo ze służby nie ma. Mama znowu wszystkich zwolniła. Chwytam słuchawkę.

— Mówi doktor Maurice Kelly.

— Tak, słucham, doktorze. — Od razu poczułem jakiś skurcz w żołądku. — Tu Jim McGlynn.

— Ach tak, Jimmy. Dzwonię ze szpitala w West Suburban. Doktor McGlynn miał słaby atak serca. Zajęliśmy się nim i dobrze reaguje. Ale chcemy, żeby wasza matka o tym wiedziała.

Pierwsze, co robię, to wysyłam telegram do Rzymu: DOKTOR MIAŁ SŁABY ATAK SERCA. POWINIENES WRÓCIĆ DO DOMU. JIM.

Potem szukam Micka, który jest gdzieś ze swoją dziewczyną, i jadę po Kate do Rosary. Tymczasem wraca mama i mówię jej o tym najłagodniej, jak tylko potrafię, ale ona wpada w histerię.

¹² * Burmistrz Chicago (przyp. tłum.).

— On umrze. Wiem, że umrze. Zabiłeś go. Wszyscy go zabiliście. Zabiliście mi mojego Doktora!

Histryzowała tak aż do pojawienia się Johnny'ego. Odkąd sięgam pamięcią, mama i Doktor zawsze sypiali w oddzielnych sypialniach. Doktor chodził na boki i ona o tym dobrze wiedziała. Sądziłem, że ten jej napad hysterii to tylko wielki spektakl, ale przecież nikt nie potrafi tak się zgrywać przez dziesięć dni!

Wszyscy jedziemy do szpitala. Mówią, że Doktor „czuje się lepiej”. Idziemy do niego. Podają mu tlen, ale jest przytomny i uśmiecha się do nas.

— Przykro mi, kochanie — mówi do mamy. — Drobnny incydent. Wszystko pod kontrolą.

Mama wybucha szlochem i zaczyna krzyczeć. Doktor zamyka oczy, jakby chciał zasnąć. Internista i kilka pielęgniarek muszą ją stamtąd wyciągać. Doktor Kelly mówi, że powinniśmy ją trzymać z daleka, dopóki się nie uspokoi.

— Nie sądzę, żeby się uspokoiła, doktorze — mówię.

— Wobec tego — odpowiada — dam jej środek uspokajający.

I tak mama to wpada w histerię, to po lekarstwie uspokaja się, a trwało to przez dziesięć dni. Jestem wykończony, próbuję przez pewien czas pracować, uspokajając mamę i Kate, a jednocześnie przeszkodzić Mickowi, aby nie wyjechał z miasta.

— Gównu mnie obchodzi, czy Doktor wyżyje, czy nie — oświadcza mi.

Nie chcę z nim dyskutować, wiem, że był w rodzinie prawdziwym popychadłem. Jednak w końcu zostaje, proszę go o to jako o „osobistą przysługę”.

— Będziesz moim dłużnikiem — mruczy.

Może to sobie ksiądz wyobrazić? Zostaje w domu, gdy umiera ojciec, na specjalną prośbę, za co będę musiał mu odpłacić pewnego dnia! A za kilka lat upomni się, słysząc, że udał mi się pewien interes i że zarobiłem kupę forsy. Nawet mi nigdy nie podziękował.

Następnego dnia przychodzi telegram od Johnny'ego: NIE MOGĘ TERAZ WYJECHAĆ. DWÓCH KARDYNAŁÓW W KOLEGIUM. INFORMUJCIE MNIE O STANIE DOKTORA. JOHN.

Widzi ksiądz, jaki z niego ambitny skurwysyn? Dwaj kardynałowie są dla niego więcej wari od umierającego ojca.

Wydawało się, że Doktor jakoś się wykaraska. Aż pewnego dnia rano — ksiądz, który dawał mu komunię, właśnie wyszedł z pokoju — otworzył oczy, na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu i przestał oddychać.

Nie wstydzę się przyznać, ale objąłem go i zacząłem szlochać. Potem pojechałem do domu powiedzieć rodzinie. Wpierw Mickowi.

— No, nareszcie — skwitował i roześmiał się.

Kate załamała się i zaczęła szlochać, ale nie tak histerycznie jak mama. Sądziła, że tak wypada.

Mama całkiem opadła z sił i wykrzykiwała pod naszym adresem różne obraźliwe słowa. To było przerażające. Kate i ja faszzerowaliśmy ją środkami uspokajającymi.

Wysłałem następny telegram do Rzymu: DOKTOR NIE ŻYJE. SPODZIEWAM SIĘ, ŻE ZORGANIZUJESZ POGRZEB. JIM.

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Niech ksiądz zgadnie, kto zorganizował pogrzeb — wybieram grabarza, kupię trumnę, zamawiam mszę, proszę kardynała, żeby ją odprawił (z natychmiastową odmową) i opłacam miejsce na cmentarzu w Mount Carmel.

Potem, gdy właśnie ma się zacząć msza pogrzebowa, Johnny, w sutannie i komży, wchodzi do świętego przybytku jak sam papież, bez tchu, jakby biegł całą drogę z lotniska. Ja zrobiłem wszystko, a on został bohaterem. Tak było zawsze. Mogę zarobić mnóstwo forsy na giełdzie, ale zawsze będę niedoszłym lekarzem. Natomiast on włóczy się po świecie, zajmując się głupstwami, i osiąga wielki sukces.

— To miło, że przyjechałeś — kpię z niego na cmentarzu.

— Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem, zaraz po otrzymaniu twojego telegramu. Poprosiłem, aby ktoś usprawiedliwił mnie przed rektorem.

W ulewnym deszczu na cmentarzu ściska go Marbeth Reilly. Zawsze się do niego lepiła. Tak na wszelki wypadek zapisuję to sobie w pamięci.

Potem mama żyje już tylko dla dwóch rzeczy: dla Johnnie Walkera i syna-księdza.

— To ty zabrałeś mi mojego Doktora — zawsze krzyczy na mój widok — ale nie odbierzesz mi mojego księdza.

A po co, do cholery, miałbym to robić? Jednak jestem szczęśliwy, że Johnny nie żyje, ten najświętszy z najświętszych kutasów. W haniebny sposób potraktował mnie wtedy, gdy potrzebowałem czegoś ekstra. No dobra, a właśnie wtedy potrzebowałem pieniędzy. Pojawił się u mnie w domu razem z tą cholerną suką, która przywlokła się za nim.

— Nie przywykłem do wykładów, Johnny, a przede wszystkim nie lubię, jak mnie poucza ksiądz hipokryta.

— Nie przyszliśmy tu, aby dyskutować o mojej hipokryzji, Jimmy, jesteśmy tu po to, aby wykombinować, jak cię uwolnić z tego przerażającego błota, w które sam wdepnąłeś.

— „Uwolnić” i „przerażające”... Sądzę, że to są słowa, jakich używają kardynałowie. Ja potrzebuję tylko trochę wolnej gotówki, nic więcej.

— Trochę? — pyta suka.

— Do diabła — mówię. — Raz się przegrywa, raz się wygrywa. Za kilka dni dolar spadnie w stosunku do jena. Odbiję to sobie i zarobię więcej.

— Ty chyba nie rozumiesz — mówi ona — że twój brat jest arcybiskupem Chicago.

— Rozumiem to aż za dobrze.

— Może mu zaszkodzić, jeśli skończysz z kulką między oczami w bagażniku samochodu albo w więzieniu federalnym.

— Mnie to też może trochę zaszkodzić.

— Ty nas nie interesujesz — warczy. — Nas interesuje John. On nie może sobie pozwolić, abyś grając na giełdzie, zrobił z siebie i z niego głupca.

— Twoja rodzinka też nie jest święta — mówię, wyobrażając sobie, że straci panowanie lub że się załamie.

— Ja nie jestem arcybiskupem Chicago — odpowiada ta suka spokojnie.

— Nie wywlekajmy teraz spraw osobistych — mówi John.

— Tu sprawy osobiste nie mają znaczenia, John. Musimy go wydostać z tego bagna, które sam sobie wyszykował. I musimy być pewni, że już nigdy nie wpędzi cię w kłopoty.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

—Powiedz mu — poleca Johnowi.

—Musisz nam przyrzec, że przez dziesięć lat nie będziesz grać na giełdzie — mówi z lekkim wahaniem. — Dla twojego dobra i dla dobra rodziny.

— Co tam rodzina! — krzyczą do niego.—Nie będziecie mi obcinać jaj!

— Ależ będziemy — ona mówi zimno.—Dokładnie to ci zrobimy.

—Johnny, chyba nie pozwolisz jej na to — mówię do niego.

Próbuje się wycofać.

—Jimmy... — zaczyna.

Ona rzuca mu mordercze spojrzenie.

— ...robimy to dla twojego dobra — Johnny kończy załamującym się głosem.

No cóż, musiałem się zgodzić. Mieli to, co potrzebowałem. Musiałem się zgodzić, że nie zjawię się na giełdzie przez dziesięć lat. Z tą stojącą za nim suką był tak samo dyktatorski jak nasza stara. A teraz on nie żyje i mogę wrócić na giełdę, kiedy tylko zechcę i kiedy będę miał wolny kapitał. To znaczy wtedy, gdy ta stara wiedźma wreszcie umrze.

A skąd pochodziły pieniądze, którymi miałem spłacić moich przyjaciół z West Side?

Tego, do cholery, nie wiem. Dali jednemu z tych „supergiełdziarzy” kupę szmalu, aby wesprzeć moją pozycję. Wziął pieniądze i dzięki temu zbił fortunę, która należałaby do mnie, gdyby dali mi szansę. Tak więc dostali swoje pieniądze z powrotem, a giełdziarz na tym zarobił. Z renty stworzyli dla mnie fundusz zabezpieczający. Razem z tym, co dostałem w spadku po Doktorze, teraz żyje nam się wcale nieźle. Loretta mówi, że zrobili mi wielką przysługę.

Czy oni, jak mówią wszyscy, użyli kościelnych pieniędzy, aby mnie z tego wyciągnąć? Może tak, może nie. Może to były ich pieniądze. Założę się, że ona też na tym zarobiła. Jeżeli to były jej pieniądze, to dostała je z powrotem. Wszyscy na tym zarobili. Ja również.

Pieprzę, czyje to były pieniądze. Jeżeli ksiądz poprosi, żebym zgadywał, to powiem, że były jej, ponieważ nie pozwoliłaby mu brać na siebie takiego ryzyka, aby nadszarpnął tę swoją pieprzoną reputację. Z drugiej jednak strony, może wiedziała, że Johnny potrafi tak dobrze zatrzeć wszystkie ślady w Kościele, że

nie będzie miało znaczenia, czy użył pieniędzy z Caritasu. Kogo to jeszcze obchodzi?

A więc oni chcą zrobić Johnny'ego świętym? Do cholery z nim! Święty, co? Był taki jurny jak Doktor. Rznął ją przy każdej okazji i robił to przez całe życie. A teraz ona zgrywa się na waźniaka, zdjęcia w gazetach, jedna z piętnastu najpiękniejszych kobiet w Chicago. Ale nikt nie mówi o tym, że ten jej cholerny mąż strzelił sobie w łeb. Założę się, że Johnny rznął ją nawet w noc przed śmiercią.

Nie wiem, co się teraz dzieje z tym pieprzonym Kościołem katolickim.

Tak, łyknę jeszcze jednego. Dlaczego nie? Martini z wódką i lodem!

TLR

LAURENCE

TLR

—Jestem, proszę księdza, zaniepokojony tymi naciskami na mnie. — Biskup Louis Kilmartin „Killer” Kane zaprotestował z powagą.

Rozważałem opowieść Jimmy'ego McGlynną, gdy pilny telegram wezwał mnie do hotelu Cztery Pory Roku na spotkanie z Louistem Kilmartinem Kanem. Jadąc do miasta, uświadomiłem sobie, że nawet jeśli gotówka należała do Marbeth, to i tak użycie pieniędzy pochodzących od kobiety, aby ratować brata, byłoby wystarczającym „skandalem”. Świadeństwo Jimmy'ego nie pomogło wiele Johnny'emu, a mnie to już w ogóle. Tajemnica Johna McGlynną nadal pozostała tajemnicą.

Biskup Alton wyciągnął swoje wielkie francuskie rękawy gestem, który powtarzał minimum co pięć minut. Louis Kane był pruderyjny, pedantyczny, ułożony i pompatyczny, przypominał podstarzałego kupidynka.

Był przekonany, że zostanie następcą Johna McGlynną, arcybiskupem Chicago, i prawdopodobnie nigdy już nie otrząśnie się z tego, że go wykołowali.

Siedzieliśmy w eleganckim apartamencie nowego hotelu Cztery Pory Roku, stojącego naprzeciw John Hancock Center, na północnym krańcu chicagowskiej Magnificent Mile.

—Cieszę się, że ksiądz arcybiskup znalazł chwilkę czasu, aby się ze mną spotkać.

— Przyjechałem do Chicago tylko po to. I może ksiądz być pewien, że wyłącznie na życzenie kardynała.

Siedział przy biurku stojącym na środku salonu. Biurko zostało tak ustawione, aby sprawiać wrażenie, że biskup znajduje się w swoim biurze w Alton, a ja jestem petentem. Tak ułożył rękopis na blacie, że cztery jego narożniki znajdowały się w odpowiednich miejscach. Zrzedzący, głupi, mały człowieczek.

— Pragniemy wyjaśnić problem uznanej cnotliwości poprzednika obecnego kardynała.

— Zrobię to dla księdza — warknął. — Mając moje świadectwo, niczego ksiądz nie będzie potrzebował.

—Miło mi to słyszeć.

— Mam tu... — poszukał w papierach —.. .skompletowany materiał. Mogę go odczytać. Jeśli ksiądz chce, proszę notować. Po przeczytaniu zniszczę wszystko w księdza obecności. Zapewniam, że nie istnieją żadne kopie. Może ksiądz użyć tylko jednego mojego cytatu: Faktem jest, że John Arthur McGlynn nie żył w celibacie, będąc w Północnoamerykańskim Kolegium... Może to ksiądz, jeśli łaska, zapisać?

—O, tak, oczywiście.

Zapisałem: Dzięki Bogu, że zesłał nam Steve'a, a nie tego małego świra.

— Chyba ksiądz rozumie, że to, co tu opisuję, jest ukryte głęboko w cieniu.

—Tak, księże biskupie.

—A wie ksiądz, co to oznacza?

—Że jest przeznaczone tylko do prywatnej wiadomości i może być jedynie czymś drugoplanowym.

—Bardzo dobrze. Zaczynam.

21

Od początku bardzo interesowałem się Johnem McGlynnem, kiedy obaj w 1950 roku przybyliśmy do Północnoamerykańskiego Kolegium. Był miłym, pociągającym człowiekiem. Jego dowcip pomagał nam w tych wszystkich zmianach z Ameryki na Europę i towarzyszącej im tęsknocie za domem. Obaj pochodziliśmy z Illinois, było więc jasne; że zostaniemy bliskimi przyjaciółmi.

Prawie natychmiast zdobył też sympatię władz seminarium, ludzi, którzy wydają się zawsze faworyzować przystojnych, atrakcyjnych sportowców. Jednak, aby oddać sprawiedliwość, muszę stwierdzić, że nie wykorzystywał swej pozycji, aby nami rządzić.

— Oni naprawdę cię lubią, John — pamiętam, że tak do niego powiedziałem na pierwszym roku w Rzymie.

— To nie ma znaczenia, Killer, to nie ma żadnego znaczenia. Jediną korzyścią jest możliwość częstszego oprowadzania przyjaciół rektora po Rzymie. Mówiąc prawdę, oni są nudni. Chyba, że czasem... — mrugnął do mnie — ...są kobietami.

— Co masz na myśli? — zapytałem, bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony.

— A jak myślisz?

Wynikał z tego prosty wniosek, że zabawiał się z nimi seksualnie. Z początku nie mogłem w to uwierzyć, ponieważ ryzyko było zbyt wielkie, a John zbyt mądry, aby je podejmować. Niemniej postanowiłem, dla dobra Kościoła i Kolegium, że będę zwracał baczniejszą uwagę na jego zachowanie.

Muszę podkreślić, że nie korzystał z usług rzymskich prostytutek niższej kategorii, jak to robiło kilku studentów w Północnoamerykańskim Kolegium i wielu studentów z innych seminariów. Zdobywcami Johna, jeśli mogę użyć tego określenia, były przyjeżdżające do Rzymu Amerykanki, często takie, które wybierały go na przewodnika w czasie papieskich audiencji. Jego osobisty czar i uroda czyniły go w oczach naszego nieprzewidującego rektora idealnym studentem do spełniania tego rodzaju funkcji.

Pewnego dnia — i znowu jestem głęboko przekonany, że było to na pierwszym roku — widziałem, jak wychodzi z Kolegium z kilkoma Amerykankami, wśród których była bardzo atrakcyjna trzydziestoletnia kobieta. John szedł przy niej i rozmawiał bardziej poufale, aniżeli — jak sądziłem — przystoi.

Gdy mnie mijali, John odwrócił się i mrugnął do mnie.

Czy muszę dodawać, że byłem przerażony?

Następnego dnia, gdy poszedłem z Johnem na mały spacer po lunchu, opowiedział mi z detalami, co robił z tą kobietą. Nie mogę nawet teraz przemóc wstydu, aby wyliczyć te detale. Musicie się zadowolić faktem, że było w nich dużo seksualnej aktywności.

— John! — w końcu wykrzyknąłem — ależ to okropny grzech śmiertelny!

— Doprawdy? — nie wydawał się tym przejęty. — Kilku teologów w średniowieczu sądziło, że aktywność seksualna nie należy do poważnych grzechów. Ja się z nimi zgadzam. Kogo tym skrzywdziłem? Jej na pewno nie. Nigdy nie skrzywdziłbym kobiety. Oboje byliśmy przez parę godzin szczęśliwi. Dlaczego więc tego nie robić?

— Mogli cię na tym złapać! Wzruszył obojętnie ramionami.

— Nie mieli szans. Wybieram ostrożnie. One posyłają mi wiadomość, że są przygotowane i nie będą się bronić przed uwiedzeniem. I mówię ci, Killer, że ten cały proceder jest tak samo przyjemny jak to, co się dzieje potem.

— Robiłeś to już przedtem?

— Czasami, Killer, czasami.

Do dziś nie mam pojęcia, dlaczego uparł się, aby mi o tym opowiadać. Jedynym powodem, dla którego wysłuchiwałem opowieści o jego wyskokach była, nadzieja — w tym wypadku próżna — że mógłbym go odwieść od tego rodzaju grzesznych praktyk.

Jego wrodzona przebiegłość i zdolność manipulowania ludźmi dobrze mu służyły. Nigdy żadna z jego ofiar nie zadenuncjowała go władzom seminarium. Wszystkie były uległe, a on bardzo wnikliwie wybierał te chętne, eliminując niechętne.

— Starsze panie—powiedział z tym swoim chłopięcym entuzjazmem — są dużo lepsze od młodszych, ale też dużo trudniejsze do zdobycia. Jak już się pozwolą rozebrać, to potem idzie gładko. Jednak pierwszy zamek błyskawiczny jest najtrudniejszą barierą do przełamania.

— John, jestem zaszokowany tym, co robisz. Łamiesz prawa boskie, ryzykujesz zdrowie, narażasz na niebezpieczeństwo powołanie.

— Nie martw się, Killer, te, z którymi się kocham, z pewnością są zdrowe. A poza tym, to wszystko jest w porządku. Jesteśmy wprowadzeni w błąd zakonną moralnością naszych nauczycieli i duchowych doradców. Oni nie rozumieją prawdziwego świata. Poza tym w Kościele zawsze lepiej się dzieje, gdy papież też mają kochanki.

Nadal dobrze mu się wiodło w seminarium. Ale ostrzegłem go, że dużo ryzykuje, zadając się z kobietami.

— Wszystko kontroluję, Killer. Nigdy mnie nie nakryją. Okazało się, że miał rację, niemniej ryzyko było ogromne.

— Moim problemem — powiedział mi pewnego wieczoru — jest to, że chciałbym, aby one wszystkie mnie kochały.

— A czy przypadkiem nie jest na odwrót? — spytałem. — Czy to nie ty chciałbyś kochać je wszystkie?

Wydawał się być tym zaskoczony.

— To nie polega na seksie, Killer. Tu chodzi o to, żeby być kochanym, a nie uprawiać miłość.

Kiedyś pokazał mi fotografie swojej rodziny — dwóch braci, siostra i jakaś dziewczyna.

— Kim jest ta kobieta?

— Ta? Och, to Marbeth Reilly, mieszka przy naszej ulicy,

— Czy to jedna z twoich zdobyczy?

— Marbeth? — zdawał się tym zaszokowany i zdumiony. — Na Boga, nie. To cudowna kobieta. Jedna z najlepszych.

— Nie chcesz, żeby cię kochała.

— Nie w ten sposób — odrzekł stanowczo.

Nie mam wątpliwości, że potem wyzbył się tych skrupułów.

— Masz zamiar to kontynuować, gdy zostaniesz księdzem? — wypytywałem go pewnego wiosennego wieczoru w Rzymie, pod koniec drugiego roku.

— Przestaną, kiedy zostanę subdiakonem. — Machnął lekceważąco ręką. — To tylko... — uśmiechnął się rozbijając — nieszkodliwe, młodzieńcze szaleństwa.

— Dlaczego więc nie skończysz z nimi? — spytałem.

Był szczerze zdziwiony.

— Skończę po złożeniu przyrzeczeń celibatu. Później byłoby to świętokradstwo. A na to się nie zdobędę.

— Dziwny rodzaj moralności, John.

— To moralność tradycyjna, moralność całego normalnego świata, Killer. Byłoby nam tu dużo lepiej, gdybyśmy więcej wiedzieli o kobietach z własnego doświadczenia.

— Chyba żartujesz!

— Pół żartem i zupełnie serio — jak powiedziałyby moja matka.

Często myślałem o obowiązku zameldowania o jego eskapadach władzom seminarium, ale powstrzymałem się. Nie chciałem być oskarżony o psucie mu reputacji.

Teraz głęboko i szczerze żałuję tego braku odwagi. John j był człowiekiem, któremu honor nie pozwoliłby kłamać.

Gdyby wniesiono przeciwko niemu tego rodzaju oskarżenie, choćby nawet anonimowo, nie zaprzeczyłby. Niemniej rektor mógłby dowiedzieć się, kto oskarża i — nawet dzisiaj jestem tego pewien — zatrzymałby to dla siebie, celem późniejszego wykorzystania przeciwko mnie.

Tak więc jego życie w Północnoamerykańskim Kolegium było tylko udawaniem. Udawał, że jest wzorem seminarzysty i wszyscy w to wierzyli — z wyjątkiem mnie. Niektórzy zakładali się, że przed trzydziestką zostanie biskupem i z pewnością będzie pierwszy z naszej klasy, który zostanie obdarzony purpurą. Nawiasem mówiąc, oba proroctwa się nie sprawdziły. Faktycznie to mnie pierwszego z naszej klasy przeznaczono do hierarchii. W przyszłym roku będę obchodził srebrny jubileusz w Alton.

Niemniej, prawdziwy John McGlynn pod glazurą seminarzysty połykał, można nawet powiedzieć, pożerał kobiety, nie mając poczucia smaku i nie zdając sobie sprawy z tego, że wykracza przeciw moralności. Dochodzę do wniosku, że przez trzy lata pobytu w Kolegium miał minimum dwadzieścia kobiet — jeżeli oczywiście opowiedział mi o wszystkich.

Potem, kiedy wiosną 1954 roku wyświęcono go na subdiakona, więcej już nie słyszałem o podbojach Johna. Nie ma jednak wątpliwości, że kontynuował swoje praktyki, mimo że złożył przyrzeczenie życia w ścisłym celibacie. Nauczyłem się rozpoznawać oznaki jego wyskoków. Wracał do Kolegium promienny, fizycznie odrodzony, z rozmarzonym uśmiechem i gorącym rumieńcem na twarzy — w ten sposób zachowywał się na boisku koszykówki po odniesionym zwycięstwie. Do grudniowych święceń ten uśmiech i kolory nie schodziły mu z twarzy.

Uważałem, że to ironia losu, a nawet wstyd, iż człowiek o tak haniebnym i podwójnym życiu miałby zostać uhonorowany wcześniejszym wyświęceniem, podczas gdy ci, którzy byli bez winy, musieli czekać do lipca następnego roku.

— Trudno ci będzie przejść na celibat? — zapytałem go na tydzień przed wyświęceniem na księdza.

Obdarzył mnie jednym z najbardziej czarujących uśmiechów, takim jakim w ciągu trzech i pół lat w Kolegium obezwładniał nauczycieli i większość kolegów.

—Nieszczególnie, Killer. Jeśli składa się przyrzeczenie, to się go dotrzymuje. Bez względu na wszystko.

— To chyba jednak nie jest łatwe. Obojętnie wzruszył ramionami.

— Moja mama zawsze mówi, że wszystko jest trudne j do chwili, gdy się człowiek uprze, aby to zrobić.

Potem doszły mnie plotki o jego następnych romansach w Afryce, Wiedniu i w Chicago. Nie mogę o nich mówić, nie miałem informacji z pierwszej ręki. Ale o tych, co do których jestem zupełnie pewien, słyszałem wprost od Johnny'ego McGlynnia.

22

Zjeżdżając windą, przypomniałem sobie pewien stary dowcip krążący wśród kleryków. Dlaczego w Kościele katolickim jest więcej koni niż końskich zadów? Dlatego, że końskie dupy siedzą w siodłach.

Dobry rzecznik obrony mógłby rozgnieść Killera na drobne kawałki. Były to dowody opierające się na szczegółach znanych świadkowi ze słyszenia. Johnny mógł cały czas robić go w konia. Louis Kane nienawidził Johnny'ego, ponieważ zajął on jego miejsce w Chicago.

Ciągle w tym wszystkim pojawia się Marbeth. Jutro odwiedzę ją nad jeziorem Geneva.

W swoim pokoju sprawdziłem akta i wycinki, które i przygotował mi Don Price. Jeszcze raz przejrzałem artykuł j opisujący ją, gdy została jedną z piętnastu

najpiękniejszych j kobiet w Chicago — nienawidząca, nienasycona modliszka, i mała suka, pierwszorzędny umysł, błyskotliwa pianistka ' i administratorka, nie bojąca się nikogo, nawet papieża.

Oto moja Mary Elizabeth!

Bracia mieszkają dwie przecznice od niej: Iggy (Ignatius Loyola) dwa domy dalej, przy Lathrop, Franny (Francis j Borgia) i Ally (Aloysius Gonzaga) przy Franklin. Nazywają ją matroną klanu, na pół żartobliwie, na pół poważnie. Posiada cztery domy wspaniale zlokalizowane: River Forest, i jezioro Geneva, County Galway i San Diego. Jeździ mercedesem i porsche — sprzedała testarosę. Zasiada we wszystkich komitetach, łącznie z Notre Dame, gdzie uczą się jej dzieci, mimo że członkowie rodziny noszą imiona jezuickie.

Ten artykuł odłożyłem na bok. Zdjęcie dowodziło, że zasłużyła na opinię jednej z piętnastu najpiękniejszych kobiet. Dawało to wiele do myślenia i jeśli się dłużej nad tym zastanowić, można było dojść do wniosku, że prawdziwa Marbeth była wrażliwą i delikatną kobietą, która nie tyle kryła się za wybitną finansistką i administratorką, ile z nią koegzystowała.

Mój ulubiony artykuł o Marbeth wyciąłem i schowałem. Opisano w nim, mniej niż entuzjastycznie, pożegnanie Johna na cmentarzu. Brało w nim udział tylko kilku biskupów, a „Killer” Kane w swojej mowie pochwalnej nie wspominał nawet, w jaki sposób umarł.

Zbliżam się do stojącej z dziećmi nad grobem Mary Elizabeth Quinlan, z którą zmarły przyjaźnił się przez całe życie. Jest ubrana w głęboką, czarną żałobę.

— Co —pytam ją — może pani powiedzieć o tym, że papież odmówił przyjazdu na pogrzeb?

Jej ciemne oczy są suche i patrzą przenikliwie. Pani Quinlan odpowiada zimno:

— Może pan powtórzyć moje słowa. Uważam, że papież jest nudną piłą.

I co dalej? Na to pytanie odpowiada siwowłosy ksiądz. Kiwając głową w kierunku grobu, mówi:

— Nawet papież z trudem utrzymałby Skaczącego Johnny'ego w ziemi!

Tak, to ja byłem tym siwowłosym księdzem. Matka i córka były dla mnie bardzo serdeczne. Karolina mnie uściskała, a Marbeth uśmiechnęła się do mnie.

—On cię kochał, Lar.

—Nie byłem jedyny.

Znowu się uśmiechnęła. Nie usłyszałem co prawda jej wypowiedzi, ale nawet przez moment nie miałem wątpliwości, co powiedziała.

Jadąc do Marbeth, niemal impulsywnie zatrzymałem się, aby zobaczyć matkę Jamiego, Maggie Ward Keenan. Zanim będę dalej rozpatrywał problem celibatu Johnny'ego, czułem, że dobrze by było i od niej otrzymać relację dotyczącą tego aspektu jego charakteru. Przede wszystkim Mama Maggie, poza zasłużenie dobrą reputacją znanego psychologa, miała doskonałe, intuicyjne wyczucie ludzkich charakterów. Oprócz swej psychoanalitycznej praktyki doskonale określała charakter i osobowość człowieka. I w przeciwieństwie do innych, z którymi rozmawiałem o zmarłym kardynale McGlynnie, nie ostrzyła na niego toporka.

Po przybyciu do jej dużego domu w Cape Cod na północnym wybrzeżu jeziora Geneva, położonego mniej niż pół mili od domu Quinlanów, Maggie zabrała mnie na molo za domem. Nie był to dom tak duży i bogaty jak Marbeth, niemniej należał do tych pięciu procent najlepszych domów nad jeziorem Geneva. Rzadka pokrywa chmur chroniła nas przed słońcem, woda w jeziorze była spokojna. Dzieci wracały już do szkoły i rodziny szykowały się do opuszczenia letniska.

Maggie była ładną kobietą, raczej niska i szczupła, z dużymi, wyrazistymi oczami i silnie zarysowanym podbródkiem. Zmarszczki na twarzy nie postarzały jej, lecz sprawiały wrażenie, że jest mądra i dystygowana, a potwierdzały to jej troskliwie ułożone włosy.

Jak zwykle, kiedy przedstawiłem jej swój problem, była bezpośrednia i dokładna.

— Z tak władczą i dominującą matką, nie wykluczyłabym możliwości istnienia ukrytego homoseksualizmu.

— O... — przełknąłem. — A co w takim razie z tak zwanym stosunkiem do Marbeth?

— Znam Mary Elizabeth trochę lepiej od niego — kontynuowała Maggie. — Niezwykła kobieta, tylko myślę, że powinna częściej się uśmiechać.

— Ale kiedy już się uśmiecha, ten uśmiech jest zdumiewający.

— A więc widziałeś, jak się uśmiecha? — Spojrzała na mnie uważnie. — Mieszkają, tak jak my, w St. Luke's i niektóre z jej dzieci chodziły razem z nami do szkoły. Tak jak na przykład twój wikariusz i ta młoda kobieta, która wyszła za mąż za tego czarującego żydowskiego lekarza — matka cudownie uleczona dziecka.

— Jesteś pewna, że to był cud, Maggie? Uśmiechnęła się tylko i wróciła do problemu utajonego homoseksualizmu.

— Nie myśl, Lar, że sugeruję, iż zmarły kardynał był gejem. Nie cierpiał na brak skłonności do kobiet. Człowiek o takim utajonym homoseksualizmie — jestem pewna, że wiesz, co mam na myśli — często wątpi we własną męskość dlatego, że przebywa w obecności dominującej, zachłannej matki. Próbuje odnieść sukces, zadając się z kobietami — weź pod uwagę, że dąży do jakiegokolwiek sukcesu, niekoniecznie wiążącego się ze złamaniem reguł celibatu — aby przekonać samego siebie o swojej męskości. Niemniej, bez wspierającej psychoanalizy czy jakiejś terapii, sukces nie rozprasza wątpliwości, a często nawet je pogłębia.

— Hm.

Nalała mi herbaty.

— Mityczny i legendarny Don Juan to klasyczny przykład utajonego homoseksualizmu. Tysiące zdobyczy i żadnej satysfakcji.

— Hm.

— Według definicji, ukryty homoseksualizm jest uśpiony. Jeżeli cierpiący osobnik, w wyniku długotrwałego leczenia, wreszcie z bólem upora się z tym, często uwalnia się od podświadomych obaw dotyczących identyfikacji własnego seksu, aby odkryć, że w istocie jest heteroseksualny, chociaż może nie jest tak impulsywnym zdobywcą kobiet, jakim był kiedyś.

— Ktoś taki z trudem mógłby zostać świętym, prawda? Z nadzieją czekałem, że zgodzi się ze mną, wtedy miałbym problem z głowy.

— Dlaczego nie, Lar? — Uniosła rękę, jakby chciała oddalić od siebie moje pytanie. — Homoseksualiści zostawali księżmi, biskupami, papieżami. Dlaczego więc nie mieliby zostać świętymi? Celibat może być wymogiem kanonizacji, ale

na pewno nie orientacja seksualna. Przypuszczalnie świętość jest tym, co robimy z rozdaną talią kart.

— Kongregacja do spraw Świętych prawdopodobnie nie zgodziłaby się z takim porównaniem.

— Biedacy... W każdym razie taka osoba, w dojrzałym wieku, często wybiera na swego towarzysza kogoś, kto jest heteroseksualny — bez zbytnich wymagań seksualnych.

— Rozumiem.

— Pojawia się Marbeth. Ona świetnie do tego pasuje, Lar — powiedziała uspokajająco. — Na szczęście dla niej i twojego zmarłego przyjaciela, staje się ona pewnego rodzaju opiekuńczą matką, zajmującą się słabymi mężczyznami, zamiast nad nimi dominować. W ten sposób mężczyzna może zachować iluzję swojej męskości i może nawet rozwinąć w sobie autentyczne poczucie męskości. Oczywiście, dla niego to coś wspaniałego, ale jej to nie daje satysfakcji.

— Byli kochankami?

— Jakże to ma znaczenie?

— To znaczy, że nie powinienem zaczynać od pytania, czy John McGlynn i Mary Elizabeth Quinlan spali ze sobą przy każdej nadarzającej się okazji, ale raczej od tego, czy rodzaj stosunków między nimi mógł zmienić jego życie?

Wzruszyła ramionami.

— Tylko wtedy, jeśli zaakceptujesz jako uzasadnione moje dziwaczne i niemal nieodpowiedzialne spekulacje. W każdym razie bardziej martwię się o Mary Elizabeth, której zachowanie, mnie osobiście, wydaje się prawdziwie święte. Co teraz z nią będzie? Czy musi czekać na innego mężczyznę, którym będzie mogła się opiekować? Czy dwa razy to nie za wiele?

— Może znowu wyjdzie za mąż?

— Ma kogoś, kogo nazywa „starającym się”.

— Czy to ktoś, kogo mogłaby zaakceptować?

— O, mój Boże, tak... Wiem o tym od nieocenionej Karoliny, która jest ekspertem w sprawach spotkań swej mamy. Niemniej przeważnie kobiety tego rodzaju boją się wziąć sobie mężczyznę, którym nie mogłyby kierować. Założę się, że szybko porzuciłaby takiego konkurenta. Jeszcze herbaty?

— Nie, dziękuję. — Wstałem i szykowałem się do odejścia. — Bardzo dziękuję. Może jeszcze wrócę.

— Jeżeli się orientuję w waszych irlandzkich regułach gry... to u was przysługa za przysługę... Gdybyś przypadkiem miał okazję, czy mógłbyś zachęcić Mary Elizabeth, aby zaakceptowała tego „starającego się” o nią — i to najszybciej, jak tylko możliwe?

Zamarłem bez ruchu.

— Chcesz, żebym namówił ją, aby wyszła za mąż za tego człowieka? — zapytałem zdumiony.

— Namówić... — Maggie Ward wzruszyła ramionami. — Zasugerować, doradzić, polecić — sam sobie wybierz. Wszystko jedno.

Szliśmy wzdłuż moło w kierunku domu.

— Ona nie należy do kobiet, które wyjdą za mąż na polecenie księdza.

— Zależy—zauważyła Margaret Ward Keenan —jaki to ksiądz, prawda?

23

Piętnaście minut później szedłem ścieżką do drzwi domu Mary Elizabeth.

— Lar — chwyciła mnie za rękę tym samym co zwykle płynnym ruchem i złożyła na mych ustach pocałunek, który trwał odrobinę dłużej niż powinien. — Sprawiasz wrażenie, jakbyś złagodniał. Widzisz, moja przepowiednia sprawdziła się, miałam rację, prawda?

— W żadnym wypadku — słowa uwięzły mi w gardle. — Jestem takim samym gburem jak zawsze.

— Nieprawda. — Moja ręka stale była uwięziona. Prowadziła mnie do frontowej werandy obszernego domu letniskowego. — Maggie Ward uważa cię za wspaniałego mężczyznę.

— Oszczerstwo — zaprotestowałem. — Chociaż mogłoby to kosztować mnie życie, gdybym został przyłapany na różnicy zdań ze wspaniałą Maggie.

— Karolino, pamiętasz księdza Lara? Dziewczynka wybiegła z domu.

— Jasne, mamusiu. To on przyszedł do szpitala tego wieczoru, gdy zrobiłam to głupstwo, prawda?

Znowu zostałem wyściskany i wycalowany.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziałem, powtarzając słowa wypowiedziane wtedy w szpitalu.

— Wszystko będzie dobrze — zgodziła się Karolina. Mała dziewczynka nie była już taka mała, pojawiły się pierwsze oznaki kobiecości. Następna ciemnowłosa irlandzka dziewczyna z delikatną, różową cerą i bladoniebieskimi oczami. I prawdopodobnie tak mądra jak matka? Prawdopodobnie. I piękna? Z pewnością. Radośniejsza i bardziej uczuciowa? Bez wątpienia.

Letni dom Quinlanów stał po północnej stronie długiego na dwanaście mil, kryształowo niebieskiego, topniejącego lodowca, w pobliżu miasta Geneva Jezioro, na wschodnim krańcu jeziora. Poprawna nazwa jeziora brzmiała Jezioro Geneva", a miasta „Geneva Jezioro". Nazwy te nigdy nie myliły się arystokratom należącym do grupy białych anglosaskich protestantów, ale wcale nie obchodziły dzieci katolickich imigrantów.

Okazałe, murowane, wiktoriańskie domy, stojące po północnej stronie jeziora w pobliżu miasta, pochodziły z ubiegłego wieku, a może nawet były starsze — szerokie trawniki, zadbane ogrody, długie mola, „letnie domy" i domki do wynajęcia, pięknie kute żelazne stoły i krzesła, poustawiane w strategicznych miejscach, place do krykieta — wszystko to nadawałoby się świetnie do filmów typu *Wielki Gatsby*. Niezupełnie takie, jak na północnym wybrzeżu Long Island, ale za to wygodniejsze.

Biali anglosascy protestanci powoli poddawali się tym wspaniałym — i droгим — domom Irlandczyków, a potem pracujących na giełdzie Włochów, prawdziwych twórców postępu, prawników zajmujących się ludzkimi krzywdami, a czasem należących sporadycznie do kogoś, kto zjawiał się z „West Side" i kto miał jakieś „powiązania", ale nie był jeszcze kimś „ważnym" — co można było tłumaczyć, że jest kimś, kto żyje „na peryferiach", w istocie jeszcze nie należąc do lepszego towarzystwa.

Kiedy parkowałem samochód przed domem Quinlanów, przyszło mi na myśl, że Mary Elizabeth musi być teraz niezwykle bogata, aby pozwolić sobie na taki dom letniskowy. Wyraźnie bardzo dobrze gospodarowała pieniędzmi po oj-

cu, tak jak jej zmarły mąż spółką. Wysunęła się daleko do przodu, dalej niż Reilly'owie z czasów dzieciństwa.

— Czy to jest ten obrażający obyczaj basen kąpielowy? — wskazałem w stronę położonego przy domu basenu, zbliżonego wymiarami do olimpijskiego.

— Tak — przytaknęła Karolina — i wie ksiądz, teraz jestem młodszą ratowniczką, gdy dzieci pływają w basenie, kiedy woda w jeziorze jest za zimna, i mama mówi, że gdy

będę nastolatką, zostanę prawdziwą ratowniczką na miejskiej plaży.

— Założę się, że już teraz jesteś doskonałą ratowniczką, Karolino.

— Mam nadzieję, proszę księdza. Cześć, mamó! Życzę wam miłego pikniku!

Podbiegła do uśmiechniętej Murzynki w białej sukni i otworzyła drzwi frontowe.

— Piknik? — zapytałem.

— Teraz, gdy słońce przebiło się przez chmury, pomyślałam, że moglibyśmy wziąć łódź, zarzucić kotwicę gdzieś na środku jeziora i tam porozmawiać. Dzieci odjechały już do szkół i nikt nie będzie nam przeszkadzał. A małe dzieci mają duże uszy.

— I bystre umysły.

— Możesz być pewien. Tym bardziej że Karolina uwielbiała Johna. W pewnym sensie był dla niej jak ojciec. Potem był ten... Mogę nazwać go cudem, z braku lepszego słowa. Denerwuje ją, jak się za dużo o Johnie mówi, a szczególnie jeśli pada jakaś najmniejsza aluzja, że mógł być niedoskonały. To normalna, zdrowa, mała dziewczynka — no, już nie taka mała — ale jest bardzo czuła na jego punkcie.

— To zrozumiałe.

Poszliśmy nad jezioro z koszykami piknikowymi, czekającymi na nas na jednym z żelaznych stołów, a potem udaliśmy się na molo.

— Dwadzieścia cztery stopy, dwieście pięćdziesiąt koni, ośmiocylindrowy chrysler z 1935 roku — powiedziałem. — Dobrane kolorem poduszki z czerwonej skóry.

Na rufie łodzi namalowano imię „Karolina”.

— Nowy motor — odrzekła. — Nie nauczyłeś się tego na 79. Ulicy albo w St. Martha.

— Cieszy mnie, że ciągle cię jeszcze bawię.

— Zawsze, Lar. Zawsze... Bud kupił ją dwadzieścia lat temu i pozwolił, żeby marniała. Pomyślałam, że zasłużyła na lepszy los i świetnie nadaje się do zabawy dla dzieci, gdy chcą popływać pontonem lub poślizgać się na nartach wodnych.

Wskoczyła do łodzi i zbliżyła ją do molo.

— Ciągle jeszcze ślizgasz się na nartach wodnych, Mary Elizabeth?

— Znana byłam z tego. Ale te nastolatki co roku wydają się młodsze.

Marbeth dużo się nie zmieniła. Jej nogi nadal były smukłe, białe szorty leżały na niej dobrze i mogła je nosić bez skrepowania, pod bluzeczką rysowały się jeszcze prężne piersi, twarz pokrywały dodające uroku zmarszczki, włosy nadal miały barwę soli z pieprzem. Nad jeziorem Clearwater nie miała makijażu, a ten, który miała teraz, był bardzo delikatny. Ta kobieta doskonale potrafiła dbać o siebie.

Uruchomiła starter i motor. Gwałcąc naturalne prawa wszystkich silników motorówek, natychmiast zaskoczył.

— Pamiętasz, jak ślizgaliśmy się na nartach wodnych na Clearwater?

— Pamiętam twój biały kostium. Pewnie ciągle jeszcze mogłabyś go nosić.

— Niezupełnie, ale dziękuję ci. — Odepchnęła łódź od mola i powoli ruszyła do przodu. — Tuż przed tobą, w schowku, są czapki i okulary słoneczne. Nie chciałabym, żebyśmy się usmażyli albo dostali raka skóry.

— Mówisz jak matka.

Czapki nosiły napis: „Quinlan Company”.

„Karolina” ryknęła i pomknęła pełną szybkością ku środkowi jeziora. Nie było nic łagodnego w tym starcie.

De razy w ciągu prawie czterech dekad rozmawiałem z tą czarującą kobietą? Dwa razy nad Clearwater, pewnego wieczoru w domku mojego brata naprzeciwko jeziora, na stypie po pogrzebie jej męża, przez kilka dni pobytu w Irlandii, w

szpitalu w Elhorn i przy okazji spotkania na Loop*¹³ — tylko tyle. A jednak zajmowała stałe miejsce w strefie wyobraźni mojego umysłu. Zawsze nas coś łączyło, coś miłego, dobrego, przyjemnego, a może nawet trochę ryzykownego.

Wyłączyła motor w pobliżu miejsca zwanego Black Point i otworzyła duży, biały kosz piknikowy.

— Mamy szynkę, ser, wołowinę i sałatkę z jajek.

— Wspaniale.

— Co jeszcze?... Doskonale... mamy tu jeszcze dietetyczną colę, białe wino, mrożoną herbatę i lody z czekoladowymi chipsami, pewnie lepsze od tych, którymi tak bezczelnie obżerałeś się w Willi, w sensie dosłownym. — Nadgryzła kanapkę z wołowiną. — Ale żadne z nas nie było wielce cnotliwe. Kiedy jedno z nas było gotowe, drugie nie. Trochę pieszczot, głównie wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Zakonnice mówiły, że to grzech śmiertelny. Johnny powiedział, że są głupie, a ja mu uwierzyłam. Mówił, że to sposób wyrażania miłości i pomaga kobietom i mężczyznom przygotować się do małżeństwa. Uważałam, że miał rację. Dzisiaj przyjmuje się to jako normalną naukę przedślubną.

— Nieoficjalnie. Jeszcze nikt o tym nie powiedział Watykanowi.

— Biedacy. — Jadła dalej swoją kanapkę. — Nie twierdę, że nie kochaliśmy się. Bardziej ja jego, niż on mnie. Kochaliśmy się odkąd tylko pamiętam. Bardzo mi go brak. I zawsze będzie. Nie mam tu na myśli przeżyć erotycznych, których absolutnie nie było w naszej miłości. Nie byłam taka głupia. Ale czy widząc nas razem, miałeś wrażenie, że masz przed sobą parę kochanków?

— Nie... Pod koniec Johnny bardzo silnie wszystko przeżywał, prawda?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, napełniając moją szklanekę mrożoną herbatą.

— Myślę, że tak. Zauważyłam to szczególnie w jego stosunku do mnie, ale przypuszczam, że dotyczyło to wszystkiego. Pomyślałam, że powoli wyłania się prawdziwy Johnny, taki, jakiego jego straszna matka nie zdążyła jeszcze zniszczyć.

¹³ The Loop — główna dzielnica handlowa w centrum Chicago. Nazwa wywodzi się od otaczającej ten obszar pętli linii kolei nadziemnej (przyp. tłum.).

— Możesz sobie przypomnieć, kiedy zaczęła się ta zmiana lub co ją spowodowało?

Chwyciła drugą połówkę kanapki z wołowiną.

— Zdawało się tylko, że zachodzi, ale tak powoli, że nie zauważyłam... Po-tem było... Tu jest jeszcze jedna kanapka, Lar. Mam wyjąć więcej?

— Nie zaszkodzi.

— Dobrze. — Wyjęła następną kanapkę dla siebie, zawahała się, a potem odwinęła woskowy papier. — Nie mam i tych jego zaginionych archiwaliów, które powinnam mieć — jak mi dał do zrozumienia ten odrażający typ, który ze mną i rozmawiał.

— Kto?

— Twój nowy kardynał. — Wbiła z wściekłością zęby w kanapkę z szynką i serem na żytnim chlebie. — Po rozmowie z tym przerażającym waźniakiem wezwalam Lena. Len też nic nie wie.

— Mówił, że twój przyjaciel też go nachodził. Oślizły kościelny polityk.

Zadrzała. Najwyraźniej mój szef nie pozyskał jej sympatii. Żadnemu nowemu kardynałowi by się to nie udało.

— Przykro mi — głęboko westchnęła. — To jeden z tematów, które czynią mnie nierozsądną... Sądzę — ciągnęła — że ktoś próbował ukryć dokumenty przed naszym powrotem z Nikaragui. Nie wiem, czy pamiętasz, że nie mogliśmy się stamtąd wydostać przez parę dni, kiedy sandiniści i ci z Departamentu Stanu próbowali się wypunktować. Len powiedział, że po powrocie z lotniska O'Hare zastał w biurze pustą szafę. Ale podobno i tak nigdy w niej wiele nie było. John-ny w istocie nie dbał o prywatność i jeśli chcesz wiedzieć, nie był zbyt ostrożny.

— Prawdopodobnie. Poważnie skinęła głową.

— Chcesz teraz lodów?

— Zawsze.

Nałożyła mi zbyt szczerze na papierowy talerzyk czekoladowych kulek z chipsami.

— Twoje następne pytanie będzie dotyczyło cudu, prawda?

Zaśmiałem się i zacząłem wcinać lody.

— Widziałeś taśmę?

— Tak.

— I co?...

— I zdawało się, że ty na niej jesteś największą sceptyczką.

— Byłam. I jestem. Nancy jest kompletnie otumaniona tym kultem. Zawsze była mu bliska, a teraz jest całkowicie przekonana, że Johnny jest święty. Nie mogę jej za to winić, biedactwo. Noah próbuje sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby mógł jednocześnie być Żydem i katolikiem. Może tak być?

— Tak, jeśli znajdzie odpowiedniego księdza.

— Powiedziałaś mu o tym.

— Powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami i napełniła szklanki winem.

— Nadal jestem agnostyczką — nie jeśli idzie o Boga, ale o cuda. Obojętnie jakie. Bardzo kocham Brenny'ego, ale dlaczego to my właśnie zostaliśmy wybrani, by doświadczyć tej szczególnej łaski? Wiem tylko tyle, że jest wspaniałym, zdrowym chłopczykiem, i jestem z tego powodu szczęśliwa.

— Noah powiedział w czasie wywiadu, że nie zarejestrowano żadnych wypadków samoistnego cofnięcia się raka siatkówki oka.

— W rzeczywistości zdarzyły się trzy podobne wypadki, a jeden został potwierdzony. Jednak to wcale nie umniejszyło wiary Noaha — jeśli tak to można określić. Teraz zapytasz, czy sądzę, że był męczennikiem i świętym. Święty John z Chicago, biskup i męczennik, mam rację? — Zaczęła szybko i sprawnie sprzątać resztki naszego pikniku. Od 1935 roku nie tolerowało się bałaganu na łodzi firmy Chris-Craft.

— Jak brzmi twoja odpowiedź?

— Nie jestem pewna, co to znaczy święty — przypuszczam, że wszyscy tak mówią, prawda? Ale kimkolwiek święty mógłby być, trudno mi to określenie zastosować do niego. Może to jest jasne dla tych, którzy znali kogoś, kto został świętym. Był miłym i dobrym człowiekiem, pracował najlepiej, jak mógł na wyznaczonym stanowisku, którego nie chciał, ale którego nie potrafił odmówić. Uważam, że to było wspaniałe, ale nie święte.

— Dobrze pracował przy twojej pomocy—uzupełniłem.

— Między innymi. Jeżeli moja pomoc była coś warta. Prawdę mówiąc, po powrocie nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić

o pomoc. Ale nie mam tu na myśli Chicago. Myślę o jego kapłaństwie. Tak jak ci powiedziałam tego pięknego popołudnia w Watersmeet, Johnny nie chciał zostać księdzem. Wspaniale nadawał się do tego z powodu swej osobowości i inteligencji, i wszyscy byli przekonani, że to wystarczy. Ale on sam nie chciał zostać księdzem. Ksiądz, a zwłaszcza ksiądz diecezjalny, tak jak ty

1 Johnny, powinien kochać pracę w parafii. Johnny lubił ludzi, umiał z nimi postępować, ale nienawidził każdej chwili przeżytej w swojej parafii w Putnam Park, gdzie przebywał przez pięć lat.

— Jego proboszcz to stuknięty facet — stwierdziłem.

— To jeszcze pogarszało sprawę. Johnny po prostu nie pasował do tej pracy. Próbował się dostosować i udało mu się tak dobrze, że wszyscy byli przekonani, iż chce być księdzem. | Ale w istocie nienawidził tego. Nienawidził wszystkiego, co robił w kapłaństwie, jednak przez swoją wrodzoną inteligencję i siłę woli stał się dobry, wystarczająco dobry, aby móc wykonywać to zajęcie i na tyle dobry, że każdy był przekonany, iż jest szczęśliwy.

Teraz zorientowałem się, że podróż po jeziorze była dla niej wspaniałym pretekstem do założenia ciemnych okularów — aby zakryć pokazujące się w jej oczach nieuniknione łzy.

— Pragnęłam jedynie, aby Delia trochę inaczej rozłożyła swoje priorytety — kontynuowała. — John byłby doskonałym prawnikiem lub lekarzem, czyż nie? I prawdopodobnie każdy z tych zawodów uszczęśliwiłby go. A dobrym księdzem mógł zostać Jim lub Mick. Po prostu przydzieliła im złe role.

Znowu oparła się na poduszkach i włożyła rękę do wody, co jeszcze bardziej uwypukliło linię jej piersi. Siedzieliśmy cicho, a twarze muskał nam delikatny wietrzyk odchodzącego lata. Po chwili, która zdawała się wiecznością, zdecydowałem, że muszę coś powiedzieć.

— Dlaczego myślisz, że John byłby szczęśliwszy jako prawnik albo lekarz? Czy chodzi o celibat?

— Z pewnością nie. Przez większość czasu nie stanowiło to dla niego żadnego problemu.

— Co więc było problemem?

— Byłam głupia wtedy w Watersmeet, gdy stwierdziłam, że nie wierzy w Boga. Powiedział mi wówczas, że jest „religijnie nieczuły”. Słyszał o pewnym

socjologu, który twierdził, że istnieją tacy ludzie, i sądził, że on świetnie do nich pasuje.

— W końcu stało się jednak inaczej, prawda?

— O, mój Boże, tak. Stał się niemal religijnym fanatykiem. Wątpliwości, jeżeli chcesz to tak nazwać, zawsze były słabe i nieskonkretyzowane, wracały do niego, ale nigdy nie rzutowały na jego życie.

— Rozumiem.

— Nie, nie rozumiesz. Byłam mu bliższa aniżeli ktokolwiek na świecie i sama tego nie rozumiałam. Nie sądzę, aby ktokolwiek znał prawdziwego Johnny'ego McGlynn, włączając w to samego Johnny'ego.

Bawiła się kluczykiem do stacyjki, zmęczona i niecierpliwie czekająca na koniec naszej rozmowy, podobnie jak i ja.

— Stał się lepszy czy gorszy?

— Inny. Poważniejszy, bardziej niespokojny, bardziej dbał o ludzi. Mniej przejmował się papieżem i innymi biskupami, te słowa brzmią dziwnie po tym, co już powiedziałam, ale stał się jakoś bardziej uduchowiony. Spytałam go, czy to zauważył. Zaprzeczył, twierdząc, że nic się nie stało, ale byłam pewna, że dobrze o tym wiedział. To było jak... Jednak — potrząsnęła niecierpliwie kluczykiem — to nie było do niego podobne. Niemniej zanim wyjechał do Ameryki Środkowej, żył jak linoskoczek, był skrajnie zestresowany, niespokojny, cierpiał na bezsenność. Mógł wpędzić się do grobu. Prawdopodobnie zrujnowałby sobie zdrowie i zabił się. Jednak...

— Mam już dosyć, Mary Elizabeth.

— Ja też. Zdecydowanie. Piszę wspomnienia. Wszystko i tak w nich będzie. Może nie tak drastycznie.

— Nie sądzę, abyś mogła być drastyczna.

— Chyba wtedy, w 1952 roku, powiedziałam, że jesteś słodki. I teraz też jesteś słodki. — Poklepała moją rękę.

— Dziękuję, Mary Elizabeth.

— Zrozum — włożyła kluczyk w stacyjkę — ja zawsze go kochałam. I ciągle jeszcze kocham. Zawsze będę go kochała. — Zapуściła motor.

— Ślizgasz się jeszcze na nartach wodnych, Lar? Czy przypadkiem nie widziałam cię na jeziorze z siostrzenicami i siostrzeńcami?

—Jestem już trochę za stary, ale tak. A ty?

—Nie czuję się już tak dobrze, ale też to robię. Coś ci powiem, wrócimy, weźmiemy ze sobą księżniczkę Karolinę i naprawimy tę pomyłkę, którą popełniliśmy w obozie świętego Jerzego w 1952 roku.

Zanim zdążyłem odmówić, 250 koni we wnętrzu „Karoliny” ożyło. Pojechaliśmy zatem ślizgać się na nartach wodnych. Mary Elizabeth założyła biały kostium kąpielowy, który przypominał ten sprzed czterech dekad. Przynajmniej w moich oczach była tak piękna jak wtedy. Oboje mogliśmy jeszcze robić slalomy, w pewnym stopniu profesjonalnie, co było i tak bogatszym repertuarem od tego, co potrafiła i Karolina.

—Kiedy dorosnę, z pewnością będę lepsza od was.

—Nie przeczy my — przyznałem, podciągając linkę nart.

W czasie tego popołudnia Marbeth często się śmiała, a prawie cały czas uśmiechała się. Nigdy nie widziałem, żeby była taka szczęśliwa. Ta zmiana uczyniła z niej kobietę, której trudno było się oprzeć.

Później zostałem poczęstowany swissburgerami pieczonymi na grillu w ogrodzie. W końcu znowu mnie pocałowała i wróciłem do Forest Springs, zostawiając Mary Elizabeth zatopioną we wspomnieniach z przeszłości, przeżywającą na j nowo młodzieńczą miłość do Johna..

MARY ELZABETH

TLR

24

— Czy teraz wierzysz w Boga?—zapytałam Johna przed Grand Hotelem, naprzeciw Stazione Termini w Rzymie.

Przestępował z nogi na nogę. Jego oczy tańczyły nerwowo. Był przystojniejszy niż kiedykolwiek. W nowej, księżowskiej szacie wyglądał dostojnie i czarująco. Musiałam przyznać, że ten strój leżał na nim jak szyta na miarę rękawiczka.

— Czasem, Marbeth.

Było to zimowego wieczoru, tuż przed Bożym Narodzeniem. Czerwone światła zdobiły front dworca i otaczające budynki. Para naszych oddechów zmieniała się w zamrożoną mgiełkę. Tego dnia wyświęcono Johna. Byliśmy z tej okazji na wielkim bankiecie w hotelu. Oboje w milczącej zgodzie oddaliśmy się od gości, aby napisać słowo „koniec” w naszym romansie, albo raczej w moim romansie. Plac przed dworcem był zatłoczony samochodami. Musieliśmy do siebie krzyknąć, aby zagłuszyć hałas uliczny. Niezupełnie stosowna atmosfera na nostalgiczne pożegnanie.

— Już to przedtem powiedziałeś.

— Dwa razy — nie patrzył na mnie.

— Jak ty możesz być księdzem?

Moja miłość powróciła ze zdwojoną siłą, gdy pojechałam do Rzymu na jego wyświęcenie i pierwszą mszę. Musiałam się hamować, ponieważ teraz był już księdzem, a ja byłam zaręczona. Ale na najmniejszy znak od niego byłam zdolna wrzucić swój nowiutki pierścionek do Tybru.

— Jesteś pewien?—naciskałam.

— Mniej więcej — odparł. A po chwili wahania dodał — Nie mogę ci tego wyjaśnić, Marbeth. Nie muszę ci mówić, że lubię kobiety. Nie jestem pewien, co to znaczy być takim księdzem, jakim chciałbym być. I nie sędzę, żebym był wystarczająco dobrym księdzem — mam zbyt wiele wad. Może to, co stało się dzisiaj rano, jest dla mnie zbyt ryzykowne. Jestem jednak absolutnie pewny... tak pewny jak to, iż istnieję, że ty jesteś cudownie piękna, że słońce jutro wzejdzie...

że powinienem być księdzem. Ja... — zawahał się. — Jest coś, co muszę zrobić, ale dokładnie jeszcze nie wiem, co to jest.

— Jeżeli muszę cię stracić, John — powiedziałam głosem nabrzmiałym łzami — to lepiej, że tracę cię dla Boga. Oczywiście, jeśli to naprawdę chodzi o Niego.

— Ty mnie nie tracisz, Marbeth. Zawsze będziemy przyjaciółmi.

— Nie jestem tego pewna, John. Zastanawiam się, czy my możemy zostać jedynie przyjaciółmi. To nie twoja wina. Moja... bo tak często ci się narzucałam.

Mogłam powstrzymać łzy, ale nie mogłam przestać uważać się nad sobą, czego zawsze bardzo się wstydziłam.

— Nie narzucałaś mi się, Marbeth. — Zaśmiał się swobodnie.

— To, co robiłaś, nie miało z tym nic wspólnego.

— Cóż więc takiego robiłam?

— Po prostu ofiarowałaś mi siebie, uczyniłaś z siebie najśłodsza i najpiękniejszą ofiarę — dotknął delikatnie mojej ręki

— której wspomnienie zachowam jak największy skarb.

— Potem czułam się podle — odwróciłam wzrok. Znowu się zaśmiał, tym razem głośniej, i zacisnął dłoń

na mojej ręce.

— To nie była tania ofiara, Marbeth. Nigdy tak nie myślałem. To było coś wspaniałego, pełnego radości, miłości, obietnicy i dobroci. Każdemu pochlebiłaby taka ofiara. — Chwycił moją drugą rękę. — Mnie pochlebiła.

— A jednak mnie nie chciałeś — upierałam się, nie chcąc go rozgrzeszyć.

— Oczywiście, że cię chciałem. Powiedziałem ci to wtedy i naprawdę tak czułem. Nigdy nie zapomnę tego kruchego podarunku z całej siebie, którymi ofiarowałaś. To na zawsze pozostało w mojej pamięci. Gdybym miał wybrać żonę, z pewnością ty byś nią została, albo ktoś bardzo do ciebie podobny.

Słuchając takich słów, czułam zakradający się sceptycyzm. Wypowiadał je zbyt łatwo. Niemniej był bardzo mity. Część mojego wstydu ulotniła się.

— Rozumiem.

Nie rozumiałam. Ale przyznaję, że byłam zaintrygowana jakąś tajemnicą tkwiącą w tym, co powiedział. Ja też chciałam, abyśmy rozstali się w przyjaźni.

—Naprawdę rozumiesz, Marbeth?

—No, niezupełnie. Ale ty rozumiesz, i to się liczy. Może Bóg uczyni z ciebie dobrego księdza.

—On mi wyznaczy, co mam dla Niego zrobić.—John > znowu zaśmiał się do siebie. — Chodźmy... wejdźmy i coś zjedźmy!

Pocałował mnie w czoło i puścił ręce. Był to wspaniały obrazek: przystojny, pełen życia, młody mężczyzna poświęcający młodą kobietę, którą uważał za atrakcyjną, na rzecz czegoś ważniejszego. Przyszło mi wtedy do głowy, że może to jest w dziewięćdziesięciu procentach prawdą... a może tylko w sześćdziesięciu pięciu?

To było to. Byłam mądrą, młodą kobietą. Byłam zaręczona. Miałam przed sobą całe życie. Powinnam skorzystać z rady, której za sprawą Lara McAuliffe'a sama sobie udzieliłam— uwolnić się i iść z prądem życia.

25

—Co on robi?—spytał Bud, nie mogąc ukryć zdumienia..

—Rozkręca rolki papieru toaletowego — odparłam, również zdumiona — i rozciąga go po trawie boiska szkolnego. Mój narzeczony i ja staliśmy ręką w rękę przed domem parafialnym św. Egberta na Far South Side w Chicago. Było to w dziesięć miesięcy później, gdy Johnny przyjechał pracować w tutejszej parafii, położonej w biedniejszych rejonach archidiecezji. Plebania mieściła się w starym, drewnianym budynku, stojącym przy bocznej ulicy.

Za nim rozciągała się duża parafialna szkoła: biały, murowany budynek pełen dzieci. Wkrótce, o wpół do trzeciej, w odpowiedniej kolejności wyjdą z niego dzieci i zobaczą biednego Johnny'ego w sutannie, rozwijającego papier toaletowy.

Słyszałam, że jego proboszcz był okrutnym psychotykiem, ale tego było już za wiele.

—John, czy możemy ci pomóc?—Podbiegłam do niego, a Bud podążył za mną.

— Marbeth—uściskał mnie i potrząsnął ręką Buda. — To cudownie, że przyszliście.

—Co ty robisz? — zapytał Bud.

—A jak myślicie? — Zaśmiał się. — Rozwijam papier toaletowy.

—Po co?

— Proboszcz otrzymał wielką przesyłkę dla szkoły i zmagazynował ją w piwnicy plebanii. — Wzruszył ramionami. — Wszystko zamokło, gdy w czasie ulewy zapchała się kanalizacja i teraz chce to wysuszyć.

—Nędzny skurczybyk! — warknęłam.

— Uspokój się — powiedział łagodnie —mnie to wcale nie denerwuje.

—Ale mnie tak!

—Żenisz się z piękną, ale porywczą kobietą, Bud — zwrócił się do mego przyszłego męża.

—Myślisz, że o tym nie wiem?

— Kim są ci ludzie? — Nagle obok nas zjawił się staruszek niskiego wzrostu, z długimi, siwymi włosami, w brudnej sutannie i z zapadniętymi, przenikliwymi oczkami.

— To moi przyjaciele, dawni sąsiedzi, proszę księdza— wyjaśnił John.

— Nie dałem ci pozwolenia na rozmowę z nimi. Kończ wyznaczoną pracę.

— Chcemy, aby on udzielił nam ślubu — przygotowałam się do walki.

—Jesteście z tej parafii? Tutaj ja udzielam wszystkich ślubów.

—Nie, nie jesteśmy.

— On nie otrzyma mojego pozwolenia na udzielenie ślubu w innej parafii.
— Błysk radości ukazał się na jego diabolicznej twarzy.

— Posłuchaj no, ty nędzny skurczybyku... — Wymierzyłam palec w jego twarz. — On udziec mi ślubu. Nie próbuj mu przeszkodzić, bo pójdę do samego kardynała.

— Nie udzieli ślubu! — wrzasnął proboszcz, teraz trochę przestraszony moim atakiem.

— Jesteś złośliwym, małym, obrzydliwym staruchem! — krzyknęłam. — Jeśli odważysz się wejść mi w drogę, pošlę cię do piekła, gdzie już dawno powinieneś siedzieć.

— Wynoś się z mojego terenu! — krzyknął w odpowiedzi.

— Chodź, Bud, pomożemy Johnny'emu uporządkować ten śmietnik.

— Nie pozwalam wam niczego dotykać — warknął stary. Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Nie od parady byłam córką prawnika.

— Chcesz, żebym złożyła doniesienie do Komisji Zdrowia, że używasz zanieczyszczonego papieru toaletowego? I co sobie o tym pomyśli kardynał?

Stary odwrócił się na pięcie i wściekły odszedł.

— Czy nie narobiliśmy więcej kłopotów, niż warta jest nasza pomoc? — zapytał Bud.

— Już gorzej być nie może — odparł John ponuro — ale nie chcę, żebyście...

— Zabierajmy się do roboty — powiedziałam.

Dzieci po wyjściu ze szkoły również spontanicznie zaczęły pomagać. To znaczy, że lubiły Johna.

— Myślę, że go przestraszyłaś — powiedział znowu bez troski John. — Inaczej byłby już tutaj i odpędził ode mnie dzieci.

— Udzielisz nam ślubu, bez względu na to, co powiedział, W drodze powrotnej do River Forest pomyślałam, że John lepiej poradziłby sobie ze mną, ot, taka nieodpowiednia myśl u panny młodej tuż przed ślubem — aniżeli z Bogiem.

Podczas naszej przedślubnej kolacji, z Budem i jego połową gości weselnych, kiedy wszyscy mieli już mocno w czubie — jeżeli chodzi o Buda, to był pijany przez cały tydzień przed ślubem, aż do czasu tak zwanego miodowego miesiąca — zapytałam Johnny'ego, jak mu się pracuje w parafii.

— Ten ksiądz tak bardzo mi nie przeszkadza — wzruszył ramionami. — To wariat, ale ludzie tutaj są dobrzy.

— Lubią cię?

— Myślę, że tak. Przynajmniej odniosłem takie wrażenie.

— To znaczy, że dobrze ci się z nimi współpracuje.

— To łatwe, Marbeth. Wystarczy się uśmiechać, być miłym i przyjaznym dla nich i ich dzieci... i powiedzieć coś odpowiedniego przy odpowiednich okazjach.

— Przy odpowiednich okazjach?

— Chrzt, stypy, wesela, pogrzeby... no wiesz, wtedy, gdy ludzie potrzebują lub pragną księdza.

— Czy to trudne?

— Z początku dziwnie się czułem. Moje słowa wydawały mi się puste. Zdało mi się, że mówię wyświechtane banały, jednak oni tak tego nie odbierają. Spodziewają się, że ksiądz im to właśnie powie.

— I to, że mówisz do nich w ten sposób, jest dla nich takie ważne?

— Bardzo.

— Lubisz to?

Zmarszczył się i zamyślił nad odpowiedzią.

— Chciałbym w to wierzyć, bardziej niż potrafię. Czasem, gdybym więcej ufał w to, co robię, te słowa nie brzmiałyby dla mnie tak banalnie i może miałyby większe znaczenie dla nich.

Wróciliśmy do problemu Boga.

— Ale wydają się zadowoleni?

— O, tak. Uważają, że jestem dobrym księdzem.

— A jesteś?

— Obawiam się, że nie bardzo. Chciałbym tylko więcej wierzyć... Są chwile, kiedy, jak dobrze wiesz, Marbeth, wierzę, i chwile, kiedy nie wierzę.

Pomiędzy nami przebiegała tam i z powrotem coraz silniejsza iskra elektryczna. Część mnie mówiła, że nie powinnam w ten sposób rozmawiać z księdzem w wieczór poprzedzający mój ślub.

A druga część mówiła, że wychodzę za mąż za niewłaściwego mężczyznę.

— A co z tobą i Budem?

— Nic jestem pewna, John—wyrwało mi się.

— Większość ludzi nie jest pewna przed ślubem. Pragnęłam wsparcia i uczucia, a odpowiedział mi truizmem.

— On od tygodnia pije.

— Jest przerażony, Marbeth. Większość mężczyzn w tym czasie bardziej się boi niż ich narzeczone. Tylko inaczej to okazują... i to wszystko.

—Czego się boi?

—Małżeństwa, życia, ciebie.

John miał rację. Biedny Bud bał się tych wszystkich rzeczy. Powinien ożenić się z kobietą, nad którą mógłby zapanować. Gdyby moja rozmowa z Johnem trwała dłużej, jutro mogłabym nie przemaszerować główną nawą kościoła św. Łukasza. Ale, jak zwykle, odciągnęła mnie od niego moja mama, abym zmierzyła się z nowym zadaniem dotyczącym odpowiedniego ułożenia kwiatów. W ten sposób nigdy nie! dokończyliśmy tej rozmowy.

Nie dziwiło mnie, że John był w swojej parafii nieszczęśliwy. A czy w ogóle mógł być szczęśliwy? Jego złe samopoczucie nie było spowodowane proboszczem czy też tym, że jego kariera nie poszła we właściwym kierunku. Był nieszczęśliwy, ponieważ zaczął podejrzewać, że podjął złą decyzję. Myślę, że byłby szczęśliwszy, gdyby mnie przyjął. Ale na to było już za późno, za późno dla nas obojga. Przez moment zastanawiałam się, co się stało z wpływami Delii? Ile czasu minie, zanim go uwolni?

Minęło aż pięć lat, zanim wyperswadowała kardynałowi, aby posłał go z powrotem do Rzymu.

— Stary go lubi i nie chce, aby usechł na pniu—wyjaśnił ksiądz — on nie może znieść tej wulgarnej baby, jego matki.

Delia, ta ładna i adorowana druga matka mego dzieciństwa, wulgarną babą? Czyżby upadła aż tak nisko?

No, ale moje dzieciństwo minęło. Nic już nie mogłam | zrobić dla biednego Johna McGlynn. Był miłością mego \ dzieciństwa. A teraz byłam już dojrzałą kobietą z mężem,; a wkrótce może z rodziną. Po utracie niewinności powinno I się zapomnieć o snach dzieciństwa. Miałam prawie dwadzieścia lat i mogłam jasno spojrzeć w przyszłość.

Przekonanie to wskazywało, jak nadal jeszcze byłam i niewinna.

Następnego dnia obudziłam się przerażona. Śniło mi się, że spotkałam Johna. Uświadomiłam sobie, że nie jestem tak odporna na jego urok, jak się tego spodziewałam. Najgorsze, że śniło mi się to rano w dzień mojego ślubu.

Mimo tego snu, plastycznie ukazującego namiętność, w istocie bardzo mało wiedziałam o seksie. Och, naturalnie znałam różne szczegóły, ale nie mając żadnego osobistego doświadczenia, poza ukradkowymi wypadami z Johnem, byłam przerażona tym, co miało się tej nocy stać w hotelu Drake — i jak się okazało, nie bez powodu — chociaż nie czułam się tak upokorzona jak Bud. Nie upiłam się na tyle, abym nie była zdolna do działania.

Przez całe tygodnie nie byłam pewna, czy powinno dojść do tego małżeństwa. Prawie odwołałam wszystko na dwa tygodnie przed ślubem. Często wydawało mi się, że mam przeczucie, iż Bud nie jest dla mnie kimś odpowiednim. Prześladowało mnie to jeszcze bardziej w ciągu naszego miodowego miesiąca, zresztą później też.

— Może jestem za młoda do małżeństwa — powiedziałam do mamy.

Matka wyraziła współczucie, mówiąc:

— Nie musisz teraz wychodzić za mąż — powiedziała miękko. — Może powinnaś poczekać jeszcze pół roku.

— Dałam już na pierwsze zapowiedzi.

— Często odkłada się małżeństwo po pierwszych zapowiedziach, kochanie.

Wiele lat winiłam ją za to, że nie powstrzymała mnie od poślubienia Buda. (Jednak nigdy jej tego nie powiedziałam, udawałam przed nią i przed ojcem, że małżeństwo układa się dobrze). Przyznałam jej wtedy rację, że jestem tylko zde nerwowaną panną młodą, wystraszoną wyimaginowanymi demonami. Gdybym powiedziała jej jedno zdanie więcej, pewnie odłożylibyśmy ślub. Dlaczego nie wypowiedziałam tego zdania?

Nie chciałam przyznać się do błędu. Bałam się kłopotów związanych z odkładaniem ślubu, a jeszcze bardziej odwołania pierwszych zapowiedzi. Wszystko, co się potem stało, wzięłam na siebie.

Rankiem, w dniu ślubu, byłam kompletnie roztrzęsiona. Przede wszystkim z powodu tego snu, ale również dlatego, że nerwy mamy były napięte do ostatnich granic, co w końcu udzieliło się również i mnie.

Mama chciała, żeby ślub wypadł doskonale — suknie, kwiaty, welony, muzyka, ceremonia, fotografie, dziesięć druhen w różowych sukienkach, dwóch małych kuzynów (bardzo wystraszonych) niosących obrączki i kwiaty, dziesięciu księży i dwóch prałatów... w ogóle wszystko.

Niestety, coś takiego, jak ślub doskonały, nie istnieje ponieważ ludzie nie są doskonali. Miałam do wyboru dwie możliwości: albo wspaniały ślub, doprowadzający wszystkie kobiety do łez, albo ślub, na którym ja czułabym się szczęśliwa. Mama wybrała to pierwsze, a ja tak się martwiłam, że nie miałam siły z nią walczyć.

—Mamo — błagałam — to wszystko nie ma znaczenia.

—Ależ to jest jeden jedyny dzień, w którym będzie przysięgać moja jedyna córka — zaczęła popłakiwać. — Chcę, żebyś była najszczęśliwszą panną młodą na świecie.

Naturalnie tego rodzaju nastawienie od razu gwarantowało, że nią nie będę.

Ona i pani Quinlan gniewały się i w ciągu ostatnich dwóch tygodni przed ślubem ciągle kontaktowały się na odległość. A ja codziennie zalewałam się łzami — i to ta Marbeth, która nigdy nie płakała! Bud był niemożliwy, udawał non-szalancję i obojętność, łajdacy, którzy byli jego przyjaciółmi, zwracali mu uwagę na to, co traci w zamian za „kulę u nogi”. Ciągłe ostrzegał mnie, że nie ma zamiaru zrywać ze swymi „chłopcami” i że muszę się do tego faktu przyzwyczaić. A jeśli mi się to nie podoba, drwił, to mogę za niego nie wychodzić.

Powiedziałam, że jest głupi i jeśli boi się małżeństwa, może odwołać ślub, a potem dodałam, że nie będę z nim dyskutować.

Może powinnam być bardziej uczuciowa i bardziej mu współczuć — teraz i potem. Może wiele rzeczy trzeba było zrobić inaczej. Może... Wówczas byłam niewinnym dzieckiem, które nie miało pojęcia, jak mężczyźni mogą bać się kobiet. Później próbowałam uratować resztki naszego małżeństwa. Ale to bez sensu znowu o tym rozmyślać. Teraz już stanowczo za późno.

Poszłam więc nawą główną kościoła ze świadomością, że wszyscy patrzą z zachwytem na piękną, promieniejącą szczęściem panną młodą. Ale ja wiedzia-

łam, że to promieniowanie było udawaniem i że gdybym miała najmniejszą okazję, uciekłabym stamtąd. Bud wyglądał tak, jak się czuł, jakby również chciał uciec pod byle pretekstem. Nie potrafi! jednak tego tak dobrze ukryć jak ja.

Przy ołtarzu, obserwując to wszystko z radosnym uśmiechem na twarzy, stał John McGlynn, mężczyzna, którego — jak pomyślałam, widząc ten uśmiech — powinnam była poślubić.

— Cześć, Marbeth — uśmiechnął się szeroko do mnie, gdy podchodziłam do stopni ołtarza z Budem. — Przychodzisz, czy odchodzisz?

To samo powitanie usłyszałam na Desplaines Street przy stacji kolejki nadziemnej. Czy zdawał sobie z tego sprawę?

Wymamrotałam coś bez sensu.

Wyglądał wspaniale w pięknej gotyckiej szacie liturgicznej. Jego uśmiech oświecał mnie jak promienie porannego słońca. Uścisk jego dłoni, po ogłoszeniu nas mężem i żoną, był łagodnym dotknięciem radości. Jego dłoń złożona na mojej głowie w czasie błogosławieństwa spowodowała, że i przeniknął mnie podniecający prąd aż po czubki palców u stóp.

Byłam zdenerwowana, podniecona i przestraszona, ale równocześnie pełna wiary w siebie. John był przekonany, że jestem słodkim, cudownym darem. Byłam nim. I będę. Całkowicie ofiaruję się swojemu mężowi. A jeśli Bud tego nie doceni, to już jego sprawa.

— Dziękuję, John—wyszeptałam, kiedy odwracaliśmy się, aby odejść po błogosławieństwach przy końcu mszy.

— Zachwycająca — powiedział, jakby naprawdę był o tym przekonany.

Czy widział we mnie kogoś, kto mógłby być jego żoną? Nawet dziś nie wiem tego na pewno, ale wątpię. John podążał już w rytmie wybijanym przez innego dobosza, chociaż i ten rytm wybijany był nie dość często i niezbyt rytmicznie.

Jednak tego ranka John uspokoił mnie swoją uprzejmością i czułością. Promieniujące od niego ciepło przeniknęło moje ciało i duszę, obiecując radość i szczęście. Byłam przepelniona spokojem i pogodą. Po mszy, na przyjęciu i nawet później w naszym pokoju, w hotelu Drake, nabrałam zwykłej pewności siebie.

Rozczarowana, zraniona, wściekła i sfrustrowana, po tym, jak Bud i ja konsumowaliśmy nasz związek — jeżeli tak to w ogóle można nazwać — nadal, niech to wszystko diabli, byłam tą Marbeth, kobietą, która nad wszystkim panuje.

To nie z mojej strony wyniknął problem, a raczej ze strony tego mężczyzny, który był zbyt pijany i zbyt przestraszony, aby mieć w noc poślubną erekcję na widok nagiej i uległej panny młodej. Co by się ze mną stało, gdybym nie była kobietą, która zawsze nad wszystkim panuje?

Nigdy nie zapomniałam tych chwil spokoju i radości; w kościele św. Łukasza. Te wspomnienia dodawały mi w późniejszym życiu odwagi, a często jej potrzebowałam.

27

Na parę tygodni przed naszą pierwszą rocznicą ślubu, w biurze Buda w Elmwood przejęłam kontrolę nad naszym małżeństwem. Najprostszym wyjściem był zamach stanu. Planowałam to już od pewnego czasu i czekałam tylko na odpowiedni moment, aby uderzyć.

Te kilka miesięcy małżeństwa z Budem przekonały mnie, że nie zrobiłam dobrego interesu. Bud nie był zły ani odrażający fizycznie — no, może kilka razy — ale szybko to ukróciłam. Poza tym, wbrew swym przechwałkom w szatni, nie był za dobry w łóżku.

Miesiąc miodowy, spędzony jak na nas przystało w najlepszych hotelach, był mieszaniną cierpienia, bólu i mojej frustracji, a także zmniejszającej się wiary w siebie oraz w erekcję u niego. Brrr... Na myśl o tym, nadal przenika mnie dreszcz.

Dość wcześnie odkryłam, że Bud jest przerażonym mną, słabym i znerwicowanym mężczyzną. A poza tym pruderyjnym — bał się seksu i był strasznie wstydlivy w łóżku. Później zdałam sobie sprawę, że większość tych komandosów w szatni skrojono na jedną miarę. Wykorzystałam tę wiedzę i postanowiłam zrobić z tego najgorszego surowca najlepszego męża.

Niektóre młode żony mego pokolenia lubiły narzekać; i litować się nad sobą, gdy okazywało się, że ich dużo gadający, a mało działający mężowie byli kiepskimi kochankami. Ja zdecydowałam, że to nie wystarczy. Dowiedziałam się więc, w jaki sposób można „poprawić kondycję seksualną” —jak to się mówi — i zaczęłam poprawiać naszą.

Dziś już wiem, że istnieje wiele kobiet podobnych do mnie. Prawie wszystkie są szczęśliwe, że poślubiły mężczyzn, którzy je uwielbiają. Jednak my dążyliśmy do utrzymania wszystkiego w tajemnicy, bojąc się, że inni będą się z nas śmiali.

W czasie naszej podróży poślubnej nauczyłam się przynajmniej, że biedny Bud jest pełen nabożnego szacunku do mnie i robi wszystko, co mu powiem, tak długo, jak długo jest przekonany, że wyszło to od niego. Nie chciałam go upokorzyć i pozwalałam mu wierzyć, że wszystkie pomysły pochodzą od niego.

Tak więc owej nocy, zdecydowałam, że należy uczynić ważny ruch. Nasze pożycie seksualne poprawiło się, chciałam jednak doprowadzić je do poziomu zapewniającego mi stałą satysfakcję.

Obiecałam Budowi, że zabiorę go po pracy z biura. Mieliśmy pójść na wieczorną potańcówkę u wychowanków Fenwick, więc zabójczo się ubrałam.

Biuro było puste, wszyscy poszli do domu. Gdy weszłam, Bud pracował nad księgami rachunkowymi. W pewnym momencie skrzywił się w zdumieniu.

— Co się stało?—zapytałam.

— Wydaje mi się, że czegoś tu brakuje. Jednak nie bardzo wiem czego.

Zdjęłam norki. Nie powiedział, że pięknie wyglądam w czarnej sukni bez ramiączek. To też trzeba zmienić.

— Pozwól, że spojrzę.

— Kobiety nie znają się na księgowości.

Niemniej przesunął w moim kierunku księgę.

Zapomniał, że mam podwójną specjalizację w angielskiej literaturze i filozofii. W ciągu pięciu minut zorientowałam się, że kilku z jego sprzedawców po prostu go okrada. Odpowiednio podprowadzony, również doszedł do tego wniosku, wierząc, że sam na to wpadł.

— Te skurczybyki okradają mnie bezczelnie — oznajmił z dumą.

Wtedy zdałam sobie sprawę, chociaż tej nocy jeszcze mętnie, ponieważ skupiałam się na czymś innym, że powinnam również zająć się interesami, jeśli chciałam, aby nasze jeszcze nie poczęte dzieci miały możliwość uczęszczania do college'ów.

Kiedy tylko się połapałam, na czym polega okradanie go w księgach rachunkowych, natychmiast zaczął mnie pieścić. Zdecydowałam się nie czekać do końca potańcówki i natychmiast wprowadzić w życie moje plany, dotyczące osiągnięcia pełnej satysfakcji seksualnej. Zaczęłam się rozbierać.

—Co robisz, Marbeth? — spytał nerwowo.

—Rozbieram się.

—Po co?

—A jak myślisz?

—Co będzie, jak ktoś tu wejdzie?

Położyłam ostrożnie suknię na krzesło i zamknęłam drzwi na klucz.

—Teraz nikt nie wejdzie.

—A co z tym przyjęciem w Fenwick?

—Może pójdziemy tam trochę później? — kontynuowałam rozbieranie się.

—Marbeth!

— Nie podobam ci się? — Pochyliłam się i odpięłam i pończochy. Stałam tylko kilka cali od niego tak, że mógł zajrzeć w głąb biustonosza — co zrobiłby każdy inny mężczyzna w jego sytuacji. Pończochy zdejmowałam bardzo długo, żeby miał czas dobrze się przyjrzeć.

—Tak, ale to nie miejsce i czas, żeby...

— I miejsce, i czas. — Wyprostowałam się i zaczęłam i odpinać biustonosz z czarnej koronki, który specjalnie włożyłam na potańcówkę. — Podnieciłeś mnie.

Musiałam spowodować, aby był przekonany, że to był to jego pomysł. Z Budem nie można obchodzić się zbyt subtelnie, Marbeth.

— Tak, ale...

— Żadnych ale, kochanie. — Skończyłam się rozbierać i przyciągnęłam jego ręce do moich piersi, trzymając je tak, aby nie mógł ich cofnąć, nie robiąc z siebie durnia.

—Boże, Marbeth... nie powinniśmy...

— Tak, powinniśmy. — Zaczęłam go rozbierać i pieścić, jego reakcja fizjologiczna była natychmiastowa. Więcej już nie opierał się i nie protestował. Był tak podniecony, że zapomniał o swoich obawach.

— Nadal jeszcze myślisz o tej zabawie w Fenwick?

— O jakiej zabawie?

Przeciągałam grę tak długo, że w końcu zaczął szaleć z namiętności i błagał, żebyśmy skończyli. Przeciągnęłam jeszcze trochę, wszystko po raz pierwszy kontrolując. To było fantastyczne uczucie.

Seks, sam w sobie, nie był zbyt wspaniały, nie licząc tego poczucia, że nad wszystkim panuję, jednak nie było źle. Biednemu Budowi zaś nigdy nie było tak dobrze.

Kiedy skończyliśmy, nie pozwoliłam mu odpocząć.

— Jest tu jakiś prysznic?

— Marbeth — zaprotestował — nie powinniśmy tego robić.

— Dlaczego?

— To zbyt..

— Rozpustne?

— Tak.

— Posłuchaj, kochany. Ożeniłeś się z kobietą rozpustną. Powinieneś się z tego cieszyć.

Zaciągnęłam go do łazienki, odkręciłam prysznic i wepchnęłam go pod niego. Przez pewien czas wzajemnie moczyliśmy się i nacierali pianą mydlaną, co było jego pomysłem. Był nawet przekonany, że sam odkrył, iż jestem kobietą rozpustną i wyuzdaną.

Odpowiednio pokierowany, Bud był dobrym partnerem seksualnym, ale nie należało się spodziewać, że okaże jakieś głębsze uczucie. Do tego całkowicie się nie nadawał. Nie wiedział, na czym to polega.

Czy inna kobieta, może nie tak straszna jak ja, mogłaby uwieść go i jednocześnie wzbudzić gorące uczucie? Może. Ale w gruncie rzeczy, wątpię. Bud nie był zły. Był tylko produktem określonego typu wychowania i środowiskowego doświadczenia, stale pozostając piętnastoletnim chłopcem.

Potem poszliśmy na tańce do Fenwick, gdzie Bud promieniał triumfem. No, chyba powinien. Niewielu jego kumpli z szatni miało takie żony. Kiedy wrócili-

śmy do domu, kochaliśmy się po raz trzeci. Dla mnie to ostatnie interludium naszej pracowitej nocy było zupełnie satysfakcjonujące. Jestem pewna, że właśnie wtedy poczęła się Beth, taki miły dodatek.

Pod moją kuratelą Bud stał się zupełnie dobrym kochankiem, chociaż nie tak dobrym, jak sam był o tym przekonany. Ponieważ wiedziałam, że mój mąż spróbuje wszystkiego — dosłownie wszystkiego — czego chciałam, stałam się praktykującą rozpustnicą. Życie seksualne zaczęło stanowić lepszą część naszego małżeństwa, mozolnie budowanego na bazie moich planów i mieszanki jego uległości i strachu.

Nasze dzieci nie będą miały matki, która doświadczyła gorącej miłości małżeńskiej, ale za to całkowicie zaspokojoną seksualnie, co być może też jest prawie równie dobre.

Kierowałam Budem dzięki seksowi, nie poprzez drażnienie go i odmawianie, ale przez zalewanie go uczuciami. To dawało mi rolę kierowniczą w małżeństwie, co prawda, nie taką, jaką chciałam odgrywać w dniu naszego ślubu, ale za to taką, która pozwalała utrzymać nasz związek.

Zajmowałam się życiem seksualnym tak, jak wszystkim innym, włączając w to sprawy rodzinnej firmy, którą Bud odziedziczył po śmierci ojca, i którą, jak się tego spodziewałam, przeraźliwie zabagnił.

Po latach Bud miał już niewiele do roboty, to ja, wychowując dzieci, kierowałam firmą. Był więc wolny, aby zająć się swoimi chłopięcymi przyjemnościami, a szczególnie grą w golfa, łowieniem ryb i polowaniem. Podobała mu się rola ojca rodziny, ale jednak jego największą radością było oczekiwanie, a potem celebrowanie męskich wypraw wędkarskich i myśliwskich do Kanady, a nawet do Afryki, a także wypraw na rozgrywki golfowe do wszystkich zakątków kraju i Europy.

Z zadowoleniem przyjmowałam te jego wyprawy, ponieważ oznaczało to, że w domu będzie jedno dziecko mniej, którym muszę się opiekować. Bud był uszczęśliwiony perspektywą ucieczki od świata kobiet i dzieci, którego nie rozumiał i specjalnie nie lubił. Kiedy został członkiem klubu golfowego Ballyunion w Irlandii, pomyślałam, że to idiotyczny pomysł. Jednak przecież ten biedak musiał czymś się zająć.

Męska grupa — grupa dawnych nastolatków, udających teraz dorosłych — stanowiła prawdziwy świat Buda. Tam nie musiał udawać, nie musiał żyć w zakłamanym świecie, tam nie było żadnej kobiety, którą trzeba by chronić przed przyziemnymi sprawami, nie było obowiązków w pracy, żadnych dzieci, którym należało okazywać sztuczną serdeczność.

Zajęłam się więc jego kijami golfowymi, strzelbami i wielkokalibrowymi karabinami zgromadzonymi w naszej sypialni i przeznaczyłam na te zabawki pomieszczenie w piwnicy.

Nigdy nie wyjeżdżał na tak długo, abym zdążyła zateśknąć za naszymi seksualnymi igraszkami. Czy był mi wierny w czasie tych wypraw, tego nie wiedziałam. Jednak ogólnie biorąc, zachowywaliśmy równowagę i nasze małżeństwo było w miarę udane.

Kiedy umarł, odkryłam, że tak naprawdę nigdy nie zapomniałam o innej mojej miłości, nigdy nie zapomniałam Johna McGlynnna.

TLR

LAURENCE

TLR

— Następny cud, Lar! Tym razem na żywo w telewizji.

— Która godzina? — Próbowałem się zorientować, gdzie jestem. Dlaczego tak bolą mnie ramiona i plecy? Co się wczoraj działo z moim ciałem? Kto do mnie dzwoni o tej porze, gdy włączony jest telefon u Jamiego?

— Piętnaście po siódmej... — przepraszający, nerwowy głos kardynała. — Przykro mi, że ci przeszkadzam, ale powiedziałem twojej... hm... kucharce, że to bardzo pilne.

— Co jest pilne?

— Cud. O wpół do dziewiątej spotykamy się z będącym przypadkiem w mieście monsignorem Albergetim z nuncjatury. — Przerwał, jakby spodziewał się, że będę przejęty tą informacją.

— No to co?

Dalszy ciąg zawierał lepsze nowiny.

— Wcześniej rano zadzwonił do mnie kardynał Ratzinger kompletnie rozstrojony. Ci ze Świętego Oficjum, ach, z Kongregacji ds. Nauki i Wiary, chcą, abyśmy się z tym jak najszybciej uporali.

— Dobrze. Powiedz im, żeby przysłali tu kilku dominikańskich inkwizytorów ze śrubami do zgniatania kciuków. Śpię dalej.

— CNN puściło już to na cały świat — kardynał mówił tak, jakby znajdował się na odrzutowcu opanowanym przez terrorystów. — Wywołało to niesamowitą reakcję.

— Doskonale. Śpię dalej. Miałem wczoraj ciężki dzień. Narty wodne. Ślizgałem się na nartach wodnych. Dlatego bolą mnie plecy.

— Naprawdę chciałbym, abyś przyszedł na spotkanie, Lar. To bardzo ważne.

Respekt, jaki żywiłem wobec arcybiskupa, sprawił, że nie miałem wielkiego wyboru.

— No dobrze, już dobrze. Przyjdę. Ale posłuchaj... w tej godzinie szczytu na Congress Expressway nigdy nie przebiję się na czas, nawet gdybym wyjechał godzinę temu.

Zorganizuj to o dziewiątej — może wtedy spóźnię się tylko kilka minut.

— Monsignore Albergeti ma wczesny samolot do Waszyngtonu.

— Steve, z tego miasta do Waszyngtonu odlatują trzy samoloty na godzinę, a cztery, jeśli wliczysz w to Midway. Powiedz, żeby zmienił rezerwację.

Odwiesiłem słuchawkę, przebrnąłem przez wczesnoranne ablucje i zszedłem na śniadanie, omal nie zabijając się w zderzeniu z Norą leżącą u stóp kręconych schodów.

—Przekłeta suka!—poinformowałem ją.

— Hau! — odpowiedziała uszczęśliwiona, jak zwykle przypuszczając, że jedno z moich narzekań jest komplementem.

Kucharka, niech ją Bóg błogosławi, przygotowała herbatę, a mój zmyślny wikariusz zajmował się już przy stole płatkami z otrębów.

—Ona — powitała mnie — powiedziała, że mamy do czynienia z przypadkiem zwykłej hysterii, która stała się powodem uleczenia, i może ją ksiądz zacytować.

—Go za ona? Jego senne, niebieskie oczy rozszerzyły się.

— A czy może być inna ona poza moją matką? Ona też to widziała i zatelefonowała do mnie. Przez histerię nie miała na myśli stanu, w którym znajdował się kardynał, telefonując do księdza, ale stan emocjonalny, wywołujący objawy fizjologiczne. Lekarz chłopca przyznał w telewizji, że inaczej nie można wyjaśnić uleczenia paraliżu.

— Niemniej i jemu musi to wyglądać na cud. Chłopiec nie mógł chodzić, a teraz chodzi.

— Ona sama mówi, że to może być stałe ustąpienie choroby. Jego podświadomość zdecydowała, że czas już skończyć z histerią i w ten sposób znalazła poszukiwane wyjście. Niemniej może nastąpić nawrót, kiedy w ciągu jego życia wzrosną różnego rodzaju napięcia. Tego nigdy nie wiadomo na pewno.

—I to wszystko szło na żywo w telewizji?

— Wczoraj wieczorem, przy udziale może pięciuset osób. Z okazji urodzin kardynała McGlynnna odprawiono w seminarium nabożeństwo przy świecach.

— O cholera.

— Reporter podał zupełnie wyraźnie, że Kościół nie udzielił żadnego zezwolenia i wręcz zniechęcał do odprawienia tego nabożeństwa.

— Na którym to było kanale?

— Oczywiście na wszystkich i w CNN.

— Do diabła.

— Wszystkie kamery skierowano na tego chłopca — taki prawie dorosły nastolatek. — na jego kule i wykręcone ciało. Jeszcze gorzej wyglądało to w migocącym świetle świec. Chłopiec pokuśtykał z wysiłkiem do grobu, dotknął kamiennego nagrobka, krzyknął dziko, jego ciało zaczęło się wić w jakichś strasznych drgawkach, potem odrzucił kule i dosłownie zaczął radośnie tańczyć na grobie kardynała. Czy muszę księdzu mówić, że reporterzy szaleli z kamerami, a on coś tam bełkotał bez sensu, ale zupełnie wyraźnie można było rozróżnić słowa „cud”, „kardynał” i „święty”?

— Ratzinger dziś rano obudził Steve'a — nałożyłem dżem na ostatnią angielską bułeczkę — i poczęstował go wymówkami.

— CNN odbiera się wszędzie — Jamie uśmiechnął się dobrotliwie. — Nawet w zgromadzeniu inkwizycji... Mama Maggie powiedziała, że może im ksiądz przekazać, iż badają medyczne tło przypadku, ale obecnie nie mają^A jeszcze żadnego powodu, aby myśleć, że istnieje jakieś inne wyjaśnienie, poza naturalnym. *r*

— Czy powiedziała „obecnie”?

— To ja dodałem... Chce ksiądz, abym podrzucił go do kolejki?

Zerknął na zegarek. — Lepiej już pojedę. Dodatkową godzinę może mi zabrać przejazd z Loop do Chancery*¹⁴.

— Czy to spotkanie dotyczy tylko wydania oficjalnego oświadczenia?

¹⁴ * Kancelaria. Właściwie: *Chancellery of a Bishop* — Kancelaria Kurii Biskupiej (przyp. tłum.).

— Do diabła, nie!—Przełknąłem ostatni łyk kawy. — Czerwony Baron żąda, abyśmy wszystko jak najszybciej załatwili i pozbyli się tej sprawy! Jamie zaśmiał się.

— Życzę dużo szczęścia, szefie. Obecnie najbardziej gnębi ich rozprzestrzenianie się kultu. Nie są w stanie tego powstrzymać, tak jak nie są w stanie zatrzymać zamarzania Chicago River w zimie.

29

— Miałeś wczoraj piękną noc, co, Lar? — Biskup James Lane uśmiechnął się złośliwie do mnie.

Kardynał, Don Price, monsignore Albergeti, biskup Lane i Dale Foss, „konsultant psychiatra”, który kręcił się wokół Kancelarii i Dolph Santini, Archidiecezjalny Referent do spraw Liturgii, Duchowości i Sztuki, zgromadzili się przy kardynalskim stole, pijąc kawę.

— Ja już nie piję—opowiedziałem ostro, ale pewnie nikt mi nie uwierzył, widząc w jakim jestem nastroju. — Czego nie można powiedzieć o tobie.

Jim Lane był biskupem pomocniczym, którego Watykan wmusił Johnny'emu wbrew jego woli. Masywnie zbudowany, przystojny, siwy Irlandczyk, z czerwoną twarzą i buczącym głosem. Był tak fałszywy jak pięciocentówka o trzech głowach*¹⁵, a pod przykrywką hałaśliwej wesołości krył się najgorszy, najbardziej niemiły i nieuczciwy typ, jakiego przyszło mi kiedykolwiek wysłuchiwać podczas zebrań księży.

Na tym spotkaniu był bez wątpienia tylko dlatego, że monsignore Franno Albergeti, oślizły, niały Sycylijczyk w typie kryminalisty, z jeszcze większym nosem (nie takim, jak u tego mordercy na usługach mafii, jednak przypominającym faceta, który telefonował do niego z polecenia Ojca Chrzestnego), jest jego

¹⁵ * W USA nie mówi się „orzeł czy reszka”, lecz „orzeł czy głowa”, ponieważ na wszystkich monetach zawsze jest po jednej stronie orzeł, a po drugiej głowa prezydenta (przyp. tłum.)

bliskim przyjacielem i zamieszkał na terenie jego parafii. Franno zgadza, się z Jimem Lane, że byłby lepszym arcybiskupem od Steve'a oraz że Rzym oczekuje od niego, iż będzie ściśle kontrolował Steve'a i pilnował aby robił mniej pomyłek, które bez niego mógłby popełniać.

Są księża, którzy mogliby potwierdzić, że Steve wykazuje niezwykłą cierpliwość, tolerując biskupa Lane'a. Mówiłem im, że Steve powinien wyrzucić Jimmy'ego Lane'a na zbity pysk.

Nie, absolutnie go nie lubię. Oddając mu sprawiedliwość, powinienem powiedzieć, że on mnie również nie cierpi.

— Lar... — Steve uniósł ręce. — Proszę... Stanęliśmy przed bardzo ważnym problemem.

— Przed wszystkim myślę—powiedziałem, siadając na krześle — że najbezpieczniej wydać oświadczenie, w którym oznajmimy, że archidiecezja bada w tej chwili sprawę z punktu widzenia medycyny i że obecnie nie ma najmniejszego powodu, aby przypuszczać, że nie istnieje absolutnie żadne naturalne wyjaśnienie incydentu, który wydarzył się minionej nocy na cmentarzu St. Mary of the Lake. Najbardziej kompetentny psycholog i autorytety medyczne zapewniają, że mamy do czynienia z przypadkiem hysterii, uleczenia poprzez histerię ponieważ ten młody człowiek dłużej już nie mógł znieść paraliżu i podświadomie szukał pretekstu, aby się go pozbyć. Jestem pewien, że Dale już tobie wyjaśnił istnienie takiej możliwości.

No widzicie! Nawet jeśli znajduję się w tak paskudnym nastroju, mogę wam służyć pomocą.

—Bardzo dobrze, Lar. — W czasie, gdy mówiłem, szef zajrzał do notesu. — Opuściliśmy, jak sądzę, diagnozę?

— Tak. Jego lekarz wydał nam minionej nocy jednoznaczną diagnozę.

— Czy ten paraliż może wrócić? —zapytał Albergeti Dale'a, nie chcąc dobrowolnie uznać mojej egzystencji.

—Może nie wrócić — odparłem.

—To niefortunne—mruknął.

—Ten młodzieniec może myśleć inaczej.

— Monsignore McAuliffe, czy ksiądz jest jednym z odpowiedzialnych za zakończenie tej niefortunnej afery?

— Nie jestem monsignorem... Moje zadanie polega jedynie na przeprowadzeniu dyskretnego śledztwa umożliwiającego uzyskanie informacji o życiu i słowach zmarłego Johnny'ego McGlynnna, aby ustalić, czy istnieją jakieś istotne przyczyny wykluczające przeprowadzenie ewentualnego procesu kanonizacyjnego. To wszystko. Zatem nie widzę powodu, dla którego miałbym tu przebywać dzisiejszego ranka, z całym należyтым szacunkiem dla Czerwonego Barona ze Świętego Oficjum.

— Kongregacji do spraw Nauki i Wiary — sprostował Jim Lane.

— Jakie ksiądz poczynił postępy? — Szef cały się trząsł, tak był przejęty telefonem z Rzymu.

— Posłuchaj, Steve. Zaczynając tę sprawę, mówiłem ci, że nigdy nie lubiłem tego człowieka. Ale od tej pory wiem już dużo więcej. I nadal go nie lubię, chociaż teraz wiem już wystarczająco dużo, aby zacząć go żałować. Jednak nie sądzę, aby on był święty. I to by było na tyle.

— Tę sprawę trzeba zatrzymać — powiedział Franno — i to natychmiast.

— Może powinniśmy przeprowadzić konferencję na temat problemu świętości — zasugerował na próbę Dolph. W jego mniemaniu konferencja była lekarstwem na wszystko.

— Zamknijmy tereny seminarium — naciskał Jim, zawsze przygotowany na udzielenie autorytatywnej odpowiedzi.

— Może list pasterski od kardynała... — tym razem zasugerował Don Price.

— Niczego nie rozumiecie, chłopcy — powiedziałem, nalewając do filiżanki herbaty. — To, z czym teraz macie do czynienia, to problem rozprzestrzeniania się kultu. Nie jesteście w stanie tego powstrzymać, tak jak nie jesteście w stanie zatrzymać w zimie zamarzania Chicago River.

To były słowa Jamiego, przyznałem w duchu.

— Zaniknięcie seminarium nie poskutkuje. Nie zapominajcie, że mamy tu drogi publiczne. Jeżeli sami sobie nie poradzicie, będziecie musieli wziąć do pomocy jakichś miejscowych gliniarzy, aby pilnowali porządku. Ogrodzić cmentarz? Przejdą przez każde ogrodzenie, albo gorzej, telewizja podda im myśl, żeby modlili się pod płótem. Zapomnijcie o tym.

— A jeżeli stwierdzą, że to uleczenie było tylko sprawą hysterii? — zapytał Dale.

— Ciągłe jeszcze chodzi bez pomocy kul, prawda? W każdym razie pierwszy cud przeszedł przez Consulta Medica w Rzymie z podniesionymi sztandarami.

— A... syn żydowskiego lekarza — zadumał się Albergeti. — Tego agnostycznego żydowskiego lekarza...

— ... który teraz już nie jest agnostykiem. A poza tym, Franno, przebywałeś tu wystarczająco długo, aby się zorientować, że w tym kraju nie ma antysemityzmu.

— Tutaj mogą osiedlać się ludzie z całego świata! — zagrzmiał Jim Lane, prawdopodobnie pomyślał o tym po raz pierwszy.—To przecież było w CNN wczoraj wieczorem.

—Wielkie nieba—jękął kardynał.

—Niewątpliwie ożywiłoby to ruch turystyczny w Chicago i niezwykle uszczęśliwiło burmistrza Richa — kontynuowałem. — Pomówmy przez chwilę rozsądnie. Nie możecie tak po prostu nie dostrzegać faktu, że macie do czynienia z rozprzestrzenianiem się kultu cudotwórcy. Tysiące, może dziesiątki tysięcy ludzi zaczną napływać na ten mały cmentarzyk w ciągu roku lub dwóch. To mi uświadamia, Steve, że powinieneś zadbać o odpowiednie warunki higieniczne. To j chyba jasne jak słońce, prawda? Ponadto istnieje statystyczna pewność, że niektórzy będą zachowywać się historycznie, chcąc podświadomie się zmienić. Może nawet zdarzy się kilka nowych przypadków uleczenia, których medycyna nie będzie mogła wyjaśnić. Powinieneś być wdzięczny pani Quinlan, że nikomu nie pozwala zabawiać się tym krzyżykiem. On rzeczywiście w jakimś stopniu wydaje się magiczny.

—Przerażające — znowu jękął kardynał.

—Kardynał Ratzinger będzie wściekły — zamruczał! Franno.

— Powiedz mu, żeby przysłał Gwardię Szwajcarską i przekonał się, czy mogą to powstrzymać. Kult Johnny'ego McGlynnna nie zniknie.

— Gdyby tylko zrozumieli, czym w istocie jest Kościół — wyszeptał Dolph. — Może jakiś archidiecezjalny program instruujący o prawdziwej naturze Kościoła. Coś jak Rytuał; Chrześcijańskiej Inicjacji Dorosłych.

—A może osobista interwencja Ojca Świętego —podsunał Jim Lane.

—Jeżeli nie słuchają go, gdy mówi, że nie powinni praktykować kontroli urodzin, to dlaczego mają posłuchać, gdy powie, że nie mają się modlić do Johnny'ego McGlynnna?

—Dlaczego?—jęknął kardynał. — Dlaczego?

— Powiem ci dlaczego, Steve, Ale to ci się nie spodoba. Nikomu to się nie spodoba. Od prawie trzydziestu lat Kościół wywołuje wiele zamieszania i podniecenia z powodu Soboru Watykańskiego. Od tego czasu wszyscy ludzie świeccy słyszą tylko ze Stolicy Świętej —jak to lubicie nazywać —narzekania, ostrzeżenia, zakazy i nakazy. A tymczasem liturgiści i teolodzy zabrali ludziom wiele ogólnie lubianych rzeczy: procesje, aniołów, świętych, dusze w czyśćcu i kilka rozmaitych hymnów. I nagle pojawia się ktoś, kto wydaje się pasować do takiej tradycji chrześcijańskiej, jaką pamiętają— cudotwórca — i są tym zachwyceni.

— To przesada — zaprotestował Jim Lane.

— Do diabła, nie. Mam też u siebie, tak jak i inni, takich, którzy uprawiają kult cudów. Orli są waszymi zwykłymi, gorliwymi katolikami, chodzącymi co niedzielę do kościoła. Do licha, Steve, przecież możesz mieć więcej kłopotów na głowie aniżeli ten kult. Możesz mieć masowe rozruchy.

—O, mój Boże... —wydawało się, że kardynał zaraz zemdleje.

—Co ty sugerujesz, Lar? — zapytał Dale Foss— Jakieś responsorium?

—Responsorium Gamaliela.

— Co to jest? — zapytał niecierpliwie monsignore Albergeti.

— Dzieje Apostolskie — wyjaśnił Don Price watykańskiemu dyplomacie. — Rabin Gamaliel nalegał na Sanhedryn, aby pozwolił działać Jezusowi w spokoju. Jeżeli Jezus nie został zesłany przez Boga, to i tak zniknie. Jeżeli zesłał go Bóg, to przeciwstawienie się Mu jest bez sensu.

— Kardynał Ratzinger nie wyrazi zgody na zwłokę — załamał ręce monsignore Albergeti.

Wreszcie miałem okazję powiedzieć to, co zamierzałem już od śniadania.

—Ja pieprzę kardynała Ratzingera.

Kiedy byłem już prawie gotów zamknąć za sobą drzwi, szef jakby się ocknął.

— Bardzo nam pomogłeś, Lar. Ale teraz nic już nie możemy zrobić, co? Potrząsnąłem głową.

— Będziesz nas informował, prawda?

— Dam ci znać, jak tylko dowiem się czegoś konkretnego.

— Spodziewam się, że w tej sprawie usłyszymy coś od samego Ojca Świętego, może nawet jutro.

— Pozdrów go ode mnie... A tak przy okazji, moa wkrótce odwiedzę Rzym.

— Czy to mądre? — Szefa tak przestraszył ten pomysł że można było pomyśleć, iż uknułem jakiś spisek zamordowania papieża.

— Chcę porozmawiać z pewnymi ludźmi z Kongregacji do tych spraw, ale nie Nauki i Wiary, i dowiedzieć się czegoś więcej o ich kryteriach. Możesz im zarekomendować moją osobę.

Odetchnął.

— Oczywiście. Jestem pewien, że ucieszy ich twoja wizyta. Oni, rzecz jasna, wiedzą o twoim śledztwie.

Czyżby?

— Najpierw odwiedzę Wiedeń, a może nawet Warszawę. Wlepił we mnie badawczy wzrok, być może ważąc w głowie możliwe niebezpieczeństwo wyjaśnienia spraw dotyczących pieniędzy Solidarności przeciw korzyściom płynącym z tego, że będzie mógł szepnąć słówko, komu trzeba, o istnieniu pewnych finansowych nieścisłości w życiu zmarłego kardynała, które jednak mogłyby stać się bardzo kłopotliwe.

— Wspaniały pomysł, Lar. — Ścisnął moje ramię. — Przyślij mi rachunki. Naturalnie opłacimy ci całą podróż. Trudno mi nawet wyrazić, jak bardzo cenię twoją pomoc w tej sprawie.

Uczciwie mówiąc, gdy z Kancelarii wracałem Michigai Avenue, wzdłuż Erie Street i Lakę Shore Drive, do domu kardynała na North State Parkway, drogą nocnych spacerów Johnny'ego, pomyślałem, że nawet wszystkie pieniądze świata nie wystarczą, aby kupić ciągle jeszcze modne purpurowe guziki monsignora. Musisz mieć do dyspozycji odpowiednio godzin tych pieniędzy. A Skaczący John był godnym produktem, co wcześniej odkryła jego matka Cordelia McGlynn — był przystojny, czarujący, zdolny komunikatywny, obiecujący. Prawdę mówiąc, myślę, że do szedłby do tego wszystkiego bez jej pieniędzy.

Pod koniec lata Magnificent Mile, Beach i Drive są wypełnione mężczyznami i kobietami, stanowiąc swego rodzaju park rozrywek ludzi tłoczących się wokół jeziora. Johnny McGlynn lubił te codzienne spacerki do pracy i z powrotem, szczególnie po tym, jak mieszkańcy Chicago przekonali się, że idąc tamtędy, zatrzyma się po drodze i porozmawia z każdym, kto tego zechce.

Pod koniec życia przechadzał się przejściami pod węzłem łączącym Michigan Avenue z Drive i wędrował w górę Oak Street Beach w stronę North Avenue. Podobno fotografie kardynała w kompletnym stroju liturgicznym z pektorałem i rubinowym pierścieniem, śmiejącego się razem z młodymi kobietami w bikini i sandałkach, powodowały szok i niezadowolenie w Rzymie.

Niektórzy z tych, co go nie lubili, skłonni byli w to uwierzyć. Z zadowoleniem stwierdziłem, że to była jedynie taka gra na pokaz. Jestem przekonany, że jego doradcy sugerowali mu tego rodzaju spacerki wzdłuż plaży — nie wspominając o tym, że Johnny'ego nie powinny cieszyć takie rozmowy z prawie nagimi, młodymi kobietami.

Czy kanonizuje się tego rodzaju człowieka? Czy kanonizuje się bogatego, ambitnego sukinsyna, który kupował stanowiska kościelne, jednocześnie przez całe życie flirtując z żoną innego mężczyzny?

Powiedziałem naszemu kardynałowi, że nie sądzę, aby Skaczący Johnny spał z Marbeth, i było to stanowisko, jakie zajmowałem zawsze, gdy ktokolwiek pytał mnie o ich wzajemne stosunki. Prywatnie nie byłem tego taki pewien. Zastanawiałem się, jak mógł nie iść z nią do łóżka, skoro ich miłość trwała tak długo i była tak gorąca? Przypuszczam, że raczej obchodził mnie honor Marbeth, a nie Johnny'ego.

Czy Bóg pozwoli, aby bogaty i ambitny sukinsyn, który przez całe życie miał kochankę, mógł robić cuda?

Rozmyślałem nad tym pytaniem, wlokąc się wzdłuż Gold Coast, drogą do końca Magnificent Mile, do Oak Street i Parku Lincolna, gdy słońce zaczęło zsuwać się za wznoszące się nade mną wieżowce.

Prawie wszystkie prywatne domy już dawno zastąpiono wieżowcami z mieszkaniami spółdzielczymi lub własnościowymi. Jednak mimo wszystko to ciągle było Gold Coast (Złote Wybrzeże), ciągle było to miejsce, w którym

mieszkali milionerzy. W podobnym apartamencie, dalej na północ od Marine Drive, swoich ostatnich dni dożywała Cordelia McGlynn, zbyt chora, aby zdawać sobie sprawę, że jej syn był arcybiskupem na drodze do kapelusza kardynalskiego, czy nawet, że nie żyje.

Marność nad marnościami, wszystko marność.

Zatrzymałem się przed domem kardynała, budynkiem położonym przecznice od Gold Coast, w pewnym sensie skrupowany, chociaż pozostało we mnie dość z 79. Ulicy, aby żywić niechęć do faktu, że biskup mieszka w pałacu. Stałem tam, kontemplując tę wiktoriańską kupę kamieni będącą domem arcybiskupa Chicago, a zarazem ostatnim domem Johnny'ego McGlynn.

Znowu przypomniałem sobie ten trwający chwilę wyraz bólu w jego niebieskich oczach pod prysznicem czterdzieści lat temu w Quigley, kiedy odrzuciłem jego przyjaźń. Skaczący Johnny McGlynn chciał być kochany przez wszystkich.

Teraz, gdy jest biskupem męczennikiem, może wreszcie zrealizował swoje marzenia.

Moje zadanie polega na tym, aby dowieść, że ten sukinsyn nie był święty.

30

Mój niezastąpiony wikariusz zastukał do drzwi biura parafialnego.

— Jest tu monsignore Carey. Chce się widzieć z księdzem.

Przed dziesięciu laty Leń prawdopodobnie należał do atrakcyjnych młodych mężczyzn kręcących się wokół John-ny'ego, o których mówiła Maggie Ward. Był trochę za niski, aby doskonale pasować do tego modelu, chociaż wielu pomocników episkopalnych miało mniej niż sześć stóp. Teraz wyglądał jak schorowany, stary gnom, mimo że był młodszy ode mnie. Od śmierci Skaczącego Johnny'ego McGlynn jakby uszło z niego życie.

— Chciałem ci tylko to podrzucić. Nie chcę przeszkadzać. Ten twój wikariusz jest bardzo uprzejmy. To miły młodzieniec-

Jamie ulotnił się. Tak, mój neoprezbiter z pewnością czarowałby samego diabła.

— Usiądź na chwilę — powiedziałem do Lena. — Napijesz się? Kawy? Herbaty?

— Muszę już lecieć. — Stał niepewnie w drzwiach, jakby bał się wejść do nieprzyjacielskiego obozu. — No, wiesz, właściwie nie chciałem ci tego dawać... To działanie przeciw kardynałowi McGlynnowi. A ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Jednak muszę. Muszę być posłuszny.

Wziąłem od niego kopertę. Wysunęła się z jego ręki tak, jakby w ostatniej chwili próbował ją jeszcze przytrzymać.

— Po przeczytaniu zwrócę ci.

— Nie chcę jej. Mam kopię. To jest wiadomość oficjalna. Prawda o kardynale. Jeżeli będę musiał, ogłoszę ją. Zrozumiałeś?

Wraz ze śmiercią Johnny'ego w umyśle Lena zgasło jakieś światło. Ludzie w parafii La Grange narzekali, że wszystkie jego kazania były o Johnnym i gromadnie przenosili się do innych parafii. Żaden wikariusz nie wytrzymał z nim dłużej niż kilka miesięcy. Potrzebny mu był długi urlop i pomoc psychiatry. Kardynał będzie musiał coś w tej sprawie zrobić — i to szybko.

— Zrozumiałem, Len.

— On powinien być kanonizowany. Widziałeś w telewizji to uleczenie. Będzie ich więcej. Rzym zadziała. Wiem o tym.

Len również uczęszczał do Północnoamerykańskiego Kolegium. On również, jak wielu innych, miał zostać biskupem. Krążyły pogłoski, że jego nazwisko znalazło się w Kongregacji do spraw Biskupów tuż przed zastrzeleniem Johnny'ego. Ale zamiast niego otrzymaliśmy Jima Lane'a.

Osobiście wolałbym Lena, nawet w obecnym stanie.

— Może masz rację, Len. Poczekamy, zobaczymy. Mogę ci przyrzec, że ja tylko poszukuję prawdy, bez względu na to, jak ona wygląda. Ty znałeś go lepiej niż inni.

— Święty, święty. Z całą pewnością. Przez cały czas wiedziałem o tym. Muszę już iść.

Len wtopił się w noc, a wspomnienia przeszłości wirowały w jego biednej głowie.

TLR

LEONARD

TLR

Pamiętam, jakby to było wczoraj, kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego głos. Natychmiast wiedziałem, że stoję przed kimś wielkim.

— Jestem Johnny McGlynn. Nazywają mnie pomocnikiem zastępcy rektora, co brzmi, jakbym był kimś groźnym. W istocie należę do tych w białych kapeluszach, których nie trudno zauważyć w tym mieście czarnych kapeluszy.

Ten uderzająco przystojny młody ksiądz zdjął koloratkę i uśmiechnął się do nas, pierwszorocznych teologów.

Odpowiedzieliśmy mu niepewnymi uśmiechami. Po dość pompatycznej przemowie rektora, wygłoszonej pierwszego wieczoru w Północnoamerykańskim Kolegium, i nudnej rozmowie z zastępcą rektora, nie byliśmy pewni, czy wolno nam się śmiać.

— Moja praca polega na tym, aby pomóc wam przebrnąć przez kolejne klasy, w których będziecie mieli łacinę mówioną z akcentem, którego nigdy przedtem nie słyszeliście. Jeżeli to miejsce dzisiaj wydaje się wam okropne, to wyda wam się jeszcze straszniejsze po pierwszym dniu w klasie.

Teraz nie śmialiśmy się.

— Zapomnijcie o tym—powiedział. — To jedno z najłatwiejszych seminariów, w których mogą uczyć się Amerykanie. Bagatelka, jeśli tylko zrozumie się, na czym polega gra. A moim zadaniem jest nauczyć was, jak ją rozegrać. Znacie jakichś starych księży, którzy tu studiowali? Kanclerzy? Biskupów? Czy wydali się wam niezwykle bystrzy? Oczywiście, że nie! Jeżeli im się udało, to i wam się uda, prawda?

Teraz śmialiśmy się szczerze.

— Już lepiej. — Uśmiechnął się. — Uda się wam przez to przebrnąć, przez każde seminarium można przebrnąć z uśmiechem. To też stanowi część mojej pracy — wywołać u was śmiech.

Odetchnęliśmy. To był prawdziwy mężczyzna, ksiądz, szczerzy przyjaciel. Może mimo wszystko Północnoamerykańskie Kolegium nie jest takie złe.

Przez pół godziny zabawiał nas rzymskimi anegdotkami, naśladując rektora, kierownika duchowego, kardynałów Kurii, papieża, poprzedniego papieża, matkę Pasąuelinę, która była sekretarką papieża (i która wkrótce miała stać się naszą pielęgniarką), wielu profesorów, których mieliśmy jeszcze spotkać, i całe mnóstwo typowych mieszkańców Rzymu. Był bystry, wesoły i niezwykle dodawał nam otuchy.

Pomocnik zastępcy rektora, nie jest to ogólnie znane, faktycznie jest korepetytorem, księdzem zaznajomionym z rzymskimi kolegiami, pomagającym nowym studentom, z których wielu nie było w stanie zrozumieć wykładów po łacinie.

Większość wiedzy teologicznej zdobywaliśmy za jego pośrednictwem. Jego wykłady były tak przejrzyste i dowcipne, był tak czarujący i cierpliwy, że z prawdziwym utęsknieniem czekaliśmy na spotkanie z nim późnym popołudniem, kiedy wokół kolegium zaczynało się ściemniać i słychać było bulgotanie fontanny na podwórzu — „zupełnie jakby krowa lała na beton”, jak kiedyś powiedział, rozśmieszając nas do łez.

Ważniejsze od jego intelektualnej pomocy było to, że ksiądz McGlynn, jak go nazywano formalnie, lub „Johnny”, jak nazywali go wszyscy, którzy go znali, dawał nam wspaniałe, osobiste wsparcie, a szczególnie tym, którzy tego naprawdę potrzebowali. W czasie mego dwuletniego pobytu w Mundelein poznałem, co to jest samotność i oddalenie od rodziny, jednak za oceanem odczułem to jeszcze dotkliwiej.

Johnny natychmiast dostrzegał tych, którzy czuli się samotnie. Spieszył im z pomocą — wciągając w rozgrywki koszykówki, spacerując z nami po ogrodzie lub na wzgórzach Janiculum poza obrębem Kolegium, dodając nam otuchy, rozweselając i pomagając się przystosować.

— Wszystko będzie dobrze, Lenny — powiedział do mnie pewnego szarego i ponurego zimowego dnia, kiedy czułem, że chyba następnego dnia zrezygnuję.

— Skąd wiesz? — zamotałem.

— Sam też przez to przechodziłem, przyjacielu. Obiecuj mi, że wytrzymasz jeszcze tydzień.

Obiecałem. I tak jak przewidywałem, minął tydzień i wszystko było dobrze.

— Skąd wiedziałeś? — spytałem.

— Zobaczyłem to w twoich oczach — zaśmiał się. — Wszystko można zobaczyć w oczach.

Jestem przekonany, że John McGlynn rozumiał nasze zbolełe serca, ponieważ pamiętał własną tęsknotę za rodziną w czasie pobytu w Rzymie i ból, że go zabrakło przy umierającym ojcu.

Kiedy po powrocie do Chicago, jako siódmy tamtejszy biskup, został do pewnego stopnia odsunięty od rodziny na skutek niefortunnego konfliktu, jaki wyniknął, gdy matka zapadła na zdrowiu, wiedziałem, że co noc modlił się za wszystkich i myślami zawsze był z nimi.

W czasie ostatnich dwóch lat mego pobytu w Północnoamerykańskim Kolegium rzadziej już widywałem Johna. Został wyznaczony na dalsze studia w Kolegium Dostojników Kościelnych, w instytucie kształcącym papieskich dyplomatów.

— To nic takiego, chłopcy — powiedział, gdy nasza grupa zaprosiła go na kolację, aby to uczcić.

— Kiedy skończy się *aggiornamento* („unowocześnianie”?, lub może lepiej „uaktualnianie” — słowo, którego papież Jan użył, aby opisać rozpoczęte podczas Drugiego Soboru Watykańskiego zmiany w Kościele), Kościół nie będzie potrzebował dyplomatów.

Pomimo nowego programu studiów, John ciągle znajdował czas, aby uczestniczyć w pracach Soboru. Znał osobiście wszystkich ważnych teologów Soboru—Congara, Rahnera, Murraya, Diekmanna, Schillebeekxa, a nawet Hansa Kiinga — często ich cytował i wyjaśniał ich stanowiska słowami jasnymi, wnikliwymi i sugestywnymi.

W tym czasie szczególnie blisko żył z księdzem Kungiem i często z nim jadał lunch. Przy kilku okazjach zachwycił nas podczas spotkań — przeważnie po meczu koszykówki w Kolegium — cytując najświeższe dowcipne stwierdzenia „Hansa”.

— Hans kiedyś zostanie papieżem — przepowiadał z humorem. — Jest mądry, uroczy, zna się na polityce, dobrze żyje ze środkami przekazu, ufają mu protestanci, prezentuje wszystko, czego będzie potrzebował Kościół, kiedy skończy się Sobór.

—Będiesz na niego głosował? — zapytałem.

—Oczywiście, że będę — uśmiecha się szeroko.

—A zatem spodziewasz się zostać kardynałem.

— Następne wybory papieża—rzekł—będą ostatnimi wyborami z udziałem kardynałów. Potem wszyscy będą mieli prawo głosować.

W swej wylewności John McGlynn nie przeczuwał problemów i rozczarowań, jakie nastąpiły po Soborze. Nikt z nas się nie spodziewał. Były to ekscytujące dni, a on był najbardziej ekscytującą postacią w Rzymie — w każdym razie tak mi się wydawało.

Nigdy nie zapomnę dobroci, jaką okazał mojej rodzinie w czasie mojego wyświęcenia. Zabrał ich na kolację, gdy byłem na przedwyświęceniowych rekolekcjach, a potem uczcił Samo wyświęcenie posiłkiem w Tre Scalini na Piazza Navona, najpopularniejszej wówczas turystycznej restauracji. Moi rodzice byli zdumieni, z jakim respektem traktuje go cały personel restauracji (zwracano się do niego „monsignore”, chociaż jeszcze nie miał prawa do tego tytułu) i jak szybko znalazł się odpowiednio duży stół, mimo długiej kolejki oczekujących turystów.

Pamiętam przyływ radości, gdy po udzieleniu rodzinie pierwszego błogosławieństwa stwierdziłem, że i on też ukląkł przede mną.

— Witaj, Len — powiedział. — Dobrze mieć ciebie między nami. Przed nami długie lata wspaniałej przyszłości. Była to dość celna przepowiednia, chociaż ani ja, ani John nie wiedzieliśmy, że te lata nie będą zbyt długie i że skończą się tragicznie. Wróciłem do Chicago, aby przez kilka fąt pracować w parafii. Okres ten zawsze uważałem za najszcześniejszy w moim życiu. John ukończył Kolegium Dostojników Kościelnych i wysłano go do małego państwa afrykańskiego — raczej rozczarowujące zadanie, ale można się było tego spodziewać, ponieważ wówczas w pewnych kręgach Kurii zaczęto prowadzić antyamerykańską politykę i psuć pracę Soboru Watykańskiego zaraz po tym, jak biskupi odlecieli z lotniska Fiumicino.

— Johnny McGlynn znalazł dom w Afryce.—Mój kolega szkolny, którego nazwiska nie chcę tu wymieniać, triumfował. Zawsze nienawidził Johna, już od pierwszego wieczoru, gdy ten zwrócił się do nas w roli pomocnika zastępcy rektora.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Mój kolega był już kanclerzem w swojej archidiecezji; właśnie wrócił z objazdu Afryki, gdzie był razem ze swoim kardynałem, i zatelefonował do mnie, mówiąc, że jest w mieście na zjeździe biskupów amerykańskich i chce zaprosić mnie na kolację do Sali Cesarskiej w Palmer House. Nigdy nie byłem w tej restauracji, sądziłem bowiem, że taki luksus nie jest odpowiedni dla księdza.

Pomyślałem, że będąc ważnym urzędnikiem, mój kolega zapewne chce pokazać mi swoją wyższość. Ale podczas kolacji przekonałem się, że chodziło mu jedynie o przyjemność przekazania mi swojej wersji upadku Johna McGlynn.

— On tam stał się tubylcem. Polubił Afrykę. Mówił mi, że całą pracę załatwia przed dziesiątą rano. Prawie codziennie gra w golfa, oczywiście w miejscowego golfa. Dużo czasu spędza, gapiąc się na rzekę przez okno nuncjatury.

— Nie wierze.

Kolega obojętnie wzruszył ramionami.

— To prawda.

Szczupły, przystojny, o kruczoczarnych włosach, wąskiej twarzy i mściwych oczach, miał na sobie szyty na miarę garnitur i diamentowe, francuskie spinki przy mankietach. Swego czasu był bezwstydnie ambitnym seminarzystą w Rzymie. Zawsze czułem, że jego niechęć do Johna brała się z przekonania, że jest on jego potencjalnym rywalem w wyścigu po najwyższe godności kościelne.

— Jego pobyt w Afryce prawie dobiega końca. Jestem pewien, że przesuną go na wyższe stanowisko.

— Jeżeli je zechce — przełknął duży łyk wina Chateau Lafite- Rotschild, wtedy sto dolarów za butelkę. — Mój szef wątpi, aby John miał w sobie tyle energii, żeby mógł stać się kimś ważnym w Kościele.

— Istotnie.

Przypuszczam, że tą energią, którą miał na myśli, była gotowość do niecofania się przed niczym, aby zdobyć awans, coś, co mój kolega dzielił ze swoim kardynałem.

— John sam przyznaje się do lenistwa. Wydaje mu się, że wystarczająco uporządkował ten bałagan, którego narobił nuncjusz papieski i że będzie znany w Rzymie jako specjalista od Trzeciego Świata. Poślą go w kurs dookoła Afryki i Azji i zrobią nuncjuszem gdzieś w Etiopii, zanim go ściągną do Europy, powiedzmy do Lizbony, a potem do Rzymu, aby przed śmiercią włożyć mu na głowę kapelusz kardynalski.

— Czyżby? — Jeżeli to była prawda, to co się stało z entuzjazmem Johna?

— Dużo rzeczy składa się na ten scenariusz — kontynuował mój kolega. — Jednak John zdaje się być pełen ufności i sądzę, że obecnie bardziej odpowiada mu charakter pracy w Trzecim Świecie. Mówiono mi, że cała działalność nuncjatury zamyka się tam w godzinach przedpołudniowych, przed lunchem. Wydaje mi się, że to właśnie mu najbardziej odpowiada. Tego rodzaju nastawienie nie jest właściwe dla człowieka, który chce coś osiągnąć.

— Istotnie.

— Oczywiście wszyscy dobrze wiemy, że są jeszcze pieniądze jego matki. Pewnie uda się jej popchnąć go wyżej, tak jak zwykle to robiła. Ale osobiście uważam, że tego rodzaju postępowanie jest ohydne.

— Być może. — Zdawało się, że nawet moje lakoniczne odpowiedzi nie powstrzymają wylewu trucizny z ust tego człowieka.

— Mam przeczucie, że John nie powinien zostać księdzem — mówił dalej. — Nie jestem pewien, czy on w ogóle w coś wierzy. Myślę, że z pewnością miałby czarną kochankę, gdyby nie bał się złapać od niej jakiejś choroby — faktycznie, tam, gdzie teraz siedzi, jest prawdziwe siedlisko chorób i korupcji.

Zamówił następną butelkę drogiego wina. Jeszcze nie podano głównego dania.

— Kiedy tam byłem, John czynił jakieś szalone uwagi — naturalnie nie muszę wspominać, że nie robił tego w obecności mego szefa. Mówił, że wielu afrykańskich księży i wielu misjonarzy z buszu — poza Irlandczykami—ma kobiety. Powiedział, że miejscowe zwyczaje uznają człowieka za dziwaka, jeżeli nie posiada własnej kobiety. Wiesz dobrze, jak on potrafi wyszukiwać w książkach historycznych coś, co by mu odpowiadało. Powiedział, że podobnie było z misjonarzami działającymi wśród plemion germańskich przed piętnastoma wiekami. Jeżeli nie mieli kobiety, Germanie mówili, że są pederastami. Wiemy o zakonni-

kach żyjących w celibacie, jak Bonifacy i Augustyn z Canterbury, ale większość rzymskich księży, podobnie jak ci z krajów afrykańskich, brało sobie konkubiny.

— Nie chce mi się wierzyć, że John mówił takie szokujące rzeczy — wykrztusiłem.

— Zapytałem go, czy sądzi, że ci, którzy są na służbie nuncjatury, nie powinni też tak robić, aby zostać zaakceptowani przez lokalną kulturę. Wzruszył ramionami, mówiąc, że nie zdziwiłby się, gdyby robili to po cichu... uważając przy tym, żeby się nie zarazić. Potem zaczął obrazowo opisywać atrakcyjność młodych afrykańskich kobiet. Możesz to sobie wyobrazić!

— To niepodobne do Johna.

— No, ale on przecież zawsze lubił kobiety, prawda? Powiedziałem mu wtedy, że ich kariera skończyłaby się, gdyby czegoś takiego spróbowali. I wiesz, co mi na to odpowiedział?

— Nie mam pojęcia.

— Powiedział, że z Afryki do Watykanu jest daleko... i — dodał mój kolega z klasy — mogę się z tobą założyć, że on się w ogóle nie modli. Jeżeli chcesz wiedzieć, to twierdzą, że jest zwykłym sukinsynem. Pcha się na wyżyny hierarchii kościelnej, ale sam nie chce nic z siebie dać. Matka kompletnie go zepsuła.

Był to dziwnie niepokojący obraz. John czasami wydawał się leniwy. Czasem też niezbyt gorliwie się modlił i niezbyt gorliwie wypełniał inne duchowe obowiązki. Zastanowiłem się, co — jeśli w ogóle — kryło się pod jego zewnętrzną beztroską. Mój szkolny kolega twierdził, że nie kryło się nic. Absolutnie nic.

— No, zaczekamy i zobaczymy, co się stanie — powiedziałem, zakrywając dłońją mój do połowy napełniony kieliszek.

Jak wszyscy wiemy, Johna przeniesiono potem do Wiednia. Kilka lat później zaprzeczył teoriom mojego kolegi z klasy.

— Spodziewam się, że zostanę kardynałem — powiedział mój kolega podczas ostatniego spotkania absolwentów Północnoamerykańskiego Kolegium. W istocie został arcybiskupem miasta, które normalnie zasługiwało na kardynała. — Jedynym żyjącym kardynałem z naszego rocznika.

Obecnie zrobił się tłusty, ma ziemistą twarz i, jeśli można wierzyć plotkom, jest zdeklarowanym alkoholikiem.

—Naprawdę?

—Tak. Twój przyjaciel, Johnny, niedługo pociągnął prawda?

—Możesz trafić za nim do Świętego Kolegium — rzuciłem, nie dbając o moją karierę — ale nigdy nie staniesz razem z nim w szeregu do kanonizacji.

—O? — Skrzywił się.—A to dlaczego?

—Ponieważ nie kanonizuje się notorycznych alkoholików.

33

Kiedy znowu wysłano mnie do Rzymu na studia prawa kanonicznego, John został ponownie przydzielony do Nuncjatury Wiedeńskiej, wówczas szczególnie ważnej placówki, ze względu na wpływy wielkiego soborowego arcybiskupa, Franza kardynała Koeniga.

Pewnego razu spotkaliśmy się w Watykanie i Johnny sam poruszył temat celibatu:

—Wielu z Afrykanów nie wierzy, że my naprawdę żyjemy w celibacie. Mężczyźni mają żony, księża są mężczyznami, a zatem księża mają żony. Bawią się z nami, udając, że tak nie jest, podobnie jak my udajemy przed dziećmi, że istnieje święty Mikołaj.

—Czy nie możemy ich jakoś przekonać, Johnny?

— Przekonać ich, Len? Chyba żartujesz. Nawet nie jestem pewien, czy możemy przekonać ich biskupów, aby nie uprawiali poligamii. Widzisz, biskup jest jak wódz. Jeżeli wódz nie ma kilku żon, wówczas nie jest ważnym wodzem. Oni będą z tobą dyskutować, że poligamii nie zabraniają żadne prawa boskie. A Kościół, mówią, na wszystkie sposoby powinien zaadaptować się do kultury afrykańskiej. Dlatego pamiętaj, że gdy usłyszysz słowo „ukulturalnianie”, oznacza to pożenionych księży i poligamiczną hierarchię.

Przyznam, że byłem zaszokowany. Pamiętałem, jak mój kolega z klasy opisywał Johna w Afryce, i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie była to częściowo prawda.

John nigdy na ten temat nic nie mówił, ale i tak dobrze wiadano w Rzymie, że na polecenie papieża podejmował za pośrednictwem kardynała Koeniga ryzykowne i delikatne podróże do państw za żelazną kurtyną, aby nawiązać kontakty pomiędzy Kościołem i komunistycznymi rządami po to, by katolicy mogli otrzymać tam pewne swobody w praktykowaniu wiary.

— Czy tego rodzaju niewłaściwości zdarzają się wszędzie?

— To olbrzymi kontynent, z mnóstwem różnie pomiędzy różnymi krajami i plemionami. W dużych miastach jest tyle biedy, że mężczyźni przeważnie mają tylko jedną żonę. Po wsiach panują jeszcze dawne zwyczaje. Z drugiej strony, w miastach panoszy się — nie tolerowana na wsiach — niewierność. Wydaje się, że wszyscy żyją z wszystkimi. Kobiety bardzo wcześnie są sponiewierane przez życie. Nie wiem... ale może dobrze by było połączyć ze sobą te dwa sposoby życia. Jednak obecnie nie jesteśmy jeszcze przygotowani, aby to zrobić, prawda, Lenny?

— To całkowicie inne od watykańskiego podejście do tematu — zauważyłem.

— Do diabła, Watykan z taką desperacją szuka czarnych kardynałów, że pewnego dnia pomyli się i mianuje kogoś, kto ma sześć żon, o których nikt nie ma bladego pojęcia.

— Z pewnością teraz nikogo takiego nie ma — zapewniłem, zdumiony jego wybuchem.

— Prawdopodobnie, Lenny—mruknął do mnie, dając mi do zrozumienia, że odgrywa przede mną jedną z tych swoich małych ról. — Często myślę, że Kościół miał znacznie

lepszą kondycję, gdy piękne, młode kobiety rozdawały nagrody i zabawki, podczas gdy dzisiaj robią to starzy, wysuszeni staruszkowie. W każdym razie, w tamtych czasach miało to większy urok, a w Kościele było weselej i błyskotliwiej.

Jego znajomość historii i czytanie umożliwiały mu wspaniałe spojrzenie perspektywiczne i ocenę istniejących obecnie problemów.

Podczas swego pobytu w Wiedniu Johnny często przyjeżdżał do Rzymu, pośrednicząc między kardynałem Koenigiem i papieżem. Jak sądzę, w tym właśnie czasie arcybiskup Benelli zauważył u monsignore'a McGlynn'a zdolności, które przyczyniły się, że wybrał go na jednego ze swoich najważniejszych asystentów — rola, dzięki której bardzo szybko stał się jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Kościele.

Niektórzy jego koledzy ze studiów, ludzie o wybujałych ambicjach, oskarżali Johna, że „podchlebia się” arcybiskupowi Benellemu, ale John nigdy nikomu nie maślił, a Gio-vanni Benelli w ogóle nie był wrażliwy na pochlebstwa i nie dałby się nabierać na piękne słówka żadnemu oszustowi o wygórowanych aspiracjach.

W czasie naszych obiadów w małych trattoriach John mógł odprężyć się w towarzystwie małej grupki przyjaciół, rozmawiając o Kościele za żelazną kurtyną. Mówił o wielkiej odwadze „Kościoła Milczenia”, który — jak twierdził — cierpi prześladowania, mogące trwać jeszcze dalsze sto lat. Naturalnie chwalił politykę Pawła VI, próbującego nawiązać kontakty z marionetkowymi rządami tych krajów, aby dać Kościołowi jakąś przestrzeń, szczególnie w Polsce.

Później przekonałem się, że te wczesne wyprawy Johna pomogły przetrwać Solidarności i w końcu doprowadziły do rozbicia żelaznej kurtyny. Sądzę, że kiedy poznamy wszystkie szczegóły tych wypraw, będziemy mieli pewność, iż były to najważniejsze wydarzenia w jego wyróżniającej się karierze.

Przez wiele rzymskich wieczorów, gdy wracałem z tego rodzaju spotkań z Johnnym, czułem coraz większą pewność co do przyszłości Kościoła. Jak długo mamy w Kościele zaufanych, mądrych wizjonerów podobnych do Johnny'ego McGlynn'a, tak długo istnieje podstawa, by żywić jakąś nadzieję.

34

Kiedy nasz kardynał wreszcie umarł, zaczęły się zwykłe spekulacje na temat tego, kto będzie jego następcą. Nigdy nie wspomniano nazwiska Johnny'ego. Był za młody, nigdy nie był biskupem diecezji i nie cieszył się poparciem Rzymu.

Można więc sobie wyobrazić zdumienie w Chicago, gdy dowiedzieliśmy się, że mamy nowego arcybiskupa. Osoby świeckie były zachwycone. Był pierwszym rodowitym mieszkańcem Chicago w naszym biskupstwie. Był atrakcyjnym mężczyzną o zwycięskim uśmiechu, potrafił stroić różne miny przed kamerami telewizyjnymi i mówić: „Jestem zachwycony, myślałem, że już nigdy nie wrócę do domu”.

Jego koledzy, księża, nie byli tym zachwyceni. John przebywał z dala od domu zbyt długo. Ci, którzy nie byli z nim w seminarium, nie znali go. Niektórzy mówili, że on nie pochodzi z Chicago, tylko z River Forest, jest karierowiczem wspinającym się, a raczej „wskakującym” po szczeblach kariery. Nie zna się na sprawach administracyjnych i z pewnością spowoduje bałagan. Może Chicago jest dla niego tylko następnym etapem do papieżstwa? Pewnie dużo czasu będzie spędzał, kręcąc się wokół papieża i w Chicago się go nie uświadczy.

Uważałem tego rodzaju gadaninę za absolutnie niesprawiedliwą, ale w końcu przestałem dyskutować z tymi, którzy wysuwali podobne zastrzeżenia. Nie słuchali mnie, byłem jednym z tych, którzy próbują wkraść się w łaski nowego arcybiskupa i dawnego przyjaciela. Nauczyłem się więc milczeć. Co więcej, unikałem kontaktów z naszym nowym ordynariuszem podczas ceremonii powitania. Nie chciałem, aby myślano, że wykorzystuję naszą przyjaźń. Z tego również powodu nie szukałem u niego protekcji.

Pracowałem wtedy w trybunale małżeńskim jako pomocnik urzędnika. W pierwszym tygodniu objęcia przez niego urzędu, Johnny przyszedł do mojego biura na zwykłą inspekcję.

— A więc to tutaj jesteś, Lenny? — Oparł się o drzwi z rękoma w kieszeniach.—Nikt nie był pewny, gdzie przebywasz i nawet, co robisz. Już myślałem, że cię pochowano... Trochę tu ciasno, prawda? Co ty tu właściwie robisz?

— Zajmuję się sprawami małżeństw, Wasza Ekscelencjo.

— „Johnny” od teraz, albo zawieszę cię w funkcjach I kapłańskich. — Uśmiechnął się tym swoim wspaniałym, promiennym uśmiechem. — Lubisz to?

Machnął ręką w stronę stosu papierów, które próbowali łem jakoś uporządkować.

— Ktoś to musi robić, Wasza Ekscelencjo.

Pamiętałem, żeby wstać z szacunkiem.

— Ostrzegam cię po raz ostatni. I siadaj, na litość boską... Chcesz dla mnie pracować?

— Czy chcę dla ciebie pracować? — Byłem tak zdumiony, że głos mi się załamał. — A co mam robić?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami, tak jakby to nie miało znaczenia. — Będziesz kimś w rodzaju asystenta admini stracyj nego.

— Ale... nie mam pojęcia o administrowaniu... hm... John.

— Wobec tego będzie nas dwóch, Len, mój zawadiako.

— Dlaczego ja? — Nie mogłem zapanować nad głosem "i myślami.

— Dlatego, że mam do ciebie zaufanie. — Uśmiechnął się krzywo. — A nie mogę tego powiedzieć o innych, którzy snują się po tym budynku.

I tak oto zaczęły się najszcześniejsze lata w moim życiu, a zarazem najbardziej ekscytujące. Powinienem wtedy zdać sobie sprawę, że nie może to trwać długo. Powinienem więcej się tym cieszyć. Ale czas mija tak szybko, prawda?

Faktycznie nowy arcybiskup nie mógł zrobić większego bałaganu od tego, który odziedziczył. Jego poprzednik miał opinię przenikliwego i niemal czarodziejskiego administratora. Jednak w istocie brak mu było kompetencji i do końca taki pozostał. Jego doradcy robili na nas wrażenie tylko dlatego, że byli bogaci, byli też najważniejszymi ludźmi w elitach towarzyskich i w biznesie. Prawdę mówiąc, nie dbali o archidiecezję i jej problemy. Zajmowali się jej portfelem, rutynowo pilnując akcji, które stały raczej nisko. Zabawiali kardynała często niesmacznymi dowcipami podczas lunchu w Chicago Club i organizowali na rzecz Kościoła zwyczajowe zbiórki ofiar w swych korporacjach. Nie przykładali się na tyle, by podsumowywać wątpliwe finanse archidiecezji.

Tak więc finanse archidiecezji wymknęły się spod kontroli. Wydatki wzrastały, dochody malały. Nie prowadzono żadnych dokumentów ani bilansu, w rachunkach panował bałagan, nie płacono rachunków, nie pilnowano rozchodów parafialnych. Jednym słowem, Johnny nie miał do kogo się zwrócić o pomoc i radę.

Niemniej bardzo sprzeciwiano się wprowadzanym przez niego oszczędnościom, wielu kapłanów nienawidziło go za to i było zdecydowanych sprzeciwić się wszystkiemu, co tylko spróbuje zrobić.

W tym okresie kryzysu pani Quinlan ofiarowała mu znaczące i skuteczne wsparcie. Przyznaję, że z początku nie bardzo jej ufałem. Nie wydawało mi się odpowiednie, aby kardynał żył tak blisko z kobietą, a szczególnie z kobietą bogatą i wpływową oraz, jak mi się zdawało, arogancką w swej pewności siebie i poczuciu własnej siły.

— Nie martw się mną, Len — powiedziała do mnie pierwszego dnia w czasie lunchu. — Nie mam żadnych zdrożnych zamiarów względem niego.

Czułem, że twarz mi czerwienieje. — Ja tak nie myślałem, pani Quinlan.

— Już dawno temu wyzbyłam się podobnych myśli — kontynuowała, uśmiechając się do mnie. — Jestem tu tylko po to, aby mu pomóc.

Wyznam, że wtedy niezupełnie wierzyłem w jej słowa.

35

Przypuszczam, że przyjaźń zmarłego kardynała z panią Quinlan stanowi główną przeszkodę jego kanonizacji. Bardziej niż ktokolwiek inny mogę zapewnić władze, że byli jedynie bliskimi przyjaciółmi — i nikim więcej.

Ona jest kobietą atrakcyjną — jeżeli mogę użyć tego określenia, którego normalnie nie stosuję — i bardzo świadoma swego seksapilu. Jak już powiedziałem, nie lubiłem jej. I ona o tym wiedziała.

— Czy ty w końcu zlitujesz się nade mną, Len? — zapytała mnie kiedyś.

— Pod jakim względem, pani Quinlan? — Czułem, jak moja twarz zaczyna płonąć.

— Nie jestem dziwką.

— Nigdy tak nie twierdziłem...

— Nie próbuję też uwieść twojego szefa.

— Nawet bym o tym nie pomyślał...

—Leonardzie!

— Przyznaję, że nie rozumiem waszych powiązań, pani Quinlan. Ale przekonuję sam siebie, że jest to pożyteczne dla niego, a może i dla pani.

Spojrzała na mnie uważnie, a potem się roześmiała.

— Wygląda na to, że zrobiłam postęp.

Upłynęło jednak dużo czasu, zanim kompletnie mnie pokonała.

Nie ufałem jej eleganckim strojom, kosztownym samochodom, poczuciu wyższości i nie kwestionowanej atrakcyjności. Ponadto wydawała mi się twardą, zimną kobietą, która nie szanuje nikogo poza sobą i nie dba o niczyją opinię, poza własną.

Wreszcie gorszyło mnie, że znajdowała czas dla Johna i archidiecezji, podczas gdy jej mąż był atakowany przez rząd Stanów Zjednoczonych. Zadawałem sobie pytanie, czy nie powinna raczej zająć się sprawami własnej rodziny?

Później, kiedy po śmierci męża jej ciąża stała się już widoczna i lekarze ostrzegali, aby się nie przemęczała, zastanawiałem się, dlaczego nie została w domu, tak jak jej doradzano. Niemniej pomagała nam aż do rozwiązania.

— Kiedy ona postanowi coś zrobić — powiedział do mnie arcybiskup — z pewnością to zrobi. Obecnie postanowiła nam pomóc i równocześnie urodzić zdrowe dziecko... i z pewnością jej się to uda.

Jednak ciągle miałem co do niej wątpliwości. Przypuszczałem, że tkwi w tym coś poważnego... w tej przesadnie okazywanej życzliwości.

Z czasem, gdy zdałem sobie sprawę, że to ona zlikwidowała odziedziczony przez Johna finansowy i administracyjny bałagan, zacząłem ją podziwiać. Staliśmy się sojusznikami, chroniąc Johna przed tymi, którzy chcieli go wykorzystać i zniszczyć. Upierała się przy dobrze zorganizowanej służbie informacyjnej, która w oczach opinii publicznej zmieniałaby na korzyść wizerunek Johna, co pomogłoby mu poradzić sobie z wieloma nieprzejeđnanymi księżmi.

— John, problem nie polega na tym, czy powinieneś robić w ogóle jakieś wrażenie. Problem tkwi w tym, czy to wrażenie będzie dobre lub złe.

—Nie chcę być człowiekiem z plastyku, Marbeth.

—Nigdy nim nie będziesz.

Tego rodzaju komentarze stwarzały mniemanie, że mają coś do ukrycia, co z początku bardzo mnie niepokoiło. Potem jednak uświadomiłem sobie, że byli niewinni.

Zrozumiałem również, skąd brała mądrość i energię, aby nam pomagać w czasie, gdy równocześnie przechodziła rodzinny kryzys. Mogę sobie tylko wyobrazić, ile samozaparcia wymagały od niej te złożone wysiłki.

Później, pewnego popołudnia, gdy John był na zebraniu narodowej teokracji w Waszyngtonie, zadzwonił telefon. — Monsignore Carey.

— Tu Marbeth, monsignore. Obawiam się, że potrzebna mi jest pomoc.

Odniosłem wrażenie, że naprawdę potrzebuje pomocy.

— Oczywiście, pani Quinlan.

— Dziś po południu umarł mój mąż. Pewnie ksiądz jeszcze o tym nie wie. Przysięgli orzekli, że jest winny wszystkim zarzutom.

— To straszne!

— Nie chcę niepokoić Johna w Waszyngtonie.

— Jestem pewien, że chciałby dowiedzieć się o tym jak najszybciej.

— Problem polega na tym, że proboszcz od św. Łukasza odmawia mu chrześcijańskiego pochówku.

— Niemożliwe! Dlaczego?

— Obawiam się, że mój mąż się zastrzelił.

— Bardzo mi przykro, pani Quinlan.

— Dziękuję, Len. — W jej głosie brzmiało napięcie, ale jednak panowała nad sobą... albo przynajmniej tak mi się zdawało. — Myślisz, że mógłbyś wyjaśnić proboszczowi, że Bud znajdował się pod opieką lekarzy z powodu głębokiej depresji?

— Oczywiście, oczywiście. Zaraz do niego zadzwonię

— Dziękuję.

— Zadzwonię też do kardynała, u Przez chwilę panowało milczenie.

— Dziękuję, Len.

Wykręciłem numer do parafii św. Łukasza.

— Mówi monsignore Carey.

— Zapomnij o tym, Len.

— O czym?

— Skaczący Johnny będzie musiał osobiście mi polecić, abym pochował tego skurczybyka.

— To nie po chrześcijańsku, proszę księdza.

— Nic mnie to nie obchodzi. Niech do mnie zadzwoni.

— Jest teraz na zjeździe biskupów w Waszyngtonie.

— Wielka szkoda. Jeżeli chce chrześcijańskiego pogrzebu, sam musi mi to polecić.

Byłem zaskoczony tego rodzaju beznadziejnie chamskim uporem.

Dopiero po godzinie złapałem kardynała, Przekazałem mu najkrócej, jak tylko mogłem, co się stało.

— Wielki Boże—zdołał tylko powiedzieć.

— Msza żałobna?

— Oczywiście, że ją odprawię.

— A proboszcz od św. Łukasza?

— Zajmę się tym osobiście, Len — odparł — kiedy wrócę do domu. Prosto z dworca. To żaden problem.

— Tak, kardynale.

— Potem ją odwiedzę... Jak ona się czuje, Len?

— Spięta, ale opanowana.

— To tylko gra, Len. To opanowanie jest tylko fasadą. Odgrywa wspaniałe przedstawienie. W istocie ma bardzo miękkie serce. Pewnie jest kompletnie załamana.

— Pierwszy i ostatni raz słyszałem, aby tak mówił o pani Quinlan. Nie muszę dodawać, że jej biedny mąż miał wspaniałą, chrześcijański pogrzeb.

Od śmierci kardynała krążyły pogłoski, że w jego stosunkach z panią Quinlan istniała jakaś zakazana miłość. Twierdzą, że tego rodzaju opowieści są absurdalne i wysoce obraźliwe. Byłem tak bliski naszemu zmarłemu kardynałowi, jak żaden inny człowiek. Stale mu towarzyszyłem i nigdy nie zauważyłem, aby między nimi był choćby cień czegoś niedozwolonego. Była jego przyjaciółką od dzieciństwa. Pomagała mu wtedy, gdy wszyscy odmówili. Bardzo szanował jej zdolności i ufał jej bezgranicznie. Byli serdecznymi przyjaciółmi i sugerowanie,

ze w ich stosunkach było coś więcej, jest strasznym oszczerstwem. Ja pierwszy ją podejrzywałem, teraz jednak jestem całkiem pewny.

— Czy ty myślisz, że ja sypiam z Marbeth, Len? — zapytał mnie przy śniadaniu pewnego letniego poranka.

— Kiedy i gdzie miałbyś to robić? — odpowiedziałem pytaniem.

Kardynał zaśmiał się.

— Ty zawsze jesteś taki praktyczny, Len? Rozważmy to. Nie moglibyśmy tego robić tutaj bez twojej wiedzy. Ani u niej w domu, aby nie zaszokować jej dzieci?

— Zgadza się.

— Ale moglibyśmy cicho zakraść się tu nocą?

— Mam lekki sen.

Wyznam, że nie odpowiadała mi tego typu rozmowa.

— Ma posiadłość w San Diego?

— Kiedy byłeś w San Diego?

— Tak, to prawda... a co z jakimś małym motelikiem lub hotelikiem?

— Żeby rozpoznano w nim arcybiskupa Chicago i podano do prasy?

— Zawsze lubiłem ryzykować... Wyraźnie ta rozmowa bawiła kardynała.

— Ale nie w ten sposób. Roześmiał się wesoło.

— To atrakcyjna kobieta.

— Zauważyłem.

— Zauważyłeś? No, dobrze, że też zauważyłeś. I ja się w niej Kocham, co?

— Ty?

Teraz kardynał spoważniał.

— Anie?

— Uważam, że podziwiasz jej lojalność, szanujesz jako przyjaciółkę, która służyła wielką pomocą tobie i Kościołowi.

— Podziwiałem ją już, gdy miała pięć lat.

— To pokazuje, że miałeś dobry gust, kardynale, i nie widzę powodu, aby prowadzić dalej tego rodzaju rozmowę.

— Ja również. Być może tylko martwię się o swoją opinię.

Nie można nie ulec czarowi pani Quinlan, jeśli się ją dobrze pozna. Pod zewnętrznym chłodem kryje się ciepła, czuła i miła kobieta. Posiada też niezwykłą intuicję.

— Więc nie będziesz mnie już więcej potępiał, prawda, Leonardzie? — zapytała mnie z porozumiewawczym mrugnięciem oka pewnego dnia podczas naszej ostatniej wycieczki.

Czułem, że twarz mi zaczyna płonąć. Nie chciałem się przyznawać, że kiedyś potępiałem ją, jednak uważałem za bezsensowne przeczyć temu wyraźnemu oskarżeniu.

—Nie, pani Quinlan, stanowczo nie — odparłem.

—I nie wpływam źle na kardynała?

—A powinienem myśleć, że tak jest? Zaśmiała się.

—Czasem sama się nad tym zastanawiam.

— Pani go uczyłowicza — stwierdziłem. — A nawet utrzymuje przy życiu.

Skinęła poważnie głową.

—Ja też tak myślę.

Obawiam się, że moje zaprzeczenia dotyczące stosunków seksualnych pomiędzy nią a zmarłym kardynałem nie powstrzymają tych przerażających opowieści rozprowadzanych przez złośliwców. Mogę tylko oświadczyć, że to kłamstwa, zmyślenia, obrzydliwe, złe, grzeszne łgarstwa. Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten niesmaczny temat.

W każdym razie przeprowadzona przez kardynała reorganizacja archidiecezji zakończyła się całkowitym sukcesem. W ciągu osiemnastu miesięcy odzyskano finansową kontrolę, budżet został zrównoważony i biskupstwo znalazło się pod pełną kontrolą Kościoła katolickiego w Chicago.

— Nie chodzi tu tylko o Chicago, Lenny — mawiał John z przygnębieniem, w czasie tych tygodni i miesięcy, kiedy walczyliśmy z sytuacją kryzysową. — O wiele gorzej jest gdzie indziej. Nasze kłopoty minęły, ponieważ mamy hojnych sponsorów. Płacą za nasze pomyłki i głupotę i dbają, abyśmy nie zbankrutowali. Ale pewnego dnia i nas dopadnie to i wtedy nic nas nie uratuje. Znajdziemy się w bardzo poważnych tarapatach. Być może zasługujemy na to, choćby dlatego, że pomagamy tak wielu idiotom.

Potem uśmiechnął się chłopięcو. .

— Dotyczy to również i mnie. Co ja wiem o prowadzeniu korporacji, która ma obrót wynoszący ćwierć miliarda dolarów rocznie, albo o tym, jak wyciągnąć taką organizację z kompletnej zapaści? Gdyby nie pani Quinlan, nigdy byśmy się z tego nie wykaraskali.

Mogłem się tylko z nim zgodzić.

Nowy kardynał bez jąkania nie potrafi wydusić z siebie słowa w obecności pani Quinlan. Z wdziękiem więc ustąpiła z funkcji konsultanta, aby zaoszczędzić mu krępujących słów prośby, aby odeszła. Zdolni ludzie, których ściągnęła na doradców, zostali zastąpieni tymi, lub im podobnymi, którzy doradzali poprzednikowi Johnny'ego. Nadal zapraszają kardynała na lunchy w Chicago Club i dają mu bzdurne rady, nie zwracając najmniejszej uwagi na budżet lub strukturę finansów archidiecezji. Mam poważne podejrzenia, że obecny kardynał znowu stracił kontrolę nad finansami i że wkrótce nadejdzie sądny dzień.

Ostatnio wspomniałem o tym pani Quinlan. Jej brązowe oczy zabłyśły.

— Nie martw się tym — powiedziała obojętnie. — Wiem, w czym tkwi problem poprzedniej i obecnej administracji. Jeżeli spróbują wszystko zwalić na Johny'ego, poinformuje srodki masowego przekazu, co tu się naprawdę dzieje. A wtedy szlag ich trafi, to ci mogę obiecać.

Ma m nadzieje, że ci, którzy piastują ważne stanowiska, zdają sobie sprawę, że —jak zwykle mawiał John — „pani Quinlan nie blefuje”. *Yerbum sat sapientium**¹⁶.

36

Najgorsza kalumnia, jaką wielu chciałoby rzucić na zmarłego kardynała, to ta, że nie był wystarczająco pobożny.

¹⁶ * właściwie: *Verbum sapienti sat est — madremu wystarczy jedno słowo (przyp.tłum.)*.

Nie potrzebuję mówić o publicznym życiu kardynała ponieważ jest ono znane. Natomiast nie jest znane jego życie prywatne, czemu się bardzo dziwię.

— Dzisiaj pojedziemy do biur Caritasu — powiedział do mnie pewnego dnia.—Pewnie bardzo się przestraszą, gdy nagle zjawi się u nich kardynał, co?

— Jestem przekonany, że będą zachwyceni, kardynale. Mogę wiedzieć, jaki jest cel tej wizyty?

— Chciałbym przekazać im niewielki datek.

— O?

Wydawał się zakłopotany.

— No... hm... chcę przekazać doroczny dochód z funduszu powierniczego Doktora. Ja go nie potrzebuję, a oni mogą go użyć na jakiś zbożny cel. Będą tym zachwyceni, Leń. Będą wokół mnie skakać... A potem, gdy wyjdę, zaczną narzekać, jaka to moja rodzina jest bogata.

Podczas ostatnich kilku lat jego życia, gdy intensywnie rozwinęło się jego życie duchowe, pobierał dochód z funduszu ojca i przekazywał go na rzecz instytucji charytatywnych w archidiecezji. Robił to bez fanfar, ale i bez instrukcji, aby utrzymać to w tajemnicy. Kardynałowi nigdy nie przyszłoby do głowy przejmować się pieniędzmi. Spotkałem jednak księży, którzy w żywe oczy zaprzeczali, że przekazywał jakiegokolwiek datki. Ludzie w biurach Caritasu są dobrze zorientowani, ale jak mi się zdaje, jakoś dziwnie od czasu jego śmierci milczą—może boją się, że wyjawienie tego obrazi jego następcę, który każdego dnia drży w cieniu wielkości Johna.

Nie powinno też być dla nikogo tajemnicą, że jego życie wypełniała modlitwa.

Codziennie, szczególnie w ostatnich latach jego życia, byłem świadkiem jego pobożności. Zwykle wstawałem o piątej trzydzieści i szedłem do kaplicy na mszę o szóstej. Zawsze był tam przede mną, zupełnie rozbudzony, radosny, bez względu na to, jak upłynął dzień poprzedni i jak zapowiadał się nadchodzący.

Często pytano mnie, czy były jakieś gwałtowne i dramatyczne zmiany w jego pobożności w ciągu kilku lat poprzedzających jego przedwczesną śmierć. Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć, ponieważ myślę o nim jako o człowieku, który był zawsze pobożny. Jeżeli kiedykolwiek nastąpiła w nim jakaś intensyfikacja

życia duchowego, to mogła nastąpić w roku 1985. Niektórzy zwrócili uwagę, że wtedy przestał nosić francuskie mankiety—które nosiła większość księży z naszej Kancelarii — i zaczął wkładać czarne, duchowne koszule, używane przez kapłanów parafialnych. Uczyniłem na ten temat ostrożną uwagę. Z punktu widzenia estetyki ubioru, nie uważałem tego za słuszne.

— Już Eminencja nie nosi żabotu i francuskich mankietów?

— To tylko kłopot, Len—wyjaśnił. — Ale ty, Len, nie musisz tego robić.

— Jak wszyscy wiedzą, zmarły kardynał był szczerze oddany swej biednej matce, jako najzarliwszej katoliczce, jaka kiedykolwiek żyła. Będąc w Chicago, zawsze ją odwiedzał,; choćby na parę minut. Wiedziałem, że cierpiał, ponieważ! przeważnie go nie poznawała. Choroba Alzheimera ciągle postępowała. To była prawdziwa ironia, że nie zdawała sobie sprawy, iż został dokładnie tym, kim chciała, by był księdzem, kardynałem i arcybiskupem Chicago.

Czasami matka myliła go z jakimś wysoko postawionym duchownym. Wdawała się wtedy w gorącą dyskusję, podczas której miała nadzieję, że wyniesie syna na odpowiednio znaczącą i odpowiedzialną pozycję, do której, według i niej, był przeznaczony.

Wówczas John uśmiechał się i mówił coś takiego:

— Oczywiście, zajmiemy się pani synem. To bardzo obiecujący młodzieniec, ale to musi trochę potrwać.

Był dla niej bardzo cierpliwy. Przy kilku okazjach pani' McGlynn rozpoznała w Johnie jednego ze swoich synów, chociaż sama nie była pewna którego. Kiedy myślała, że to; James lub Michael, wtedy domagała się, aby zdjął koloratkę, uważając, że nie ma prawa jej nosić. Kardynał posłusznie spełniał jej żądanie.

Parę razy zdarzyło się, że go rozpoznała, ale wtedy na-; padła na niego za brak ambicji i za to, że nie udaje mu się zawrzeć przyjaźni umożliwiających awans. John słuchał spo i kojnie i obiecywał poprawę.

Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że podczas takich wizyt czuł się, jakby przybijano go do krzyża, z którego tak długo nie będzie się mógł uwolnić, jak długo jego matka i będzie żyła. Zwykle, nie chcąc mieszać się w jego prywatne cierpienie, starałem się zachowywać dyskretne milczenie, chyba że on sam coś na ten temat powiedział.

— Módl się o to, aby żadnego z nas nie spotkał taki los — powiedział kiedyś.
— To pokazuje, jakie jest piekło.

Pani Quinlan często zwierzała mi się ze swojego przekonania, że kardynał niedługo się wykończy, czyniąc nadludzkie wysiłki, aby być takim, jakim sądził, że powinien być kardynał arcybiskup Chicago.

— To zabójcza praca, Lenny — powiedziała. — Tego idiotę, który był przed nim, uratowało tylko to, że nie wypełniał swoich obowiązków.

Niemniej teraz to już tylko problem akademicki. John zginął na błotnistej polanie nikaraguańskiej wioski w dżungli. Męczennik sprawy pokoju i sprawiedliwości.

Powiem jeszcze kilką słów o naszej ostatniej, smutnej pielgrzymce do Ameryki Środkowej. W czasie całej podróży wszyscy mieliśmy złe przeczucia, włącznie z kardynałem.

Kiedy z krzyżykiem w ręku ruszył wolno przez polanę, pragnąc jedynie pokoju, pani Quinlan i ja wyciągnęliśmy ręce, aby go powstrzymać. Łagodnie, lecz stanowczo odepchnął nas i podążył ku śmierci, śmierci, która — jak doskonale wiedział — była jego przeznaczeniem.

Niektórzy dziennikarze próbowali ogłosić mnie bohaterem, ponieważ, jak twierdzili, ruszyłem na „kły automatów” razem z panią Quinlan. W moim zachowaniu jednak nie było żadnego bohaterstwa. Każdy ksiądz musi zająć się umierającym, bez względu na ryzyko.

Bolesne to dla mnie zadanie pisać te słowa, szczególnie dlatego, że boję się, iż będą badane pod mikroskopem przez tych wszystkich, którzy są wrogo nastawieni do zmarłego kardynała.

Kiedy wspominam tamte wydarzenia, mając przed oczami obraz Johna kardynała McGlynnna, zdaję sobie sprawę, jak ekscytujące były te lata i jak wspaniałe możliwości roztaczały przed nami. Dziś wszystko to już zaprzepaszczone i znowu w Kościele katolickim w Chicago zapanowała głupota i miernota.

— To się zdarza, Lenny — powiedziałaby John. Nie martw się. Ale dostaną, czego chcą.

I rzeczywiście, dostali.

LAURENCE

TLR

37

— W biurze jest wspaniała kobieta i chce się z księdzem widzieć, księżo Lar. Ona jest naprawdę wspaniała.

Były to słowa Jackie, naszej młodej portierki, która po szkole dyżurowała przy dzwonku plebanii przez kilka wieczorów w tygodniu. Siedziałem w sypialni, drzemiąc nad książką.

—Pani Quinlan? — zapytałem.

Jackie kiwnęła głową potakująco i ponagliła mnie gestem pozbawionym szacunku. Kiedy powiedziałem jej, że przed zejściem na dół muszę się jeszcze odświeżyć, tupiąc ze złością wyszła z pokoju, aby powiedzieć Marbeth, żeby czekała w moim biurze.

Po umyciu twarzy i włożeniu czystej koszuli znowu po— j myślałem o tym pamiętnym lecie z początku lat sześćdziesiątych, gdy spotkałem Buda i Mary Elizabeth w domu mego brata w miejscowości zwanej Geneva Jezioro... tak... jednak niektórym z nas z 79. Ulicy udało się... Macierzyństwo zdawało się jej służyć. Teraz była nawet piękniejsza niż wtedy...

Jednak, gdy wygłaszała jakiś komentarz, mąż zawsze ją mitygował:

—Głupstwa gadasz, Marbeth. Typowo kobieca logika. Albo:

— Ty naprawdę nie potrafisz rozsądnie myśleć, Marbeth. Żadna kobieta nie potrafi.

Były to krępujące, okrutne ataki. Prawdopodobnie Bud jej nie bił, ale nie potrzebował tego robić. Wystarczyło, że nieustannie ją upokarzał. Widząc to, mój brat, Ed, za każdym razem zaciskał silne pięści.

Mary Elizabeth w ogóle na to nie reagowała. Nie pokazywała po sobie, że takie okrucieństwo sprawia jej przykrość lub ją zawstydza. Po prostu ignorowała Buda, jakby w ogóle nie istniał.

Zastanawiałem się, czy tak go kocha, że tego nie dostrzega? A może tak go nienawidzi, że nic ją to nie obchodzi?

Miała świadomość, że to ona kieruje wszystkimi interesami i że doprowadziła je do rozkwitu. Może to jej wystarczało?

Jednak, jak się okazało dziesięć lat później, nie panowała nad firmą tak całkowicie, jak to sobie wyobrażaliśmy — nie zdołała ustrzec Buda przed kłopotami z władzami federalnymi i przed odpowiedzialnością za przekupstwo i łapownictwo.

Kiedy jej mąż zmarł, Marbeth, będąc w ciąży w wieku czterdziestu sześciu lat, została z pogrążoną w ruinie firmą, którą musiała ratować. Urodziła dziecko, ocaliła firmę i — piękniejsza niż kiedykolwiek—została towarzyszką podróży kardynała arcybiskupa Chicago.

Na stypie po pogrzebie Buda miała suche oczy i była spięta. Czy czuła ból po stracie tego głupiego tumana? Nigdy się tego nie dowiemy.

— Jaka słodka, młoda kobietka, Lar! — przywitała mnie Marbeth, kiedy wchodziłem do biura.

—Jackie? Trochę się tu rządzi, ale to dlatego, że jest Iriandką i katoliczką.

Ciągle było gorąco, chociaż minął już Dzień Pracy i rozpoczynały się zajęcia w szkołach. Marbeth miała na sobie lekką sukienkę w kwiaty. Wydawało się, że jest ożywiona i w dobrym nastroju.

— To dobry pomysł, że masz przy drzwiach takie młode kobiety. Sprawiają, że przybywający na plebanie czują się lepiej. To wyraźna poprawa od czasów, gdy drzwi plebanii otwierały zrzędzące, stare gospodynie.

—Tak, a nawet pamięta zapisać, kto do mnie dzwonił.

—Przyniosłam pamiętnik — oznajmiła, przyciskając do piersi szarą kopertę.

— Chcesz mi go dać, Mary Elizabeth? Chyba wiesz, że nie musisz tego robić?

—Wiem — zawahała się. — Ale dam ci... tylko, że trochę się go wstydzę.

—Zwrócę ci. Nie zrobię żadnych kopii.

—Nie o to chodzi. — Jeszcze mocniej przycisnęła kopertę. — Napisałam to, aby ludzie zrozumieli, dlaczego i w jaki sposób John i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Musiałam więc powiedzieć dużo więcej o sobie, niż bym chciała.

— Jesteś pewna, że chcesz mi go dać?

— Tak, chyba że powiesz mi, iż inni nie powinni tego wiedzieć. Wtedy zabiorę go z powrotem.

Podala mi kopertę. Teraz nasze stosunki były bardziej swobodne niż nad jeziorem Geneva.

— Czy mógłbym zadać ci dwa pytania, o których wcześniej zapomniałem?

— Oczywiście.

Zdawało się, że jest zakłopotana, a może przestraszona moją prośbą, ale czy można w ogóle powiedzieć coś konkretnego o Marbeth?

— Czy rozmawialiście kiedyś o małżeństwie? Mam na myśli ciebie i Johnny'ego... To znaczy, czy rozmawialiście o tym ze sobą?

— Nie. — Mimo tego bezczelnego pytania jej twarz pozostała spokojna. — Nie po jego wyświęceniu. Rozmawialiśmy o tym, gdy był jeszcze w seminarium, a raczej to ja o tym mówiłam. Kiedy dziś na to patrzę, sędzę, że on nigdy nie interesował się małżeństwem ani mną w roli jego żony. Po jego wyświęceniu, kiedy z łatwością można było opuścić stan kapłański, ja byłam już mężatką. Po śmierci Buda, gdy znowu byłam wolna, on był już arcybiskupem Chicago. Prawdę mówiąc, nie miałam powodu myśleć, że interesuje się mną jako potencjalną żoną i że zmienił swe zapatrywanie od czasu tego interludium na jeziorze Clearwater, kiedy zdecydowałam w swej głupocie, że powinien raczej ożenić się ze mną, aniżeli zostać księdzem. John cenił mnie jako, swoją bliską przyjaciółkę, a niejako przyszłą żonę.

Nie miał szczęścia, pomyślałem, ale powiedziałem:

— Kate przeczytała mi kilka listów Johna i Delii. Są straszne, chociaż niekoniecznie obciążające go.

— Kate postąpiła strasznie.

— Dlaczego?

— Niechęć do Johnny'ego stała się jej obsesją. Jej maj wydaje się tym nie przejmować. To dlaczego ja miałabym?

— Stałaś się kozłem ofiarnym?

— Nasza przyjaźń trwała tylko do czasu mojego małżeństwa. Ona myślała... i nadal myśli, że ukradłam jej Buda.

— A tak było?

— Jasne, że nie. W ogóle się nim nie interesowała, aż do chwili, gdy zaczęłam się z nim spotykać. Powinnam się jednak domyślać, że nie wszystko mi mó-

wi. Możliwe, że to matka namówiła ją do tego. U McGlynnów nigdy nie było wiadomo, czy to, co się słyszy, nie pochodzi od Delii. Biedna kobieta. Myślę o Kate. Nigdy nie dorosła.

Bogactwo, co sobie znowu uświadomiłem, samo w sobie nie czyni ludzi inteligentniejszymi, wrażliwszymi, zdrowszymi i nie daje im poczucia smaku i gustu. Nie daje też szczęścia. Ale nie wiedziałem o tym wówczas, gdy zazdrościłem Quinlanom nad jeziorem Clearwater.

— To jego? — wskazałem na sygnet z rubinem na jej palcu.

Mary Elizabeth skinęła głową.

— Dałam mu go, gdy został kardynałem, i zabrałam, gdy umarł. Chciałam mieć po nim pamiątkę.

— Symbol czegoś.

— Miłości, która nie umarła, Lar.

— Tak, rzeczywiście.

— Był czas... — z wdziękiem wstała z kanapki, na której zwykle siadywali goście — ...kiedy byś o tym w ogóle nie pomyślał.

W holu powiedziała: — Jackie, dobrze się nim opiekuj. To bardzo dobry człowiek.

— Staram się, pani Quinlan, ale to ciężka praca. Roześmiały się... dwie konspiracyjne kobiety, które dzieliło pokolenie.

Wychodząc wskazała kopertę, którą ciągle ściskałem pod pachą.

— Po napisaniu tego doszłam do wniosku, że zrobiłam wiele pomyłek, ale niczego nie żałuję.

Patrzyłem, jak opuszczając plebanię, idzie do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Zastanawiałem się, ilu ludzi mogłoby to samo powiedzieć o sobie.

MARY ELIZABETH

TLR

Kiedy Nancy urodziła się przedwcześnie w szpitalu Oak Park, bardzo pragnęłam mieć księdza w rodzinie. Poród był niezwykle ciężki i niemal umarłam z powodu zaburzeń w oddychaniu. Wówczas naprawdę chciałam mieć w rodzinie mężczyznę, na którym mogłabym się oprzeć.

Moje poprzednie trzy ciąży były łatwe. Czwarta była trudna, począwszy od pierwszych porannych mdłości aż po dwudziestośmiogodzinne bóle. Byłam strasznie chora, przygnębiona, zła na siebie i męża i całkowicie przygotowana na śmierć. Oczywiście nie umarłam — obecnie kobiety rzadko umierają przy porodzie — ale straciłam dużo krwi i musiałam pozostać w szpitalu.

Lekarze powiedzieli, że biedna, mała Nancy nie przeżyje. Przyszła za wcześnie na świat. Groźba — skoro lekarze byli tego tak pewni — że ją utracę, spowodowała, że jeszcze bardziej ją pokochałam.

Bud mi nie pomagał. Był dumny ze swoich trojga dzieci, ale nie lubił ciąży i porodu. Według niego było przy tym zbyt wiele zamieszania i uznał to za sprawę typowo kobiecą. Dlatego próbował udawać, że nic się nie dzieje. Nie mógł pogodzić się z faktem, że zabierają mu żonę, choćby na parę dni, co zakłócało ustalony tryb życia.

Ponadto, tym razem nie chciał już dziecka. Nie lubił Nancy już od chwili, gdy mu oznajmiłam, że dziecko jest w drodze. Szczególną niechęć poczuł do niej, gdy byliśmy w szpitalu.

— Jeszcze to nie umarło? — spytał na piąty dzień po urodzeniu Nancy. To były pierwsze jego słowa, jakie wypowiedział po wejściu do mojego pokoju.

Wtedy wybuchnęłam.

— To mała dziewczynka, Bud. Zwykle mówi się na nie „ona"! — krzyczałam. — Ciągle jeszcze żyje... i absolutnie nie dzięki tobie!

— Na Boga, Marbeth...

— Jesteś bezdusznym, głupim sukinsynem!

Przez pół godziny siedział cicho na brzegu mego łóżka. Nie był poruszony moją złością, ale zdumiony. A potem spokojnie wyszedł z pokoju.

Byłam wściekła na siebie za ten wybuch. Takie rzeczy ffeigdy nie wychodzą na dobre. Było mi też siebie żal. Co jest lakiego dobrego w małżeństwie, skoro trzeba się przez cały czas borykać z pięciorgiem dzieci, z których jedno jest twoim mężem? Wściekałam się również na Pana Boga za to, że tak bezmyślnie pokręcił całe moje życie. Szykowałam się na gwałtowną eksplozję litości nad sobą, gdy do pokoju wszedł John pthurMcGlynn.

— Marbeth!—wykrzyknął z entuzjazmem.—Ta mała jest śliczna! Wykapa na mama!

— Ona umiera — łzy stanęły mi w oczach.

— Nie, ona nie umiera. Z pewnością nie umrze.

— Nie jesteś lekarzem.

— Dzieci to istotki żadne życia. Ona jest zbyt twarda, aby umrzeć. Widzę to po niej.

Potem, gdy opowiadałam Nancy, jak w nią wierzył, uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— Miał rację, mamó. Zbyt twarda, aby umrzeć.

Zawsze istniała jakaś szczególna więź między nią a Johnem; jakieś milczące zbliżenie dwojga różniących się ludzi, on często nazywał ją "twardym facetem", określeniem, z którego była niezwykle dumna.

Tego wieczoru w szpitalu Oak Park John trzymał mnie za rękę, gdy wylewałam z siebie wściekłość i morze smutku, pedziałam, że w podobnej sytuacji tak samo współczułby każdemu. Nie byłam dla niego kimś szczególnym ale tak potrzebowałam współczucia, że nie obchodziło mnie, czy on mnie kocha tak, jak ja kocham jego.

Kiedy już się wyplakałam, opowiadał mi o latach swego pobytu w Afryce, przeważnie wesołe historyjki — i wtedy przekonałam się, że znowu mogę się beztriosko śmiać. — Jestem- taka szczęśliwa, że przyszedłeś, John. I to w szczególnej chwili. Pewnie zesłał mi ciebie sam Pan Bóg.

Mruugnął do mnie.

— Łatwo w Niego wierzyć, patrząc na ciebie.

— Nie zaczynajmy tego od nowa. — Zaśmialiśmy się. Czy on w końcu wierzy w Boga? — zastanawiałam się.

Ale nie chciałam go o to pytać.

— Dlaczego teraz jesteś w domu? Wróciłeś do Ameryki na stałe?

— Obawiam się, że nie, chociaż po Afryce Wiedeń wydaje się jak River Forest. Przeniesiono mnie do Papieskiej Nuncjatury w Austrii. Wydaje mi się, że mam w Wiedniu asystować kardynałowi Koenigowi w jego pracy za żelazną kurtyną.

— To fascynujące.

Wzruszył ramionami, jakby nie miało to dla niego wielkiego znaczenia.

— Interesujące.

— Jestem pewna, że to uszczęśliwi twoją matkę.

— Ona z pewnością cieszy się, że nie będę miał już nic wspólnego z czarnymi. Jeszcze jej nie powiedziałem, że będę musiał kontaktować się z komunistami.

Zaśmialiśmy się z bigoterii Delii.

— Ale chyba jesteś szczęśliwy, że wydostałeś się z Afryki.

John spoważniał.

— Mówiąc prawdę, Marbeth, tęsknię za nią. Lubiłem Afrykę. Kraj, w którym przebywałem, jest strasznym miejscem — głód, choroby, korupcja, gwałty. Ale ludzie są cudowni. Jakaś część mnie chciałaby tam pozostać na zawsze. Wydawało mi się, że niemal stałem się tubylcem, zanim mnie przeniesiono do Wiednia.

— Nonsens, John... nigdy byś nie chciał nim być.

— No — porzucił poważny ton — z pewnością nie stanę się tubylcem w Wiedniu.

Taki właśnie był John — jak zwykle bezkrytyczny i szczery, ale czasami tajemniczy, objawiający dziwną, enigmatyczną głębię. Chociaż to, co stało się pod koniec jego życia, nie całkiem mnie zaskoczyło, było jednak trudne do przewidywania.

— Mam nadzieję, że teraz, gdy przebywasz bliżej domu, będziemy częściej cię widywać.

—Na pewno. Tylko dziewięć godzin lotu z Wiednia na O'Hare. Obiecuję, że będziemy się częściej widywać.

Pocałował mnie w czoło i odszedł. Był to taki odradzający pocałunek, stanowiący punkt zwrotny w moim ozdrowieniu — dzięki niemu uniknęłam depresji poporodowej.

Nadal kochałam Johna McGlynną, tak bardzo jak nigdy przedtem. Ale tej nocy w Oak Park dostrzegłam, że moja miłość była czymś więcej niż obsesją, od której nie mogłam się uwolnić.

John miał rację: Nancy była zbyt twarda, aby umrzeć. Następnego poranka zaczęła wygrywać walkę o życie. Oszukała nas wszystkich, włącznie z lekarzami. Od tej pory była zawsze twarda, a zarazem delikatna.

Bud nigdy nie mógł przełamać w sobie niechęci do Nancy za to, że zakłóciła mu zrównoważony rytm jego życia. Ona też to czuła i od samego początku była mu niechętna — toczyła się między nimi nieustanna walka.

Uczyłam starsze dzieci, na tyle łagodnie, na ile to było możliwe, w jaki sposób mają odnosić się do ojca, i robiłam, co tylko się dało, aby darzyły go respektem. Ogólnie udawało mi się to — aż do jego śmierci. Udało mi się nawet nadać jakąś pozytywną cechę temu wydarzeniu.

Jedyną zadrę stanowiła Nancy. Nie tylko była najmłodsza, ale zarazem najbardziej wrażliwa, najbystrzejsza i najbliższa mnie. Nie lubiła, jak Bud bezustannie napadał niewybrednymi słowami na moją inteligencję. A ja nigdy nie mogłam jej tego wytłumaczyć.

— Traktuje cię z pogardą, mamó — powiedziała, mając dwanaście lat. — On cię nie kocha.

—Ależ kocha mnie, kochanie. On bardzo mnie kocha.

—Dlaczego więc tego nie okazuje?

—Nie potrafi. — Powiedziałam jej prawdę.

—Wobec tego jest z niego ciężki frajer.

—Nie wolno tak mówić o ojcu.

—Nawet jeśli mam rację?

Co mogłam na to odpowiedzieć?

Dwadzieścia lat po ślubie znowu znalazłam się w Rzymie. Siedziałam przy stole naprzeciwko swojej dawnej miłości. Tym razem nie było bankietu, jak tamtego wieczoru w Grand Hotelu, ale jedynie kolacja z Johnem i Budem. Byłam teraz dojrzałą kobietą, pewną siebie i swoich seksualnych możliwości, potrafiącą podobać się mężczyznom.

Johnny wydawał się bardziej niż kiedykolwiek mną zainteresowany, w co z trudem uwierzyłabym wtedy, gdy miałam osiemnaście lat w Eagle River.

Przebywaliśmy w Europie na naszej obowiązkowej dwudziestej rocznicy ślubu, w czasie drugiej podróży poślubnej. John, po przedstawieniu nas monsignore'owi Benellemu, zabrał nas na kolację do Sabbatiniego.

John miał wtedy czterdzieści pięć lat, był ciągle szczupły i elegancki, chociaż zaczynał już siwieć. Jak zawsze uśmiechał się wielkodusznie, był jak zwykle uroczy, troszczył się o innych — bez względu na to, kim byli — jak zawsze szczerze.

Jednak wydawał się zmęczony. A w tym zmęczeniu kryło się zdenerwowanie, oczy biegały mu niespokojnie, szczególnie, gdy wchodziliśmy do Sabbatiniego. Wyglądało to tak, jakby szukał kogoś, kto go śledzi. Odniosłam wrażenie, że znajduje się na skraju wyczerpania nerwowego. Szybko jednak moje współczucie zmieniło się w pożądanie.

Kiedy głębokie, brązowe oczy arcybiskupa Benellego spoczęły na mnie z uznaniem, wiedziałam, że moje przypuszczenia są słuszne. Ciągle byłam atrakcyjna. Niewiele kobiet, pomyślałam, może wzbudzać podobną reakcję u tego papieskiego młota.

Byłam, mówiąc wprost, niezwykle podniecona seksualnie i w niewybaczalnie romantycznym nastroju.

Nie widziałam się z Johnem od urodzenia Nancy. Zjadł u nas kolację, a potem zabrał mnie i Buda do klubu. On i Bud doskonale się rozumieli — mój mąż nie był zdolny przyznać się do uczucia zazdrości, nawet przed samym sobą. Uważałby za coś nie do pomyślenia, że jakiś mężczyzna jest bardziej atrakcyjny dla jego żony niż on. Mogłabym romansować pod jego nosem, a Bud — ze

względu na to niewzruszone mniemanie o sobie — nie pozwoliłby sobie na zwrócenie na to uwagi.

Tego wieczoru w Rzymie, podczas kolacji, rozmawialiśmy o Delii.

— Jak wiecie, ona nigdy nie wyzdrowiała po śmierci Doktora. Ma jakieś dziwne... no, może nazwalibyście to, obsesje. Jest przekonana, że może kupić każde, jakie tylko zechce, stanowisko w hierarchii kościelnej. Trudno jej przeszkodzić w tych próbach.

— A czy może kupić? — zapytał Bud, śmiejąc się niezwykle głośno. — Przecież dzisiaj wszystko jest na sprzedaż, prawda?

— Nie w diecezjach i archidiecezjach — odrzekł John, lekko się krzywiąc. Jestem przekonana, że nigdy nie przypuszczał, że Bud jest aż tak tępy. — Do pewnego momentu zgadzam się z nią, a potem próbuję przyhamować. Czasem jednak nie udaje mi się i wtedy jestem bardzo zakłopotany, że muszę komuś w Watykanie wyjaśniać, iż moja matka nie jest całkiem zdrowa... wyjaśniać tym, którzy mi o tym mówią... a nie każdy to robi.

Przypomniałam sobie nasze krzyki i awanturę w Eagle Lake, ale szybko pozbyłam się tych wspomnień. Potem powrócił we wspomnieniach mój striptiz przed nim i pomyślałam, że byłoby zabawne znowu tego spróbować.

W zimnym świetle następnego dnia ostrzegłam siebie, żeby trzymać się z daleka od Rzymu. Albo przynajmniej nie pić więcej niż cztery szklanki wina, kiedy już się tam znajduję.

John w tym czasie pracował dla monsignore'a Benellego i chciał przedstawić nas temu człowiekowi przed naszą prywatną audiencją (którą sam zaaranżował) u papieża.

Natychmiast polubiłam Benellego. Lubił kobiety i wykazał dobry gust, dając mi sympatię.

— A więc, signora — powiedział — zna pani tego księdza od dziecka? Czy wtedy też był tak miły, jak teraz?

— Szanował młodsze siostry i nie narzekał na nie oraz na rch przyjaciółki, monsignore. Czy mógł być miłszy?

Arcybiskup zaśmiał się.

— Widzicie, tutaj tak to się odbywa: dzwonię do biura i krzyczę: „Tu Benelli! Gdzie ten dokument, który mieliście "ii złożyć na biurku przed dwoma tygodniami? Chcę go mieć dziś o piątej!" To ich wystraszy, prawda? A potem John idzie do nich i mówi: „Wystarczy na jutro w południe" — i dobrze. Tym sposobem oni nie tracą sjesty, ja jestem ten zły, a on jest ten dobry. I wszystko się zgadza, czy nie tak?

— Roześmialiśmy się, ale widziałam, że to coś więcej niż zwykły dowcip.

— A zatem ciebie lubią, a jego nie—stwierdziłam podczas kolacji.

— Tak, lubią mnie — zgodził się John ze smutkiem — ale pamiętają, dla kogo pracuję. I w ciągu pięciu minut zapominają o mnie, kiedy jego spotkają.

—A mogą się z nim spotykać?

—Jasne.

—A ty?

—Co to za różnica?

—Czy on wie o twojej matce? Uniósł oczy z niepokojem.

— Zatrudniła bankiera, takiego niezbyt dobrego, aby przyjechał aż tu, do Rzymu, i wyciągnął od Benellego, ile trzeba by zapłacić, żeby kupić Denver. Miał jej pełnomocnictwo i mógł zapłacić tyle, ile zażądają.

—A co zrobił arcybiskup?

— Wyrzucił tego człowieka z biura. I mnie prawie też. Przyniosłem jej listy i przekonałem go, że ona jest nieco sfi- krowana na tym punkcie. Dopiero wtedy się uspokoił.

—Kobiety tego po prostu nie rozumieją, prawda, John?

—Zależy które. Jeśli chodzi o inne sprawy, to mama jest zupełnie w porządku.

To nie była prawda, ale nie widziałam powodu, aby z nim na ten temat dyskutować. John zauważył drżenie w moim głosie, gdy życzyłam mu dobrej nocy. Oczywiście mój mąż też to dostrzegł.

Byłam bardziej niż zwykle zła na Buda za jego ojcowsko pouczający sposób odnoszenia się do mnie w czasie kolacji. Prawdę mówiąc, byłam na niego po prostu wściekła. Jednak stłumiłam tę wściekłość —jak to już robiłam często—w namiętnym seksie, seksie, w którym było niewiele miłości, wiele gniewu i dużo

samozadowolenia. Sama bardzo intensywna przyjemność. Przez cały czas wyobrażałam sobie, że moim partnerem jest John.

40

— John — zwróciłam się do arcybiskupa Chicago — jesteś otoczony małodusznymi, niekompetentnymi głupcami i ambitnymi szarlatanami. Żaden z nich nie ma w sobie nawet tyle kultury, aby być wobec ciebie lojalny. Musisz się ich pozbyć.

— Nie mogę tego zrobić, Marbeth — tłumaczył. Wyglądał strasznie, był wymęczony i rozkojarzony.

— Nie tylko możesz, ale musisz.

— Ona ma rację, kardynale — zgodził się monsignore Ixonard Carey, sekretarz Johna, mały człowieczek o złośliwych oczkach. — Ma całkowitą rację.

Nie spodziewałam się z tej strony pomocy. Wyraźnie monsignore przestał mnie podejrzewać i od tej pory staliśmy się sojusznikami. Mimo że jestem kobietą.

Kiedy przeczytałam w gazetach, że Benelli został wysłany do Florencji, pomyślałam, że dni Johna w jego biurze są policzone. Później pewien ksiądz od św. Łukasza, zbyt młody, aby wiedzieć o moich przyjacielskich stosunkach z Johnem, powiedział mi z pewną satysfakcją, że „pozbyli się Johna i dobrze zrobili”.

W roku 1978, podczas wyboru papieża, a szczególnie w czasie tego drugiego konklawe, kiedy krążyły plotki, że Benelli jest jednym z poważnych kandydatów, modliłam się za niego, ponieważ byłam przekonana, że byłby dobrym papieżem, i liczyłam na to, że pomógłby Johnowi.

Zastanawiałam się również nad tym — teraz, gdy jego matka została uznana za nienormalną — czy osiągnięcie zwycięstwa w kościelnych rozgrywkach politycznych mogło coś dla niego znaczyć.

Pewnego dnia, o siódmej rano, usłyszałam w dzienniku telewizyjnym jego nazwisko jako nowego arcybiskupa Chicago. W radiu i TV ludzie cieszyli się. John zrobił dobre wrażenie swoim pierwszym wywiadem z Rzymu. Był to rze-

czywiście świetny wywiad, biorąc pod uwagę, jak często biskupi zaprzepaszczają tego rodzaju okazje. John był nieśmiały, czający i komunikatywny.

Ksiądz od św. Łukasza jęknął:

— Wysyłano nas od Annasza do Kajfasza. I oto zapłata. Byłam zbyt zaszkocowana powołaniem się na tych dwóch zakłamanych sędziów Jezusa, aby zapytać go, za co mianowicie ma być ta zapłata.

Zdecydowałam się nie brać udziału w żadnej z ceremonii wprowadzających Johna. Mieliliśmy wtedy już poważne kłopoty z prokuratorem Stanów Zjednoczonych Północnego Okręgu Illinois i miałam w związku z tym wystarczająco dużo zajęć. Mogłam nawet zostać wezwana jako współwinna i może nawet musiałabym się bronić. Nie chciałam być kimś kłopotliwym dla nowego arcybiskupa.

Nie jestem pewna, czy przypadkiem nie złożono na mnie skargi w sądzie. Nie zrobiłam nic złego, ale w gruncie rzeczy Bud też nie był winny żadnego wyraźnie kryminalnego przestępstwa. Prokurator, jak sam z humorem przyznał, eksperymentował „z nową teorią” na temat przekupstw popełnionych przez ludzi „w białych kołnierzykach”. Tak samo dobrze mógł eksperymentować na mnie.

Potem usłyszałam, że mnie „pominięto”, ponieważ bali się, że byłabym za dobrym świadkiem, a wiedzieli, że beze mnie zniszczą Buda w sądzie. I zniszczyli. Dosłownie.

Po dwóch miesiącach zadzwoniłam do Johna. Dość długo czekałam aż mnie wreszcie połączono.

— Marbeth! Jak się masz! Gdzieś ty była? Dlaczego cię nie widziałem? Zjemy razem lunch! U mnie w domu! Musisz go zobaczyć! — Ten sam co zawsze, stary John.

Więc zjedliśmy lunch. Razem z Lenem Careym. Zaledwie po pół minucie przekonałam się, że John był kompletnie rozstrojony nerwowo, a po następnej minucie dowiedziałam się, jaki był tego powód: odziedziczył po swym poprzedniku przerażający finansowy i administracyjny bałagan i nie miał najmniejszego pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Powiedziałam mu wprost:

— Musisz wymieść brudy z Kancelarii i sprowadzić młodych, lojalnych księży. Zatrudnij świeckiego księgowego i zapłać mu więcej, niż inni teraz płacą.

Dobierz sobie najlepszych konsultantów, jakich tylko zdołasz znaleźć. Mogę ci podać nazwiska. Ignoruj tych nadętych doradców, którzy pouczają cię w Chicago Club, i znajdź sobie ludzi, którzy mają wyczucie w interesach, którzy będą troszczyć się o miasto i Kościół, a nie tylko o swoje korporacje w Nowym Jorku czy Los Angeles. Mogę ci też podać ich nazwiska. Weź sobie odpowiednich kontrolerów ksiąg, zatrudnij Arthura Andersona, aby zaprojektował ci sieć komputerową. Trochę się na tym znam. Potem dobierz komisję z mądrych księży —jeśli takich znajdziesz...

— Hola! — wykrzyknął. — Czy nie pędzisz za szybko?

Ale słuchał tego, co mówię. Len Carey uśmiechał się, co jak sam Pan Bóg wie, było raczej rzadkością.

— Księża muszą usłyszeć opinie kontrolerów bilansu i odpowiedzieć wokoło, jak źle przedstawia się sytuacja.

Ten fragment mojej rady tylko częściowo odniósł sukces. Komisja odkryła, jak źle wszystko wyglądało w poprzedniej administracji, ale nie miała ochoty tego rozpowszechnić, ponieważ ciągle jeszcze żywili niechęć do Johna. Dopiero po jego śmierci zaczęli chwalić jego reformy finansowe.

— Dlaczego nie usłyszałem przedtem żadnej rady? — dopytywał się, notując wszystko z furją.

— Pewnie dlatego, że nie rozmawiałeś z nikim rozsądnym.

— Co jest dla kogoś oczywiste, nie zawsze jest oczywiste dla Kościoła, Marbeth.

Zaprotestował, kiedy powtórzyłam, że powinien wszystkich wyrzucić. Jednak Len zgadzał się ze mną.

— Natychmiast, wszystkich? — zapytał John, marszcząc się w udręce.

— Nie w tym samym dniu, ale w ciągu tygodnia.

— To może niektórych wykończyć.

— Osobiście w to wątpię... ale to ich problem.

— No, nie wiem... po prostu nie wiem. — Potrząsnął głową jak mały chłopiec, któremu powiedziano, że musi wypić rycynę.

— John, nie zrobisz nikomu żadnej przysługi, trzymając zbędny ładunek na tonącym statku.

— Pomożesz mi, Marbeth?

— Czy ci pomogę? Jak? Mam ich wyrzucić?

— Nie, nie to miałem na myśli. Chcę, żebyś czasem mi doradziła.

— Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, John.

— Z całym szacunkiem, pani Ojuinlan — wtrącił się — Myślę, że to wspaniały pomysł. Większość ludzi waha się, aby powiedzieć arcybiskupowi prawdę. Ale panią wydaje się to nie martwić.

— W żadnym wypadku.

— Więc pomożesz mi, Marbeth?

Nie sądziłam, że w ten sposób utonę w administracji archidiecezjalnej. Nie byłam pewna, co wyniknie ze zbyt częstego widywania Johna. Obojętnie, czy był arcybiskupem, czy nim nie był, ciągle działała na mnie magia jego erotycznego uroku.

— Jest jeszcze problem z procesem Buda, John. Może to nie wypaść dobrze, jeżeli ktoś dowie się, że pracuję dla ciebie. Mogą mnie wciągnąć w sprawę Buda.

— Grozi ci rozprawa sądowa? Dlaczego? Opisałam nasze problemy z prokuratorem Stanów

Zjednoczonych Północnego Okręgu Illinois. Nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Był przerażony, gdy wyjaśniłam mu, w jak wielkich kłopotach znalazł się Bud.

— Będę się modlił za was wszystkich, Marbeth. — Potrząsnął głową ze smutkiem. — Chciałbym coś dla was zrobić.

— Nie próbuj. To może tylko pogorszyć naszą i twoją sytuację.

— Niemniej, gdybyś tylko mogła znaleźć odrobinę czasu, aby mi doradzić, byłbym ci bardzo wdzięczny.

Nie była to zbyt wygórowana prośba. Stopniowo stałam się zaufaną doradczynią arcybiskupa Chicago, a potem kardynała arcybiskupa Chicago. Początkowo plotkowano na mój temat. Później nasza przyjaźń przestała być tajemnicą. W istocie miałam więcej władzy, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić, nie dlatego, że chciałam, ale dlatego, że musiałam — a dla Johna było to niezbędne.

John najzwyczajniej w świecie nie miał odwagi podejmować trudnych decyzji, chyba że ktoś trzymał go za rękę (w przenośni) i mówił, jaki jest jedyny, słuszny kierunek działania. Nawet wtedy zdarzały się chwile, gdy musiałam mu po prostu rozkazywać, aby zrobił coś, o czym doskonale wiedział, że powinien zrobić.

— A więc zostałam twoją zaufaną doradczynią — Powiedziałam pewnego dnia do Johna.

— Nie zauważyłem — zaśmiał się. — Chcesz otrzymać jakieś stanowisko i tytuł?

— Chcę się upewnić, że wiesz, co tutaj robię.

— Wiem, Marbeth — roześmiał się wesoło. — I mogę cię kimś zastąpić nawet jutro, jeśli tylko znajdziesz mi kogoś tak dobrego, jak ty, i tak taniego.

Oczywiście moje rady były absolutnie bezpłatne.

Tak to się odbywało. Przez cały czas pełniłam wyłącznie tego rodzaju rolę, i jak sądzę, byłam też dobrym przyjacielem.

41

— Może będzie musiał jakiś czas posiedzieć — wyszeptał mi do ucha obrońca Buda, mecenas Mick Whealan. — Biedaczysko.

Mój brat, Iggy, skinął głową, zgadzając się z tym.

— Wiem — powiedziałam cicho — wiem.

— Może wygramy apelację — wyszeptał Iggy.

— Zależy, jaki będzie skład sądu apelacyjnego.

Aż do wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak ważny był skład sędziowski. Biedny Bud nie miał szczęścia. Sędzia przewodniczący w tej sprawie, trzęsący portkami liberał wyznaczony przez Jimmy'ego Cartera, był przekonany, że wszyscy biznesmeni to sukinsyny. Świetnie bawił się kosztem Buda, doprowadzając sędziów przysięgłych do śmiechu. Ale Iggy powiedział mi, że był na tyle chytry, aby nie przekroczyć dozwolonej prawem granicy.

— Dobry prawnik — powiedział Mick Whealan, zanim rozpoczął się proces — natychmiast oddaliłby całe to oskarżenie. Niestety, mieliśmy pecha, koło fortuny tak się obróciło, że trafiliśmy na człowieka, który lubił widzieć swoje nazwisko w gazetach.

— Ale przecież możemy wnieść apelację, prawda?

... — W czasie apelacji rzadko oddalają oskarżenie. Ale jeśli chodzi o uznanie winy, to istnieje prawdopodobieństwo, że zostanie podtrzymane.

W czasie procesu zaczęłam po raz pierwszy w czasie naszego małżeństwa kochać męża. Cieszyłam się, że w końcu doznałam tego uczucia, zanim nadszedł koniec.

Kochałam go jak kogoś niewinnego, kto mimo swojej szorstkości i czasem nawet okrutnych słów był w istocie z gruntu dobrym człowiekiem.

Iggy, Mick i ja zrobiliśmy wszystko, aby namówić go do przyznania się do winy. Wtedy zapłaciłby grzywnę i odrobił karę pracą społeczną, pozostając na wolności z koniecznością cotygodniowego meldowania się na policji. Tak jak przedtem mogłam wszystko, tak teraz nie mogłam nawet wbić mu do głowy, żeby przestał się upierać, że jest niewinny i że muszą go za takiego uznać.

— To jest Ameryka, Marbeth — powiedział tonem oznajmującym ewidentną prawdę, jakby zwracał się do dziecka. — Nie zrobiłem nic złego. W tym kraju człowiek jest tak długo niewinny, jak długo nie udowodnią mu winy.

Może w telewizji, ale nie w Północnym Okręgu Illinois i nie w sądzie, w którym Jimmy Carter ulokował liberała rozbawiającego sędziów przysięgłych okrutnymi dowcipami.

Według nowej, czy nie nowej, teorii, sprawa przeciwko Budowi opierała się na bardzo wątpliwych dowodach — parę kolacji, jakiś wyjazd na golfa z ważnymi politykami, jakieś mętne rozmowy dotyczące rządowych kontraktów. Nie było dowodu, że rozmawiano o jakimś konkretnym kontrakcie, albo że istniało jakieś powiązanie golfa z kontraktami już zawartymi.

Tak, oczywiście, zawieraliśmy wiele kontraktów. Byliśmy tańsi i lepsi; sprzedaliśmy wiele terenów i zarobiliśmy dużo pieniędzy. Te fakty stały się pierwszorzędnymi dowodami, że konspirowaliśmy przeciwko rządowi. Prawie z definicji wypadało, że nie można zarobić w uczciwy sposób—fakt, który do-

strzegła większość sędziów apelacyjnych, kiedy po śmierci Buda podtrzymali oddalenie zarzutów przeciwko mojemu synowi, Peterowi.

Zeznania przyjaciół Buda, którym rząd zagwarantował niekaralność, nie były tak druzgocące, jak się tego obawiałam. Mick Whealan rozbił je w ogniu krzyżowych pytań.

— Czy to prawda, panie Keane, że zmienia pan zeznanie przeciwko człowiekowi, który był pańskim przyjacielem z gimnazjum w Fenwick, w zamian za własną wolność?

— Zgłaszam sprzeciw, wysoki sędzie.

— Uznaję sprzeciw. W moim sądzie nie będziemy tego załatwiać w ten sposób, panie Whealan.

— Proszę wybaczyć, wysoki sędzie... Panie Keane, czy to nieprawda, że pan często mówił, iż Quinlan Company jest najsolidniej rozwijającą się firmą w całym stanie?

— No tak, mówiłem tak, jak sędzę. Celny cios, Mick.

— Zdaje się, że od tej pory jakby zmienił pan zdanie. — Sprzeciw, wysoki sędzie.

— Przyjmuję. Nie będę już więcej pana ostrzegał, panie Whealan.

Obrońca spojrział na sędziego, a potem, po dramatycznej przerwie, powiedział łagodnie:

— Nie mam dalszych pytań.

Wyszło jednak na to, że mimo przeszkód stawianych przez sędziego, Joe Keane nie był wiarygodnym świadkiem.

Wnosząc z wyrazu twarzy sędziów przysięgłych, zdawało się, że odniosło to zamierzony efekt. Może, mimo wszystko, wygralibyśmy, gdybyśmy mogli powstrzymać Buda od zeznań. Ale on uparł się jak osioł.

— Niektórzy moi najlepsi przyjaciele kłamali — rzekł. — Chcę wyjaśnić przysięgłym, jak to było naprawdę.

Spędziliśmy wiele godzin, próbując go przygotować, zanim stanie w ławie świadków. Przetrzymał Iggy'ego i Micka ze stoickim spokojem człowieka, który dokładnie wie, co ma powiedzieć.

— On zachowuje się idiotycznie — narzekał przede mną

— Ale jest niewinny, Ig. To dziecko uwikłane w zabawę dorosłych.

Iggy był zdumiony.

— Dziwnie się wyrażasz o swoim mężu.

— A czy to nieprawda?

— Prawda, jak mi się wydaje. Ale niebezpieczna prawda. W ławie świadków Bud zignorował wszystko, co mu

Powiedzieliśmy. Pouczał sędziów przysięgłych, tak jak mnie Pouczał w czasie naszego małżeństwa. Prokurator Stanów Zjednoczonych po prostu nie mógł uwierzyć we własne szczęście i świetnie się bawił.

— Pozwólcie mi wyjaśnić, jak przedstawiają się sprawy w nieruchomościach — zupełnie jakby mówił o interesującym, choć trochę oszukańczym świecie na wykładzie w pierwszej klasie i chociaż ciągle jeszcze był młody i całkiem przyzwoisty, gadał jak stary irlandzki zakuty łeb.

— Nie musicie mówić nic konkretnego. W tego rodzaju układach... — w tym momencie wbił ostatni gwóźdź do trumny — ...ludzie i tak rozumieją mrugnięcie oka lub kiwnięcie głową.

— Nie mam dalszych pytań — oznajmił z triumfem prokurator.

Zniszczył wszystkie wysiłki Micka, który chciał, aby wypadł jak najlepiej. Nie zrobił tego celowo, był jednak święcie przekonany, że wie najlepiej, jak wyjaśnić, na czym polega jego biznes, aby udowodnić swoją niewinność.

Wreszcie zszedł pewny siebie z ławy świadków i zwrócił i się do mnie głośnym szeptem:

— Czy ci nie powiedziałem, że wszystko wyprostuję? Jedna z kobiet w ławie sędziów przysięgłych aż stęknęła,

co wydawało się prawie arogancją. Mick Whealan skrzywił się. Iggy ukrył twarz w dłoniach. Nikt z nas nie miał sumienia powiedzieć mu, że sam się kompletnie zniszczył.

Przysięgli radzili tylko godzinę. Kiedy wrócili, Bud j uśmiechał się szeroko.

— Widzisz, mówiłem, że rozumieją. Winny z czternastu paragrafów.

W Buda jakby piorun strzelił. Wyprowadziliśmy go z sa— [li kompletnie oszołomionego. Próbował coś powiedzieć do kamer telewizyjnych przed drzwiami sądu, ale tylko wybuchnął płaczem.

Natomiast prokurator oświadczył prasie i telewizji, że będzie się domagał wyroku od dziesięciu do dwudziestu lat więzienia, co ma być „przykładem dla młodych z Chicago, aby wiedzieli, że ludziom w białych kołnierzykach nie opłaca się w ten sposób bogacić”.

Mick oświadczył do kamer, że jest przekonany, iż ten wyrok będzie uchylony podczas apelacji.

— Dwadzieścia lat więzienia?—;Bud nie mógł uwierzyć.

— Nie bój się—zapewniał go Iggy.—Najwyżej osiemnaście miesięcy, a potem wygramy apelację.

— Osiemnaście miesięcy? — znowu wybuchnął płaczem. Różnica między osiemnastu miesiącami a dwudziestu latami nie miała żadnego znaczenia dla człowieka, który szczerze wierzył w swoją niewinność.

Wyrok ogłoszono o jedenastej przed południem. Bud nie chciał zjeść lunchu w Mid America Club i zawiózł nas w milczeniu do domu, prowadząc mojego ferrari testarosse.

— Powinnam pojechać do biura i sprawdzić, co tam słyhać— powiedziałam do niego, gdy wchodziliśmy do domu przy Lathrop.

— Dobrze — zgodził się obojętnie. — Rób, co chcesz. Ja się zdrzemnę.

Pozostałam w Elmwood Park kilka godzin, przeważnie telefonując. Iggy i Mick byli pewni, że wygramy apelację.

—A jeśli nie? Cisza.

— Martwię się o niego. Zniszczyli jego świat. Rozbili go. Wszystkie jego iluzje rozwiały się.

— Człowiek nie może żyć tylko iluzjami — zauważył pompatycznie Iggy.

—Ale Bud żył.

—Nie powinnaś mu była na to pozwolić.

— Takiego go dostałam. Za późno było, by go zmieniać.

— No... — mój brat ciężko westchnął — ...poczekamy, zobaczymy.

Wspaniała rada. A tymczasem to już się stało. Wróciłam do domu o pół do piątej. Nancy w mundurku Trinity szlochała na kanapie w salonie.

— Już dobrze, kochanie—objęłam ją. — Nie jest tak źle.

— Nigdy już nie będzie dobrze!—krzyknęła. — Nigdy! On nas opuścił!

Nancy nie była histeryczką. Zaczęłam się zastanawiać. Co chciała powiedzieć przez to, że nas „opuścił”?

Wbiegłam na schody, mijając dom lalek i weszłam do naszej sypialni.

I Bud wybrał długą drzemkę.

R. Siedział na krześle przed moją toaletką ze swoją ukochaną strzelbą w ręku. Użył jej, aby przestrzelić sobie głowę. Na naszym małżeńskim łóżku był rozpryskany mózg.

Następne dwa dni były czymś potwornym. Proboszcz od św. Łukasza — któremu dawaliśmy dziesiątki tysięcy dolarów i poświęcali setki godzin pracy— przysłał na dół swego jarego, aby nam oznajmił; że prawo kanoniczne zabrania chrześcijańskiego pogrzebu samobójcy.

Wróciłam do domu wściekła, ze złamanym sercem i oczywiście z poczuciem winy. Tak samo czułam się następnego ranka, gdy znów poszłam do kościoła na mszę o wpół do dziewiątej, w czasie której modliłam się za spokój duszy mego biednego męża.

— Cześć, Marbeth — odezwał się znajomy głos, gdy wchodziłam do kościoła. — Wchodzisz czy wychodzisz?

Oparłam się o jego pierś i zaszlochałam po raz pierwszy i jedyne w tych okropnych dniach.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Bóg kocha nas wszystkich. On kocha Buda. I zabrał go do swego domu.

— Mogłam go powstrzymać... powinnam go powstrzymać.

Poklepał mnie po plecach.

— Nie, Marbeth, nie mogłaś go powstrzymać. Zrobiłaś wszystko, co tylko mogłaś, dużo więcej niż zrobiłyby inne kobiety. Spędził z tobą wiele szczęśliwych lat. Byłaś w jego życiu laską.

Mogłam w to nie wierzyć i prawdopodobnie wtedy w pełni nie wierzyłam. Niemniej słowa Johna pomogły mi przeżyć ceremonię pogrzebową, sam pogrzeb i te wszystkie czarne dni potem. Chciałam wierzyć, że w słowach Johna kryło się choć trochę prawdy.

John pominął proboszcza i sam odprawił mszę pogrzebową — za co został wściekle zaatakowany przez prasę.

— „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień” — odpowiedział John. Wygłosił wspaniałą homilię. Prawie wszyscy w kościele — z wyjątkiem rodziny Buda — płakali.

— Pewnego dnia, Marbeth, wszyscy znajdziemy się w lepszym świecie — powiedział do mnie, trzymając mnie na cmentarzu za rękę w czarnej rękawiczce.

— Czy ty naprawdę w to wierzysz, John? Zawahał się.

— Tak, Marbeth, naprawdę wierzę. — Ale nie brzmiało to zbyt przekonująco.

Następne miesiące były okropne. Byłam w ciąży. Codziennie gorzej się czułam. Musiałam walczyć z prokuratorem USA, który zamiast mojego męża chciał koniecznie skazać mojego syna. John też ciągle potrzebował mojej pomocy.

W końcu pobiliśmy sąd. Nowy sędzia odrzucił oskarżenie, a Sąd Okręgowy natychmiast to zatwierdził.

Tego popołudnia reporterzy osaczyli mnie w biurze w Elmwood Park. Byłam okropnie chora.

— Czy zadowala panią fakt, że sąd apelacyjny oddalił oskarżenie przeciw Peterowi Quinlanowi, pani Quinlan?

— Byłabym bardziej zadowolona, gdyby mieli szansę oddalić oskarżenie przeciw mojemu zmarłemu mężowi.

— Czy pani ciągle wini sędziego Learnera za śmierć męża, pani Quinlan?

— Mój mąż stał się niewinną ofiarą politycznych ambicji prokuratora Stanów Zjednoczonych i zachcianek sędziego Learnera, który chciał tylko rozśmieszać sędziów przysięgłych.

— Będzie pani przeciwna ewentualnej kandydaturze prokuratora USA na gubernatora?

— Gwarantuję wam, że nigdy nie zostanie gubernatorem. Jego kariera polityczna jest już skończona.

Była to groźba bez pokrycia, ale okazała się prorocza. Ja go nie wykończyłam. Sam się wykończył. Ale uważano, że miałam z tym wiele wspólnego.

Kiedy piszę te słowa o moim mężu, w oczach stają mi łzy żalu. Ja — nie tak jak dzieci — nie gniewam się na niego za to, że popełnił samobójstwo, lub za cokolwiek innego w naszym wspólnym życiu. Był taki, jaki był, jakim uczyniło go środowisko i rodzice. Był jak dziecko, ale często czarujące dziecko. On po prostu nigdy nie dorósł.

Gdybym jeszcze raz wyszła za mąż, myślę, że dowiedziałabym się więcej o miłości małżeńskiej i zrobiłabym z niej lepszy użytek. Wybrałabym mężczyznę, nad którym nie mogłabym dominować i który, mówiąc ściślej, nie potrzebowałby takiej dominacji.

Mój obecny konkurent zapewne bardziej odpowiada tym wymaganiom; jest bardzo atrakcyjnym i przemyśłym człowiekiem, który nie potrzebuje kobiety troszczącej się o niego i który nie pozwoliłby jej na to, nawet gdyby próbowała. Ponadto przeczuwa moje obawy przed mężczyzną, którym nie mogłabym kierować, i jest tym szczerze rozbawiony.

— Boisz się mnie — mówi, obejmując mnie.

— Boję się — przyznaję, czując podniecie, jakiej żadna babcia nie powinna już doznawać. — I to cię bawi, co?

— Nie masz żadnego powodu bać się mnie. — Całuje mnie bardzo delikatnie. — Powinnaś się odprężyć i zaufać mi.

— Kto tak powiedział? — Jeżeli nie wydostanę się z jego uścisku, będę skończona. Więc wrywam się. Nie upiera się i daje mi tę moją przeklętą wolność.

W tej chwili dotarł do ostatniej Unii mojej obrony. Muszę albo się go pozbyć, albo całkowicie mu ulec.

— Mamo — mówi moja najstarsza córka, Beth, chociaż już nie tak często jak zwykle. — Tatuś musiał bardzo się na nas gniewać, jeżeli w ten sposób skończył ze swoim życiem... bez słowa pożegnania.

— On gniewał się na cały świat — odparłam — ponieważ świat okrutnie się nim zabawił. Myślał, że żyje w życzliwym świecie, jednak okazało się, iż jest zupełnie inaczej.

Ale umarł również zagniewany na mnie. Nie udało mi się obronić go przed podłością tego świata.

Niestety, to było coś, czego — kochając go lub nie—nie mogłam dokonać.

42

Pomiędzy moim toplesem podczas burzy w domku nad jeziorem Eagle a jego śmiercią na błotnistej polanie w Nikaragui, jedynym dramatycznym wydarzeniem, w którym brałam udział z Johnem, było uratowanie przez niego życia Karoliny nad jeziorem Geneva. To wydarzenie zawierało w sobie tyle dramatyizmu, że można by nim obdzielić kilka żywotów — było daleko bardziej szokujące aniżeli uleczenie Breti-ny'ego.

Mieliśmy wtedy bardzo parną i gorącą noc. W telewizji¹ Bearsi grali pokazowy mecz. Moi bracia, dzieci i wnuki przyjechali do mnie na ogrodowe pieczenie mięsa na ruszcie-Zwolniłam służbę, sądząc, że w ten sposób będzie zabawniej-Gdzieś znad Wisconsin nadchodziły burze. Młodzież biegać wszędzie, wskakiwali i wyskakiwali z basenu. Dookoła grzmiała muzyka rockowa. W powietrzu ciężko wisiał zapach chloru, musztardy i węgla drzewnego. Nancy ze swoim Noahem mieli pilnować basenu, ale podczas tak hałaśliwej i ruchliwej nocy było niemożliwością widzieć wszystko, pomimo że nad naszymi głowami płonęły jasno lampy.

Właśnie wyszłam z wody po krótkim zanurzeniu się, przyjemnie zmęczona sukcesem, który, jak sądziłam, odniosłam organizując to wielopokoleniowe przyjęcie. Kardynał przechadzał się wzdłuż brzegu basenu, zatopiony w poważnej dyskusji na temat aborcji z moim bratem Ignacjuszem.

Nagle bez słowa skoczył w ciemną wodę basenu. Na moment wypłynął na powierzchnię, ale zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, znowu zanurkował. Potem znów wynurzył się, trzymając nad głową coś, co przypominało wielką lalkę. W kilka sekund później uzmysłowiłam sobie, że to Karolina i że jest całkiem sına.

Zapewne krzyknęłam głośno z przerażenia, chociaż moje dzieci mówiły później, że z osób zgromadzonych przy basenie tylko ja nie krzyczałam. Upierali się, że zamiast tego spokojnie wzięłam od Johna Karolinę i położyłam ją na ręczniku.

— Sztuczne oddychanie usta-usta — podobno powiedziałam to bardzo spokojnie do Noaha. Może rzeczywiście tak się zachowałam, byłam opanowana aż do przesady. A przynajmniej z pewnością nikomu nie przeszkadzałam.

Następne minuty były koszmarem. Noah zaczął stosować sztuczne oddychanie. Nancy szlochala histerycznie, tak jak wówczas, gdy ujrzała ciało ojca po popełnieniu samobójstwa. Wszyscy dookoła krzyczeli. Zamarłam jak sparaliżowana na brzegu basenu. John ukląkł obok mnie.

Wszystkie dzieci mówiły, że zwróciłam się do Johna rozkazującym tonem:

— Różaniec, John.

— Nie mam przy sobie.

— Odmawiaj go.

Zaczął więc modlić się spokojnym, autorytatywnym *gło-SeBa*— kardynała, arcybiskupa we własnej katedrze:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Wierzę ^w Boga...

Ktoś wcisnął mu w rękę różaniec— sądzę, że to był reter.

Chaos ustał. Wszyscy padli na kolana i zaczęli się modlić. Wiem, że nigdy w życiu nie modliłam się żarliwiej. Kiedy się modliliśmy, zaczęły podchodzić do basenu, aby się do nas przyłączyć, dzieci, a potem dorośli — całe mnóstwo ludzi.

Wiadomość rozeszła się szybko.

— Ona musi żyć — wyszeptało obok mnie jakieś dziesięcioletnie dziecko.

Otoczyłam ramieniem małą dziewczynkę.

— Nie martw się, kochanie, będzie żyła.

Noah szybko pracował. Wydawało się, że nie ma nadziei.

Nie wiem, jak długo klęczeliśmy. Czas uciekał, a wraz z nim nasza nadzieja, wszyscy modlili się coraz goręcej. Ja modliłam się za Nancy i Noaha. To nie była ich wina. Niemniej cierpieliby do końca życia. Ich małżeństwo zostałoby zniszczone, zanim się zaczęło. Noah spojrzał na mnie z rozpaczą, niemal gotów się poddać. Potem spróbował jeszcze raz.

Czyżby te biedne, słabe piersi uniosły się lekko?

Wtedy Noah krzyknął i uniosł Karolinę z ziemi. Zaczęła kaszleć, krztusić się, ale oddychała. Moje dziecko żyło!

Wszyscy szaleli z radości. Rzuciłam się, żeby ją objąć. Razem z Noahem ja-koś ukołysałam ją, kiedy zwymiotowała niesamowitą ilość wody ze swojego biednego, małego ciała.

— Mamusiu! — zaszlochała. — Ja się topiłam! Kontynuowaliśmy teraz ra-dosne odmawianie różańca z Peterem, który zapowiedział modły dziękczynne.

—I uratował cię kardynał!

Rozejrzałam się za Johnem. Ciągłe klęczał obok, szlochając spazmatycznie z twarzą ukrytą w dłoniach. Przypomniałam sobie, że również płakał w czasie mszy żałobnej na pogrzebie Buda — podczas gdy my wszyscy mieliśmy suche oczy — ale to był inny rodzaj bólu, a może to nawet nie był ból. Objęłam go. Tu-liłam moje najdroższe dziecko i człowieka, który je uratował.

Noah powiedział mi później, że to zdumiewające, iż Karolina nie doznała uszkodzenia mózgu.

— Powiedziałbym, że to cud — uśmiechnął się — gdybym wierzył w cuda.

Lar McAuhffe przyjechał szybko do szpitala w Elkhorn, z książeczką do na-bożeństwa w ręku i został przywitany przez moją uśmiechniętą córkę informują-cymi słowami:

—Ja się topiłam, ale uratował mnie kardynał!

— A zatem pomódlmy się za ciebie i za kardynała — powiedział i głęboko nabrał powietrza.

— Chwyciliśmy się za ręce i odmówiliśmy „Zdrowaś Mario”, każde z in-nym zapalem.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłyśmy ci w śledzeniu gry Bearsów — powiedziałam do niego, gdy zaczęliśmy pogawędkę.

— Oni i tak przegrywali — zaśmiał się. — W tym sezonie przegrali wszyst-kie mecze. Jedno z dzieci przyszło do mnie i powiedziało... że ona... — wskazał na śmiejącą się Karolinę — ...topiła się. Dobra wymówka dla mnie, żeby urwać się i nie oglądać dalszej części meczu.

— Wszystko będzie dobrze — zamachała rączkami. — Wszystko będzie dobrze!

Lar i Karolina natychmiast zostali przyjaciółmi. „Wszystko będzie dobrze”, powtórzyła i uściskała go w chwili, gdy zbierał się do odejścia. Ale tak naprawdę, to po tym wypadku całkowicie była oddana Johnowi. Zawsze istniało coś szczególnego między nimi, ale po tym, jak ją uratował, to coś stało się bardziej intensywne.

Potem zatelefonowałam do domu, aby się przekonać, jak czuje się John.

— Ciągłe jeszcze nie przyszedł do siebie — powiedziała Beth. — To bardziej nim wstrząsnęło niż nami wszystkimi. Tony odwiezie go do domu.

Kiedy następnego dnia zatelefonowałam do niego, Len Carey powiedział, że kardynał znajduje się w stanie szoku.

— Nie potrafił mi wyjaśnić — jęknął Len — dlaczego tak bardzo się przejął. Przecież uratował temu dziecku życie! Wydaje się, że powinien się tak zachowywać, gdyby mu się to nie udało, ale skoro ona żyje...

— Czy on ciągle jeszcze płacze?

— O, tak.

— Pozwól mi porozmawiać z nim. Len już nauczył się być mi posłuszny.

— Telefonuję, aby ci podziękować, John.

— Czy z nią wszystko w porządku?

— Całkowicie. Dziś po południu zabieramy ją do domu. Lekarze byli zdumieni, że nie nastąpiło uszkodzenie mózgu.

— Kilka razy dzwoniłem do szpitala i powiedzieli mi, że wszystko jest dobrze. Ale chciałem się upewnić.

Znowu płakał. Zaczynałam się trochę niepokoić. Czy nie jest to przypadkiem nienormalna reakcja? Przecież, tak jak Len powiedział, Karolina żyła.

— Wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami i będziemy nimi przez całe życie Karoliny, John.

— Rozmawiałem wtedy z Iggym. — Miałam wrażenie, że mnie nie słucha. — Zdawało mi się, że coś widzę kątem oka i skoczyłam do basenu machinalnie.

Nie wiem, dlaczego za pierwszym razem jej nie znalazłem, złapałem ją dopiero za drugim zanurzeniem i wiedziałem, że to ona, jakoś wiedziałem, że to ona!

— Ona żyje i wszystko jest już dobrze, John. Ocaliłeś jej życie. Ona czuje się dobrze.

— Wiem... Nigdy tak gorąco się nie modliłem. Śmierć była tak blisko. Gdybym jej wtedy nie zobaczył...

— Ale zobaczyłeś ją, John. — Byłam coraz bardziej niespokojna. — I uratowałeś ją. Wszystko się udało.

Zaśmiał się słabo.

— Pewnie myślisz, że jestem histerykiem. Ale ze mną wszystko w porządku, Marbeth. To było dla mnie niezwykle silne przeżycie. Znalazłem się w objęciach tajemnicy życia i śmierci.

— Tym razem życie zwyciężyło śmierć.

— I powinno, prawda?

W ciągu kilku dni przeszło mu to, stał się tym samym, dawnym, uśmiechniętym Johnem, żyjącym, jak się wydawało, na powierzchni wydarzeń. Ale jego reakcja na to wydarzenie z 1985 roku nad jeziorem Geneva jest, jak sędzę, następnym dowodem, że tkwiło w nim coś głębszego, chociaż nikt z nas tego nie rozumiał.

43

Tuż przed śmiercią Johna miałam z nim poważną kłótnię. Była to nasza najgorsza awantura i po raz pierwszy odpowiedział gniewem na mój gniew.

Dyskutowaliśmy o tym, że pozwoliłam Nancy, aby pojechała z nami.

— Ja tylko stwierdziłem, że mogłabyś odesłać ją do domu — mruknął — jeśli oczywiście zechcesz to zrobić.

— Ona sama potrafi decydować o sobie — krzyknęłam. — Ta podróż jest twoim pomysłem, nie moim.

Mieliśmy trudny okres. Cała nasza trójka była zmęczona, poirytowana i stale chora z powodu jakiegoś wirusa, który zwykle atakuje turystów w Ameryce Południowej, wywołując dezynterię.

John też się martwił—nie o siebie, nie o mnie, ale o bezpieczeństwo Nancy. Czuł, jak sądzę, że my żyjemy tak, jak to obie zaplanowaliśmy, ale nie ona.

— Zostawiła w domu męża i małe dziecko... nie powinna jutro iść z nami w góry.

— Sam jej to powiedz.

— Ale to ty jesteś jej matką.

— A ty bliskim przyjacielem. To ty przepowiedziałeś, że wyzdrowieje, kiedy umierała, mając cztery funty wagi.

— Przyjechała tu, aby się tobą opiekować.

— Brednie, John. Przyjechała tu, ponieważ sądzi, że nie będę potrafiła odpowiednio zaopiekować się tobą.

W istocie Nancy opiekowała się i mną, i Johnem, i wszyscy troje dobrze o tym wiedzieliśmy.

— Marbeth, to jest najgłupsza rzecz, jaką powiedziałaś w swoim długim życiu, które obfitowało w głupstwa.

Stwierdziłam, że tego rodzaju komentarz kompletnie nie pasuje do Johna, i wywnioskowałam, że chyba jest bardziej chory, niż myślałam. Powiedziałam jednak:

— To typowo antykobiecy, szowinistyczny komentarz Wypowiedziany przez nieuleczalnie chorego męskiego szowinistę.

— Więc nie pójdziesz i nie powiesz jej, że powinna zostać tutaj, w Mangui?

— Już mnie o to pytałeś i powiedziałam ci, że to ty powinieneś jej to powiedzieć. Czy twoje problemy żołądkowe zaćmiły ci pamięć?

— Przecież to ty jesteś jej matką, do cholery. — A ty jej arcybiskupem!

— Na litość boską, przestań gadać bez sensu, nie możemy narażać jej życia.

— Ona sama naraża swoje życie! — wybuchnęłam płaczem, wybiegłam z baru i pobiegłam do swojego pokoju.

Ogólnie znałam mężczyzn, a Johna na tyle dobrze, aby zdawać sobie sprawę, że powinnam spokojnie zgodzić się i porozmawiać z Nancy. Porozmawiałabym z nią, Nancy mogłaby rozwiać moje obawy, a potem powiedziałabym z żalem do kardynała arcybiskupa Chicago, że ta młoda kobieta jest tak uparta jak jej matka. W ten sposób ulżyłabym jego sumieniu i załagodziłabym konflikt.

Zapewne w każdym innym momencie mego życia postąpiłabym właśnie w ten sposób. Ale teraz ja również byłam chora i wystraszona, a ponadto martwiłam się o nas wszystkich. Tak więc w ten ostatni wieczór zachowałam się głupio.

Piętnaście minut później John zatelefonował i mnie przeprosił. Typowe dla Johna — winił siebie za moją głupotę.

Następnego dnia byłam jeszcze bardziej chora, jeśli to w ogóle było możliwe, i chyba jeszcze bardziej wystraszona. John po wyrazie mojej twarzy zorientował się, że nie chcę więcej rozmawiać o tym, co zdarzyło się wczoraj.

Podczas długiego lotu helikopterem w góry byłam w złym humorze.

Na kilka minut przed wejściem na polanę, gdzie to wszystko się skończyło, odwrócił się i posłał mi słaby uśmiech.

Dzięki Bogu, nigdy nie mogłam oprzeć się jego uśmiechowi. Górska mgła rozwiała się, a razem z nią moja choroba i wtedy zrewanżowałam mu się jednym z moich najpiękniejszych uśmiechów.

Roześmiał się wesoło. Burza minęła.

Wtedy, po raz ostatni przed jego śmiercią, nastąpiło między nami ciche porozumienie.

I oto cała historia.

**Co więcej mogę dodać? Czy on jest święty?
Zawsze mówiłam, że nie znam odpowiedzi na to pytanie. Wiem, że zawsze był dobry i w ostatnich latach życia stał się jeszcze lepszy, chociaż ciągle pozostał sobą. Oczywiście, mam do tego osobiste podejście, ponieważ zawsze**

go kochałam i zawsze będę go kochać. Jednak po jego śmierci często myślałam, że po prostu nie zasłużyliśmy na to, aby być razem. Może i tak mieliśmy szczęście, że byliśmy ze sobą tak długo?

TLR

LAURENCE

TLR

— On był kurierem — reporterka nerwowo rozejrzała się po zatłoczonej restauracji. — Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Otrzymane stanowisko w Chicago było nagrodą za ryzyko, jakie podejmował, i być może zabezpieczeniem, że będzie trzymał język za zębami. Poza tym przewoził kradzione pieniądze, setki tysięcy dolarów, a może miliony, przez różne granice. Watykan nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, że nagle zaatakuje go sumienie, prawda?

Jedliśmy lunch w niszy francuskiej restauracji Escargot, na drugim piętrze hotelu Allerton przy Michigan Avenue, tuż za rogiem Kancelarii. Ponieważ nie należałem do żadnego klubu, poprosiłem reporterkę, aby ona wybrała restaurację. W tej sytuacji znaleźliśmy się może zbyt blisko kościelnej potęgi— Posiadaliśmy już złożoną całą historię — podniosła do ust łyżkę z zupą. — Wszystko. Musieliśmy jeszcze tylko sprawdzić źródło pochodzenia pieniędzy i wszystko pasowało. A potem on umarł...—mówiąc o śmierci Johna McGlynn, wykrzywiła z niezadowolaniem usta — ...i mój wydawca ukatrupił całą sprawę.

Marcy Rudolph miała trzydzieści pięć lat. Była szczupła, przygarbiona i wygadana. Miała zniszczone blond włosy i rozbiegane, zielone oczy. Przypominała sępa czyhającego na „tropioną przez reportera” ofiarę.

— To wszystko brzmi bardzo niejasno. Pisywała dużo o aferze w Banco Ambrosiano, o zniknięciu z banku mediolańskiego dwóch miliardów dolarów w papierach wartościowych towarzystw z Ameryki Środkowej. Wmieszany był w to Watykan, ofiarowując pomoc organizatorom operacji. Jednak oficjalnie Watykan nie był za nic odpowiedzialny. Oficjalnie było obecnie wiadomo, że kierujący bankiem biskup katolicki co najwyżej zosta* przez konspiratorów nabrany. Mimo to w latach osiemdziesiątych po Chicago krążyły pogłoski, że Marcy śledziła kardynała McGlynn, podejrzewając, że jest osobiście wciągnięty w tę aferę. Kiedy do niej zatelefonowałem, z chęcią zgodziła się ze mną porozmawiać.

— Jeżeli chodzi o mnie, ta cała historia już nie istnieje. Może ją ksiądz otrzymać ode mnie. Kościół nie powinien kanonizować kogoś, kto jest odpowiedzialny za grubszą kradzież.

Sposób, w jaki się do mnie zwróciła, sugerował, że jest, lub kiedyś była, katoliczką. To można zawsze poznać. Jeśli jest się raz katolikiem, jest się nim na zawsze.

— Proszę posłuchać—odsunęła zupę i czekała na swoją rybę. — Trzeba się w niego wcielić. Bardzo ambitny duchowny, ale mijają już jego pięćdziesiąte urodziny, a on ciągle jeszcze jest tylko starym monsignorem bez specjalnie różowej przyszłości. Stary kardynał trzymał go w pracy parafialnej przez pięć lat po wyświęceniu. Cztery lata studiował w Rzymie. Przez dwa lata siedział w nuncjaturze w Afryce, potem pięć lat w Wiedniu, gdzie pracował z kardynałem Koenigiem nad watykańską *Ostpolitik*. Ma zdolności językowe, szybko nauczył się niemieckiego i francuskiego, a tak samo włoskiego i na tyle polskiego, aby móc podróżować z Koenigiem do Bloku Wschodniego. Mimo późnego startu porusza się szybko. Giovanni Benelli, oficjalnie podsekretarz stanu w Watykanie, a w zasadzie człowiek, który działał dla Pawła VI, słyszy o nim, spotyka go, obdarza sympatią i zatrudnia w Rzymie. I w ten sposób on znajduje się w samym środku potęgi, prawda?

— Tak.

— A jego matka, nie tak znowu stara i chora, jest zachwycona, czego ten Skaczący Johnny szczerze pragnie. Zgadza się?

Znała jego przezwisko i wiedziała o matce — ta kobieta rzeczywiście odrabiała lekcje jak należy.

— A ten Benelli to nie byle kto. Nie jest liberałem, ale wierzy, że ostrożne sterowanie statkiem daje efekty. Uwalnia Pawła VI od mnóstwa kłopotów, a ludzie Kurii robią to, co on zechce. Benelli chętnie obraża członków Kurii. Codziennie przy śniadaniu poucza przynajmniej dwudziestu. Nie ma już sjeść południowych w Rzymskiej Kurii. Teraz pracujemy jak Amerykanie, chłopcy. Robi z Johnny'ego swoją prawą rękę. Ma on swoim urokiem złagodzić szorstkość Benellego. Jest w tym dobry, ale ci, których popycha— nawet delikatnie — długo zatrzymują to w pamięci.

—Domyślam się.

— Lepiej niech ksiądz w to wierzy. No cóż, każdy z czterech ostatnich papieży znalazł sobie sposób, aby uporać się z biurokracją Kurii. Pius XII miał tę swoją Niemkę, która była jego kucharką...

—Matkę Pasquelinę.

— Ksiądz też o niej wie? No więc ona była jego premierem. Jan zwołuje Sobór. Paweł miał Benellego. Polak zaś ignoruje wszystkich, prowadząc na najwyższym pięttrze Watykanu własne, polskie rządy na wygnaniu. Wydaje się jednak, że najlepiej ze wszystkiego działa strategia Benellego, prawda?

— Tak.

— Ale przyjrzyjmy się, gdzie w tym wszystkim tkwi Johnny McGlynn. Oponenti Benellego wreszcie się do niego dobrali. Montini Wysyła go do Florencji w niełasce, tak jak kiedyś Pacelli odesłał Montiniego do Mediolanu... Niech mi ksiądz powie, czy był ksiądz kiedyś we Florencji?

— Tak.

— Więc jak to można nazwać niełaską?... W każdym razie Montini pamięta, jak się czuł na wygnaniu, zatem teraz robi Benellego kardynałem w nadziei, że to on zostanie następnym papieżem. Tymczasem biedny Johnny kręci się po Rzymie w roli pomniejszego funkcjonariusza Sekretariatu Stanu, nie mając nic do roboty, natomiast mając wielu wrogów i żadnych protektorów aż do powrotu Benellego z Florencji.

—Niedobra scena.

— Zdecydowanie. — Jadła sprawnie swoją rybę. — No, ale w końcu Paweł VI umiera. Benelli jest pierwszym kandydatem. Ale ma dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, czyli jak wszyscy mówią, jest za młody. I tak, mimo złego stanu zdrowia, wybierają Lucianiego, który po miesiącu umiera, głównie dlatego, że Watykan lekceważy jego stan zdrowia. Wtedy wybierają tego Polaka, nawet młodszego niż Benelli, który już teraz definitywnie odtrącony wraca do Florencji. Nasz przyjaciel Johnny znajduje się więc na marginesie i wygląda na to, że już na zawsze. Żeby było jeszcze gorzej, Benelli umiera i w ten sposób nasz przyjaciel traci ostatniego opiekuna. Jest skończony, prawda?

—Zgadza się — popiłem mrożoną herbatę.

— I co się teraz dzieje? W półtora roku po elekcji Jana Pawła II przyjeżdża do Chicago jako arcybiskup. A w rok później zostaje kardynałem. Ze starego monsignore'a robi się bardzo młodym kardynałem — chociaż jego matka jest tak chora, że nie zdaje sobie z tego sprawy. I czy to nie wydaje się dziwne?

— Skaczący Johnny zawsze wiedział, jak skakać.

— Taaa... Jednak w tym samym czasie znikają pieniądze z Banco Ambrosiano i równocześnie pojawiają się w Polsce z przeznaczeniem na organizowanie Solidarności. Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności?

— Interesujący, ale to nie jest przekonujący dowód.

— No dobrze. Weźmy jednak pod uwagę to, co wiemy dalej. Johnny często wyjeżdża do Wiednia. Je lunch ze swoją starą przyjaciółką, Annemarie Hoffmann, nauczycielką matematyki, która ma wiele kontaktów za żelazną kurtyną. Często widuje się z Koenigiem i za każdym wyjazdem znika na parę dni z pola widzenia. Potem znowu pojawia się i odlatuje do Rzymu.

— Może robi sobie z Annemarie wypadki na wieś...

— A... — machnęła ręką, odrzucając podobne przypuszczenie. — Sprawdzi-
liśmy. Leci do Warszawy, wsiada w pociąg do Krakowa, gdzie spotyka się z
człowiekiem o nazwisku Roman Leżak*¹⁷, który był jednym z intelektualistów
przy Wałęsie — a teraz jest solidarnościowym posłem do sejmu. Podczas kilku
ostatnich wyjazdów towarzyszy mu pani Hoffmann.

— Podróżuje jako monsignore McGlynn z Rzymu?

— Podróżuje jako Michał Ulatowski z Chicago. W dwóch ostatnich wpa-
dach towarzyszy Annemarie w roli pani Ulatowskiej. Ktoś wyrobił mu fałszywe
dokumenty.

— CIA?

— A któżby inny? Kiedy komuniści w Warszawie twierdzili, że CIA wspo-
maga Solidarność, mieli rację.

— Czy to nie były pieniądze CIA?

¹⁷ * Po angielsku czyta się Lizak (przyp. tłum.).

— A czy oni nie mają własnych kurierów? Ten Leżak to bardzo pobożny katolik. Kościół potrzebuje kogoś, kto wydałby pieniądze po ich myśli. Kościół nie ufa CIA i vice versa, jasne?

— Potrzebowali kurierów, ponieważ polskie podziemie potrzebowało gotówki. Dolarów amerykańskich.

— Więc ksiądz pojmuje, o co chodzi. Proszę uważać. McGlynn, alias Ulatowski, jest znakomity. Mogli go złapać i wtedy wylądowałby w polskim więzieniu. Mogli go też zabić, ale równie dobrze mógł mieć zrujnowaną dalszą karierę. Ale on zawsze lubił ryzykować.

Tak jak na przykład bez treningu rzucać piłkę w Willi...

— Po co mu kobieta w tych podróżach?

— Częściowo jako kamuflaż. A także dlatego, że dwie ostatnie podróże odbył samochodem. Przekroczyli granicę w Bratysławie, przejechali Czechosłowację do granicy z Polską, a potem pojechali do Krakowa. Kobieta znała czeski i słowacki i po drodze miała przyjaciół. Teraz następuje część ryzykowna. Muszą mieć dużo szczęścia. Ale najwyraźniej trasa lotnicza LOT-u z Wiednia do Warszawy nie jest już bezpieczna.

— Ale czy to, że brał udział w finansowaniu Solidarności, nie jest raczej jego zasługą?

Nagle wyprostowała się.

— Kradzionymi pieniędzmi?

— Możesz powiązać pieniądze Banco Ambrosiano z tą gotówką, którą Johnny przewoził do Krakowa?

— A skąd Kościół miałby tak od razu wziąć parę milionów dolarów? Kościół jest bez pieniędzy z powodu kosztów dwóch papieskich pogrzebów i wyborów—co roku wykazuje duży deficyt. Wszyscy w Rzymie wiedzą, że jakieś pieniądze z Ambrosiano trafiły do Solidarności. Johnny nie był jedynym kurierem, ale prawdopodobnie najwięcej ryzykował.

— A może on nie wiedział, skąd pochodziły pieniądze?

— Do diabła — parsknęła — a skąd, mianowicie, miałyby pochodzić? Z pewnością o to nie pyta. Z pewnością udaje przed sobą, że te pieniądze ktoś

gdzieś znalazł. Ale wie, że Watykan nie może zebrać od razu tak dużej gotówki, chyba że coś dzieje się na lewo. Niemniej podejmuje działania.

Kelner podszedł, aby przyjąć zamówienie deseru. Marcy cnotliwie nic nie zamówiła. Ja natomiast poprosiłem o tort malinowy i następną mrożoną herbatę.

— Marcy, nie sądzę, abyś mogła przekonać sąd, żeby przyjął to jako prawdę. Nie masz dowodu, że pieniądze przemywane do Polski przez Johnny'ego pochodzą z banku. Jeśli tego nie udowodnisz, cała sprawa się rozpadnie.

— Mówi ksiądz jak mój wydawca. To, co wmówił sobie Johnny, nie ma znaczenia. My musimy tylko dowieść, że on naprawdę przewoził kradzione pieniądze do Polski, natomiast to, co on myślał, jest bez znaczenia.

— A czy to już udowodniłaś?

— Właśnie pracowaliśmy nad tym, gdy go zabito. Mój wydawca polecił wszystko rzucić.

— Więc wszystko, co masz — pozwól, że dokończę — wszystko, co masz do tej pory, to tylko spekulacje na podstawie uzyskanych informacji, chociaż niektóre z nich mają prawdopodobnie solidne podstawy. Niemniej, nawet biorąc pod uwagę, że masz rację, nie natknęłaś się na nic, co mogłoby go poważnie skompromitować.

Opuściła wzrok, zagryzła wargi i powiedziała:

— Chcecie go kanonizować? Ksiądz wierzy, że on jest święty?

— Nie, ja w to nie wierzę. Nie jestem apologetą. Nie był kimś, kogo szczególnie lubiłem, ale muszę zbadać wszystkie fakty z jego życia.

— Czy solidne podstawy — według słów księdza — że współdziałał w kradzieży milionów, a nawet miliardów, mogłyby stanowić przeszkodę w kanonizacji?

— Na ten temat nie mogę rozmawiać.

— Czy ksiądz myśli, że ktokolwiek w Watykanie powie prawdę o tych pieniądzach lub o jego w tym udziale?

— Nie. Ponieważ może nikt nie zna prawdy.

— To znaczy, że posiadam coś, co nigdy nie zostanie wydrukowane, gdyż jest niepełne i nikt mi tego nie pozwoli dokończyć. Jednak ksiądz obecnie znaj-

duje się w takiej sytuacji, że nie będzie mógł ani dowieść, ani nie dowieść tego, ponieważ nikt nie zechce lub nie może powiedzieć księdzu prawdy.

— Tak to mniej więcej wygląda.

— Nie może też ksiądz dowieść, że nie sypiał z Annemarie w czasie tych podróży przez Europę Środkową.

— Ludzie są tak długo niewinni, jak długo nie udowodni im się winy.

— I ksiądz w to wierzy? — skrzywiła pogardliwie usta, — Nawet jeśli Johnny McGlynn nie przemycał kradzionych pieniędzy, to sam fakt, że podróżował do Polski z atrakcyjną kobietą, powinien wystarczyć, aby pogrzebać kanonizację.

— Może.

Sięgnęła po rachunek. Ludzie mają skłonność fundować księżom.

— Nie ma mowy. — Wyciągnąłem rachunek z jej palców.

— Zarabiam więcej od księdza — upierała się.

— Rachunek zapłaci kardynał. Zgodziła się uprzejmie.

— Dziękuję księdzu za lunch. Już od dłuższego czasu nie rozmawiałam z żadnym księdzem. A ksiądz nie jest taki jak inni księża z parafii w Filadelfii, gdzie dorastałam.

— Mam nadzieję, że to komplement — powiedziałem, wiedząc dobrze, że to był komplement.

— Do diabła, tak. — Zaśmiała się, ale zaraz spoważniała. — Może będę jeszcze miała kiedyś okazję porozmawiać z księdzem.

Marcy, jak się zreflektowałem, idąc przez Michigan Avenue, zademonstrowała mi podstawową prawdę o amerykańskich katolikach: oni nigdy naprawdę nie opuszczą Kościoła. Była twarą, cyniczną reporterką, znającą więcej brudów watykańskich niż ktokolwiek inny i pamiętającą pewne gorzkie doświadczenia z księżmi. Jednak ciągle była katoliczką, a teraz, może ze względu na dzieci, a może dlatego, że była już dojrzałą kobietą, lub z powodu mieszanki jednego i drugiego, znowu zbliżyła się do katolicyzmu — i naprawdę czekała na okazję porozmawiania z księdzem. Więc Bóg zesłał jej księdza, może nie najlepszego na ławce rezerwowych, ale jedyne w zasięgu ręki.

Johnny miał rację, choć w pełni nie zdawał sobie z tego sprawy, mówiąc, że Kościół to parafia.

I co ja mam teraz zrobić z tą historią Marcy? Może Johnny McGlynn był watykańskim Szkarłatnym Kwiatem*¹⁸? Tego rodzaju ryzykowne wyczyny pasowałyby do jego osobowości. Marcy prawdopodobnie miała rację, mówiąc, że widział w tej misji sposób na wydostanie się z podrzędnego stanowiska w Watykanie. Jednak bez względu na jego odwagę, Chicago było dla niego wielką nagrodą. Chociaż może papież nie uważał za zbyt wygórowane żądanie: Chicago w zamian za Solidarność. Ponadto, znając Johnny'ego, swoje żądanie wyartykułował w sposób tak niebezpośredni i określny, że papież prawdopodobnie nie mógł się poczuć urażony. Jednak jeśli chodzi o sprawę pieniędzy użytych w Polsce, Marcy myliła się. Wiara Johnny'ego w mądrość Kościoła uczyniła zbędnym, a wręcz nie do przyjęcia pytanie, skąd pochodzą pieniądze. I zapewne dlatego właśnie jego wybrano do tej funkcji.

Jego poświęcenie dla dobra Kościoła byłoby — z punktu widzenia Watykanu — wspaniałym argumentem za tym, aby go kanonizować. Niestety, obecnie jest to niemożliwe z uwagi na pogłoski o pochodzeniu pieniędzy. Są to oczywiście tylko głupie, nieprawdziwe plotki, ale trzeba by je wziąć pod uwagę.

Powinienem pojechać do Wiednia i Rzymu, aby dowiedzieć się na ten temat tyle, ile tylko można. A potem powinienem dotrzeć do samego papieża i zapytać, co się właściwie naprawdę wydarzyło.

45

— Jamie — krzyknąłem do swojego neoprezbitera. — Wyjeżdżam do Europy.

— Dziś wieczór?—zapytał, zatrzymując się na szczycie schodów. Właśnie wracał ze spotkania z młodzieżą po niedzielnej mszy o 19.00.

¹⁸ * *Aluzja do bohatera powieści Baronowej Orczy. Szkarłatny Kwiat to pseudonim największego śmiałka — mistrza kamuflażu i ucieczek (przyp.tlum.).*

Mój neoprezbiter, jak już nieraz wspominałem, jest naprawdę chodzącą doskonałością. On może wszystko, łącznie ze zorganizowaniem podróży do Europy.

— O nie... — powiedziałem, przygaszony jego zimną krwią. — Dopiero za parę dni.

—No to nie ma sprawy. Dokąd konkretnie ksiądz jedzie?

—Do Wiednia, Warszawy i Rzymu. W tej kolejności.

— Dobrze. W takim razie w Wiedniu zamieszka ksiądz w Imperialu — Wagner tam mieszkał przez dwa lata — w Warszawie w Marriocie — najwyższy budynek w mieście —i naturalnie u Hasslera w Rzymie. Kogo ksiądz ma zamiar odwiedzić w tych miastach?

Gzy musze dodawać, że nawet nic nie notowałem?

— W Wiedniu profesor Annemarie Hoffmann, mate-matyczkę. W Warszawie profesora Romana Leżaka, posła Solidarności do sejmu.

— Do parlamentu — zgodził się. — A kogo w tym tak zwanym Wiecznym Mieście?

— Paru sprawozdawców z Kongregacji do spraw Świętych. Sądzę, że twój przyjaciel Steve utoruje mi drogę.

— Dobrze. Czy ksiądz chce wyjechać tak wcześnie, jak to tylko możliwe?

—I wrócić tak szybko, jak tylko się da.

— Wszystko jasne. Może ksiądz być spokojny, wszystko będzie załatwione.

James zachowuje się gładko i jest zupełnie spokojny. Następnego dnia po południu złapał mnie w biurze.

— Wszystko załatwione w Wiedniu i w Rzymie. Rozmawiałem z profesorem Hoffmann i będzie szczęśliwa móc współpracować z księdzem. Najwyraźniej dzięki CNN zna całą opowieść o zmarłym kardynale i jest bardzo zaciekawiona. Spotka się z księdzem na kolacji u Sachera, gdzie, jak sądzą, jadła z Johnem McGlynnem. Ksiądz Kunkel z Kongregacji także z chęcią porozmawia z księdzem, również kardynał zajmujący się tą sprawą. Roman Leżak w pewnym sensie się wahał.

—Naprawdę?

W jaki sposób mój neoprezbiter złapał tych ludzi?

— Chciał wiedzieć, czego będzie dotyczyć rozmowa. Powiedziałem wprost, że może będzie mowa o pieniądzach, które nasz Wielebny Sługa Boży przemycał do Polski dla Solidarności.

— Jak sobie można było wyobrazić, zatkało go. Powiedział, że musi sprawdzić.

— A mówił gdzie?

— Oczywiście... u Lecha. Myślę, że z kolei obaj będą chcieli rozmawiać z Kościołem.

— Ale Kościół nie będzie chciał.

— Najpierw z pewnością zatelefonują do naszego wspólnego przyjaciela z North State 1555, a on najprawdopodobniej poradzi im, żeby rozmawiali z księdzem. Roman trochę był zaskoczony, że z tym moim irlandzkim nazwiskiem mogę wydukać parę słów po polsku.

Nie miałem pojęcia, ile Jamie mógł wydukać po polsku, ile jeśli o niego chodzi, nie mogło mnie już nic zaskoczyć.

— Informuj mnie na bieżąco.

— Och, wszystko będzie grało. Zatem jutro ksiądz leci o piątej po południu Lufthansa, lot 431, wprost do Frankfurtu, potem przesiadka na Austrian Air 408, który ląduje pojutrze rano o dziesiątej czterdzieści pięć. Całą drogę pierwsza klasa VIP — tak jak obiecałem.

— Jutro?! Jamie wydawał się zaskoczony.

— Ksiądz mówił, że chce się tego pozbyć jak najszybciej.

— Jeszcze się nie spakowałem. Zerknął na zegarek.

— Ksiądz ma do dyspozycji dwadzieścia pięć godzin.

— A co z parafią?

— Zajmiemy się nią, Nora i ja, prawda, suczko? My wszystko załatwimy.

Po zjedzeniu drugiego kawałka tortu Sachera zdecydowałem się zatelefonować do swojej lekarki.

Tak jak polecił Jamie, popołudnie spędziłem, włączając się w słońcu po Wiedniu —jako antidotum na reakcję organizmu na podróż samolotem odrzutowym ze zmianą czasu.

— Dwie godziny w popołudniowym słońcu przez pierwsze dwa dni i trzeciego dnia obudzi się ksiądz dokładnie według czasu wiedeńskiego — upierał się James. — Ustaliłem, że kolacja z profesor Hoffmann odbędzie się na drugi dzień. Będzie księdzu potrzebny dzień odpoczynku po podróży.

Spacerowałem po Ringstrasse, zachwycając się Hofburgiem, katedrą św. Stefana, odpoczywałem w ulicznej kawiarence przed hotelem Imperial, gdzie zamówiłem herbatę i tort Sachera. Spożywając te delicje, przeczytałem napis obwieszczający, że w tym hotelu mieszkał Wagner w czasie pisania niektórych swoich oper.

Może dla niego był to odpowiedni hotel, ale nie dla parafialnego księdza pochodzącego z 79. Ulicy. Nie miałem jednak zamiaru stamtąd się wyprowadzać.

Potem zacząłem zastanawiać się nad wspomnieniami Mary Elizabeth.

Jeżeli Marbeth pisała swoje wspomnienia, aby w ten sposób coś zataić, to co mogło się kryć pod tym, co czytałem? Przy tego rodzaju kamuflażu musiała wyjawić o sobie tyle, że każdy, kto to czytał, nie pomyślałby, że w ogóle coś ukrywa, ponieważ i tak nie ma nic do ukrycia. Mądre wykorzystanie szczerości jako uniku.

Ale poza tym istniała duża szansa, że powiedziała tylko prawdę: ona i Johnny nigdy nie byli kochankami, chociaż zawsze go kochała. I ponieważ nie byłem tego pewien, raczej powinienem jej wierzyć, prawda? A poza tym była przecież szczerą, nawet wtedy, gdy szczerość ukazywała ją raczej w kłopotliwym świetle.

Nawet przedstawiona przez nią sylwetka Johnny'ego była wiarygodna. Nadal byłem przekonany, że był zbyt płytki, aby zasługiwać na jej dozgonną miłość. To jednak jej problem. Nigdy nie mógłbym zaprzeczyć, że był człowiekiem czarującym, ona zaś ze swej strony nie zaprzeczała żadnemu z jego błędów, o których wiedziałem.

— Herr McAuliffe?—Turecki boy wręczył mi kopertę. W środku był faks przesłany z biura M.M.W. Keenan, dr. fil.

Szefie,

Cordelia Maria Meehan McGlynn umarła wczoraj w nocy, gdy ksiądz był w drodze do Wiednia. Mówią, że podpaliła mieszkanie, próbując o północy zapalić papierosa. Śpiąca w drugim pokoju pielęgniarka poczuła dym, gdy prawie cała sypialnia stała w ogniu.

Kardynał odprawi jutro mszę rezurekcyjną.

Niech spoczywa w pokoju.

Z poważaniem.

Biedna kobieta, westchnąłem. Może wreszcie znalazła spokój. Przypomniało mi się zdjęcie roześmianej panny młodej. Co się z nią stało? Co się dzieje złego w życiu tak wielu szczęśliwych, młodych żon?

Wtedy przypomniałem sobie listy do Johnny'ego i jego listy do matki. Czy zostały zniszczone? Prawie na pewno. Teraz miałem jedynie ich kopie. Musiałem podjąć decyzję, co z nimi zrobić.

Chyba spalić.

Jeżeli wierzyć Marbeth, Johnny jedynie próbował tymi listami sprawić matce przyjemność i nie był bardziej winny symonii¹⁹ niż każdy wybijający się młody kleryk. Nie miałem żadnego powodu nie wierzyć Marbeth. A poza tym, dlaczego miałyby mnie okłamywać? Chyba po to, aby chronić pamięć o nim.

Jeżeli jej dobra przyjaciółka, Kate, mogła próbować mnie oszukać, aby zniszczyć pamięć o nim, to czy Marbeth również nie mogła próbować oszukać mnie w drugą stronę? Założyłbym się, że mogła. I to bez zastanowienia. Z pewnością zrobiłaby to perfekcyjnie.

Wtedy przypomniało mi się jeszcze coś, co było w jej wspomnieniach. Przyjrzyjmy się temu bliżej. Jeden różaniec wypowiedziany głośno, w skupieniu,

¹⁹ * Kupczenie godnościami, beneficjami, sakramentami kościelnymi (przyp. tłum.).

wymaga około trzech minut. Przyjmijmy, że odkąd rozpoczęli to bolesne misterium, odmówili siedem różańców. To daje mniej więcej dwadzieścia minut. Czy dziecko mogło tak długo pozostać przy życiu z zatrzymaną akcją serca i przeżyć bez uszkodzenia mózgu?

Zatelefonowałem do mojej lekarki.

— Powiedzieli mi, że to telefon z za morza — oświadczyła. — Gdzie ksiądz jest?

— W Wiedniu.

— Jak mi miło. Cieszę się, że ksiądz posłuchał moich rad i bierze sobie częste urlopy.

— Tym razem jestem tu służbowo. Wyjaśnię to, kiedy się zobaczymy. Teraz chciałbym o coś zapytać.

Była zadowolona.

— To z pewnością ważne pytanie.

— Do basenu z wodą wpada mała dziewczynka. Nikt tego nie zauważa. Kiedy ją wyciągnięto z wody, jest ślana. Przywracają ją do życia po dwudziestu minutach. Jakie istnieją szanse, że mózg pozostał nienaruszony?

— Zerowe, Lar. A ponadto po takim czasie prawie niemożliwe, aby powróciła do życia.

— Nie miałyby szans zacząć oddychać i zaraz mówić do matki?

— Powtarzam, mniej niż zero.

— Aha. Przypuśćmy jednak, że odżyła, zaczęła mówić do matki i jej mózg nie doznał uszkodzenia.

— Wtedy porzucamy wiedzę medyczną i mamy do czynienia z cudem. Z cudem lub z bajką. Nie mówię, że to nie mogłoby się wydarzyć. Chcę tylko powiedzieć, że nie moglibyśmy tego rodzaju przypadku wyjaśnić.

Zdecydowałem, że zjem jeszcze jeden kawałek tortu Sa-chera.

Następny cud. I to za jego życia.

Profesor Annemarie Hoffmann przypominała laleczkę: niska blondynka o niebieskich oczach. Wiek wyraźnie nie zaszkodził jej pełnemu ciału i tylko lekko dotknął okrągłą twarz.

— Zdumiewające — powtarzała często w czasie, gdy opowiadałem jej szczegółowo o wszystkich zmianach w ostatnich latach życia Johnny'ego. — *Ja*, to po prostu zdumiewające!

Przecież minęło już dwadzieścia pięć lat, odkąd Johnny wchodził w skład tu-tejszej nuncjatury. Prawdopodobnie wtedy studiowała, więc obecnie ma około czterdziestu pięciu lat. Tak, to by się zgadzało. Miała prawie trzydziestkę, gdy Johnny tu wrócił, aby mu pomogła w przemycaniu pieniędzy do Polski.

Fizycznie była przeciwieństwem Marbeth. Intelktem były bardzo do siebie podobne, obie sprytnie i przebiegłe, obie zdolne ukrywać coś przed mężczyznami, jeśli tylko tego chciały.

— Był bardzo czarujący. — Zaróżowiła się, jak to później często się działo w czasie naszej rozmowy. — Spotkaliśmy się w operze, jeśli ksiądz chce wiedzieć. Siedziałam obok niego w najwyższym rzędzie. Był czarujący. I bardzo uprzejmy. A teraz męczennik i święty? To mnie zaskakuje... a jednak nie. Był też bardzo odważny.

Powoli przebijaliśmy się przez nasz ciężko strawny, teutoński posiłek w restauracji hotelu Sacher przy Philharmo-nikerstrasse, niedaleko Karnerstrasse. Grube, ciężkie, czerwone kotary, wyniosli kelnerzy, błyszczące, białe obrusy podsuwały myśl, czy to nie przypadkiem rok 1910, a biedny, osamotniony stary Franciszek Józef mieszka ciągle jeszcze w Hofburgu i wstaje o czwartej rano, aby zacząć podpisywać dokumenty.

Mając dwadzieścia lat, Annemarie musiała być typem kobiety, którą mężczyzna chciałby chwycić w objęcia i zanieść do siebie. Czy Johnny mógł oprzeć się tego rodzaju pokusie? Jeżeli wierzyć Marbeth, potrafiłby się oprzeć nawet bezpośredniemu i bardziej kuszącym zalotom.

— Szczególnie interesują mnie jego podróże do Polski w kilka lat po zakończeniu służby w nuncjaturze.

—*Ja*. To ważne, aby je opisać, ponieważ potwierdzają jego gotowość poświęcenia życia za sprawę Kościoła i wolności religii. Był niezwykle odważny. Bardzo go kochałam. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nigdy między nami nie było nic nieodpowiedniego, nawet przed poślubieniem profesora Hoffmanna. Mój Ludwig... — znowu się zaczerwieniła — ...którego bardzo kocham, również bardzo lubił monsignore'a McGlynn'a.

Przerwaliśmy na chwilę, gdy oglądałem zdjęcia Ludwiga i ich trojga dzieci. Ludwig wyglądał poważnie i miał sumiaste wąsy. Dzieci, dwóch chłopców i dziewczynka, miały po kilkanaście lat.

Nic nieodpowiedniego? Wszyscy zdawali się upierać, że Skaczący Johnny nigdy nie robił tego, czego nie powinien robić. No, może i nie robił.

—Doskonale rozumiem, *Frau Professor*.

— Widzi ksiądz — kontynuowała — ze strony matki jestem Polką. Moje ciotki i kuzyni ciągle mieszkają w Polsce, w Warszawie. Wówczas *żelazna* kurtyna była bardzo szczelna. Kiedy przekonałam się, że podejmował częste podróże do Warszawy w sprawach Kościoła, spytałam go, czy zechce zabrać dla nich drobne upominki. Zawsze to robił.

— A to było niebezpieczne?

— Trochę, ale polska kontrola celna nie była zbyt dokładna. Oni szczegółowo kontrolowali tylko środki płatnicze — wywożenie z Polski polskich pieniędzy. A ksiądz McGlynn był nieoficjalnym przedstawicielem Watykanu w czasie, gdy partia potrzebowała Kościoła. I dlatego celnicy zostawiali go w spokoju.

— Dużo później, po wyborze Jana Pawła II, podróżował z pieniędzmi, z dużymi sumami, prawda?

— *Ja* — odparła, popijając czerwone wino. — Towarzyszyłam mu. Sześć razy w roli żony. — Stała się prawie tak czerwona jak wino w kieliszku. — To było konieczne.

— Część waszego przebrania?

Mogła nie wiedzieć, że znałam już tę „aranżację”. A to, że mi o tym powiedziała, sugerowało, że nie próbowała niczego ukrywać.

— To prawda. Tym razem nie działał jako oficjalny czy nieoficjalny przedstawiciel Watykanu. Przemyczał ogromne sumy, za które mógł być aresztowany, a gdyby partia miała zły humor, mogli go nawet rozstrzelać.

— Panią również? Machnęła ręką.

— Mnie czekałby rok, a może maksimum dwa lata więzienia. Jednak, bez względu na ryzyko, trzeba było to robić. *Herr* Hoffmann wyraził zgodę. Pieniądze przeznaczone były dla katolickiego związku zawodowego — ciągle wtedy działał w podziemiu i nie nazywał się jeszcze Solidarność. To oznaczało dla Polski wolność. Byłam wówczas dumna ze swojej niewielkiej roli. Teraz też jestem dumna.

— To zrozumiałe. Ale dlaczego musiała pani koniecznie z nim jechać?

— Potrzebował kogoś dobrze znającego język — udawaliśmy amerykańskich Polaków z Chicago. Poza tym znałam ludzi, z którymi miał się spotkać. Moich kuzynów. Za każdym razem widywał się z innymi. Znałam też pewnego celnika. A to, jak ksiądz może sobie wyobrazić, było bardzo ważne.

— Johnny znalazłby się w wielkich tarapatach, gdyby trafił na niewłaściwego celnika.

— O tak... Moi kuzyni sugerowali, że mogę zostać uznana... no... można by powiedzieć, że za jego współniczkę?

— Roman Leżak?

— To przyjaciel moich kuzynów. Ksiądz też chce się z nim widzieć? W Warszawie?

— Jeżeli to będzie możliwe. Z początku odniósł się do tego z niechęcią. Ale myślę, że Lech go uspokoi.

— Oczywiście, jak sądzę, przy poparciu Kościoła.

— Proszę mi opowiedzieć o tych podróżach. Potrząsnęła głową, jakby teraz była zaskoczona, że wtedy niczego się nie bała.

— To były zwykłe podróże. Odlatywaliśmy późnym popołudniem z Wiednia do Warszawy, z czterema walizkami, po dwie na każdego. W walizkach, pod ubraniami, były ukryte dolary. Meldowaliśmy się w niedrogim hotelu, wybierając za każdym razem inny. Następnego dnia rano spotykaliśmy się z naszymi kontaktami w małym podmiejskim parku i tam zamienialiśmy walizki na cztery inne, w

których były wyłącznie ubrania. Kolację jedliśmy na Starym Mieście i spędzaliśmy następną noc w hotelu. Byłoby zbyt podejrzane, gdybyśmy za szybko wyjeżdżali. O drugiej po południu odlatywaliśmy LOT-em do Wiednia. To była podróż trzydniowa.

— Trzy dni strachu?

— Przeróżającego. Chociaż plan był prosty i tylko dwa razy mieliśmy problem, przez cały czas trzęsłam się ze strachu. John zachowywał się zupełnie inaczej. On kochał przygodę. Nie mógł doczekać się tych naszych małych pielgrzymek, jak je nazywał. Twierdził, jak to określić... że są podniecające. Nie znał uczucia strachu.

— Nie jestem tym zaskoczony.

— Nawet za piątym razem, kiedy nie było naszego przyjaciela w czasie odprawy celnej i byłam pewna, że nas aresztują, John był zupełnie spokojny. Powiedział mi, żebym się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze. Na szczęście był tak czarujący, że sprawdzający nas celnik doszedł do wniosku, iż wystarczy tylko rzucić okiem na wierzch rzeczy w walizkach.

— Przeszliście przez cło dzięki jego blefowaniu?

— Ależ oczywiście. Powinnam wiedzieć, że to mu się uda.

Krew mi zastygła w żyłach. Zachował się tak, jak wtedy w Watersmeet, kiedy zagrał bez treningu. Tylko że wtedy Skaczący Johnny nie wygrał.

—Znajdowaliście się na skraju katastrofy.

— Trzęsłam się potem przez tydzień. Nasi przyjaciele byli zdumieni, widząc nas w parku. Byli pewni, że nas aresztowano.

—A co się właściwie stało?

— Tego ranka posłano naszego przyjaciela gdzie indziej i nie zdążył nas o tym zawiadomić. To był przypadek. Nie wzbudziliśmy podejrzeń.

— Czy nikt nie wpadł na to, że to raczej dziwne, iż ta sama para przylatuje do Warszawy sześć razy w roku?

—Za każdym razem mieliśmy inne dokumenty.

—Przygotowane przez CIA?

—Chyba tak, *Herr McAuliffe*. Nie pytałam. Nie chciałam wiedzieć więcej, niż musiałam.

—To zrozumiałe. A ostatnia podróż? Wzdrygnęła się.

—Ciągle jeszcze śni mi się po nocach. Musieliśmy przejechać przez Czechosłowację i przekroczyć jakieś małe przejście graniczne pod Ostrawą, gdzie mieliśmy innego przyjaciela, a potem dojechać do Krakowa. Każdy kilometr tej drogi usłany był niebezpieczeństwami. A szczególnie niebezpiecznie było na czeskich posterunkach granicznych. Tam nie mieliśmy żadnych przyjaciół. Na szczęście oni zajmowali się tylko tymi, którzy wyjeżdżali z Czechosłowacji do Austrii, a z powrotem nie wieźliśmy żadnych pieniędzy.

—To znaczy wjeżdżaliście do Słowacji...

—...mostem w Bratysławie — jakie to piękne, stare miasto...

— ...z walizkami pełnymi dolarów i bez żadnej gwarancji, że was nie zrewidują!

— To było konieczne... Ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. I w dodatku nie byłam już wtedy jakimś szalonym dzieckiem. Miałam troje dzieci... — Jej oczy wypełniły się łzami.

— Niemniej jestem z tego dumna.

—Ksiądz McGlynn nie bał się?

— Oczywiście, że nie. Już księdzu mówiłam, że był bardzo odważny.

— Jak długo trwała ta podróż?

— Tydzień. W każdej minucie trzęsłam się ze strachu. Szczególnie wtedy, gdy przejeżdżaliśmy przez Czechosłowację do Polski i po drodze powiedziano nam, że nastąpiły zmiany w planach, ponieważ policja stała się podejrzliwa. Musieliśmy spotkać się z innymi ludźmi i w innym miejscu, niż to pierwotnie zaaranżowano. Nie znałam ich i myślałam, że to pułapka.

— W jaki sposób zdecydowaliście, że można tym ludziom ufać?

— John poszedł pierwszy na miejsce spotkania do wiejskiego kościółka, piętnaście kilometrów na zachód od Krakowa, przy bocznej drodze dochodzącej do głównej szosy do Katowic—i obejrzał sobie tych ludzi. Był przekonany, że nie byli z policji. Pamiętam jego słowa: „Polskiego intelektualistę zawsze można poznać po smutnym wyrazie twarzy i zapomnianym papierosie przyklepionym w

kąciku ust". Wtedy właśnie spotkaliśmy tego wielkiego człowieka, Romana Leżaka.

— I w ostateczności wróciliście bezpiecznie do Wiednia?

— Tak i przysięgam sobie, że już więcej tego nie zrobię. Naturalnie, nie zamierzałam dotrzymać tej przysięgi. Gdyby John poprosił mnie, zrobiłabym to znowu. Nawet dzisiaj, chociaż, dzięki Bogu, nie jest to już konieczne.

— Solidarność powinna dążyć do kanonizowania go.

— O, tak.

— Piękna opowieść, pani profesor Hoffmann.

— Ksiądz mi się dziwi, *Herr McAuliffe*? Dziwi się ksiądz, że trzęsąca się ze strachu mężatka kładzie się rozebrana w łóżku obok atrakcyjnego mężczyzny, którego bardzo lubi. Ale czy ksiądz wie, co to dla niej znaczyło?

— Było ekscytujące? Niepokojące? Kłopotliwe?

— Wszystko naraz: bardzo ekscytujące i bardzo kłopotliwe. Jednak uśmiech Johna zawsze rozładowywał napięcie i sprawiał, że to było możliwe. Nigdy nie było to łatwe. Szczególnie tego strasznego tygodnia w starym volkswagenie.

— Jestem pewien, że było to dla was bardzo trudne.

— Nie sędzę, żeby to było trudne dla Johna. Wiem, że mnie podziwiał. Chciał sprawić mi przyjemność. I to też wiem. Ale nie sędzę, żebym stanowiła dla niego wielką pokusę, nie taką, jak on dla mnie. Bardziej cieszyło go niebezpieczeństwo samej przygody aniżeli kobiece ciało.

Szpieg doskonały. W CIA byłby uwielbiany.

— Jeśli chodzi o mnie... — westchnęła — ...byłam szczęśliwa, gdy to się skończyło, ale jeszcze długo brakowało mi jego ciała obok w łóżku.

Kobiety w życiu Johnny'ego zdawały się być bardziej otwarte, aniżeli się tego spodziewałem. Ale tego rodzaju szczerość uczyniła mnie podejrzliwym. Czy będąc aż tak szczerą, nie próbowała przypadkiem pozyskać mojego zaufania? Żebym uwierzył, iż niczego nie ukrywa, ponieważ nie ma nic do ukrycia? Dlaczego jednak mi to mówi, jeśli próbuje coś ukryć?

— Zdumiewająca historia—powiedziałem, gdy poszliśmy do foyer na kawę.

— Tak — westchnęła. — To historia, jaką się pamięta przez całe życie, nawet gdy się jest już starym i ma się dorosłe wnuki, które ledwo wierzą, że kiedyś mogło istnieć coś takiego jak żelazna kurtyna.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach.

— Wydaje się, że te pieniądze pochodziły z CIA, prawda? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. John nie mówił mi, skąd one pochodziły, i ja oczywiście nie pytałam go o to. Powiedział jednak, że podczas gdy paszporty i dokumenty wyrobiono w Ameryce, pieniądze pochodziły z innego kraju.

— Rozumiem.

Kiedy wychodziliśmy z hotelu Sacher, zadałem jej jeszcze jedno pytanie:

— Czy pani chrzestne imię brzmi Lise*²⁰?

— Skąd ksiądz wie o tym? — Była zdumiona. — Czyta ksiądz w duszach?

Wyjaśniłem jej ten hokus-pokus. Nie sędzę, aby całkiem zrozumiała. Przecież, mimo całego swego uroku, nie była Irlandką.

Tak więc zjadłem miły, chociaż ciężki posiłek z ładną kobietą i usłyszałem przejmującą opowieść o przygodach. Przekonałem się, jak działał John McGlynn w akcji, o której mało wiedziałem — chociaż nie zaskakiwało mnie jego bezmyślne lekceważenie niebezpieczeństwa. Odkryłem też, że mógł wprawiać w zakłopotanie nawet bardzo pobożne i pełne poświęcenia kobiety.

Nie dowiedziałem się jednak tego, czego chciałem: skąd Johnny miał pieniądze?

Może będą wiedzieli w Warszawie.

48

²⁰ * *Ann Mary Elizabeth* — trzy imiona nadawane najczęściej przez Irlandczyków. *Annemarie* = *Anne Marie*, brakowało tylko *Lise (Elizabeth)* (przyp. tłum.).

— Najodważniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem — powiedział Roman Leżak, zaciągając się papierosem, który rzeczywiście zwisał z kącika jego ust. — Wielu z nas wtedy ryzykowało — teraz to wydaje się tak dawno — ale nikt z taką inteligencją, odwagą i... jak to powiedzieć po angielsku... talentem, wyczuciem?

— Johnny posiadał duże wyczucie, to się zgadza. Nie wiem jednak, czy można nazwać odważnym człowieka, który naprawdę się nie boi.

Siedzieliśmy w wypełnionej dymem kawiarni przy Starym Rynku na historycznym starym mieście (zrekonstruowanym po wojnie), niedaleko ulicy św. Jana, gdzie stała katedra z czerwonej cegły naprzeciw błyszczącego, białego kościoła jezuitów. Leżak też miał smutną twarz polskiego intelektualisty. Ubrany był w podniszczony garnitur tweedowy, który zdawał się stanowić uniform posłów Solidarności do polskiego parlamentu.

Warszawa była brudnym i odrapanym miastem, najbiedniejszym z miast, jakie widziałem w czasie moich niewielu podróży. Ale ludzie nie wydawali się przygnębieni. Sklepy pełne towarów—co wskazywało na to, że ludzie chyba mieli pieniądze, żeby je kupić? Może pojawił się cień nadziei zrodzonej z poprawy sytuacji ekonomicznej, która nastąpi po osiągnięciu wolności politycznej.

— Teraz jest źle — powiedział Roman. — W pewnym sensie gorzej niż było, chociaż w sklepach jest pełno żywności dla tych, którzy mogą sobie na nią pozwolić. Jednak będzie lepiej. Jestem tego pewien.

Miałem nadzieję. Polubiłem tych ludzi. Zasłużyli na lepsze karty aniżeli te, które rozdała im historia — również ta najnowsza.

— Jednak Johnny bał się — odparł Leżak na mój zarzut. — Będąc księdzem, znalazłby się w bardzo kompromitującej sytuacji. Gdyby go złapano, partia mogła rozdmuchać sprawę. Plotki o jego pożyciu seksualnym mogły wywołać poważny skandal. Polski Kościół musiałby go zdemaskować. Wiedzieli o napływie pieniędzy, chociaż nie znali ani drogi, ani kuriera. Musiał też martwić się o tę biedną *Frau Hoffmann*. To bardzo dzielna kobieta — sytuacja była ekstremalna. Starła się, jak mogła, ale ledwo jej się udawało. Ja wiem, że Johnny się bał. Mówił mi, że się boi.

Doszedłem do wniosku, że skoro już mówił o swoim strachu, to zapewne nie bał się.

—Naprawdę ryzykownie założył, że wasza grupa w wiejskim kościółku nie była policją.

—Miał instynkt, proszę księdza. Niektórzy go mają. My nauczyliśmy się tego w podziemiu. Czasem instynkt zawodzi, niemniej jednak to najlepsza strategia.

—Z pewnością... Ile przywiózł pieniędzy?

—Nie wiem i on też nie wiedział. Powiedział, że nigdy nie liczył, i ja mu wierzę. Z pewnością miliony. Prawdopodobnie poza nim byli jeszcze inni kurierzy. Jak sądzę, nikt nie był pewny, ilu ich było i ile przywieźli pieniędzy. Ale może ksiądz być pewien, że żaden dolar się nie zmarnował.

—Wobec tego oskarżenia partii, że Solidarność była finansowana przez CIA, były w pewnym sensie słuszne?

—Dlaczego nie? — Zapalił następnego papierosa. Nigdzie w Polsce nie zauważyłem znaków zakazu palenia i wydawało mi się, że wszyscy bez przerwy palą papierosy. — A czy pieniądze CIA są złe? Jednak te pieniądze, które przywiózł Jan, nie pochodziły z Ameryki. To była gotówka, która, jak chcieli pewni ludzie w Watykanie, miała trafić do rąk określonych katolików nie wchodzących w skład hierarchii.

—Aha?...

—Przypuszczam, że do takich jak ja, na których lojalności Watykan mógł polegać i którzy nie zostaliby wplątani w konflikty z wewnętrzną polityką polskiego Kościoła. Niektórzy biskupi woleli raczej ryzykować dialog z partią niż dać pieniądze i władzę takim ludziom jak Lech.

—Rozumiem.

—CIA mogła nie zrozumieć niuansów tego rodzaju transferu funduszków. Pomyśleliby zapewne, że opłacają funkcjonalną walkę wewnątrz Kościoła. Istniała konieczność zastosowania wymyślniejszego transferu pieniędzy — musiało to być proste, lecz skuteczne. Nie, pieniądze, które przywoził nam Jan, nie pochodziły z Ameryki.

—Interesujące.

—Ja sam nie wiem, skąd one pochodziły. Nie wierzę, aby nawet Lech miał pewność, chociaż czasem udaje, że wie.

—Ale John wiedział, prawda?

—O tak, mówił nam, że wie. Powiedział, że dowiedział się zupełnie przypadkowo, ale nie może nikomu powiedzieć. Nigdy. Był pod tym względem bardzo stanowczy.

To był Johnny, jakiego znałem — lubił się popisywać, powiedziała by innym dzieciom, że zna wielki sekret, ale nigdy go nie zdradzi.

—Czy to go męczyło?

—Absolutnie nie. Ale było kilka innych rzeczy, które zdawały się męczyć waszego biskupa męczennika.

W czasie naszej rozmowy zastanawiałem się parę razy, dlaczego Leżak był ze mną taki szczery. Mówiono mi, że słowiańska dusza nieczęsto tak szczerze się obnaża.

Przypuszczalnie Roman Leżak i ci, którzy się za nim kryli, niczego nie potrzebowali się bać — i sojusznicy kościoła doradzali, aby odpowiedział na wszystkie moje pytania. Nawet na te, których nie zadam.

—Muszę przyznać — kontynuował — że niepokoił mnie fakt, iż podróżował z kobietą, chociaż wyraźnie to było konieczne. Jestem... — uniósł brwi — ...w miarę sofistyczny, jeśli chodzi o poglądy na świat, ale noszę w sobie jakieś staromodne pojęcia, jeśli chodzi o księży. Stałem się jeszcze bardziej niespokojny, gdy zobaczyłem *Frau Hoffmann*. Byłem wręcz, jakby to powiedzieć...

—W Ameryce powiedzielibyśmy, że był pan zaszokowany.

—Przypuszczalnie. — Zgniółł papierosa i uśmiechnął się do mnie.

—Moja żona nigdy nie zgodziłaby się, abym podróżował z tak piękną, delikatną kobietą, udającą moją żonę. Jednak wyraźnie było widać, że odnosił się do niej jak ojciec lub brat... i nic więcej. Ona była przerażona i miała ku temu uzasadnione powody. Znajdowała się na skraju choroby. Tęskniła za mężem i dziećmi. Wzruszająca, nieszczęsna, mała laleczka. Opiekował się nią, jakby była jego młodszą siostrą... Miał, jak sędzę, siostrę, prawda?

—Miał. I zawsze był dla niej uprzejmy, troszczył się o nią i szanował ją i jej przyjaciółki.

—Domyślałem się.

Zapalił następnego papierosa i popił gęstą kawę, której można by użyć do szorowania korytarzy w szkole św. Finiana, gdyby zabrakło nam zwykłych detergentów.

—Czy milicja naprawdę ich szukała?

— Tak. I chociaż nie byli dość inteligentni, jednak skądś się dowiedzieli, że przywożono do kraju pieniądze, duże sumy, że przesyłka jest przeznaczona dla Krakowa, że kurierami są blondynka z mężem, a spotkanie ma nastąpić przy krakowskich Sukiennicach. Samochody policyjne stały na wszystkich szosach łączących Kraków z granicą. Jednak Jan jakoś ich wymanewrował. Znowu ten jego instynkt. Udało nam się powiadomić Jana, aby nie przyjeżdżał do Krakowa.

—Ale sam pan powiedział, że instynkt może zawieść.

—Na nasze szczęście, jego nie zawiódł. To była jego ostatnia misja. Mówiąc mi o tym, wydawał się prawie rozczarowany.

Nie dowiedziałem się znowu tak wiele: tylko potwierdzenie słów Annemarie Hoffmann, że między nią i Johnnym nie istniały żadne intymne stosunki, potwierdzenie, że pieniądze nie pochodziły z CIA, potwierdzenie, że Johnny wiedział, skąd pochodziły pieniądze — kilka fragmentów układanki, ale nic rewelacyjnego.

—Czy oni go kanonizują, proszę księdza?

— Jeszcze nie teraz. Prawdopodobnie nie tak szybko. Istnieje zbyt wiele pytań dotyczących jego życia i śmierci. Moje zadanie polega na przesianiu wszystkich faktów z jego życia i stwierdzeniu, czy nie było w nim czegoś „wystrzałowego”, jak to określilibyśmy w Ameryce, czyli jakiegoś istotnego powodu, aby zapomnieć o kanonizacji.

— *Frau Hoffmann...* Czy to ona mogłaby być czymś takim „wystrzałowym”?

— Gdyby znaleźli się świadkowie, którzy potwierdziliby, że miała z nim romans, wówczas, jak sądzę, mogłoby to się stać problemem. Ja jednak napiszę w moim sprawozdaniu, że nie ma dowodu na brak niewinności w ich stosunkach.

Kiedy wstawałem, żeby się pożegnać, problem Annemarie już mnie nie niepokoił. Ludzie w Chicago tak niecierpliwą się, by wynieść Johnny'ego na ołta-

rze, że mogliby nie badać tego stosunku zbyt dokładnie. Chcieliby jednak wiedzieć skąd brały się pieniądze, które z taką odwagą przemycił do Polski.

49

Watykan mnie denerwuje. Pałac Kongregacji, gdzie na trzecim piętrze znajdują się biura Świętej Kongregacji do spraw Świętych, przypomina szpital, to znaczy szpital dla wariatów. Mężczyźni (czasem kobiety), którzy snują się korytarzami — poważni, ponurzy, przejęci — wydają się daleko odsunięci od trosk i tego, czym zwykli ludzie żyją w normalnym świecie.

Pałac stoi przy Piazza del Pio XII, tuż za kolumnadą Berniniego. Na zewnątrz zgiełk świata pracy, a wewnątrz ciemne, przerażające korytarze. Jak mógł taki człowiek, jak Johnny McGlynn, który — jak obecnie się okazuje — był miłośnikiem niebezpiecznych przygód, żyć przez tyle lat w miejscu przypominającym katakumby?

Ksiądz Kunkel, przydzielony mi podstarzały szwajcarski jezuita, wydał się dość miły i uprzejmy. Może z tymi rzadkimi, siwymi włosami, szerokim czołem i wysokim głosem trochę przypominał nauczyciela, ale był komunikatywny i dość obyty.

— No więc, księżo McAuliffe — odezwał się dobrą amerykańską angielszczyzną, wskazując mi jedyne krzesło w swoim niewielkim pokoiku — przybył tu ksiądz akurat w czasie, gdy zmarły kardynał wydaje się odpowiedzialny za następny cud.

Usiadłem, próbując wyperswadować sobie, że nie przejąłem się otrzymanymi rano informacjami.

— Zgodnie z usłyszaną dziś rano relacją kardynała, nie wygląda to na cud, którym należałoby niepokoić członków waszej Consulta Medica.

Telefon w moim pokoju u Hasslera odebrałem dziś o ósmej rano.

— Czekałem, żeby mieć pewność, że się już rozbudziłeś, Lar — usłyszałem zaniepokojony głos kardynała.

Nie byłem jeszcze rozbudzony, ale nie chciałem z tego robić problemu, przecież w Chicago o tej porze jest pierwsza w nocy.

— Jestem już rozbudzony, Steve. Jem śniadanie i przygotowuję się na dzisiejszą przedpołudniową konferencję w kongregacji.

—Wczoraj wieczorem mieliśmy następny cud.

—W telewizji?

— Na domowym video. Stale mają przy grobie ze sobą kamery.

— Co to za cud? — spytałem, próbując zapomnieć, że przy basenie kąpielowym wskrzeszono małą dziewczynkę.

—Młoda ślepa kobieta odzyskała wzrok,

—Miała ogromne szczęście. A co na to medycyna?

— Z tego, co obecnie wiemy, wynika, że brakowało fizjologicznej przyczyny ślepoty.

—Następny przypadek hysterii.

—Ilu takich ludzi mamy na świecie, Lar?

— Zapewne wielu. I wszyscy w ciągu następnych pięciu lat ściągną do Chicago.

Mogłem sobie wyobrazić, jak przy tych słowach zadrżał.

— Staramy się dokładnie stosować do twojej rady. Dotychczas stwierdziliśmy, że o ile wiemy, nie zdarzyło się nic, co nie mogłoby zostać wyjaśnione dzięki wiedzy medycznej i że archidiecezja toleruje modlitwy na cmentarzu, ale równocześnie ich nie pochwała. Pilnie śledzimy te modły, ale obecnie niczego nie komentujemy.

—Wygląda na to, że chyba właściwie to skomentowaliście.

— Przyjmuję, że będziemy musieli nauczyć się żyć z tym fenomenem.

— Jeszcze trochę, a wszystko tak spowszednieje, że stacje telewizyjne przestaną się tym interesować.

— Mam szczerą nadzieję. Lar, czy wyjaśnisz tym ludziom z kongregacji, że zachowujemy maksymalną ostrożność?

—Z pewnością, Z wszystkimi detalami.

—A tak przy okazji, jak twoje śledztwo?

— Wlecze się. Do tej pory nic kompromitującego. Żadnych wystrzałowych dowodów, które uniemożliwiałyby kanonizację.

—Hm... raczej ostro powiedziane.

—Ostrożniej będę wyrażał się w Watykanie.

Tak więc to, co powiedziałem Kunkelowi, który wydawał się nieprzywykły do tego rodzaju gadaniny, brzmiało:

—Nie mam nic kompromitującego. Jeszcze nie. Zrozumiał, co miałem na myśli.

— To uprościłoby sprawę, prawda? — dodałem. — A te zbiorowe modły w końcu wygasną, jeśli ludzie dowiedzą się o czymś, co może go skompromitować. Czasami jednak Pan Bóg nie chce ułatwiać nam życia.

— Przypuszczam, że ksiądz zdaje sobie sprawę, jak bardzo ważna byłaby księdza praca, gdyby zostały podjęte dalsze kroki procesowe. Gdyby arcybiskup Chicago w końcu doradził kongregacji, aby ustaliła swoje stanowisko, wtedy musimy bardzo poważnie rozpatrzyć nawet nieformalne doniesienia, jakie przygotowano krótko po śmierci Wielebnego Sługi Bożego.

—Rozumiem.

— Czy ksiądz doszedł do jakichś, choćby wstępnych konkluzji? — złożył dłoń w mostek pod brodą.

— Zawsze uważałem, że był sukinsynem. I nadal tak myślę, chociaż teraz zdaję sobie sprawę, że był bardziej skomplikowanym sukinsynem, aniżeli sądziłem. Nie widzę go w roli świętego. Przyznaję, że był uroczy i czarujący. Był też bardzo odważny. Miły i uprzejmy. Ale święty lub błogosławiony?... Nie widzę go takim. Jeśli jednak chodzi o sprawozdanie, to muszę jeszcze znaleźć dowód wykluczający pomyłkę.

—Znakomicie to ksiądz przedstawił. A kobieta?

— Wszystko wskazuje na to, że była jego przyjaciółką i doradczynią, a przy tym była zdolna i hojna. Może i była dla niego kimś innym, ale nie mogę na to znaleźć cienia dowodu.

—Rozumiem. To trudna kobieta?

— Tylko wtedy, kiedy jest zła. Jeżeli Kościół próbowałby szerzyć pogłoski, że była jego kochanką, to z pewnością ciężko za to zapłaci.

—Czy ona popiera jego sprawę?

—Wręcz przeciwnie. Trzyma się od wszystkiego z daleka i nie akceptuje tego uznanego cudu, dzięki któremu został uleczony jej wnuk.

—Widzieliśmy to na video, proszę księdza. Bardzo rozsądna i atrakcyjna kobieta.

—Tak, istotnie, jest taka.

— To się dobrze składa... Jaka jest księdza opinia o tym uznanym cudzie?

—Odnoszę się do tego sceptycznie. Myślę, że tylko Bóg wie, czy naprawdę zdarzył się cud. Consulta Medica może jedynie stwierdzić, czy istnieje na to wytłumaczenie natury medycznej. Chociaż było kilka uznanych naukowo przypadków remisji retinoblastomy, sądzę, że Consulta Medica musiałaby bardzo się namęczyć, aby to jednoznacznie wyjaśnić i oddalić cud.

— Ja również odniosłem takie wrażenie. Jednak, zanim uznamy to za cud, musimy rozpatrzyć dowód cnoty bohaterstwa.

— Jeżeli uznacie go za męczennika, to cud nie ma i tak żadnego znaczenia.

—To prawda.

Za brudnymi szybami na rzymskim niebie zbierały się chmury, zapowiadając burzę, która mogła nareszcie złagodzić męczący wrześnieowy upał.

— Według mnie — odezwał się — przebywał w strefie walk bez żadnego powodu i zabito go przypadkowo, a nie dlatego, że ktoś chciał zaatakować Kościół. Jak wiadomo, pani Quinlan zajęła takie właśnie stanowisko i nie zmieniła swojej opinii.

Potał dłońmi czoło.

— Ksiądz jest bardzo bezpośredni, prawda? No, ale teraz jest pora na szczerą rozmowę, nawet tu za murami Watykanu. Obecnie teologia jeszcze dostatecznie nie dojrzała, aby kongregacja mogła całościowo objąć problem męczeństwa. Najwyżej mogłoby to stanowić następny, przybliżający nas, niewielki krok. Jeżeli oczywiście Wysoki Autorytet odniósłby się do tego kroku z aprobatą. Ale, jak sądzę, obecnie można stanowczo stwierdzić, że tego rodzaju aprobaty nie ma.

Ja też tak sędzę. Więc to moje grzebanie się w prochach życia Johnny'ego McGlynnna może przynieść skutek w przyszłości — kiedy zmieni się teologia i klimat polityczny.

Wracając taksówką do Hasslera, kląłem Skaczącego Johnny'ego McGlynnna. Co ja, u diabła, robię, szukając wiatru w polu, podczas gdy powinienem być u siebie w parafii św. Finiana, przygotowując się do Oktoberfest. Kiedy wróciłem do hotelu, w moim pokoju zadzwonił telefon.

— Ksiądz McAuliffe—zagrzmiał głos, dając do zrozumienia, że mówi ktoś ważny. — Kardynał Ratzinger chce się jutro z księdzem widzieć.

Sam Czerwony Baron. Kardynał Ratzinger, prawa ręka papieża — lub, jak chcą niektórzy, jego „młot”. I to właśnie on chce się ze mną widzieć.

50

Czerwony Baron wyglądał zupełnie nieszkodliwie.

Był mały, szczupły, pokorny, sprawiał wrażenie nieśmiałego w prostej, czarnej sutannie, z siwymi włosami, o łagodnym głosie, z oczami skrytymi za grubymi szklami. Zapewne był krótkowzroczny i prawdopodobnie miał charakter roztargnionego profesora. Ale z całą pewnością nie przypominał Wielkiego Inkwizytora.

Wprowadzono mnie do alkowy położonej na zapleczu trattorii. Wielki świetlik i otwarte okno upodabniały alkowę do ogrodu. Mile, przyjemne miejsce, z butlami wina w plecionkach, wiszącymi u belek sufitu kielbasami salami i dola-tującym wraz z gorącym jesiennym powietrzem gwarem głosów z Borgo San Angelo. Nie było tam żadnych narzędzi tortur.

Najwyraźniej wiedzieli, kto przybywa i dokąd należy go posłać. Wyraźnie było to zwykle miejsce, gdzie Baron prowadził „rozmowy nieformalne”.

Musiałem włożyć koloratkę, niechętnie, jako ukłon przed autorytetem.

— Eminencja. — Kelner ukłonem wskazał mi kardynała Ratzingera.

Przypomniałem sobie, że ten człowiek, podobny do pokornego, małego profesorka, miał niezwykle bystry umysł. Tu nie można było w nic zagrywać, tak jak w chicagowskiej Kancelarii.

Był uprzejmy i serdeczny. Pytał o moją przeszłość, o parafię, o moją opinię na temat Ameryki — taka zwykła pogawędka. Odpowiadałem zwięźle i ostrożnie. Jeśli on nie zacznie, ja też tego nie zrobię.

Wreszcie, kiedy wybrał wino dla siebie, a dla mnie zamówił pellegrino, przeszedł do sedna sprawy.

—Obawiam się, że kult waszego zmarłego kardynała mógłby zakłopotać wielu Amerykanów. On nie był, jestem przekonany, człowiekiem zbytnio głębokim.

Milczałem.

—Czy ksiądz sądzi, że on jest świętym?

—Bardzo w to wątpię.

—A cud? Myśli ksiądz, że to oszustwo?

—Nie ma na to dowodu, Eminencjo, ale wobec braku cnoty bohaterstwa nie wyłania się kwestia cudu.

—Zgadza się. Czy może mi ksiądz coś powiedzieć na temat swojego śledztwa?

Podsumowałem krótko.

—Jak z tego widać, nie ma niczego, czym można by odeprzeć zarzuty—ale nie ma też niczego, czym można by je potwierdzić.

—A księdza wycieczka do Polski? Czego się tam ksiądz dowiedział?

— Jak wiadomo, Eminencjo, on rzeczywiście przewoził pieniądze dla Solidarności w Polsce, duże sumy, za zgodą autorytetów kościelnych tutaj i w Polsce.

—I...?

—Nikt z jego kolegów, osób, które brały w tym udział, nie wie, skąd te pieniądze pochodziły. I w istocie nic ich to nie obchodzi. John z pewnością wiedział, ale nikomu w Polsce nie powiedział. O ile wiem, to nie powiedział w ogóle nikomu.

—Ma ksiądz jakieś domysły?

— Żadnych. Przypuszczam, że tu znajdują się ludzie, których biura nie są od nas tak odległe, a którzy mogliby wiedzieć.

Uśmiechnął się, ale zignorował moją odpowiedź.

— Czy według księdza w tej przygodzie mogło zaistnieć coś nagannego?

— Wręcz przeciwnie. To był gest wielkiej odwagi, której — chyba nie muszę o tym mówić — nie można utożsamiać ze świętością. Istnieje jedynie podejrzenie, że z tymi pieniędzmi było coś nie w porządku. To podejrzenie wysunęli amerykańscy dziennikarze, którzy przypuszczają, że w tym może kryć się coś nieodpowiedniego, co nazywamy „bombową sensacją”.

— Jeżeli odkryto by coś takiego, wówczas mogłoby to się stać czymś bardziej kłopotliwym dla Kościoła aniżeli sam kult kardynała McGlynnna.

Czy to było ostrzeżenie? Prawdopodobnie. Może nawet nie chcieli, aby mój kardynał dowiedział się o tym, jeśli znajdę coś o tych pieniądzach.

— Nikt — zwrócił się do mnie konfidencjonalnie — nigdy nie będzie mógł dowieść, że pieniądze pochodziły z tej niefortunnej afery Banco Ambrosiano. Tak więc głównym problemem jest ta kobieta — to także zaszokowałoby opinię publiczną, i równocześnie przerwałoby kult, prawda?

No tak, musiałem przyznać, że był zwięzły, ale zarazem szczery.

— Gdybym, Eminencjo, mógł gdzieś wykryć nieślubne dziecko, wtedy zgadzam się, że załatwiłoby to obie rzeczy naraz. Jednak, jeśli mogę się tak wyrazić, przyjaźń pani Quinlan ze zmarłym kardynałem była ogólnie znana w całym mieście. A poza tym on umarł w jej ramionach. Mimo wstrętnych poszeptywań wśród księży, w archidiecezji bardzo mało przejmują się tym ich stosunkiem.

— Rozumiem. O ile mi wiadomo, jest to kobieta bardzo twarda.

— Jestem pewien, że gdyby Eminencja chciał ją przepyttać, natychmiast zjawi się w Rzymie. Znajdzie Eminencja w niej bardzo inteligentną osobę, wyraźnie określoną, doskonale prezentującą się i zachowującą w sposób odpowiedzialny — do momentu, gdy ktoś zaatakuje bezpośrednio ją lub kogoś, kogo kochała.

— A zatem kochała Johna McGlynnna?

— Ona tego nie kryje, Eminencjo. Jedynie zaprzecza, że jej miłość należy tłumaczyć jako stosunek seksualny.

— Rozumiem. Ksiądz uważa, że ona może mnie przekonać, iż ich miłość była całkowicie czysta?

— Na pewno, przekonałaby Eminencję, że jeśli nawet nie była czysta, to i tak trudno byłoby tego dowieść.

Uniósł brwi.

— Być może. Obecnie należy to do przyjemności, o których muszę zapomnieć... Bardzo jestem zadowolony z naszej rozmowy. Wnoszę z tego, że tak jak mi powiedział biskup Chicago, ksiądz jest człowiekiem pomysłowym, szlachetnym i honorowym. Potrzebujemy w Kościele więcej takich ludzi. Wiem, że ksiądz będzie kontynuował śledztwo i doprowadzi je do zadowalającego końca.

Dlaczego zaprosił mnie na lunch, jeżeli wiedział to, co ja wiedziałem, a może i więcej? Może dlatego, że nie bardzo ufał zdaniu Steve'a?

51

Po powrocie do Hasslera natychmiast popędziłem do swojego pokoju i zatelefonowałem do Marbeth. Zanim posunę się dalej, muszę wyjaśnić pewien aspekt zachowania się Johnny'e-go. Potrzebna mi była do tego Marbeth. Byłem zaskoczony, gdy osobiście odebrała telefon po drugim dzwonku. Po przedyskutowaniu wspólnie podzielanego sceptycyzmu w sprawie ostatniego cudu, poruszyłem interesujący mnie temat.

— Mary Elizabeth, czy pamiętasz, jak Jimmy miał te poważne kłopoty na giełdzie?

— Wtedy gdy Johnny polecił mu, aby więcej tam nie chodził?

— Tak. Czy wiesz, skąd Johnny wziął pieniądze na pokrycie wszystkich jego długów?

— Ach, chodzi ci o te pogłoski, że wziął pieniądze z Zarządu Cmentarzy Katolickich?

— Tak.

— Och, wy, księża! — Była raczej rozbawiona aniżeli rozgniewana. — Wy w ogóle nie macie wyobraźni w sprawach finansowych. Johnny postąpił bardzo

prosto. Występując w roli strażnika interesów matki, pożyczył dla Jim-my'ego pieniądze na procent, który później miał podjąć ze swojego spodziewanego dochodu z funduszu powierniczego za przyszły rok. Mogło to się wydawać trochę niepewne, ale żaden sędzia nie martwiłby się tym, gdyby sprawa trafiła do sądu. Micky i Kate nie mieliby nic przeciwko temu, nawet gdyby się o tym dowiedzieli — co jest jednak wątpliwe — ponieważ sami też kiedyś mogą potrzebować tego rodzaju pożyczki. Poza tym te pieniądze zostały zwrócone w ciągu kilku miesięcy.

— Jakie to proste.

— Obawiam się, że tak. Mam na to dowody. Bałam się, że John je wyrzuci, a ktoś może kiedyś zechcieć zadawać pytania... Możesz je obejrzyć, jeśli mi nie wierzysz.

— Wierzę ci, Mary Elizabeth. Ale i tak muszę je przejrzeć, aby móc zeznać, że je widziałem.

Zawahała się.

— Co sądzisz o moich wspomnieniach?

Jak mogłem jej nie podziękować za to, że tak się przede mną otworzyła?

— Jeszcze bardziej podziwiam ich autorkę... osobę, którą zawsze bardzo podziwiałem.

— To bardzo miłe z twojej strony, Lar — powiedziała drżącym głosem. — Ale jednak nie było w nich nic kompromitującego.

Nie, pomyślałem, żegnając się z nią. Jeszcze jeden cud, którego, jak się wydawało, nikt nie dostrzegł.

Telefon zadzwonił, ledwo odłożyłem słuchawkę. Człowiek, który się odezwał, był tak poważny, że mógłby uchodzić za Michała Archanioła.

— Księżę McAuliffe, Ojciec Święty wyznaczył księdzu audiencję jutro o dziesiątej przed południem. Proszę o dziewiątej przyjść do wejścia przy Dziedzińcu Belwederu. Będzie tam czekał na księdza szwajcarski gwardzista. Czy ksiądz zrozumiał?

— A zatem, ojciec McAuliffe, ksiądz odwiedził Polskę. Co ksiądz myśli o moim ojczystym kraju?

Wymówił moje nazwisko „Macowlleef. Nie miałem zamiaru poprawiać go i zachowałem się tak jak ten arcybiskup, który pozwolił papieżowi myśleć, że „Loeeywille" powinno się wymawiać „Lewisville".

A zresztą przecież to jest Saint Lewis, prawda?

Tak samo nie miałem zamiaru dać się podpuścić tym pytaniem.

— Byłem tam tylko trzy dni, Ojciec Święty. Podobało mi się to, co zobaczyłem. Mam nadzieję, że tam jeszcze wrócę. Ludzie są przyjaźni.—I tu wstąpił we mnie złośliwy duszek, bo dodałem jeszcze: — Prawie tak przyjaźni jak Irlandczycy.

— Irlandczycy to interesujący ludzie.

Nieznaczone skrzywienie ust zmieniło wyraz twarzy papieża. Kombinacja tego ruchu z wyrazem chłodnych, niebieskich oczu z pewnością coś wyrażała, niestety w sposób nie do końca czytelny. Sądzę jednak, że tym razem miał na myśli, że był to bardzo dowcipny komentarz, a poza tym chyba mnie trochę polubił. To było w porządku. Ja też go w pewnym sensie polubiłem.

Nawet jako młody człowiek, jeszcze przed Drugim Soborem Watykańskim, nie należałem do ludzi czczących papieża. Zdawało mi się, że zapewne trzeba mieć papieża i Watykan, że to wszystko jest na miejscu, ale Kościół... Kościół to parafia, szkoła, podwórze, tam, gdzie ksiądz bawi się z dziećmi lub wita z wiernymi po niedzielnej mszy. Więc nie otwierałem szeroko oczu, gdy ludzie opowiadali po powrocie z Rzymu, że naprawdę widzieli papieża — zwykle podczas audiencji z udziałem dziesięciu tysięcy innych ludzi. Do diabła, ale przecież kiedyś sam ścisnąłem dłoń burmistrza Chicago.

Nigdy wcześniej w ogóle nie zwracałem sobie głowy, aby przyjść na tę obowiązkową audiencję papieską. Wolałem oglądać ludzi na Via Veneto.

Niemniej, kiedy ten człowiek o kwadratowej twarzy i stanowczym podbródku wyciągnął do mnie rękę, poczułem I coś w rodzaju podniecenia. Pomijając wszystko inne, był przecież przywódcą religijnym siedmiuset milionów ludzi. Włączając w to mnie. Tak jak mówił Packy Keenan: „Biorąc pod uwagę naszą

wiarę w istnienie Boga w świecie, nawet gdybyśmy nie mieli papieża, musielibyśmy jakiegoś sobie wymyślić".

Dwie rzeczy natychmiast uderzyły mnie u tego Biskupa Rzymu: nie był tak wysoki, jak się spodziewałem — pięć cali niższy ode mnie — i wydał mi się słaby i stary. Jeżeli ktoś nafaszeruje ci wnętrzności ołowiem, to zrozumiałe, że nie posłuży to twojemu zdrowiu.

— Europa jeszcze nie odkryła Irlandii — kontynuowałem naszą pogawędkę.
— Jednak Irlandia ukształtowała Europę.

— Oni też są dobrzy w mówieniu, prawda, księżo MacOwleef?

—Lubią dużo mówić.

—Wasz zmarły kardynał też dużo mówił.

Była to zręczna zmiana tematu, która zbliżyła nas do zasadniczego przedmiotu naszego spotkania.

—Tak, Ojczy Święty, istotnie.

—Był dobrym arcybiskupem?

—Będę szczery, Ojczy Święty. Początkowo tak nie myślałem. Potem jednak wywarł na mnie wrażenie. Teraz myślę, że gdyby żył dłużej, byłby jednym z największych.

To dało mu do myślenia.

—Więc on jest święty, księżo MacOwleef?

—Nie sędzę, Ojczy Święty. Ale mogę się mylić. Znowu ten niejasny, nikry ruch ust papieża.

—Był bardzo odważny, prawda?

—Do granic rozsądku.

— Może pewnego dnia będzie kanonizowany? — Zimne, niebieskie oczy wwiercały się głęboko w moją duszę.

— Może. Sędzę, że ta sprawa powinna toczyć się powoli. Westchnął.

—Wobec tego powinniśmy zaczekać i przekonać się, prawda? A tymczasem interesują księdza pieniądze, które zostały przekazane do Polski?

— Nie jestem reporterem. W moim sprawozdaniu dla Jego Eminencji miałem tylko stwierdzić, że zasłyszane plotki są nieprawdziwe.

— A może są prawdziwe? — spojrzał na mnie szybko.

— Może. Ale nie muszę zagłębiać się w szczegóły. Skinął głową.

— Wierzę księdzu. Tutaj wydarzyło się wiele rzeczy... — znowu wskazał Watykan — ...o których papież dowiaduje się po fakcie.

— Rozumiem, Ojciec Święty.

— Ale najważniejsze, żeby niektóre z nich pozostały tajemnicą. — Poruszył wolno palcami.—Absolutną tajemnicą.

Byłem zdecydowany powiedzieć, że mógłbym zaakceptować jego słowa, iż przesyłane do Polski pieniądze są czyste. Do diabła, komu można wierzyć, jak nie papieżowi?

Wstał i wyciągnął do mnie rękę.

— Wasz kardynał ma rację, ojciec, mówiąc, że ksiądz jest osobą uczciwą... Jutro zatelefonuje do księdza człowiek imieniem Roger...

Wracając na Dziedziniec Belwederu, próbowałem uzmysłowić sobie, co to może znaczyć. Jednak, rzeczywiście, następnego ranka zadzwonił telefon.

— Laurence? Tu Roger.

— Dzień dobry, Roger.

— Jak sądzę, mamy się spotkać?

— Tak to zrozumiałem.

— Czy odpowiadałoby ci spotkanie w kawiarni naprzeciw wejścia do Ogrodów Borghese za jakieś trzy kwadransy? Poznam cię.

Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem, przemieszonym ze śladem jakiegoś innego.

— Siwy, masywnie zbudowany mężczyzna o jasnozielonych oczach?

— Dokładnie tak.

— Będę tam.

Roger okazał się wysokim, szczupłym, ciemnym mężczyzną w nieokreślonym wieku, z niebieskimi oczami, krótko obciętych, czarnymi włosami i nikłym, równo przyciętym wąsikiem. Mógłby uchodzić za średniej rangi urzędnika w

wielkiej korporacji. Podaliśmy sobie ręce. Podeszedł do stolika. Zamówiłem herbatę.

— Jesteś z Langley, Roger?

— O, nie! — Wąsik poruszył się w szybkim uśmiechu. — Tel Awiw. Mossad.

— Mossad?

— Zgadłeś, Laurence, wywiad izraelski. Zacząłem się śmiać.

— Roger, to najbardziej zwariowana rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Chcesz mi wmówić, że dwa lata temu jakiś czubek z Tel Awiwu wpadł na kretyński pomysł, aby pieniądze przeznaczone dla wolnego związku zawodowego w Polsce mogły ostatecznie przyczynić się do zniszczenia imperium rosyjskiego i w ten sposób uwolnić rosyjskich Żydów, aby mogli wyemigrować do Izraela?

Roger również się zaśmiał.

— Ja osobiście nie byłem za tym, Laurence. Zgadzam się z tobą, że to absurd, ale mimo wszystko była to jedna z naszych najbardziej udanych akcji.

— Tak, Roger, to najzgrabniejsza operacja w historii nowoczesnego świata.

— Która, z powodów oczywistych, nie może zostać opowiedziana.

— Przyrzekam utrzymać to w tajemnicy, Roger. A ja dotrzymuję przyrzeczeń.

— Tak być powinno. I tak już zbyt wielu ludzi wie. Jeszcze jedna osoba nie sprawi różnicy.

— Czy kurier też wiedział?

— Tak. Nie był zbyt inteligentny, ale za to bystry. Był to człowiek, który, jeśli to było konieczne, potrafił trzymać język za zębami. A tak przy okazji, proszę, nie sądz, że to my jesteśmy odpowiedzialni za jego śmierć. Przyznaję, że niektórzy z naszych ludzi doradzali nam, aby go usunąć. Ale zostali przegłosowani.

Nie zastanawiałem się nad tym.

— Ty zrobiłbyś to bardziej gładko, prawda? Skinął poważnie głową.

— W dodatku doszliśmy do wniosku — zapewniam cię, że z dobrym skutkiem — że nasze kłopoty nie są warte życia kogoś, kto zrobił nam tak ogromną przysługę.

— Miło mi to słyszeć.

— Niektórzy z nas odetchnęli, kiedy umarł. Inni lamentowali, że straciliśmy przyjaciela.

Nie przyznał się, do których *należał*.

— A w jaki sposób dowiedział się, skąd pochodziły te pieniądze?

— Przypuszczam, że zgadł. Jak powiadają, miał nadzwyczajne wyczucie. Kiedy dowiedzieliśmy się, że odkrył źródło pochodzenia pieniędzy, byliśmy pewni, że dowiedzą się tego również inni...

— ...więc należy go przekupić?...

— Istotnie. Na swój sposób naprawdę dobrze mu się odwdzięczono. Teraz sądzę jednak, że był człowiekiem honoru i nie chciał tej nagrody, a nawet nie zdawał sobie sprawy, że to była nagroda.

— Myślę, że chyba nigdy nie znał szczegółów.

— Abnegacja?

— Oczywiście... za dziesięć lat nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

— Wówczas może kto inny to wyjawia. Dopił kawę i wstał.

Wróciłem do hotelu, aby się spakować.

Potem, gdy już leciałem nad jeziorem Geneva, wpadłem na prawdziwy, ukryty dotąd dynamit. Siedziałem w pierwszej klasie, kiedy zdałem sobie z tego sprawę. Moja zagraniczna podróż była zbędna. Odkrywszy to tak nagle, zrozumiałem, że moje tajne spotkanie z Mossadem było zupełnie niepotrzebne.

Tajemnica Johna McGlynnna kryła się w fakcie, że chociaż Bearsi zwyciężyli w Super Bowl w roku 1986, główny mecz odbył się pod koniec sezonu roku 1985.

Dlaczego przedtem tego nie dostrzegłem? Może dlatego, że nie chciałem. Wmieszanie tego odkrycia w sprawę mogłoby powstrzymać każdy wstępny proces zmierzający do kanonizacji. Jeżeli to przedostałoby się do publicznej wiadomości, zniszczyłoby również kult, a niektórych ludzi bardzo skrzywdziło. Jednak

zanim podejmę następne kroki, muszę jeszcze coś załatwić, bardziej z ciekawości aniżeli z jakichś innych powodów.

53

Noah Epstein był bardzo serdeczny, ale *zarazem* ostrożny, gdy w dniu mego powrotu z Rzymu wszedłem do jego gabinetu.

— Cieszę się, że widzę księdza. Nancy i jej matka dużo mi o księdzu opowiadały.

— Tak, wiem. Jestem słodki. Lekko się zaczerwienił.

— Tak właśnie powiedziały.

— Nie przyszedłem tu jednak, aby się z panem widzieć po linii zawodowej — skinąłem głową w kierunku lekarskiej leżanki. — W każdym razie nie po linii pańskiego zawodu.

— O?... — zmarszczył się, zachodząc w głowę, o co mi chodzi.

— Chciałbym z panem porozmawiać o cudach, a szczególnie o tym pierwszym. .

— Uleczenie Brenny'ego.

— To był drugi cud, Noah. I dobrze pan o tym wie.

Miałem wrażenie, że młody człowiek się rozkleja. Wypuścił gwałtownie powietrze i oparł się w fotelu za biurkiem. Wyglądał, jakby doznał ogromnej ulgi.

— Nie mam pojęcia, skąd ksiądz o tym wie, księżo Lar. Ale bardzo się cieszę. Leżało mi to na sercu od wielu miesięcy, nie mogłem o tym z nikim rozmawiać, a najmniej z żoną, która w swoim entuzjazmie natychmiast powtórzyłaby wszystkim wokoło. A to byłaby dość brutalna reklama.

— Tak, istotnie.

— Lekarze w Elkhorn... — zaczął swą opowieść — ...po prostu nie wierzyli mi. Powiedzieli, że w podobnie ekscytującej sytuacji musiałem pomylić się w

czasie. Dziecko, gdy wyciągnięto je z wody, musiało oddychać, inaczej nie przyszłoby tak szybko do siebie.

— Rozumiem.

— Moi przyjaciele i koledzy powiedzieli prawie dokładnie to samo. Powiedzieli mianowicie, że jeśli moja przyszła szwagierka przestała natychmiast, oddychać, w; co jednak wątpili, to prawie natychmiast musiałaby zacząć oddychać ponownie. Może byłem wtedy tak przejęty, że nie zauważyłem jakiegoś słabego oddechu...

— Hm...

— Byłem naprawdę przejęty, proszę księdza. To my byliśmy odpowiedzialni za Karolinę — ja i Nancy. Jeśliby umarła, to z naszej winy.

Nie miałem zamiaru dyskutować z nim o żydowskim poczuciu winy; my, Irlandczycy, mamy dość problemów z naszymi winami, aby martwić się o winy innych.

— Jednak nie byłem do tego stopnia przejęty, aby nie dostrzec czegoś tak wyraźnego. Ona, proszę księdza, nie oddychała. Stosowałem sztuczne oddychanie co najmniej przez dwadzieścia minut i, prawdę mówiąc, niemal się już poddałem. Przez ostatnie kilka minut miałem jeszcze nadzieję, że może powróci do życia, ale niepokoiłem się, że będzie miała poważnie uszkodzony mózg.

Skinałem głowę.

— Potem zaczęła oddychać, a po kilku minutach przemówiła do nas. Teoretycznie, proszę księdza, to było niemożliwe.

— Wiem.

— Jednak wtedy nie poświęciłem większej uwagi temu fenomenalnemu wydarzeniu. Doszedłem tylko do wniosku, że istnieje dużo więcej rozmaitych reakcji po tonięciu, aniżeli znali moi koledzy. Byłem po prostu szczęśliwy, że Karolina nadal jest z nami i to mi wystarczyło. Niech ksiądz weźmie pod uwagę, że byliśmy wtedy zajęci przygotowaniem do ślubu i mieliśmy mnóstwo problemów. Sądzę, że to, co się przydarzyło Karolinie, odsunęliśmy w otchłań zapomnienia jak jakiś zły sen.

— Słusznie.

— Dopiero w kilka tygodni po uzdrowieniu Brendana połączyłem ze sobą te dwa fakty. I wtedy oblał mnie zimny pot. Kardynał jeszcze żył w momencie, gdy Karolina powróciła do życia. Może byłem świadkiem cudu dokonanego przez żyjącego człowieka?

Moja krew w tym momencie też trochę zastygła.

— Kardynał, odmawiając różaniec, znajdował się tuż obok pana, gdy Karolina zaczęła oddychać.

— Było jeszcze coś więcej, proszę księdza — twarz młodego człowieka poszarzała — on wyciągnął rękę i dotknął ją w chwili, gdy prawie przestałem próbować ją ratować. To był bardzo szybki ruch. Ledwo go zauważyłem. Potem zupełnie o tym zapomniałem, aż do czasu uzdrowienia Brenny'ego. Mogę tylko razem z księdzem dojść do wniosku, że ten pierwszy cud, jaki sprawił kardynał John McGlynn, to nie było uleczenie Brendana, ale ożywienie Karoliny, ukochanej ciotki Brendana — i to za jego życia.

— Czy myśli pan, że kardynał zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił albo co zdawało się, że zrobił?—zapytałem, nie chcąc wymawiać słowa „cud”.

— Tego nie mogę powiedzieć, nawet na podstawie jego późniejszych słów lub czynów. Przez parę dni znajdował się w stanie szoku, jednak nie odniosłem wrażenia, żeby sądził — jakby to wyrazić — ...żeby myślał, iż wypłynęła z niego jakaś „moc” i że to jego dotknięcie, samo w sobie, mogło ją uzdrowić.

54

Dwie godziny później siedziałem w biurze mojego kardynała.

— Jeszcze zrobimy z ciebie watykańskiego dyplomate, Lar. Zasłużyłeś się wynikami swojej pracy.

Był to ze strony kardynała wielki komplement.

— Wątpię, ale przynajmniej Watykan wydaje się zadowolony i teraz zostawi nam tę sprawę. W każdym razie chwilowo.

— I kto wreszcie dał te pieniądze, które Johnny McGlynn zawiózł do Polski?

— Johnny nikomu nigdy nie wyjawiał źródła i ja też tego nie zrobię.

— Rozumiem. A te inne sprawy?

— Aby pomóc bratu, użył rodzinnych pieniędzy. Historia o tym, że wykorzystał pieniądze archidiecezji, to tylko obrzydliwe plotki księży.

— A kobieta? i

— O ile zdołałem się dowiedzieć, nic w tym nie było.

— Bogu dzięki.

— Chcesz, żeby został świętym?

— Nie chcę następnego skandalu, Lar. Chciałbym się dowiedzieć, że był po prostu dobrym człowiekiem.

— Na swój sposób może i był. Ale nie świętym, Steve. Nawet jeśli... — powiedziałem, wahając się przez chwilę — ...odkryłem, jak mi się wydaje, jeszcze jeden cud. Prawdziwy. Taki, który zostałby uznany przez Consulta Medica. I taki, którego dokonał za życia.

— Zażycia?

— Tak.

— Pewnie niedługo trafi do publicznej wiadomości? — zapytał z niepokojem.

— Jeszcze nie teraz. Wielu ludzi było świadkami tego fenomenu, ale tylko jedna osoba była na tyle bystra, aby pojąć, że to był cud. Ta osoba opisała mi to i ten opis zachowam w moich dokumentach. Nikt z nas nie będzie o tym mówił.

— Dzięki Bogu, Lar. Jesteś jednak absolutnie pewny, że Johnny McGlynn sprawił cud za życia?

— Nie, tego nie jestem absolutnie pewny, Steve, ponieważ, jak wiesz, nie należę do głęboko wierzących w boską interwencję. Mówiąc precyzyjniej, w pewnym sensie wiem, że kiedy jeszcze zmarły kardynał żył, był zamieszany bezpośrednio i w sposób istotny w sprawę uzdrowienia, która nie miała wystarczającego udokumentowania i nie posiadała wyjaśnienia wiedzy medycznej.

— Cóż to było takiego?

— Ach... wskrzesił zmarłego.

— Wskrzesił zmarłego! — wykrzyknął kardynał.

— Ta osoba już nie oddychała. Serce nie biło. Mózg przez pewien czas był pozbawiony dopływu krwi. Przypuszczam, że mózg jeszcze nie znajdował się w stanie śmierci klinicznej, ale powinno nastąpić jego rozległe uszkodzenie. Wtedy kardynał dotknął tę osobę tak szybko, że zauważył to tylko pewien lekarz medycyny. Dotknięta osoba prawie natychmiast ożyła. Była zupełnie normalna. Nie zauważono żadnych skutków.

Kardynał zamarł jak posąg w kościele—i był tak samo blady.

— Czy John zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił?

— Tego nie jesteśmy pewni. Prawdopodobnie nie.

— Jak można wskrzesić zmarłego, lub prawie zmarłego, nie zdając sobie sprawy z tego, co się uczyniło?

— Zrobiłeś to już kiedyś?

— Jasne, żenię!

— Ja również. Więc skąd możemy wiedzieć?

— Czy to oznacza, że on jest naprawdę święty, Lar? Czy jesteśmy w kontakcie z bezpośrednimi siłami boskimi?

— Jesteśmy w kontakcie z czymś cudownym, wspaniałym, niesamowitym. Czy w tym momencie zostały zmienione prawa natury? Piekielnie trudno to udowodnić. Możemy tylko powiedzieć, że o ile je znamy, zgodnie z prawami natury nie ma na to żadnego wytłumaczenia. Czy to czyni Johna McGlynną świętym? Nie sądzę — ale całe mnóstwo innych cudów też by mnie nie przekonało. Chcę również widzieć dowód cnoty bohaterstwa, tak samo jak nasi przyjaciele z Kongregacji.

— Wspaniałe i niesamowite, ale nie boskie?

— Właśnie. Sukinsyn, który czyni cuda.

Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję dnia, w którym przyznam, że istnieje taka możliwość.

— Co mamy teraz z tym zrobić?

— Teraz nic, Steve, absolutnie nic. Pozostawić w moim archiwum i pozwolić, jak powiedział Rzym, dojrzeć.

— Ta sugestia ma swoje dobre strony — przytaknął.

— Jeszcze jedno, Steve. Jeżeli to był naprawdę cud, a moi świadkowie są niezwykle wiarygodni...

— Świadkowie? Więc było ich wielu?

— Wiele to widziało. Ale, jak już powiedziałem, tylko jeden człowiek był na tyle blisko, aby zauważyć to dotknięcie. Inni świadkowie, którzy opisali to i potwierdzili szczegóły, nie zdawali sobie sprawy z tego, co się wydarzyło.

— Tak, rozumiem... powiedziałaś, że jeśli to się naprawdę tak wydarzyło, to...

— ...to wówczas, Steve, nie ma powodu sądzić, że nie wydarzyły się też inne podobnie fenomenalne zjawiska. Może kiedyś o nich usłyszymy. I dlatego właśnie opowiedziałem ci o tym. Lepiej przygotuj się ze swoim zespołem na coś podobnego.

Dobry Boże!

Kiedy wyszedłem z Kancelarii na Michigan Avenue, pomyślałem przez moment o Nancy i Noahu. Mimo młodego wieku dużo już przeżyli.

I zdawało się, że kwitną dzięki tym przeżytym emocjom. Nancy była tak twarda, jak to Johnny powiedział wtedy, gdy była ciężko chorym noworodkiem w szpitalu Oak Park.

Nagle zatrzymałem się w miejscu, nie zdając sobie sprawy, że napiera na mnie tłum pieszych wzdłuż Magnificent Mile.

Dobry Boże!

Zastanawiałem się nad faktami.

Lekarze orzekli, że mała dziewczynka umrze.

Johnny obejrzał ją w namiocie tlenowym, zanim poszedł do Mary Elizabeth.

Johnny powiedział, że ta dzielnie walcząca istotka nie umrze.

I ona nie umarła. Ściślej mówiąc, następnego dnia rano, mimo prognozy lekarskiej, po wizycie monsignora'a McGlynn'a była już na drodze do wyzdrowienia.

To było ćwierć wieku temu. Może jeszcze istniały gdzieś zapisy na ten temat w szpitalu Oak Park. Może pracują tam jeszcze jacyś lekarze lub pielęgniarzy, pamiętający tę sprawę. Ktoś może wie, w jaki właściwie sposób dziecko wy-

zdrowiało. Ale niepotrzebny nam był trzeci cud. To byłby następny, jeszcze większy kłopot.

A zatem zatrzymam to dla siebie.

A poza tym do kanonizacji wystarczą tylko dwa cuda.

Był to ciepły jesienny dzień w Chicago. Jednak idąc Michigan Avenue, czułem w żyłach chłód. Wydawało mi się, że coś niesamowitego zbliża się ku mnie.

55

Zakończywszy sprawy z Noahem Epsteinem i kardynałem, powiedziałem Jamiemu o tajnych dokumentach złożonych w sejfie na wypadek, gdyby mi się coś przytrafiło. Wiedziałem, że teraz nie powinienem poruszać tej kłopotliwej sprawy.

Zadawałem sobie pytanie, czy przypadkiem nie mszczę się na Johnnym McGlynnie. Czy żywię do niego aż tak wielką niechęć, że pragnę zniszczyć pamięć o nim? A może próbuję tylko wywiązać się z powierzonego mi zadania?

Następnego dnia, zadowolony, że moje motywy były czyste i uczciwe, odwiedziłem szpital Oak Park. Znalazłszy to, co spodziewałem się znaleźć, albo raczej to, czego sądziłem, że nie znajdę, zapytałem wiedziony impulsem, czy zastałem ordynatora oddziału noworodków. Okazało się, że był.

Doktor McCafrey był szczupły, średniego wzrostu, mniej więcej w moim wieku, z siwymi włosami i porządnie przyciętymi białymi wąsami. Miał na sobie brązową marynarkę oraz spodnie chino i promieniał szczerą wesołością, uspokajającą oraz podtrzymującą na duchu wszystkie przyszłe matki. Zmarszczki uśmiechu wokół jego ruchliwych ust sugerowały, że ten człowiek niezwykle kocha swoją pracę.

— Miło mi poznać księdza. — Wyskoczył z fotela za białym, metalowym biurkiem. — Mam wiele pacjentek z księdza parafii. Bardzo dobrze wyrażają się o księdzu.

— Tak samo wyrażają się o panu, doktorze. Potrafię każdemu dorównać w komplementach.

Po paru podobnych grzecznościach przystąpiłem do rzeczy.

— Interesuje mnie poród sprzed dwudziestu sześciu lat... Chodzi o Mary Annę Quinlan, obecnie znaną jako Nancy. Nie wiem, czy pamięta pan tę sprawę.

— Pamiętam. — Jego brązowe oczy znowu zabłysły, ale tym razem z wyraźnym odcieniem inteligencji. — Wtedy byłem tu dopiero od roku. W Chicago nowy. Jednak nie trzeba tu przebywać długo, aby nie słyszeć o Reillych — a jej matka należała do kobiet, których tak łatwo się nie zapomina.

— Istotnie.

— Co ksiądz chciałby wiedzieć... aco ja mógłbym wyjawić, nie zdradzając oczywiście tajemnic zawodowych?

— Nowo narodzona dziewczynka była bardzo chora, prawda?

Wysunął szufladę biurka i wyjął dwie teczki, tak jakby tylko na mnie czekał.

— Zdecydowanie. — Otworzył jedną z teczek. — Wtedy prawie straciliśmy obie. Nawet ćwierć wieku temu nieczęsto traciliśmy matki. Główną przyczyną był zator. Pani (Rumian miała szczęście, że przeżyła.

Nigdy o tym nie mówiła.

— Twarda kobieta.

— O, tak. Potem, gdy u niej już wszystko minęło, zaczęliśmy tracić dziecko. Było wcześniakiem. Błona szklista. Obecnie możemy z tym walczyć — neonatolodzy mogą uratować około sześćdziesiąt procent z nich. Jednak wtedy... — uniósł bezradnie ręce — ...wtedy, jeśli ksiądz sobie przypomina, to był przypadek śmiertelny, tak jak u dziecka Kennedych. W tamtych czasach śmiertelność sięgała dziewięćdziesięciu pięciu procent.

— A jednak mała Quinlan przeżyła.

— Tak, przeżyła.

— Zaczęła przychodzić do siebie po tym, jak ksiądz pomodlił się i pobłogosławił ją?

Powoli skinął głową.

— Przyprawia mnie to o dreszcz, proszę księdza. Pomyślałem o tym, gdy tylko zobaczyłem Nancy z jej synem w telewizji. Wyciągnąłem z archiwum teteczki. Pomyślałem... no, domyśliłem się, że pewnie kiedyś przyjdzie do mnie jakiś ksiądz i będzie szukał tych teczek.

A więc przyszedł ksiądz, adwokat diabła, który trzęsie się z zimna w gorący jesienny dzień. To nie mogło się wydarzyć. Po prostu nie mogło. To nie tylko zniszczyło moje teorie o Skaczącym Johnnym, ale rozbiło na kawałki cały mój świat.

—Może pan sobie, doktorze, przypomnieć jakieś szczegóły?

—Naturalnie. Byłem przy tym.

— Gdzie? — Teraz coś niesamowitego przeniknęło do gabinetu lekarza i rozprzestrzeniło się jak namacalna mgła grozy i fascynacji.

— Byłem w sali noworodków z młodą pielęgniarką i siostrą zakonną, która od czasu do czasu rzucała na nas okiem. Wtedy przyszedł ten wysoki, przystojny ksiądz i powiedział, że chce widzieć małą Quinlan. Zaprowadziłem go do sali inkubatorów. Pielęgniarka i siostra szły za nami.

— Śliczne maleństwo—powiedział.—Ma jakieś szanse?

— Żadnych, proszę księdza — odparłem, potrząsając głową. — Ona nie przeżyje.

— Pomodłę się nad nią i pobłogosławię. Potem przez chwilę jeszcze pozostanę i jeśli można, pozdrowię jej matkę.

— Nie pamiętam słów jego modlitwy. Sądzę, że modlił się prostymi słowami, ale wypowiadał je z głębokim przekonaniem. Potem pobłogosławił to biedne maleństwo i poszedł do matki. Nie był to jakiś szczególny moment. Sądzę, że zapomniałbym o tym, gdyby siostra nie wpadła do mojego gabinetu o trzeciej rano i nie powiedziała, że dziecko pani Quinlan czuje się lepiej.

—Rozumiem.

— Siostra powiedziała, że to ten ksiądz sprawił cud. Pielęgniarka nie była tego taka pewna. Powiedziałem wtedy coś głupiego, że całe nasze życie jest jednym wielkim cudem. Uzgodniliśmy, że powinniśmy to zatrzymać dla siebie. Matka małej też powiedziała, że to był cud, ale nie mówiła tego w takim samym

znaczeniu, bowiem nie wiązała tego z błogosławieństwem księdza. Myślę, że chciała przez to powiedzieć, iż nam się udało.

— Czy wiedza medyczna nie potrafi wyjaśnić tego rodzaju uleczenia?

— W każdym razie nie tak szybkiego... Czasami noworodki wprowadzają nas wszystkich w błąd — i w tym sensie wiele tego rodzaju uzdrowień można uważać za cudowne. Pani Quinlan uważała, że jest to ...zaskakujące szczęście. Jednak tym razem było inaczej. To wydarzyło się zbyt szybko. Wie ksiądz, może istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie, ale jeszcze go nie odkryliśmy. W tej sytuacji odpowiedź na księdza pytanie brzmi: nie było to uzdrowienie, które wiedza medyczna, wtedy i obecnie, może łatwo wyjaśnić.

To było absolutnie niemożliwe. Wszystko wokół mnie rozpadało się.

— Nie sądzę, aby pan jeszcze utrzymywał jakiś kontakt z tą pielęgniarką?

Uśmiechnął się.

— W pewnym sensie, proszę księdza. Ożeniłem się z nią.

— Bardzo rozsądnie — mruknąłem.

— Tak, to rzeczywiście okazało się rozsądne — uśmiechnął się szerzej. — Siostra zakonna żyje i pracuje w innym szpitalu.

— Czy mógłbym uzyskać ich zeznania?

— Zeznanie mojej żony mam tu spisane — wskazał teczkę. — A od siostry otrzymam z łatwością. Kiedy to ma być opublikowane?

— Nie tak szybko.

— Może i lepiej.

— Długo trzymał to pan w tajemnicy. — Wstałem, wyciągając rękę. — Chcemy oszczędzić rodzinę.

Pożegnaliśmy się.

Powiew chłodu towarzyszył mi aż do Harlem Avenue. Czy to wydarzyło się naprawdę? Czy Johnny zdawał sobie sprawę z tego, co robił? Czy to była jakaś podświadomie funkcjonująca umiejętność? Ile razy to się wydarzyło?

Nie chciałem myśleć o żadnych możliwych odpowiedziach na te pytania.

Zadawanie tych pytań było w pewnym sensie zbędne do wypełnienia powierzonego mi przez kardynała zadania. Teraz przedstawię mu ten fakt i powiem, że mam na to odpowiednie dokumenty. Ale również przedstawię mu swoje osobiste

wnioski. Jeżeli sprawdzona przeze mnie teoria okaże się słuszna — a byłem przekonany, że tak będzie — wtedy te wszystkie cudowne zjawiska nie będą potrzebne.

Złożyłem jeszcze kilka wizyt, skopiowałem pewne materiały, załatwiłem kilka telefonów i odwiedziłem fotografa.

Wszystkie kawałeczki układanki znalazły się na właściwych miejscach — tak jak przypuszczałem.

56

— Jesteś punktualny, Lar — powiedziała Mary Elizabeth, otwierając drzwi swojego domu przy Lathrop. — W przeciwieństwie do większości księży.

Po prawej stronie domu, na podjeździe, błyszcząc w późnym wrześnieowym słońcu, stały zadowolone z siebie benz i jaguar.

— To piękny dom, Mary Elizabeth. Pewnie włożyłaś dużo wysiłku w jego przebudowę.

— Chciałam przywrócić mu taki stan, w jakim był zaraz po wybudowaniu, tuż przed wojną — to znaczy przed pierwszą wojną światową—i utrzymać go w czystym edwardiańskim stylu, ale zarazem uczynić wygodnym i nowoczesnym.

Miała na sobie prosty, ciemnoszary kostium i białą bluzkę z jasnoszarym krawatem. Jediną biżuterię stanowiły małe złote kolczyki i kardynalski sygnet z rubinem. Była po prostu przygotowaną do pracy popołudniowej kobietą interesu.

— Ten dom kiedyś należał do McGlynnów, prawda?

— Tak, Delia wprowadziła się do niego, gdy wrócili z Doktorem z podróży poślubnej. Byli drugimi właścicielami. Z pewnością bardzo go kochała.

— Przypuszczam.

Może od samego początku to było dla niej za dużo? I znowu pomyślałem: biedne dziecko.

— To smutne, że tak umarła, prawda?

— Przykre, że jej życie było tak długo smutne.

— Nie kupiłam tego domu od niej, ale od jej rodziny, której go sprzedała po przeprowadzeniu się do apartamentu przy Marine Drive. Uważali, że dom jest za duży i za stary, aby go utrzymać. Wiedziałam, że trzeba go przebudować, i pomyślałam, że właśnie na to mam ochotę. Chciałam też być bliżej moich braci. Iggy mieszka w naszym starym domu, to tylko dwa domy stąd.

— To jest to witrażowe okno?—wskazałem na schody.

— Tak. Prawie pewne, że to Tiffany. W napadzie jakiegoś kaprysu Delia kazała okno zamalować i musiałam je odrestaurować.

Weszliśmy po schodach na górę. Na szerokim podejściu pomiędzy pierwszym a drugim piętrem stał dom lalek, mieniąc się wieloma odcieniami kolorów we wpadających przez okno popołudniowych promieniach słońca.

— Karoliny — powiedziała po prostu. — Nie jest oryginalny.

— Ale nie różni się bardzo od tamtego.

— Został odtworzony możliwie wiernie... zadziwia cię mój sentymentalizm, Lar?

— Raczej tak.

Zeszliśmy na dół. Poprowadziła mnie do ogromnego salonu utrzymanego w szarościach i kolorze kości słoniowej, bardzo kosztownego, bardzo eleganckiego i nowoczesnego, ale na tyle pełnego drobiazgów z epoki edwardiańskiej, aby można było sobie wyobrazić, że jest się w roku 1910.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach w rogach pokoju, które oddzielał mały, niski stoliczek stojący pomiędzy nimi. Była to część salonu przeznaczona do poufnej rozmowy we dwójkę.

— Tu mam papiery dotyczące pożyczki, której John udzielił swemu bratu na poczet spadku po Doktorze.

— Co? — przez chwilę byłem zaskoczony.

— Alienacja własności kościelnej. — Westchnęła i podała mi teczkę.

— Ach, tak... — zerknąłem w papiery. Wszystko było w porządku, włącznie z podpisem pod wyrażeniem zgody Jamesa A. McGlynnia IV na odsunięcie się na okres dziesięciu lat od działań na wszystkich giełdach.

— Mary Elizabeth — odezwałem się, ignorując oferowaną mi herbatę — nie powiedziałaś mi prawdy. Mogę zrozumieć, dlaczego tego nie zrobiłaś, ale teraz z trudem wierzę we wszystko, co powiedziałaś mi o Johnnym McGlynnie.

Położyłem na stolyczku kopertę, którą przyniosłem w teczce. Jej twarz przybrała wyraz nieruchomej maski, oczy stały się zimne, ciało zeszytywniało.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała zimno.

— Wiesz, Mary Elizabeth. Ostatnią rzeczą, jaką chciałbym zrobić, to być wobec ciebie okrutny. Zbyt długo cię znam i za bardzo lubię, aby cię krzywdzić. Ale dziś musimy sobie powiedzieć prawdę. Całą prawdę. Nie ma innego sposobu.

— O jakiej prawdzie ty mówisz? — spytała lodowato. — Zapewne bzdurnie wyobrażasz sobie, że coś odkryłeś?

Wiadomo było, że będzie grała na tej strunie do końca. Musiałem być szorstki.

— Karolina jest córką Johnny'ego.

— To fantazja twojego brudnego, księżowskiego umysłu — warknęła.

Wskazałem kopertę.

— Zgodnie z zapisem w księdze chrztów u Św. Łukasza, urodziła się w dziesiątym, a nie w dziewiątym miesiącu od śmierci twojego męża. I, jak to pokazuje zapis u św. Łukasza, nie w szpitalu Oak Park.

— To było dziecko spóźnione.

— Nie, Mary Elizabeth. W istocie ona urodziła się o miesiąc za wcześnie. W szpitalu Lakeland, w Elkhorn. Byłaś wtedy nad jeziorem Geneva, prawdopodobnie spodziewając się, że będzie wcześniakiem. Ważyła mniej niż pięć funtów. I prawie ją straciłaś. Jej narodziny zostały zapisane w hrabstwie Walworth, a nie w hrabstwie Cook.

— To absurd. Nie chcę tego słuchać. Proszę wyjść. Jednak nie wstała.

— Wyciągnięcie z basenu własnej córki było w jego życiu tym punktem zwrotnym, prawda?

Wpatrywała się we mnie z nienawiścią w oczach.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bowiem właśnie w tym roku coś się zaczynało zmieniać. Nawet Len zauważył, że zrezygnował z biletu na Super Bowl. Bearsi zostali mistrzami sezonu w 1985, był to rok, w którym uratował Karolinę.

— Życie to nie sezon footballowy — mruknęła. Trafiłem w sedno. Uratowanie Karoliny, jej cudowne

ożywienie, wtedy coś głęboko przełamało się w Skaczącym Johnnym. Marbeth musiała mu powiedzieć tej nocy, załamała się pod wpływem chwilowej emocji.

— Proszę cię, zajrzyj do tej koperty, Mary Elizabeth.

— Nie chcę! Nie muszę tego wszystkiego wysłuchiwać.

— Załatwiłaś wszystko dzięki swojemu majątkowi. — Otworzyłem kopertę. — Założę się, że nawet twoje córki niczego nie podejrzewają. Ale za pieniądze nie można kupić uchylenia się od prawdy.

— Nie będę oglądała tych twoich cholernych szpargałów! Nie obchodzi mnie, co w nich jest!

— Wobec tego spójrz na to zdjęcie.—Podąłem jej fotografię, którą trochę spreparowałem, aby wszystko było wyraźniejsze. — Kto to jest?

Rzuciła okiem.

— Sądzę, że tak będzie wyglądała Karolina za jakieś osiem, dziewięć lat — piękna i szczęśliwa, o ile zostawisz ją w spokoju.

— Nie, Mary Elizabeth, to jest Delia Meehan McGlynn. To jej ślubne zdjęcie, zrobione na krótko przed przeprowadzką do tego domu.

Wzięła do ręki fotografię pozbawioną ślubnych dodatków.

Była, biedactwo, naprawdę piękna.

Przestała walczyć. W charakterystyczny dla siebie sposób postanowiła nie marnować energii w przegranej sprawie. A potem, ku memu zaskoczeniu, nagle się rozpląkała.

— W porządku, Lar. Nie doceniałam cię. Bałam się tego. Przykro mi, że cię oszukałam. Próbowałam. Wygrałeś.

Wydawało się, że duchem jest nieobecna w pokoju, zostawiając tylko płaczącą, uległą powłokę.

—Ja tak nie myślę.

— I co teraz z tym zrobisz? — Wsunęła papiery i fotografię do koperty. — A przy okazji, chciałabym mieć reprodukcję tej fotografii. Jest naprawdę piękna.

— Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Jej płacz nie był histeryczny. Łzy płynęły wolno, jakby wylewało się z niej morze smutku. Skinęła głową.

— Milutki do końca. Teraz mogę ci powiedzieć całą prawdę, chociaż nie masz już powodu wierzyć ani jednemu słowu.

— Jednak wysłucham cię.

— To był bardzo krótki romans, trwał najwyżej tydzień. Byłam kompletnie załamana śmiercią Buda. Próbowałam ratować firmę i równocześnie utrzymać razem rodzinę. Prokurator na moją groźbę odpowiedział oskarżeniem Petera. Ja... nie próbuję się usprawiedliwiać. Wiedziałam, co robię. Po prostu załamalam się. Teraz wstydę się tego. To wszystko moja wina. Sprowokowałam go — uśmiechnęła się gorzko — i to z lepszym skutkiem aniżeli wtedy w Eagle Lake. Współczucie i czułość działają bardziej erotycznie niż nagie ciało. Nawet nie jestem przekonana, czy sprawiło mu to wielką przyjemność. Ale, niech mi Bóg przebaczy, mnie sprawiło. Potem oboje ocknęliśmy się. Wszystko minęło. I nigdy się nie powtórzyło. Bóg mi świadkiem.

Byłem gotów jej uwierzyć, ale nie byłem tego pewien w stu procentach. Uwolniła mnie od natychmiastowego komentarza.

— To był straszny grzech — kontynuowała — tak, naprawdę straszny. I to ja byłam dla niego tą pokusą. Przez całe życie byłam dumna, że kontroluję własny los. Wtedy straciłam kontrolę. Byłam absolutnie pewna, że przeżyłam jedynie młodzieńczą miłość do Johna. A jednak nie. To wróciło i zachowywałam się jak głupia smarkula. Stan mojego umysłu nie usprawiedliwiał mnie. Powinnam była zostać ukarana. A co Pan Bóg zrobił? Zesłał mi Karolinę. Zamiast kary zostałam wynagrodzona. I czy to ma jakiś sens? Czy mogę kochać rezultat, a równocześnie żałować, że zgrzeszyłam?

— Nie jestem twoim spowiednikiem, Mary Elizabeth.

— Nie jesteś nawet moim księdzem. — Otarła łzy i próbowała się uśmiechnąć. — Jeszcze nie zostałeś na niego wyznaczony.

— To nie ma znaczenia. Jestem przekonany, że Pan Bóg dawno już udzielił ci potrzebnego rozgrzeszenia.

— Wiem. — Przestała płakać i znowu stała się kobietą kontrolującą swoje emocje.

— Czy Karolina wie, kto był jej ojcem?

— Do tej pory nic jej nie powiedziałam. Może powiem, gdy będzie na tyle dorosła, aby to wszystko zrozumieć. Ale nie sędzę, żeby ją to zaniepokoiło. I tak kochała Johnny'ego jak ojca. Przecież ona w ogóle nie знаła Buda... Masz we wszystkim rację. Oszukałam nawet własne córki. Od początku wiedziałam, że będzie wcześniakiem. Nie zrobiłam nic, aby przyspieszyć poród. Nawet za to bardzo ją kochałam.

— Kiedy powiedziałaś Johnny'emu?

— Nigdy mu nie powiedziałam. Chciałam ustrzec go od wiedzy, która mogłaby go zmartwić. To było głupie, ale jak wiesz, zawsze go chroniłam, bez względu na ryzyko.

— A więc on nie wiedział?

— O tak, wiedział. Domyślił się. Tej nocy, gdy wyciągnął ją z basenu, w Karolinie ujrzał twarz swojej matki. Dowiedziałam się o tym krótko po jego śmierci. Przypuszczam, że i on też nie chciał mnie martwić. — Skrzywiła się. — Oboje byliśmy tacy sami.

— Więc jednak cię kochał?

— Nie w ten sposób. On chroniłby każdego. Nie chciał nikogo skrzywdzić, jeśli to tylko było możliwe. Przypuszczam, że według ciebie oznacza to słabość.

— To lepsze niż obojętność. — Rozpaczliwie szukałem sposobu, jak uruchomić zegar zapalnika bomby, którą wykryłem.

— Co teraz zrobisz, Lar?

— Nie wiem. A co, według ciebie, powinienem zrobić?

— Powiesz o tym kardynałowi? — wskazała kopertę. — Czy nie na tym polega twoje zadanie?

— Może.

— Wahasz się? Dlaczego?

— Nie chcę skrzywdzić ciebie i Karoliny.

— Jakoś to przeżyjemy.

— A co, jeśli on jest święty?

— Nie odrzucasz takiej możliwości?

— Nie, ale tylko jako możliwości. Umilkliśmy.

— To było interludium, Lar. Nie dopuściliśmy, aby to się powtórzyło. Czasami to było bardzo trudne. Sądziliśmy, że zwalczyliśmy to w sobie, ale to nie była prawda.

— Nie moją sprawą jest was osądzać, Mary Elizabeth. Bóg jeden wie, co sam zrobiłbym w podobnej sytuacji.

— Ale musisz podjąć decyzję, czy powiedzieć kardynałowi, że Johnny McGlynn miał nieślubną córkę.

— Nie muszę podawać jej imienia.

— Domyśli się. Każdy by się domyślił.

— Posiadasz jego prywatne archiwa, Mary Elizabeth? Czy wtedy powiedziałaś mi o nich prawdę?

Zagryzła wargi.

— I tak, i nie, Lar. W dosłownym znaczeniu nie istniało żadne jego prywatne archiwum. Miał coś w rodzaju pamiętnika, który spisywał na skrawkach papieru. Jakieś luźne notatki. A poza tym jakieś brudnopisy listów do papieża.

— Jego wspomnienia?

— Coś w tym sensie. Czytając je, dowiedziałam się o nim więcej niż przez te wszystkie lata naszej znajomości.

— Myślisz, że powinienem je przeczytać?

— Jeżeli je przeczytasz, to staną się częścią twojej dokumentacji?

— Mogłyby się stać. Zawahała się.

— Ja go kochałam, byłam więc głęboko poruszona historią, którą tam opowiedział. Nie wiem, co inni o tym pomyślą. Pewne rzeczy mogłyby całkowicie zniszczyć jego reputację. No wiesz... ja nie byłam jego jedyną kobietą. Większość z nich, a może nawet wszystkie, spotkał przed swoim wyświęceniem. Trudno o tym mówić.

— Jednak muszę cię jeszcze raz o to spytać. Powinienem to przeczytać?

Obserwowała mnie z uwagą.

— Już więcej nie można mu zaszkodzić. I ty o tym dobrze wiesz. — Szybko wstała. — Dam ci to do przeczytania. Wtedy będziesz miał w ręku nas oboje.

—Przeczytam tu na miejscu.,— Schowałem do teczki kopertę z moimi dokumentami.

— To nie jest konieczne.

Zaprowadziła mnie głównym korytarzem do biura położonego na tyłach domu.

—Ależ to właśnie jest konieczne. Jeżeli zabiorę te materiały ze sobą, wówczas znajdę się w ich posiadaniu. A nie jestem pewien, czy chciałbym tego.

Zdjęła ze ściany obraz i otworzyła niewielki sejf. Wyjęła z niego dużą kopertę z manili.

— Tu jest wszystko. — Jej głos ciągle brzmiał beznamiętnie, wypaliły się w niej wszystkie emocje i znikły pod zewnętrzną powłoką stoicyzmu. — Włączę kopiarkę. Możesz wszystko skopiować.

— Stawiasz wszystko na jedną kartę, Mary Elizabeth? — Uniosła wzrok sponad jeszcze nie otwartej koperty. Zaczęła znowu płakać.

— Przykro mi, że ci nie ufałam od samego początku. Właściwie byłam ci to winna — w każdym razie byłoby to najmądrzejsze. Więcej tego nie zrobię.

— To absolutnie konieczny warunek, abym mógł zostać twoim księdzem.

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Jeszcze ci tego nie zaproponowałam.

— To może być bez znaczenia. Zatrzymała się przy drzwiach.

— Muszę ci coś powiedzieć, Lar. Rzadko mi się zdarza, że nie wiem, jak coś ująć.

— Spróbuj.

— Chcę powiedzieć, że... nie wiem, co chcesz zrobić, ale ufam, że to, co zrobisz, będzie w porządku. Nie usłyszysz ode mnie żadnych zastrzeżeń, bez względu na to, co się wydarzy.

— To znaczy, że dajesz mi wolną rękę, Mary Elizabeth?

— Tak, daję ci wolną rękę.

Swobodny pamiętnik Johna Arthura McGlynnna był czymś więcej niż tym, na co byłem przygotowany. Było to absolutnie szczere wynurzenie, a nie coś, co napisano dla prywatnego lub publicznego użytku, tak jak wspomnienia Mary Elizabeth lub Lena Careya. Mary Elizabeth nabrała mnie i dlatego to, co czytałem teraz, potraktowałem jak szczerą relację. Czytając pamiętnik Johnny'ego, zdałem sobie sprawę, że mimo tych wszystkich rewelacji i intymnych detali, jej wspomnienia były całkowicie spreparowane.

Pamiętnik Johnny'ego rozpoczynał się od dni jego pobytu w Północnoamerykańskim Kolegium w Rzymie. Uważał Rzym za coś ekscytującego, za odświeżającą odmianę po Mundelein. Wyraźnie czuło się, że uwalnia się tam od wpływów dominującej matki, chociaż równocześnie z tekstu przebijało uczucie miłości do niej. Przez wszystkie jego myśli ciągle przewijała się Marbeth. „Cenię ją jak siostrę”—pisał. Ale z tego, co pisał, wynikało, że miał na myśli inny rodzaj stosunków. John był wyraźnie zakłopotany, nie mogąc jej przekonać, że jego powołanie jest szczere. Wydawało się, że sam miał co do tego wątpliwości, chociaż wątpliwości w istnienie Boga były całkowicie szczere. „Wiem, że to dla Marbeth brzmi idiotycznie. Mnie samemu trudno to zrozumieć, a co dopiero wytłumaczyć. Muszę jednak zostać księdzem, a potem pozwolić Bogu — o ile istnieje — zdecydować o moim dalszym losie. Bez względu na to, czy wierzę w Jego istnienie, mam wszechogarniające uczucie, że przeznaczył mnie do jakiegoś zadania. A to zadanie rozpocznie się wraz z moim wyświęceniem.”

Najbardziej zdumiała mnie w pamiętniku Johnny'ego szczerść, gdy w detalach opisywał swoje kobiety. Zostawić po sobie tego rodzaju zapis było co najmniej dużym ryzykiem; gdyby dostał się w niepowołane ręce, mógłby spowodować koniec jego kariery duchownej. John zdawał się rozumieć to niebezpieczeństwo, ale równocześnie wydawało się, że opisywanie swoich przygód sprawia mu ulgę. Dla niego było to coś w rodzaju spowiedzi.

Chociaż był powściągliwy, jeśli chodzi o Mary Elizabeth, nie krępował się w stosunku do innych kobiet. To znaczy, powinienem powiedzieć, w stosunku do

niektórych z nich. Johnny był przekonany, że potrafi wyczuć kobiety, którym mógłby wyrządzić krzywdę, kładąc się z nimi do łóżka (jak Mary Elizabeth), i te, które w ogóle nie przejmowały się tego rodzaju niedozwolonymi przygodami. W Rzymie kochał się ze starszą kobietą — wyraźnie rozkoszując się swoją i jej przyjemnością. Po tym kontakcie wyraził coś w rodzaju skruchy i nawet uczynił pewną obietnicę poprawy. Ale ta obietnica, jeśli rzeczywiście była szczerą, miała krótki żywot.

Wkrótce po tej przygodzie miłosnej znalazł sobie inną kobietę, też około czterdziestki. Właśnie wtedy zauważyłem pewną regułę — czyżby wszystkie jego wyskoki dotyczyły starszych kobiet? Co Mama Maggie powiedziała? Przerzuciłem strony i doszedłem do miejsca, w którym w plastyczny sposób opisywał swoje kochanki. „Bardzo zabawne. Drażnią mnie i doprowadzają do szału. W efekcie ja również zaczynam je drażnić i doprowadzać do szału. Nie mogłem uwierzyć, że na świecie istnieje tyle przyjemności. Ciągłe je pożądam, jednak rano wracają do Ameryki.”

Muszę stwierdzić, że Johnny był tak samo oszołomiony tymi seksualnymi potyczkami jak ja, czytając o nich w pamiętniku. Wyglądało na to, że czasem do tego stopnia ogarniało go pożądanie, jakby doznawał jakichś ataków epilepsji. Jeżeli okazywał jakiegokolwiek poczucie wstydu, to raczej ze strachu, że może zostać nakryty. Wyraźnie wierzył — nie mam powodu, aby myśleć inaczej — że wszystkie te kobiety chętnie wchodziły do jego łóżka, nie oczekując niczego innego jak tylko pół godziny przyjemności. W tym sensie nie mylił się, zaliczając Mary Elizabeth do innej kategorii.

Kiedy po powrocie do Chicago, służąc pod tym śledziennikiem proboszczem, John dowiedział się czegoś więcej o Doktorze, pozwoliło mu to głębiej wniknąć we własną naturę. Pewnego razu na kolacji z bratem Jimmym, kiedy ten znajdował się bez wątpienia w swoim zwykłym stanie upojenia alkoholowego, usłyszał, jak Jimmy powiedział, że „Doktor kipnął w siodle”. Johnny udał, że tego nie rozumie. „Mam ci to przeliterować?” — spytał go Jimmy. „Ten facet był zwykłym Don Juanem. Miał coś dla tych dam, a one miały coś dla niego. Spójrz na to trzeźwo, Johnny. Chryste, czy ty naprawdę myślisz, że kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, on pracował nocami?” Johnny właśnie tak myślał. Ale po tej kolacji

z Jimmym zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem nie odziedziczył po Doktorze tej fatalnej skłonności.

Odziedziczone czy nie odziedziczone, Johnny po wyświęceniu i ślubach celibatu zdawał się hamować swoje pożądanie. Jego zainteresowania, jak pisał w swoim pamiętniku, zwróciły się w innym, prawym kierunku. Coraz więcej pisał o rozgrywkach wewnątrz Kurii, o nowinkach z domu, o uporze matki, aby zrobić z niego dostojnika kościelnego. Chciał spełnić jej życzenie i sprawić jej przyjemność. Jednak bał się, że mu się to nie uda. John tu i ówdzie zastanawiał się, dlaczego tak się do tego pcha, ale w gruncie rzeczy poważnie nie interesowały go przyczyny, po prostu zaakceptował to i szedł do przodu. Mama Maggie z trudem utrzymałaby go na swojej leżance. Jeżeli oczywiście Mama Maggie jest tym rodzajem psychologa, który używa leżanki. Znając ją, jestem pewien, że używa subtelniejszych metod.

Wyraźnie widać, że w późniejszych latach życia Johnny próbował opierać się pokusom seksualnym, opisując wyraziście swoje podróże za żelazną kurtynę razem z piękną panią profesor. Wyraźnie do siebie łąnęli i chociaż często fizycznie i emocjonalnie byli sobie bliscy, ich znajomość pozostała czysta. Jednak pokusa była duża. Jako mąż i żona często musieli zajmować wspólny pokój w hotelu i spać w tym samym łóżku. Z panią profesor niespokojnie wiercąca się obok w łóżku, Johnny pisze: „Ona stanowi dla mnie przepyszną, małą nagrodę. Po prostu odchodzę od zmysłów z pożądania. Odejść od Marbeth było dużo łatwiej, aniżeli trzymać ręce przy sobie w obecności tej kobiety. Skrywam uczucia, jak tylko mogę, aby jeszcze bardziej jej nie rozpalać”. A kiedy nadchodzi pora porannego rozstania, pisze: „Pocałuję ją na pożegnanie. Delikatnie w usta”.

Johnny, po powrocie do Chicago, czuł się szczęśliwy w roli kardynała, jednak to szczęście plamił pewnego rodzaju smutek: Delia była już zbyt chora, aby cieszyć się jego triumfem. Johnny'ego denerwowała odpowiedzialność. Czuł, że nie jest przygotowany do kierowania archidiecezją. Czuł się wyobcowany. Ze względu na pobyt w Rzymie, w Afryce i za żelazną kurtyną był bardziej nieobecny aniżeli obecny w życiu rodziny i kolegów księży.

Mary Elizabeth szybko pospieszyła mu z pomocą, nie tylko w roli jego finansowej doradczynie, ale również jako powiernica i przyjaciółka. Ta przyjaźń

kosztowała go wiele, a także, o ile wiem, wiele kosztowała Mary Elizabeth. Przekonał się, że znowu jej pożąda, nawet bardziej niż kiedykolwiek, szczególnie po tym, jak Bud popełnił samobójstwo. „Moje usta tęsknią za twoimi ustami — pisze, zwracając się do niej w pamiętniku tak, jak nie mógł tego zrobić bezpośrednio. Moje palce z desperacją szukają twoich piersi. Bardzo cię pragnę. Powtarzam sobie, że muszę cię mieć znowu i znowu. Wzniecasz we mnie najgłębsze wzruszenia. Spalam się w ogniu namiętności. Ty dajesz mi obietnicę światła i miłości.”

Jednak John nie pisze, co nastąpiło po przyplywie takiego pożądania.

Ze zdumieniem przeczytałem w pamiętniku Johnny'ego o sobie. Mimo wszystko czułem się pochlebiony, czytając: „W pewnym sensie trochę mu zazdroszczę, zawsze mu zazdrościłem. Jest uczciwym, dzielnym księdzem, który nigdy nie wątpił w swoje ideały, cele i pryncypia. Chciałbym mieć w sobie odrobinę jego stanowczości i wizjonerstwa”. Kiedy czytałem dalej, ogarnęło mnie jeszcze większe zdumienie, tak bowiem pisał o naszej bardzo nieprzyjaznej rozmowie i moim odejściu: „Czułem, że wreszcie zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi”. Wyobraźcie sobie!

Ale te fragmenty, które najbardziej mnie przygwoździły, zostały mętnie nagryzmołone krótko po wyciągnięciu Karoliny z basenu. Wyraźnie następujące później objawienie okazało się jednym z największych zalewów doznań i uczuć w życiu Johnny'ego.

Musiało to być następnego dnia po wypadku Karoliny. Napisał dużymi, czarnymi literami: O MOJA KAROLINA! KAROLINA! KAROLINA!

Potem, w kilka dni później, dodał ciągle jeszcze drżącą ręką: „Czuję się już trochę lepiej. Ale jeszcze nie mogę dojść do siebie po tym, co się stało minionej niedzieli w nocy. Nigdy nie zapomnę zaczerwienionej twarzyczki mojej małej dziewczynki, którą wtedy zobaczyłem po raz pierwszy, i twarzy tej biednej, na pół żywej kobiety w apartamencie przy Marine Drive. Wiedziałem, że dziecko nie żyje, kiedy znalazłem jej ciało w ciemnościach wody basenu. Wiedziałem, że nie żyje, gdy złożyłem jej ciało na ręczniku przy basenie. Wiedziałem, że nie żyje, gdy Noah próbował wtłoczyć powietrze w jej biedne, małe płuca”.

„Ale ona żyła. Modliliśmy się i powróciło w nią życie. I teraz też żyje”.

„Och, jak teraz dziękuję za to Bogu. Nie będąc pewien, że Bóg istnieje, ten młody Epstein nie poddał się, nie zrezygnował z wysiłków ożywienia jej, gdy zdawało się, że już wszystko stracone. Trwało to tylko trochę dłużej. Ale prawie ją straciliśmy! Dlaczego życie jest takie kruche?”

Nie było żadnej aluzji, że zdawał sobie sprawę, iż odzyskała życie dzięki niemu, tak jak nie było o tym śladu we wcześniejszych słowach, kiedy opisywał wizytę u Mary Elizabeth w szpitalu i uzdrowienie Nancy.

Napisał tam opanowaną ręką: „Jakie ważne jest życie. Jak bardzo zaniedbałem moje własne. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję, że nie jestem już tym samym człowiekiem, który jechał w upalne popołudnie minionej niedzieli nad jezioro Geneva. Dlaczego jestem taki egzaltowany?”

W kilku następnych urywkach Skaczący Johnny McGlynn stał się mistykiem. Czytając te akapity czułem, jak coś niesamowitego wkrada się do pokoju. „Kim Ty jesteś? Czego chcesz? Dlaczego wkraczasz w moje życie? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? Nie chcę Cię znać! Wracaj do ciemnej wody basenu, tam, gdzie Twoje miejsce! Nie mogę Cię znieść!”

Bóg?... Zastanawiałem się, czytając te akapity. Czy taki jest Bóg, kiedy się Go naprawdę pozna?

Te mistyczne wtręty przewijały się przez kilka dni. „Nie znam Cię. Dlaczego zajmujesz się mną? Dlaczego właśnie teraz wkraczasz w moje życie? Co takiego rozdarłeś we mnie? Dlaczego poruszyłeś coś w głębi mojej duszy? Czego chcesz ode mnie? Nie możesz zostawić mnie w spokoju? Nie jestem wart Twojego trudu. Zrozumiałbyś to, gdybyś znał mnie tak dobrze, jak twierdzisz”.

Ale Ten, z którym John walczył, nie poddał się. „Proszę, odejdz. Nie mogę znieść tych rozszarpujących mnie miłości. Miłość do Karoliny, do jej matki, do całej jej dzielnej rodziny, do wszystkich na całym świecie. Szczególnie do moich kapłanów i ludzi. Za dużo, aby to wytrzymać”.

Zatem Johnny spróbował innej, klasycznej techniki, aby oderwać się od Boga, spróbował fortelu Izajasza. „Jestem pusty, wydrażony. Wiesz o tym. I ja też wiem. Za późno, żebym się zmienił. Nigdy nikogo nie kochałem bezinteresownie. Odejdz, proszę. Nie mogę Cię kochać. Z powodu Ciebie i tego, jak chcę żyć, nie mogę kochać nikogo tak, jak kocham w tej chwili. Ta miłość pożera mnie, wypala, zmienia w popiół”.

Ale to wcale nie pomogło Johnny'emu bardziej niż Izajaszowi. Pisał w następnym fragmencie: „Czy Ty jesteś Bogiem? Jeżeli jesteś Bogiem, to dlaczego nie jesteś taki, jak się spodziewałem? Dlaczego tak bardzo Ci na mnie zależy, bardziej niż komuś, kto mnie kiedykolwiek kochał? Dlaczego jesteś podobny do tych kobiet, które cenilem—moja matka, Kate, Annemarie, Mary Elizabeth, Karolina. One wszystkie potrzebowały mnie, albo były o tym przekonane. Wydaje się, że Ty mnie potrzebujesz w ten sam sposób. Ty nie możesz być Bogiem. Ty jesteś kimś innym, kimś, kto udaje tylko Boga”.

Ten gambit też mu nie wyszedł. I wtedy zaczęło mu coś świtać: „Bóg podobny do Marbeth? To niemożliwe. Nie mogę w to uwierzyć. Ale może, właśnie może, może mógłbym właśnie w ten sposób kochać Boga. Kto wie”.

Następnego dnia znalazł się w pułapce: „Bóg, który ma słabe strony? Nie wierzę. Nie chcę być kuszony przez Ciebie. Przez całe życie próbowałem unikać pokus atrakcyjnych kobiet. A Ty nie jesteś, nie możesz być bardziej od nich atrakcyjny. Mogę również oprzeć się Twojemu powabowi. Oszaleję, jeśli nie odejdziesz. A może już jestem szalony”.

„Nie wierzę, że przewijałeś się poprzez wszystkie miłości mego życia, nawet przez te złe i grzeszne. Nie wierzę, że bym w tych miłościach przez całe życie tak szukał Ciebie, jak Ty szukałeś mnie. To nedorzeczne. Odejdź. Odprawiam Cię... Wszystko skończone. Koniec, kropka. Wracam do swojego zwykłego ja”.

W końcu tak, jak my wszyscy, którzy uwikłaliśmy się w sprawy z Bogiem, musiał ulec. „W porządku. Wygrałeś. Wiedziałeś, że wygrasz”.

Od tego miejsca pamiętnika Johnny'ego nie wypełniają już szczegóły sukcesów Don Juana lub ambitnego, pnącego się po drabinie kariery kościelnej duchownego, ale proste, eleganckie kazania, obejmujące tematy od pokoju do miłości rodzinnej. Były tam też włączone bezpośrednio, pełne pasji błagania skierowane do Ojca Świętego, aby mu raczej dodał odwagi, a nie wypominał złych postępów. W innym znowu miejscu prosił, aby ustosunkował się do roli kobiet w Kościele. Nie był to list, jaki wysłałby ambitny ksiądz. Widziany tu Johnny był zupełnie inny od tego z początków kariery, który kiedyś wypisywał płaskie, banalne kazania pełne dowcipów. Teraz istniał Johnny odmieniony, zdecydowany i otwarty. Najbardziej zdumiało mnie, że ta zmiana spowodowała, iż obecnie mogłem nawet podziwiać tego nowego Johnny'ego.

Zdumiewająca historia, pomyślałem, odkładając ostatnią stronę pamiętnika. Czy pod koniec życia był szalony? Czy po odkryciu, że Karolina była jego córką, postradał zmysły? Ale chyba zwariował, myśląc, że byłem jego przyjacielem.

Ile w tych setkach stron tkwi dynamitu? Wystarczy, żeby zatopić kilka statków. Jego wypadki seksualne, kiedy jeszcze był seminarzystą, wystarczyłyby, aby w pewnych sferach pogrzebać nawet myśl o kanonizacji.

I chociaż był powściągliwy, podobnie jak Mary Elizabeth, aż po ostateczne spełnienie pasji całego życia, docenił szczęśliwy wynik tego związku: małą Karolinę, której niesamowite podobieństwo do młodej, rozpromienionej Delii najbardziej uwidoczniło się w uspokojonych pod wpływem śmierci rysach jej twarzy.

Wyjrzałem przez okno biura Mary Elizabeth. Wracając ze szkoły do domu, ulicą wolno szły dziewczęta w mundurkach Trinity. Wkrótce pojawią się dzieci od Św. Łukasza. Czas odejść.

Nie było wątpliwości, że miał przynajmniej jedno nieślubne dziecko. Miałem na to dowód. Matka dziecka potwierdziła. A on faktycznie przyznał się w swoim pamiętniku.

W liście do kardynała mogłem napisać coś w tym stylu: „Uzyskałem niepodważalne zeznanie, włącznie z potwierdzeniem matki, że zmarły kardynał, w latach pełnienia funkcji arcybiskupa, był ojcem nieślubnego dziecka. Obecnie nie ma sensu podawać nazwiska dziecka ani miejsca jego pobytu. Niemniej, w tych okolicznościach, byłoby prawie niemożliwe, aby był odpowiednim kandydatem do procesu kanonizacyjnego”.

Być może, mimo powolnego przeciekania informacji o nieślubnym dziecku, nadal ogólnie byłby czczony. Tego nie mogłem powstrzymać. Może kiedyś, w przyszłości, gdy komisja archidiecezjalna będzie badała tę sprawę, to, co napiszę w tym liście, nie będzie już miało takiego znaczenia jak dzisiaj. Niemniej jednak wykonałem zadanie.

Ochroniłem też — i to dość dobrze — Marbeth i Karolinę. Johnny był przez kilka lat arcybiskupem w Rzymie, w zespole Sekretariatu Stanu, zanim przysłano go do Chicago. Mógł równie dobrze tam zostać ojcem.

Kardynał będzie mógł sobie dowolnie spekulować. Nie będzie wiedział, gdzie szukać dowodów, i nie leży w jego interesie, aby to robić.

Usunąłem kilka stron z piętrzącego się przede mną stosu kartek. Zrobię sobie z nich kopie do moich tajnych dokumentów. Włączając kopiarke, otworzyłem przypadkowo teczkę. Wypadła z niej książka Kena Woodwarda. Otworzyłem ją i rzuciłem okiem na ostatnią stronę.

Tylko Bóg tworzy świętych. Niemniej to my musimy przekazywać ich dzieje. A to, w efekcie, jest jedynym powodem, aby wdrażać proces „tworzenia świętych”. Jakiego rodzaju dzieje są odpowiednie dla świętego? Oczywiście, nie tragiczne. Komedia jest bliższa pojmowaniu radości prawdziwej świętości i najwyższej logiki życia w Bogu i przez Boga. Wymagany jest również element zawieszenia — aż dzieje dobiegną końca, bowiem nikt nigdy nie jest pewien wyniku. Prawdziwi święci to ostatni z ludzi, którzy zakładają zbawienie — w tym lub przyszłym życiu.

— Ty sukinsynie — mruknąłem, patrząc w niebo. Nawet teraz zastanawiam się, czy mówiąc to, miałem na myśli Skaczącego Johnny'ego McGlynnna czy Boga?

— Możesz to zatrzymać — otworzyłem teczkę i wręczyłem Mary Elizabeth wszystkie swoje cenne dokumenty.

— Niczego nie skopiowałaś? — zapytała miękko.

Siedziała w tym samym fotelu, co przedtem, i w okularach na nosie czytała Jana Haslera *Północ nadziei*. Towarzyszyła jej muzyka Haydna.

— Nie.

Zamknęła książkę i zdjęła okulary. Czyżby miała tak zmęczone oczy, że nie mogła używać szkieł kontaktowych?

— Nie ma tam niczego takiego, co miałoby szczególną wartość.

— Ależ, Lar, tam jest mnóstwo rzeczy dosłownie wystrzałowych.

— Nie. Nieważne, co robił, będąc w seminarium.

—Ale to mogłoby mu zaszkodzić... zniszczyć dobrą pamięć o nim.

— To już nie moja sprawa. Ludzie zgromadzeni przy jego grobie nie interesują się tym, co robił przed wyświęceniem.

—Przecież był ojcem nieślubnego dziecka—powiedziała.

—Był? To jedna z interpretacji tekstu, ale nie jedyna. Trzeba by do tego wiele dodać.

Usiadłem w fotelu obok niej.

—Ale przecież ty znasz tę jedną, jedyną, możliwą interpretację, prawda?

—Czyją znam?

—Masz ją w swoich dokumentach—chwyciła kopertę z manili.

—Teraz ty je masz. A w każdym razie, czego one dowodzą? Tylko tego, że twoja córka była dzieckiem spóźnionym. Waga noworodka? Kto wie, jak to tam było. Poza tym nie ma dowodów, że jeśli Bud nie był ojcem, to był nim właśnie Johnny.

—A zdjęcie Delii?

—Wszystkie Irlandki są do siebie podobne. Mogę się założyć, że znajdziesz zdjęcia matki lub babki Buda, na którym będą one podobne do Karoliny. Albo fotografie twojej matki lub babki.

—Przyznałam się, że był ojcem Karoliny.

—Czyżby?

—Tak.

—Chcesz to *zeznać* pod przysięgą?

—Nie sędzę.

—A zatem wszystko to tylko zwykłe opowiadki.

—Lar... — uśmiechnęła się, dając mi znać, że ją rozbawiłem. —Jesteś niemożliwy. To bardzo miło, że chcesz chronić mnie i Karolinę, ale przecież musisz wykonać powierzone ci zadanie.

Otworzyłem książkę *Tworzenie świętych* i przeczytałem odpowiedni ustęp.

— Posłuchaj, Mary Elizabeth, wszyscy zostaliśmy w to wciągnięci... Doktor, Delia, Kate, ty, Annemarie, Bud, Karolina, ja i Bóg tylko wie, ile jeszcze postaci drugoplanowych. To nie to, że ja chcę ciebie chronić. Tak mi się wydaje, że

Pan Bóg chciał czegoś dowieść. Chyba nie przypuszczasz, że taki człowiek jak ja uczyni Skaczącego Johnny'ego świętym? Zrozum mnie dobrze.

— Dlaczego?

— Ponieważ Wszechmocny przeczuwał, że potrzebowaliśmy właśnie takiej historii...

— A te postacie drugoplanowe?

— Och, sądzę, że Bóg im to jakoś wynagrodzi.

— Jaka wspaniała chicagowska odpowiedź! — Uśmiechnęła się. — Co mam z tym zrobić? — spytała, wskazując pamiętnik Johnny'ego?

— Schowaj go głęboko. Może pewnego dnia ci, którzy spróbują wdrożyć formalny proces tworzenia świętych, będą mieli ochotę potraktować wszystko jako jedną, nierozłączną całość, a wtedy bardzo będą przejęci osobą, która napisała ten pamiętnik. Możesz również zastanowić się, co chciałabyś z niego teraz opublikować. Po co na nich czekać, prawda?

— A kardynał?— zapytała.

— Zajmę się nim. Zdejmę go z haczyka. Poślę ci kopię listu.

— A zatem teraz wszystkie luźne końce zostały już dobrze ze sobą związane i wszystko tak się kończy, jak powinna kończyć się dobra opowieść, czy tak Lar? Powinnam była ufać ci od początku.

— Jest jeszcze jeden luźny koniec.

— Jaki?

— Czy ostatnio odrzuciłaś mężczyznę, który się o ciebie stara?

— Tak — odpowiedziała krótko i z jej twardego spojrzenia wywnioskowałem, że to nie mój interes.

— Dlaczego? Coś nie wyszło?

— Och, może by i wyszło... —już była gotowa wybuchnąć. — Był miły, nawet bardzo. Był też silny... Ale nie jest mi potrzebny mężczyzna.

— Zgadzam się. Jednak z tym może byłabyś szczęśliwsza? Jesteś niezwykle sentymentalna, Mary Elizabeth. Dzisiaj już to pokazałaś.

Patrzyła na mnie zimno.

—Nie mam prawa być szczęśliwa.

— Nie słuchałaś mnie dobrze, Mary Elizabeth. Powiedziałem, że cała ta historia już się skończyła. Wszyscy odegraliśmy już swoje role — ty i ja. Ale biorąc wszystko razem pod uwagę, nie było tak źle. Jesteśmy teraz wolni. Musimy tworzyć własne, indywidualne historie.

Znowu zaczęła się bardzo wolno odprężyć.

— Jak możesz tak mówić?

— Czy nie rozumiałaś, jakie w tym wszystkim było twoje miejsce? Czy nie rozumiesz, że jedynie pośredniczyłaś w przemianie Johnny'ego? Że byłaś boską pośredniczką? Byłaś niezwykle ważną łaską w jego życiu.

— Byłam dla niego pokusą — rzuciła ostro. — Jak mogłam być równocześnie łaską?

— I to właśnie, jak sędzę, jest najważniejszy punkt w tej całej historii.

— Muszę się nad tym zastanowić.

— Doskonale. A tymczasem myślę, że powinnaś zatelefonować do tego twojego konkurenta.

— Jak śmiesz mówić w ten sposób do mnie! — Jej twarz spłonęła rumieńcem gniewu. — Co cię upoważnia do tego, aby dawać mi takie polecenia?

— To, że jestem twoim księdzem.

— Jeszcze cię nie wyznaczyłam.

— To nie ma znaczenia. Sam się wyznaczyłem. Zadzwoń. Teraz.

Uśmiechnęła się szeroko. Poszła na drugi koniec pokoju, podniosła słuchawkę, skrzywiła się do mnie i wykręciła numer.

Przez następne kilka minut znowu była nastolatką, dzwoniącą, aby umówić się na pierwszą randkę. Jej twarz i ruchy zmieniały się gwałtownie, wyrażając różne uczucia: od zakłopotania, poprzez skruchę, oczekiwanie, aż do ulgi, a w końcu radości.

— Kobieta w moim wieku — powiedziała, odwracając się wolno ku mnie, z błyszczącą twarzą i łzami na policzkach — powinna się wstydzić takiego apetytu na mężczyznę.

Pochyliła się, kładąc głowę na mojej piersi. Potem nadeszły łzy i wstrząsające ciałem szlochanie.

—Nigdy nie chciałam tak nieustannie nad sobą panować. Nie miałam jednak wyboru. Bud, Johnny. Obaj tego potrzebowali.

—Teraz to już minęło, Marbeth.

Skinęła głową i skądś wyciągnęła chusteczkę.

—Postaram się w to wierzyć.

—Przygotuj się na nową historię, w której odegrasz zupełnie inną rolę.

Przytaknęła i wytarła nos.

—Czy pomyślałbyś, że będę mogła tyle płakać? — odetchnęła głęboko.

— Pewnie jeszcze sobie popłaczesz przed weekendem. A potem przestaniesz i zaczniesz snuć tę swoją nową opowieść.

—Udzielisz nam ślubu?

—Jasne.

Zwiotczała w moich ramionach. Było to całkowite poddanie się, nie mnie, ale otulającej jej życie łasce boskiej, którą teraz wreszcie sobie uświadomiła.

—I zawsze już będziesz moim księdzem?

—A czy mam jakiś wybór?

Na szczęście istnieje na świecie wiele rodzajów miłości.

—Żadnego.

Na drodze do frontowych schodów wyskoczyła na moje spotkanie kipiąca życiem Karolina ze swoim zwykłym uściskiem i pocałunkiem.

—Wszystko będzie dobrze!—wykrzyknęliśmy równocześnie.

Dobre zakończenie.

EPILOG

Parafia Świętego Finiana

Forest Springs, Illinois 1 listopada — Dzień Wszystkich Świętych

Wasza Eminencjo,

W podsumowaniu mojego sprawozdania, które prześlę w terminie późniejszym, uważam, że nie ma podstaw, aby odrzucić kandydaturę kardynała Johna McGlynn'a do kanonizacji. Użył rodzinnych pieniędzy, żeby pomóc bratu w kłopotach finansowych. Pieniądze, które przemycał do Polski, nie pochodziły z kradzieży. Mary Elizabeth Quinlan była jego przyjaciółką, doradczynią i osobą zaufaną. Nie znalazłem żadnych przekonujących dowodów, że było coś więcej w ich wzajemnych stosunkach. Posiadam w swoich aktach dokumenty, które otrzymałem od niej i od monsignore'a Careya i w każdej chwili Wasza Eminencja może się z nimi zapoznać.

Pani Quinlan ma także u siebie jedyny materiał, jaki znajdował się w „tajnych archiwach”, a jest to zbiór notatek i listów, zgromadzonych przez zmarłego kardynała w czasie ostatnich lat jego pobytu w Chicago. Pani Quinlan zamierza je opublikować. Przed opublikowaniem przekaze kopie Waszej Eminencji. Jestem przekonany, że będzie to bardzo poruszający materiał.

Książka ta będzie bez wątpienia kontrowersyjna, jednak nie będzie ona zawierała nic, co mogłoby zakwestionować jego osobistą świętość.

Wiem, że doradzanie polityki archidiecezji w tej sprawie nie wchodzi w zakres moich obowiązków, niemniej sądzę, że nie wyrządzi się żadnej szkody, jeżeli zostanie przyjęte oficjalne stanowisko, że: a) Archidiecezja nie przeciwstawia się rozpoczęciu możliwego procesu kanonizacyjnego, lecz b) uważa się, że ten proces powinien w dzisiejszych czasach przebiegać bardzo ostrożnie i bez pośpiechu.

Skompletowałem dokumentację dotyczącą dwóch dalszych cudów, które — jak jestem przekonany — mogą być pewnego dnia zaakceptowane przez Consulta Medica. Jednak obecnie uważam, że nie odniesiemy korzyści, publikując te materiały lub obarczając nimi Waszą Eminencję.

Na koniec pytanie: John Arthur McGlynn jest święty w niebie, jako wyraz wspaniałego, lecz trochę pokrętnego boskiego planu? Mogę tylko stwierdzić, że jeśli rzeczywiście jest święty, to należy do grona tych, którzy rozumieją, jaka to ciężka praca być świętym.

W każdym razie nie zaszkodzi, aby Wasza Eminencja zaczął się do niego modlić.

Tak jak—niechaj nam Pan Bóg pomoże—ja to robię.

*Szczerze oddany w Panu Laurence O'Toole McAuliffe M.A*²¹ (Trin.)*

Proboszcz

TLR

²¹ * M. A. — Magister Artium — magister nauk humanistycznych.